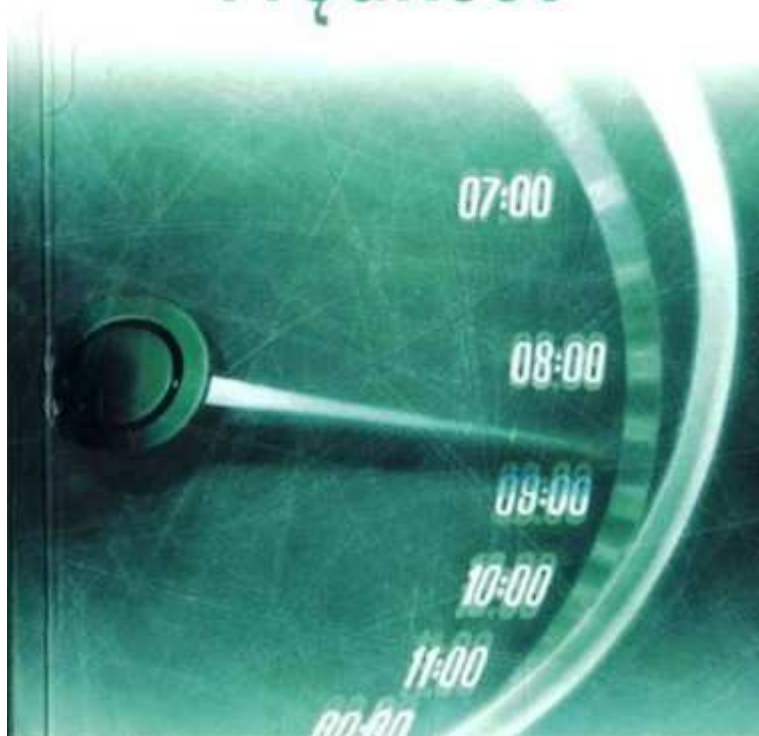


BEZ WZGLĘDU NA TO, JAKIEGO DOKONASZ WYBORU – KTOŚ ZGINIE...

Dean  
**KOONTZ**

Prędkość





DEAN KOONTZ

Dean Koontz należy do najbardziej lubianych autorów amerykańskich. Porównywany ze Stephenem Kingiem, legitymuje się imponującą liczbą sprzedanych egzemplarzy książek – ponad 250 milionów. We wczesnym okresie swojej twórczości pisywał głównie utwory z gatunku fantastyki z elementami horroru. Obecnie znany jest przede wszystkim jako autor bestsellerów z pogranicza thrillera i psychologicznej powieści grozy – dreszczowców, w których czytelnik odnajdzie i coś z Cobena, i coś z *Archiwum X*.

---

*Jeśli nie przekażesz tego listu policji, zabiję uroczą blond nauczycielkę. Jeśli przekażesz ten list policji, zabiję zamiast tego starszą panią. Masz sześć godzin na podjęcie decyzji.*

Billy Wiles, niedoszły pisarz, dorabiający jako barman, nie może powiedzieć, że nie pozostawiono mu wyboru. Pozostawiono. Mógł zdecydować, kto umrze – jasnowłosa nauczycielka, czy zajmująca się działalnością charytatywną starsza pani. Pozostawiony za wycieraczką samochodu list wydawał się początkowo głupim żartem – ale makabryczne zabójstwo nauczycielki rozwiało wszelkie wątpliwości co do szczerości zamiarów jego autora. Billy musi samotnie stawić czoła tajemniczemu szaleńcowi, który z niewiadomych przyczyn wciąga go w śmiertelną grę. Jeśli chce przeżyć i uratować swoją narzeczoną, musi sam zacząć stosować metody przeciwnika.



**Dean**

**KONTZ**

**Prędkość**

Z angielskiego przełożył ANDRZEJ SZULC

**WARSZAWA 2007**

Tytuł oryginału VELOCITY

Copyright © Dean Koontz 2005 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Szulc 2007

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-435-7

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

Uf. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: OpolGraf S.A., Opole

Książka ta dedykowana jest Donnie i Steve'owi Dunio, Vitowi i Lynn Cerra oraz Rossowi i Rosemary Cerra. Nigdy nie zgadnę, dlaczego Gerda powiedziała mi „tak”. Ale teraz wasza rodzina ma szaloną gałąź.

Człowieka można zniszczyć, lecz nie pokonać.

Ernest Hemingway Stary człowiek i morze (przełożył Bronisław Zieliński)

A wy żyjecie rozproszeni na wstęgach dróg  
I nikt nie wie, ani się troszczy, kto jest jego bliźnim,  
Dopóki bliźni nie uczyni zbyt wielkiego kłopotu,  
Lecz wszyscy pędzą tam i z powrotem samochodami,  
Oswojeni z drogą, nigdzie nie osiedli.

T.S. Eliot Chóry z „Opoki” (przełożył Michał Sprusiński)

**Część pierwsza**  
**Wybór należy do ciebie**

# 1

Ned Pearsall podniósł do ust szklanę beczkowego piwa i wypił za swego zmarłego sąsiada, Henry'ego Friddle'a, którego śmierć sprawiła mu wielką radość.

Henry padł ofiarą ogrodowego krasnala. Spadł z dachu swego piętrowego domu prosto na tę pocieszną figurę. Krasnal był zrobiony z betonu. Henry — nie.

Złamany kark, rozbita czaszka: zgon nastąpił natychmiast.

Do śmierci z rąk krasnala doszło przed czterema laty. Ned Pearsall nadal przynajmniej raz w tygodniu pił za zejście Henry'ego.

Siedzącego przy mahoniowym barze przyjeźdnego, który był w tym momencie jedynym poza nim klientem, zdziwił uporczywy charakter żywionej przez Neda animozji.

— Jakim strasznym sąsiadem musiał być ten biedak, skoro nadal go pan tak nienawidzi?

Normalnie Ned pewnie zignorowałby to pytanie. Turystów lubił jeszcze mniej niż precle.

W tawernie można było dostać za darmo precle, ponieważ były tanie. Ned wolał jeść solone orzeszki i po nich gasić pragnienie.

Krzążający się za barem Billy Wiles częstował go nimi czasem na koszt firmy, by skłonić Neda do zamówienia kolejnego piwa.



Przeważnie jednak Ned musiał za nie płacić. Drażniło go to, nie rozumiał bowiem ekonomicznych realiów prowadzenia baru, względnie ponieważ lubił być rozdrażniony. Prawdopodobnie to

Chociaż miał głowę przypominającą piłkę do squasha oraz potężne, zaokrąglone ramiona zapaśnika sumo, Neda można było uznać za wysportowanego tylko wtedy, gdy dla kogoś sportem jest gładzenie przy barze i chowanie urazy. W obu tych dyscyplinach był olimpijczykiem.

Jeśli chodziło o świętej pamięci Henry'ego Friddle'a, Ned mógł o nim opowiadać zarówno obcym, jak i ludziom, którzy mieszkali w Vineyard Hills od urodzenia. Kiedy tak jak teraz jedynym klientem był przyjezdny, milczenie wydawało się jeszcze mniej pożądane niż rozmowa z „cudzoziemskim diabłem”.

Billy Wiles nie był zbyt gadatliwy. Nigd.961 Tml[( )-293.20012(1)-4.4630(1)az

— mruknął turysta i Billy uznał, że ma do czynienia z kimś bardziej interesującym, niż z początku sądził.

— Nie, nie — odparł niecierpliwie Ned. — To był wypadek

— Był pijany?

— Dlaczego myśli pan, że był pijany? — zdziwił się Ned.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Wdrapał się na dach, żeby obsikać pańskie okna.

— To był chory człowiek — wyjaśnił Ned, pstrykając palcem w szklankę na znak, że ma ochotę na następną kolejkę.

— Henry Friddle pałał żądzą zemsty — powiedział Billy, nalewając mu budweisera z beczki.

— Żądzą zemsty? — powtórzył turysta po chwili obcowania w ci-szy ze swoim piwem. — Więc to pan pierwszy obsikał okna Friddle'a?

— To było zupełnie coś innego — odparł Ned ostrym tonem, który miał przestrzec nieznajomego przed wyciąganiem pochopnych wniosków.

— Ned nie zrobił tego z dachu — wyjaśnił Billy.

— Zgadza się. Poszedłem do niego jak mężczyzna, stanąłem na trawniku i wycełowałem w okna jadalni.

— Henry i jego żona jedli w tym momencie obiad — powiedział Billy.

— Jedli przepiórki, na litość boską — dodał Ned, zanim turysta zdążył potępić go za to, iż wybrał nieodpowiedni moment na swoją demonstrację.

— Obsikał pan ich okna, bo jedli przepiórki?

Ned parsknął z oburzenia.

— Nie, oczywiście, że nie. Myśli pan, że jestem nienormalny? — zapytał, zerkając na Billy'ego i przewracając oczyma.

Billy uniósł brwi. Czego można się spodziewać po turyście, mówił wyraz jego twarzy.

— Próbuję tylko wyjaśnić panujący byli pretensjonalni — wyjaśnił Ned. — Stale zajadali przepiórki, ślimaki albo karczochy.

— Zarozumiałe sukinsyny — mruknął turysta z tak lekką domieszką ironii, że Ned Pearsall w ogóle jej nie usłyszał. Wyczuł ją tylko Billy.

— Właśnie — potwierdził Ned. — Henry Friddle jeździł jaguarem, a jego żona autem... nie uwierzy pan w to... autem wyprodukowanym w Szwecji.

— Wóz z Detroit był dla nich zbyt prostacki — skomentował turysta.

— Ot co. Jakim trzeba być snobem, żeby sprowadzić sobie wóz aż ze Szwecji?

— Domyślał się, że byli koneserami wina — powiedział turysta.

— Zgadł pan! Może to pana znajomi albo coś?

— Nie, znam po prostu ten typ. Mieli pewnie masę książek.

— Trafił pan w dziesiątkę — oznajmił Ned. — Siadali na frontowej werandzie, wachali to swoje wino i czytali książki.

— W publicznym miejscu! Wyobrażam sobie. Ale skoro nie obsikał pan ich okien za to, że byli snobami, dlaczego pan to zrobił?

— Tysiące powodów — zapewnił go Ned. — Incydent ze skunksem. Incydent z nawozem trawnikowym. Zwiędłe petunie.

— No i ogrodowy krasnal — dodał Billy, płucząc szklanki w barowym zlewozmywaku.

— Ogrodowy krasnal był ostatnią kroplą—zgodził się Ned.

— Rozumiem, że mogą kogoś doprowadzić do agresywnego oddania moczu flamingi z różowego plastiku — oznajmił turysta. — Ale szczerze mówiąc, nie krasnal.

Ned skrzywił się, przypominając sobie doznany afront.

— Ariadne dała mu moją twarz — wyznał.

— Jaka Ariadne?

— Żona Henry'ego Friddle'a. Słyszał pan kiedyś bardziej pretensjonalne imię?

Nazwisko „Friddle” sprowadza je jakby na ziemię. Była profesorem sztuki na tej samej uczelni. Wyrzeźbiła krasnalą, zrobiła formę,

wlała do niej beton i sama go pomalowała.

— Fakt, że posłużył pan za model, można uznać za zaszczyt.

Piana na górnej wardze Neda nadała jego twarzy zacieki wyglądu.

— To był krasnal, chłopie — zaprotestował. — Pijany krasnal. Nos miał czerwony jak jabłko. W każdej ręce trzymał butelkę piwa.

— I miał rozpięty rozporek — dodał Billy.

— Serdeczne dzięki, że mi o tym przypomniałeś — mruknął Ned. — Co gorsza, wystawały z niego łeb oraz szyja zdechłej gęsi.

— Cóż za kreatywność — zauważył turysta.

— Z początku nie miałem pojęcia, co to, do diabła, znaczy...

— Symbolizm. Metafora.

— Tak, tak. Domyśliłem się tego. Wszyscy, którzy przechodzili koło ich domu, widzieli go i dobrze się bawili moim kosztem.

— Nie musieli oglądać krasnała, żeby to robić — stwierdził turysta.

— Racja — zgodził się Ned, nie łapiąc zawartej w tych słowach aluzji. — Wystarczyło, że o nim usłyszeli. Rozwaliłem więc krasnała młotem kowalskim.

— A oni pana pozwali.

— Gorzej. Przewidując, że rozwałę pierwszego krasnała, Ariadne zrobiła już wcześniej drugiego.

— Myślałem, że życie w krainie wina toczy się leniwym nurtem.

— A potem powiedzieli mi — podjął Ned — że jeśli rozwałę drugiego, ustawią na trawniku trzeciego, wyprodukują całą partię i będą je sprzedawać po kosztach własnych każdemu, kto chce mieć krasnała Neda Pearsalla.

— Wygląda mi to na czczą groźbę — oświadczył turysta. — Myśli pan, że znaleźliby się ludzie, którzy chcieliby kupić coś takiego?

— Dziesiątki — zapewnił go Billy.

— To miasto zeszło na psy, odkąd zaczęli tu zjeżdżać z San Francisco amatorzy pâté i sera brie — oznajmił z ponurą miną Ned.

— A więc nie mając odwagi rozwalić młotem drugiego krasnala, musiał pan obsikać ich okna.

— Właśnie. Ale nie dałem się ponieść nerwom. Analizowałem sytuację przez cały tydzień. A potem ich spryskałem.

— I wówczas Henry Friddle wdrapał się na dach z pełnym pęcherzem, chcąc odpłacić panu pięknym za nadobne.

— Zgadza się. Ale zaczekał, aż będę obchodził urodziny z moją mamą.

— Niewybaczalne — uznał Billy.

— Nawet mafia nie atakuje niewinnych członków rodziny — rzekł z oburzeniem Ned.

— Nie. Mafia ma klasę — wtrącił Billy, licząc na napiwek.

— Czyli coś, czego ci jajogłowi nie potrafią nawet przeliterować — powiedział Ned. — Mama miała siedemdziesiąt sześć lat. Mogła dostać ataku serca.

— A więc próbując spryskać moczem okna pańskiej jadalni, Friddle spadł z dachu i skrzył sobie kark na krasnalu Neda Pearsalla — powiedział turysta. — Jest w tym pewna ironia.

— Nie wiem, czy była w tym ironia — odparł Ned. — Ale widowisko było przednie.

— Powiedz, jak to skomentowała twoja mama — zachęcił go Billy.

Ned pociągnął łyk piwa i nie dał się dwa razy prosić.

— Powiedziała: Chwalmy Pana, skarbie, bo to dowód, że jednak istnieje.

— Wygląda mi na bardzo pobożną kobietę — ocenił turysta po krótkiej chwili, której potrzebował, by to wszystko sobie przyswoić.

Nie zawsze taka była. Ale w wieku siedemdziesięciu dwóch lat zachorowała na zapalenie płuc.

— Na pewno wygodniej jest mieć Boga pod ręką w takiej chwili.

— Uznała, że jeśli Bóg istnieje, być może ją ocali. A jeżeli nie istnieje, straci najwyższą trochę czasu na modlitwę.

— Czas jest najcenniejszą rzeczą, jaką mamy — zauważył turysta.

— To prawda — zgodził się Ned. — Ale mama nie straciłaby go zbyt wiele, ponieważ najczęściej modli się, oglądając telewizję.

— Cóż za inspirująca historia — rzekł turysta i zamówił piwo.

Billy otworzył pretensjonalną butelkę heinekena i postawił na kontuarze świeżą schłodzoną szklankę.

— Na koszt firmy — szepnął.

— Miło z pana strony. Dzięki. Myślałem wcześniej, że jest pan trochę zbyt cichy i małomówny jak na barmana, ale teraz rozumiem dlaczego.

— Za Ariadne. Niech spoczywa w pokoju — odezwał się ze swego samotnego posterunku przy barze Ned Pearsall i podniósł szklankę.

Turysta, być może trochę niechętnie, ponownie dał się wciągnąć w rozmowę.

— Chyba nie kolejna tragedia z krasnałem? — zapytał.

— Rak. Dwa lata po tym, jak Henry spadł z dachu. Z całą pewnością jej tego nie życzyłem.

— Śmierć sprawia, że nabieramy dystansu do naszych drobnych utarczek — doszedł do wniosku nieznajomy, lejąc heinekena po boku przechylonej szklanki.

— Brakuje mi jej — przyznał Ned. — Miała bajeczną mleczarnię i nie zawsze nosiła biustonosz.

Turysta się skrzywił.

— Pracowała w ogródku — wspominał prawie z rozmarzeniem Ned — albo wyprowadzała psa i te jej słodkie siostrzyczki tak się kołysały i podskakiwały, że zapierało dech z wrażenia.

Turysta przejrzał się w lustrze za barem, chcąc być może

sprawdzić, czy na jego twarzy widoczne jest zgorzenie, które odczuwał.

— Czyż nie miała najwspanialszych cycków, jakie ma się nadzieję zobaczyć, Billy? — zapytał Ned.

— Miała — przyznał Billy.

Ned zsunął się ze stołka i powlókł do toalety.

— Nawet kiedy wykańczał ją rak, cycki wcale się nie skurczyły — powiedział, zatrzymując się na chwilę przy turyście. — Im była chudsza, tym większe się wydawały. Prawie do samego końca była apetyczna. Szkoda kobiety, prawda, Billy?

— Szkoda — powtórzył Billy, kiedy Ned podreptał do toalety.

— Interesujący z ciebie facet, Billy Zza Baru — rzucił turysta po krótkim milczeniu.

— Ja? Ja nigdy nie spryskałem niczyich okien.

— Moim zdaniem jesteś jak gąbka. Wszystko wchłaniasz.

Billy wziął do ręki ściereczkę i wytarł kilka szklanek do piwa, które uprzednio wymył i wysuszył.

— Ale z drugiej strony jesteś jak kamień — dodał turysta — bo niczego z ciebie nie można wycisnąć.

Billy nadal wycierał szklanki.

W rozbawionych szarych oczach ponownie zamigotały wesołe iskierki.

— Jesteś człowiekiem, który ma swoją filozofię. To dość niezwykłe w naszych czasach, kiedy ludzie w większości nie wiedzą, kim są, a także w co i dlaczego wierzą.

To też mieściło się w kategorii barowych pogaduszek, które Billy znał, choć nie słyszał ich zbyt często. W porównaniu z opowieściami Neda Pearsalla podobne uwagi mogły się wydać erudycyjne; lecz i tak była to wyłącznie piwna psychoanaliza.

Trochę go to rozczarowało. Przez moment miał wrażenie, że turysta różni się od grzejących barowe stołki przeciętnych gości. Filozofia? — mruknął, uśmiechając się i potrząsając głową. — Za wiele mi pan przypisuje.

Turysta dalej sęczył swojego heinekena. Billy nie miał zamiaru więcej się odzywać, lecz nagle zorientował się, że mówi dalej.

—Nie wychylać się, siedzieć cicho, niczego nie komplikować, nie oczekiwać zbyt wiele, cieszyć się tym, co jest.

Nieznajomy uśmiechnął się.

—Być samowystarczalnym, nie angażować się, pozwolić światu iść do diabła, jeśli ma ochotę — dodał.

—Być może — przyznał Billy.

—Zgoda, to nie Platon — powiedział turysta — ale zawsze to jakaś filozofia.

—Pan ma jakąś? — zapytał Billy.

—W tym momencie uważam, że moje życie stanie się lepsze i bardziej sensowne, jeśli uniknę dalszej rozmowy z Nedom.

—To nie filozofia — zauważył Billy. — To fakt.

Dziesięć minut po czwartej przyszła do pracy Ivy Elgin. Była całkiem przeciętną kelnerką i kobietą wzbudzającą u mężczyzn nieprzeciętne pożądanie.

Billy lubił ją, lecz o niej nie marzył. To odróżniało go od innych mężczyzn, którzy pracowali bądź też popijali w tawernie.

Ivy miała mahoniowe włosy, przejrzyste oczy koloru brandy oraz ciało, którego przez całe życie szukał Hugh Hefner.

Chociaż skończyła już dwadzieścia cztery lata, chyba rzeczywiście nie zdawała sobie sprawy, że jest ucieleśnieniem męskich pragnień. Nigdy nie kusiła swoimi wdziękami. Czasami mogła z kimś poflirtować, ale nigdy w uwodzicielski sposób.

Jej uroda i pensjonarski wdzięk stanowiły tak wybuchową mieszankę, że facetom topił się wosk w uszach od samego jej uśmiechu.

—Cześć, Billy — powiedziała, podchodząc do baru. — Widziałam martwego oposa przy Old Mill Road, jakieś ćwierć mili od Korneli Lane.



— Zabitego w wypadku czy zdechłego z przyczyn naturalnych?

— Zabitego w wypadku.

— Co to twoim zdaniem oznacza?

— Na razie nic konkretnego — odparła, podając mu torebkę, żeby mógł ją schować pod ladą. — To pierwsze martwe zwierzę, które widziałam od tygodnia, więc wszystko zależy od tego, i czy w ogóle jeszcze się pojawia, a jeśli tak, to jakie.

Ivy uważała się za wróżbitkę, haruspiczkę. W starożytnym Rzymie haruspikowie byli kapłanami, którzy przepowiadali przyszłość z wnętrzości zwierząt ofiarnych.

Choć cieszyli się szacunkiem, a nawet rewerencją Rzymian, nie zapraszano ich chyba zbyt często na imprezy towarzyskie.

Ivy nie miała niezdrowych zainteresowań. Wróżenie z wnętrzości zwierząt nie było dla niej czymś najważniejszym. Rzadko rozmawiała o tym z klientami.

Nie miała również odwagi grzebać w samych wnętrzościach. Jak na haruspiczkę była dosyć wrażliwa.

Znaczenie miał dla niej gatunek martwego zwierzęcia, okoliczności, w jakich doszło do jego odnalezienia, jego pozycja w odniesieniu do stron świata oraz inne ezoteryczne aspekty jego stanu.

Jej wróżby rzadko kiedy się spełniały, ale wcale jej to nie zniechęcało.

— Cokolwiek to może znaczyć — powiedziała Billy'emu, biorąc bloczek zamówień i ołówkę — to zły omen. Martwy opos nigdy nie jest oznaką pomyślności.

— Sam też to zauważyłem.

— Zwłaszcza kiedy jego nos zwrócony jest na północ, a ogon na wschód.

W ślad za Ivy do tawerny rychło trafili spragnieni mężczyźni, zupełnie jakby była fatamorganą oazy, której szukali przez cały dzień. Tylko kilku usiadło przy barze; inni woleli, żeby krzątała się przy stolikach.

Choć wśród należących do klasy średniej klientów nie było

krezusów, dochód Ivy z napiwków przekraczał to, co mogłaby zarobić, gdyby zrobiła doktorat z ekonomii.

Godzinę później, o piątej, do pracy przysłała druga wieczorna kelnerka, Shirley Trueblood. Pięćdziesięciosześcioletnia, krępa, pachnąca jaśminowymi perfumami, Shirley też miała swój krąg wyznawców. Niektórzy mężczyźni w barze zawsze potrzebują matkowania. Niektóre kobiety również.

Dzienny kucharz, Ben Vernon, poszedł do domu. Pałeczkę przejął od niego wieczorny kucharz, Ramon Padillo. Tawerna oferowała wyłącznie dania barowe: cheeseburgery, frytki, skrzydełka z kurczaka, quesadille, nachos...

Ramon zauważył, że kiedy dyżur miała Ivy Elgin, sprzedawało się więcej pikantnych dań, niż wtedy, gdy jej nie było. Faceci zamawiali potrawy w sosie tomatillo, używali o wiele więcej butelek tabasco i prosili o plasterki jalapeno do swoich hamburgerów.

— Mam wrażenie — powiedział kiedyś Billy'emu — że podświadomie grzeją swoje gonady, żeby być w pełnej gotowości, kiedy do nich podejdziesz.

— W tej knajpie nikt nie ma najmniejszych szans u Ivy — zapewnił go Billy.

— Nigdy nic nie wiadomo — odparł ze wstydliwym uśmiechem Ramon.

— Nie mów, że ty też zjadasz papryczki.

— Tak dużo, że czasami mam w nocy zabójczą zgagę — przyznał Ramon. — Ale jestem gotów.

Razem z Ramonem przyszedł wieczorny barman, Steve Zillis, który przez godzinę pracował razem z Billym. Dwudziesto-czteroletni, był o dziesięć lat młodszy od Billy'ego, lecz o dwadzieścia lat mniej dojrzały.

Dla Steve'a szczytem wyrafinowanego humoru mógł być każdy limeryk, którego obsceniczna treść przyprawiała o rumieniec dorosłych mężczyzn.

Potrafił zawiązać językiem supetek na szypułce wisienki, załadować orzeszki do prawego nozdrza i wydmuchać je celnie do

szklanki, a także wypuszczać papierosowy dym prawym uchem. Zamiast pchnąć prowadzące za kontuar drzwiczki, Steve jak zwykle je przeskoczył.

— Co słyhać, Kemosabe? — zapytał.

— Jeszcze godzina — odparł Billy — i wracam do życia.

— Tutaj jest życie — zaprotestował Steve. — Tu jest centrum wydarzeń.

Tragedia Steve'a Zillisa polegała na tym, że naprawdę wierzył w to, co mówił. Ta zwyczajna tawerna była dla niego czymś w rodzaju kabaretu.

Włożył fartuch, wziął trzy oliwki z miski, zonglował nimi przez chwilę z oszałamiającą prędkością, po czym wrzucił kolejno do ust.

Kiedy dwaj pijacy przy barze zaczęli głośno bić brawo, Steve pławił się w ich aplauzie, jakby był słynnym tenorem na scenie Metropolitan Opera i zasłużył sobie na hołd wyrafinowanej i znającej się na rzeczy publiczności.

Ostatnia godzina zmiany Billy'ego minęła szybko, mimo że musiał znosić obecność Steve'a Zillisa. Popołudniowi piwosze zwlekali z powrotem do domu, pojawili się także wieczorni pijacy i pracy starczało dla dwóch barmanów.

Jeśli to w ogóle możliwe, Billy lubił swoje miejsce pracy w tym przejściowym okresie. Klienci byli wówczas najbardziej rozmowni i szczęśliwsi aniżeli później, gdy alkohol wpędzał ich w melancholię.

Ponieważ okna tawerny wychodziły na wschód, a słońce wisiało na zachodzie, światło za szybami było maksymalnie stonowane. Zawieszane pod sufitem lampy nadawały ciemno-miedziany odcień mahoniowej boazerii i ściankom boksów.

W powietrzu unosił się zapach drewnianej podłogi zamarynowanej w nieświeżym piwie, stearynie, cheeseburgerach i smażonych krążkach cebuli.

Billy nie lubił swego miejsca pracy aż tak bardzo, by zostać tam po końcu zmiany. Wyszedł punktualnie o siódmej.

Gdyby był Steve'em Zillisem, uczyniłby ze swojego wyjścia teatralny numer. Zamiast tego opuścił tawernę niczym duch dematerializujący się po seansie spirytystycznym.

Na dworze jeszcze przez dwie godziny powinno być jasno. Niebo na wschodzie miało kolor elektrycznego błękitu w stylu Maxfiel-da Parrisha. Na zachodzie nadal rozjaśniało je słońce.

Zbliżając się do swojego forda explorera, Billy zauważył prostokąt białego papieru wsunięty pod wycieraczkę od strony kierowcy.

Usiadł za kierownicą i nie zamykając drzwiczek, rozłożył kartkę, spodziewając się zobaczyć jakąś reklamę myjni samochodowej albo sprzątania.

Miał przed sobą elegancko wydrukowaną wiadomość.

Jeśli nie przekażesz tego listu policji i ich w to nie zaangażujesz, zabiję uroczą blond nauczycielkę gdzieś w okręgu Napa.

Jeśli przekażesz ten list policji, zabiję zamiast tego starszą panią zaangażowaną w działalność charytatywną.

Masz sześć godzin na podjęcie decyzji. Wybór należy do ciebie.

Billy nie poczuł jeszcze, że świat usuwa mu się spod nóg, ale właśnie mu się usunął. Upadek jeszcze się nie rozpoczął, lecz miało do niego dojść. Już wkrótce.

# 2

Myszka Miki oberwała kulą w szyję.

Z pistoletu kalibru dziewięć milimetrów padły jeszcze trzy szybkie strzały, rozrywając na strzępy dziób Kaczora Donalda.

Strzelec, Lanny Olsen, mieszkał przy końcu popękanej asfaltowej drogi, naprzeciwko kamienistego zbocza, na którym nigdy nie wyrosłaby winna latorośl. Nie miał stąd widoku na bajeczną Napa Valley.

Rekompensatą za ten mało ciekawy adres były piękne śliwy i strzeliste wiązy rozjaśnione dzikimi azaliami. Oraz ustronność.

Najbliższy sąsiad mieszkał tak daleko, że Lanny mógł balować przez siedem dni w tygodniu i dwadzieścia cztery godziny na dobę, nikomu nie przeszkadzając. Nie miało to dla niego znaczenia, ponieważ szedł na ogół do łóżka o wpół do dziesiątej; dobra zabawa kojarzyła mu się ze skrzynką piwa, torebką chipsów i grą w pokera.

Lokalizacja jego posesji sprzyjała jednak strzelaniu do celu. Był najlepiej wyszkolonym strzelcem w całym biurze szeryfa.

Jako chłopiec chciał zostać rysownikiem. Miał talent. Przyczepione do beli siana, idealnie odtworzone disneyowskie wizerunki Myszki Miki i Kaczora Donalda były dziełem Lanny'ego.

— Powinieneś tu zajrzeć wczoraj — powiedział Lanny, wysuwając z pistoletu pusty magazynek. — Trafiłem strzałem w głowę dwunastu Strusi Pędziwiatrów z rzędu, nie marnując ani jednego naboju.

— Wile E. Coyote byłby zachwycony — odparł Billy. — Strzelasz czasami do normalnych celów?

— Co byłoby w tym zabawnego?

— Strzelałeś kiedyś do Simpsonów?

— Do Homera, Barta... do wszystkich z wyjątkiem Marge — rzekł Lanny. — Nigdy do Marge.

Lanny studiowałby na akademii sztuk pięknych, gdyby despotyczny ojciec, Ansel, nie uparł się, że syn powinien pójść w jego ślady i wstąpić do policji.

Pearl, matka Lanny'ego, wspierała syna na tyle, na ile pozwalała jej choroba. Kiedy Lanny miał szesnaście lat, rozpoznano u niej chłoniaka nieziarniczego.

Radioterapia i leki osłabiły ją. Nawet w okresach, kiedy nowotwór nie rozwijał się, nie odzyskała w pełni zdrowia.

Lanny, który obawiał się, że ojciec nie podoła obowiązkowi pielęgniarza, nigdy nie zaczął studiów na akademii. Został w domu, wstąpił do policji i pielęgnował matkę.

Nieoczekiwanie to Ansel pierwszy wyzionął ducha. Zatrzymał automobilistę za przekroczenie szybkości i automobilista zatrzymał go wystrzelonym z bliskiej odległości pociskiem kalibru trzydzieści osiem.

Pearl, u której wykryto chłoniaka w nietypowo wczesnym wieku, żyła z nim zaskakująco długo. Zmarła przed dziesięciu laty, kiedy Lanny miał trzydzieści sześć lat.

Był jeszcze dość młody, by zmienić profesję i pójść na studia. Inercja okazała się jednak silniejsza od pokusy nowego życia.

Lanny odziedziczył po rodzicach otoczony werandą, elegancki wiktoriański dom pięknie wykończony w drewnie, który utrzymywał w idealnym stanie. Mógł mu poświęcić mnóstwo wolnego czasu, gdyż nie miał własnej rodziny i wykonywał zawód, który przynosił mu dochód, ale nie był jego pasją.

Kiedy Lanny załadował nowy magazynek, Billy wyjął z kieszeni kartkę.

— Co o tym sądzisz?

Lanny przeczytał trzy akapity. Kosy, ośmielone przedłużającą się przerwą w kanonadzie, powróciły na najwyższe gałęzie pobliskich wiązów.

Lanny nie uśmiechnął się ani nie zmarszczył brwi, mimo że Billy spodziewał się jednego lub drugiego.

— Skąd to masz?

— Ktoś zostawił mi to za wycieraczką.

— Gdzie parkowałeś?

— Przy tawernie.

— List był w kopercie?

— Nie.

— Zauważyłeś, żeby ktoś cię obserwował? To znaczy, kiedy wyjąłeś go spod wycieraczki i czytałeś?

— Nie.

— Co o tym sądzisz?

— Dokładnie o to cię zapytałem — przypomniał mu Billy.

— Wygłup. Chory żart.

— Taka była moja pierwsza reakcja, ale później... — powiedział Billy, wpatrując się w złowieszcze linijki tekstu.

Lanny przesunął się trochę w bok i wziął na cel nowe bele siana, do których przyczepione były wizerunki Elmera Fudda oraz Królika Bugsa.

— Ale później pomyślałeś: a jeśli to...?

— A ty nie?

— Oczywiście. Robi to nieustannie każdy gliniarz, w przeciwnym razie idzie do piachu wcześniej, niż powinien. Albo strzela, kiedy nie powinien.

Lanny postrzelił niedawno agresywnego pijaka, myśląc, że jest uzbrojony. Okazało się, że facet nie sięgał po broń, lecz po komórkę.

— Ale nie można zadawać sobie tego pytania bez końca — podjął. — Trzeba polegać na intuicji. A twoja intuicja jest taka sama

jak moja. To wygłup. Poza tym chyba wiesz, kto to mógł zrobić.

— Steve Zillis — powiedział Billy.

— Bingo.

Lanny przybrał pozycję strzelecką, cofając dla zachowania równowagi prawą nogę, uginając lewe kolano i trzymając oburącz pistolet w wyciągniętych rękach. Wziął głęboki oddech i kropnął pięć razy w Elmera. Nad wiązami eksplodował szrapnel kosów, które wzbily się w niebo.

Billy naliczył cztery śmiertelne trafienia i jedną ranę.

— Chodzi o to... — rzekł — że nie wygląda mi to na coś, co mógłby zrobić Steve.

— Dlaczego?

— Steve to facet, który nosi w kieszeni małe gumowe baloniki, żeby imitować odgłos pierdnięcia, kiedy wydaje mu się, że to może być zabawne.

— To znaczy?

Billy złożył wydrukowany list i wsunął go do kieszeni koszuli.

— Jak na Steve'a wydaje się to zbyt skomplikowane... zbyt subtelne.

— Młody Steve jest mniej więcej tak samo subtelny jak sraczka — zgodził się Lanny, po czym ponownie przybrał pozycję strzelecką i wystrzelał pół magazynka w Bugsa, zaliczając pięć śmiertelnych trafień.

— A jeżeli to autentyczna groźba?

— Nie.

— A jeżeli?

— Morderczy psychole uprawiają podobne gry wyłącznie w filmach. W prawdziwym świecie zabójcy po prostu zabijają. Chodzi im o władzę i czasami o brutalny seks, a nie o to, byś się głowił nad zagadkami i łamigłówkami.

Puste łuski posypały się na trawę. Zachodzące słońce zabarwiło mosiądz na krwisto-złoty kolor.

— Nawet gdyby to była autentyczna groźba... choć wcale tak nie



jest — podjął Lanny, zdając sobie sprawę, że nie uśmierzył wątpliwości Billy'ego — jakie można podjąć konkretne działania na podstawie tego listu?

— Jasnowłose nauczycielki, starsze panie.

— Gdzieś w okręgu Napa.

— Zgadza się.

— Okręg Napa to nie San Francisco — powiedział Lanny — ale nie żyjemy tutaj na odludziu. Mamy wielu ludzi w wielu miastach. Biuro szeryfa i wszystkie lokalne siły policyjne nie dysponują aż takim personelem, żeby otoczyć ochroną wszystkie zagrożone osoby.

— Nie musicie otaczać ochroną wszystkich. Facet sprecyzował, kto jest jego celem: uroczą jasnowłosa nauczycielka.

— To jest subiektywna opinia. Jasnowłosa nauczycielka, która tobie wydaje się uroczą, dla mnie może być jędzą.

— Nie wiedziałem, że masz takie wysokie wymagania wobec kobiet.

Lanny uśmiechnął się.

— Jestem wybredny. Wiele starszych pań udziela się charytatywnie — dodał, ładując trzeci magazynek do pistoletu. — Należą do pokolenia, które dba o swoich sąsiadów.

— Więc nie masz zamiaru nic robić?

— A co chciałbyś, żebym zrobił?

Billy nie wysunął żadnej propozycji.

— Wydaje mi się, że powinniśmy coś zrobić — powiedział tylko.

— Policja z samej swojej natury jest reaktywna, nie proaktywna.

— Więc facet musi najpierw kogoś zamordować?

— Nikogo nie zamorduje.

— Twierdzi, że to zrobi — zaprotestował Billy.

— To wygłup. Steve'owi Zillisowi znudziły się w końcu kawały w rodzaju strzykających wodą kwiatków i plastikowych wymiocin.

Billy pokiwał głową.

— Chyba masz rację.

— Na pewno mam rację. A teraz, zanim się ściemni i pogorszy widoczność, chcę ukatrupić całą obsadę Shreka — oświadczył Lanny, wskazując kolorowe postaci przyczepione do potrójnej grubości bali siana.

— Słyszałem, że to dobry film.

— Nie jestem recenzentem — oznajmił z nutką niecierpliwości w głosie Lanny — ale facetem, który chce się trochę zabawić i przy okazji podnieść swoje kwalifikacje.

— W porządku, dobrze, już się stąd wynoszę. Do zobaczenia w piątek, na pokerze.

— Przynieś coś — powiedział Lanny.

— Co takiego?

— Jose przynosi zapiekankę z ryżem i wieprzowiną. Leroy pięć rodzajów salsy i dużo kukurydzianych chipsów. Może być zrobił swój placek tamale?

Billy skrzywił się.

— Rozmawiamy jak dwie stare panny planujące wspólne robienie na drutach.

— Jesteśmy żałośni — odparł Lanny — ale jeszcze żyjemy.

— Skąd mamy to wiedzieć?

— Gdybym już nie żył i siedział w piekle, nie pozwoliliby mi na frajdę, jaką daje rysowanie komiksów. No i z całą pewnością nie jesteśmy w niebie.

Kiedy Billy dotarł do stojącego na podjeździe explorera, Lanny otworzył ogień do Shreka, księżniczki Fiony, Osiołka oraz ich przyjaciół.

Niebo na wschodzie było szafirowe. Błękit na zachodzie przecierał się, odsłaniając tkwiące pod spodem złoto i czerwień.

Stojąc przy samochodzie w wydłużających się cieniach, Billy obserwował przez chwilę, jak Lanny doskonalili swoje umiejętności strzeleckie i po raz tysięczny próbuje uśmiercić niespełnione marzenie, by zostać artystą.

# 3

Uwięziona w wysokiej wieży, zaczarowana księżniczka, która przesypia kolejne lata aż do chwili, gdy obudzi ją pocałunek, nie mogła być piękniejsza od Barbary Mandel, leżącej w klinice Whispering Pines.

Jej połyskujące w świetle lampy, rozsypane na poduszce złote włosy lśniły niczym wylewający się z tygła kruszec.

Stojący przy jej łóżku Billy Wiles nigdy nie widział porcelanowej lalki, której cera byłaby tak jasna i nieskazitelna jak Barbary. Jej skóra wydawała się przezroczysta, jakby światło przenikało ją na wskroś i rozjaśniało twarz od wewnątrz.

Gdyby uniósł okrywający ją cienki koc i prześcieradło, odkryłby zniewagę, która nie spotkała żadnej zaczarowanej księżniczki. W żołądku Barbara miała założoną chirurgicznie sondę, przez którą ją sztucznie odżywiano.

Lekarz zalecił powolne, stałe odżywianie. Pompa infuzyjna pyrkotała cicho, dostarczając niekończący się obiad.

Barbara pozostawała w śpiączce prawie od czterech lat.

Jej śpiączka nie należała do najgłębszych. Czasami ziewała, wzdychała i podnosiła prawą rękę do twarzy, szyi i piersi.

Niekiedy coś mówiła, chociaż nigdy nie więcej niż kilka zagadkowych słów, nie skierowanych do obecnej w pokoju osoby, lecz do jakiejś postaci w jej umyśle.

Nawet kiedy mówiła albo poruszała ręką, zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje. Była nieprzytomna, nie reagowała na zewnętrzną stymulację.

W tym momencie leżała spokojnie z lekko rozchylonymi ustami, czołem gładkim niczym mleko w kance i oczyma, które nie poruszały się pod powiekami. Żaden duch nie miał od niej cichszego oddechu.

Billy wyjął z kieszeni marynarki mały kołonoatnik z przypiętym do niego krótkim długopisem i położył go na nocnej szafce.

Niewielka salka była skąpo umeblowana: szpitalne łóżko, nocna szafka i krzesło. Dawno temu Billy uzupełnił wyposażenie o wysoki stołek barowy, z którego mógł obserwować Barbarę.

Klinika Whispering Pines zapewniała dobrą opiekę, ale panowały w niej spartańskie warunki. Połowa pacjentów wracała do zdrowia, drugą połowę po prostu tu składowano.

Siedząc na stołku przy łóżku, opowiedział jej o swoim dniu. Zaczął od opisu wschodu słońca i zakończył na zaludnionej postaciach z kreskówek strzelnicy Lanny'ego.

Chociaż Barbara nigdy nie reagowała na to, co mówił, Billy podejrzewał, że słyszy go w swojej wysuniętej reducie. Musiał wierzyć, że jego obecność, jego głos, jego uczucie dodają jej otuchy.

Kiedy nie miał już nic więcej do powiedzenia, dalej się w nią wpatrywał. Nie zawsze widział ją taką, jaka była teraz. Widział ją taką, jaka była kiedyś — pełną życia i wigoru — i jaka mogłaby być dzisiaj, gdyby los okazał się łaskawszy.

Po jakimś czasie wyjął z kieszeni koszuli złożoną kartkę i ponownie ją przeczytał.

Kiedy skończył, Barbara wyszeptała kilka słów, których sens ginał, nim zarejestrowało je ucho.

— Chcę wiedzieć, co mówi...

Podkscytowany zerwał się ze stołka i pochylił nad poręczą łóżka, żeby jej się uważniej przyjrzeć.

Nigdy dotąd słowa, które wypowiedziała w śpiączce, nie wydawały się związane z czymkolwiek, co powiedział lub zrobił w trakcie wizyty.

— Barbara?

Leżała nieruchomo z zamkniętymi oczyma i rozchyłonymi ustami, na pozór tak samo martwa jak spoczywające na katafalku zwłoki.

— Słyszysz mnie?

Drżącymi palcami dotknął jej twarzy. Nie zareagowała.

Opowiedział jej wcześniej, co zawierał dziwny list, ale teraz przeczytał go w całości na wypadek, gdyby to do niego odnosiły się jej słowa.

Kiedy umilkł, nie drgnęła nawet. Powtórzył jej imię — bez żadnego efektu.

W końcu usiadł z powrotem na stołku, wziął z nocnej szafki mały kołonoatnik i zapisał długopisem te cztery słowa oraz datę ich wypowiedzenia.

Miał osobny notatnik na każdy rok jej nienaturalnego snu. Mimo że zawierały tylko sto stron w formacie trzy na cztery cale, żaden nie był zapisany do końca, ponieważ Barbara nie odzywała się podczas każdej wizyty — a właściwie nie odzywała się podczas większości wizyt.

chcę wiedzieć, co mówi

Po opatrzeniu datą tej zaskakująco kompletnej wypowiedzi, przeczucił kartki do tyłu, czytając niektóre z jej słów, bez dat.

owce nie potrafią wybaczają

chłopcy o mięsistych twarzach

mój dziecienny język

powaga jego nagrobka

papa, pomidory, przepiórki, pestka, pryzmat

pora mroku

puchnie do przodu

jedno silne pchnięcie

wszystko gaśnie

dwadzieścia trzy, dwadzieścia trzy

Billy nie potrafił odnaleźć w jej słowach jakiegokolwiek spójności ani klucza do takowej.

Od czasu do czasu, raz na kilka tygodni albo na kilka miesięcy, słabo się uśmiechała.

Zdarzało się jednak również, że wypowiedziane przez nią szep-tem słowa niepokoiły go, przyprawiały o zimny dreszcz.

rozdarty, potłuczony, zdyszany, krwawy

kwę i ogień

siekier, noże, bagnety

ich przekrwione, rozgorączkowane oczy

Tym niepokojącym słowom nie towarzyszył jednak przygnębiony ton. Wygłaszała je takim samym neutralnym szep-tem co inne mniej bulwersujące teksty.

Ale i tak nie dawała to Billy'emu spokoju. Martwił się, że pograżona w śpiączce, przebywa w jakimś mrocznym strasznym miejscu, że czuje się osaczona, zagrożona, samotna.

Teraz zmarszczyła czoło i odezwała się ponownie.

— Morze...

Kiedy to zanotował, powiedziała coś jeszcze.

— Co to jest...

W pokoju zaległa jeszcze głębsza cisza; jakby niezliczone czę-ściczki gęstniejącej atmosfery skierowały wszystkie prądy powietrzne ku Billy'emu, pragnąc, by dotarł do niego jej słaby głos.

Prawa dłoń leżącej uniosła się ku wargom, jakby chciała poczuć fakturę własnych słów.

— Co to jest, co stale powtarza...

W śpiączce jeszcze nigdy nie mówiła tak spójnie i rzadko kiedy padło z jej ust tyle słów w trakcie jednej wizyty.

— Barbara?

— Chcę wiedzieć, co mówi... morze.

Położyła dłoń na piersi. Zmarszczki zniknęły z jej czoła. Oczy, które, kiedy mówiła, poruszały się pod powiekami, teraz ponownie znieruchomiały.

Billy czekał z długopisem zawieszonym nad kartką, lecz Barbara

dostosowała się do panującej w pokoju ciszy. Ta cisza i bezruch pogłębiły się i poczuł w końcu, że jeśli nie odejdzie, czeka go los podobny do tego, który spotkał prehistoryczną muchę zatopioną w bursztynie.

Barbara miała leżeć w tym bezruchu przez długie godziny, długie dni, całą wieczność.

Pocałował ją, ale nie w usta. To byłaby profanacja. Na wargach poczuł jej miękkie i chłodny policzek.

W stanie śpiączki, w którą zapadła zaledwie miesiąc po przyjęciu pierścionka zaręczynowego od Billy'ego, znajdowała się od trzech lat, dziesięciu miesięcy i czterech dni.

# 4

Billy nie mieszkał w miejscu tak odosobnionym jak Lanny. Jego dom stał na akrze ziemi porośniętej olchami i cedrami himalajskimi.

Nie znał swoich sąsiadów. Nie znałby ich pewnie, nawet gdyby mieszkali bliżej. Był im wdzięczny za brak zainteresowania.

Pierwszy właściciel domu i architekt zawarli kompromis, którego efektem była hybrydowa struktura: pół bungalow, pół ekskluzywny domek letniskowy. Forma była typowa dla bungalowu, a posrebrzone przez pogodę cedrowe deski oraz frontowa weranda z podtrzymującymi dach surowymi balami — dla letniskowego domku.

W przeciwieństwie do większości hybrydowych domów ten wydawał się przytulny. Kiedy w środku paliło się światło, romboidalne okna z fazowanymi szybami sprawiały wrażenie wysadzanych diamentami. W świetle dnia wiatrowskaz w kształcie skaczącego jelenia obracał się z leniwą gracją nawet w ostrych podmuchach wiatru.

Za domem stał garaż, w którym mieścił się również warsztat stolarski. Billy postawił w nim explorera i zamknął za sobą wielkie drzwi. Idąc przez podwórko w stronę domu, usłyszał pohukiwanie sowy siedzącej na dachu garażu.



Nie odpowiedziała na nie żadna inna sowa. Wydawało mu się jednak, że słyszy pisk myszy; wyczuwał niemal, jak trzęsą się w zaroślach, marząc o rosnącej za podwórkiem wysokiej trawie.

Umysł miał zamulony, myśli grząskie. Zatrzymał się i wziął głęboki oddech, wciągając w nozdrza szczypiący zapach cedrowych igieł i kory, od którego rozjaśniło mu się w głowie.

Jasność myśli okazała się niepożądana. Nie miał upodobania do alkoholu, lecz w tym momencie miał ochotę na piwo i coś mocniejszego.

Gwiazdy wydawały się twarde. Były również jasne, na bezchmurnym niebie, lecz dominującym wrażeniem była twardość.

Kiedy stapał po schodkach i deskach werandy, drewno ani razu nie zaskrzypiało. Miał mnóstwo czasu, by utrzymywać cały dom w doskonałym stanie.

Przed wielu laty wybebeszył starą kuchnię i własnoręcznie zbudował szafki z bejcowanego na ciemno wiśniowego drewna.

Podłogę wyłożył kwadratowymi granitowymi płytkami. Granitowe były również blaty.

Czystość i prostota. Miał zamiar wykończyć w tym stylu cały dom, ale potem stracił motywację.

Nalał sobie do kubka zimnego ciemnego guinnessa i doprawił go bourbonem. Kiedy już pił, chciał poczuć alkohol w głowie i na podniebieniu.

Zaczął szykować kanapkę z pastrami i w tym samym momencie zadzwonił telefon.

— Halo? — zapytał, ale dzwoniący nie odpowiedział, nawet kiedy odezwał się po raz drugi.

Normalnie pomyślałby, że coś przerwało połączenie. Ale nie tego wieczoru.

Trzymając przy uchu słuchawkę, wyjął z kieszeni list i rozłożył go na granitowym blacie.

W głuchym pogłosie, niczym w środku dzwonu bez serca, nie słychać było elektrycznego szumu. Billy nie słyszał, by dzwoniący

wdychał bądź wydychał powietrze, zupełnie jakby facet był martwy i dał sobie spokój z oddychaniem.

Żartowniś czy zabójca, jego celem było dokuczenie, zastraszenie. Billy nie dał mu satysfakcji i nie powiedział po raz trzeci „halo”.

Wsłuchiwali się obaj w swoje milczenie, jakby można się czegoś dowiedzieć z niczego.

Mniej więcej po minucie Billy zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie uroił sobie, że ktoś słucha go po drugiej stronie.

Jeśli rzeczywiście miał przy uchu autora listu, popełniłby błąd, odkładając pierwszy słuchawkę. Mogło to zostać uznane za przejaw strachu lub w każdym razie słabości.

Życie nauczyło go cierpliwości. Poza tym w jego wyobrażeniu o samym sobie obecny był element głupkowatości, nie przejmował się zatem, że ktoś odniesie podobne wrażenie. Czekał.

Kiedy dzwoniący odłożył słuchawkę, odległe kliknięcie, a potem sygnał centrali zaświadczyły, że jednak tam był.

Billy obszedł cztery pokoje i łazienkę, spuścił plecione rolety we wszystkich oknach i dopiero potem skończył robić kanapkę.

Zjadł ją z dwoma koperkowymi piklami przy stoliku w kuchni i wypił drugie piwo, tym razem bez bourbona.

Nie miał telewizji. Programy rozrywkowe nudziły go i nie potrzebował wiadomości.

Kolację zjadł w towarzystwie własnych myśli. Nie siedział długo nad kanapką.

Jedna ze ścian salonu zastawiona była od podłogi do sufitu książkami. Przez większą część swojego życia Billy pochłaniał je jedna za drugą.

Przestał czytać przed trzema laty, dziesięcioma miesiącami i czterema dniami. Miłość do książek, do wszelkiego rodzaju beletrystyki, zbliżyła go do Barbary.

Na jednej z półek stał komplet dzieł Dickensa, który dała mu na gwiazdkę. Uwielbiała tego autora.

Ostatnio stale czuł potrzebę działania. Nie potrafił usiedzieć spokojnie w fotelu z książką. Czuł się w jakiś sposób zagrożony.

Poza tym w pewnych książkach odnajdywał niebezpieczne idee. Pod ich wpływem człowiek zaczynał myśleć o rzeczach, o których chciał zapomnieć, i chociaż te myśli były nie do zniesienia, nie potrafił się ich pozbyć.

Konsekwencją potrzeby znajdowania sobie zajęcia był kasetonowy sufit w salonie. Każdy kaseton był wykończony ząbkowanym profilem. W środku były pęki akantowych liści wyrzeźbione ręcznie w białym dębie zabiejcowanym tak, by pasował do otaczającego mahoni.

Kasetonowy sufit nie pasował ani do domku letniskowego, ani do bungalowu. Billy nie dbał o to. Rzeźbił go od kilku miesięcy.

Kasetony w gabinecie były bardziej ozdobne niż w salonie.

Nie poszedł do biurka, gdzie szydził z niego nieużywany komputer. Zamiast tego usiadł przy roboczym stole, na którym leżały jego snycerskie narzędzia. A także bloki białego dębu. Miały słodki, drewniany zapach. Zamierzał z nich wyrzeźbić kasetony do sypialni, której sufit był w tym momencie pokryty gołym tynkiem.

Na stole stał odtwarzacz CD i dwa małe głośniki. W środku znajdowała się płyta z muzyką zydeco. Puścił ją.

Rzeźbił w drewnie, aż rozbolały go ręce i pociemniało w oczach. A potem wyłączył muzykę i poszedł do łóżka.

Leżąc na plecach w ciemności i wpatrując się w sufit, którego nie widział, czekał, aż opadną mu powieki. Czekał.

Usłyszał coś na dachu. Coś, co chrobotowało o cedrowe gonty. Na pewno sowa.

Sowa nie pohukiwała. Może to szop pracz. Albo coś innego.

Zerknął na zegar cyfrowy stojący na nocnej szafce. Dwadzieścia minut po północy.

Masz sześć godzin na podjęcie decyzji. Wybór należy do ciebie.

Rano wszystko będzie w porządku. Zawsze tak było. To znaczy niekoniecznie w porządku, ale wystarczająco dobrze, by dalej egzystować.

Chcę wiedzieć, co mówi... morze. Co to jest, co stale powtarza.

Kilka razy zamknął oczy, ale to nic nie dało. Jeśli miał zasnąć, powieki musiały opaść same.

Patrzył na zegar, kiedy cyfry zmieniły się z 12.59 na 1.00.

List spoczywał pod wycieraczką, kiedy wyszedł z tawerny o siódmej. Minęło sześć godzin.

Ktoś został zamordowany. Albo nie. Na pewno nie.

W końcu zasnął pod chroboczącymi pazurkami sowy, jeśli to była sowa.

# 5

Tawerna nie miała nazwy. Nazwą była pełniona przez nią funkcja.

Kiedy ktoś skręcał z autostrady stanowej na otoczony szpalerem wiązków parking, na umieszczonym na słupie szyldzie widział wyłącznie napis TAWERNA.

Właściciel nazywał się Jackie O'Hara. Gruby, piegowaty, sympatyczny, był dla każdego dobrym kumplem albo dobrym wujkiem.

Nie miał ochoty umieszczać swojego nazwiska na szyldzie.

Jako chłopiec Jackie chciał zostać księdzem. Chciał pomagać ludziom. Pragnął ich prowadzić do Boga.

Z czasem przekonał się, że być może nie zdoła okiełznać swoich żądz. Już w młodości doszedł do wniosku, że byłby z niego marny ksiądz, a przecież nie o coś takim marzył.

Odnajdywał szacunek dla samego siebie, prowadząc czysty i przyjazny bar, uważał jednak, że wynikająca z tego prosta satysfakcja przerodziłaby się w próżność, gdyby nazwał tawernę swoim imieniem.

Zdaniem Billy'ego Wilesa z Jackie'ego byłby świetny ksiądz. Każda ludzka istota ma trudne do okiełznania żądze, ale znacznie mniej osób odznacza się pokorą, łagodnością oraz świadomością własnych słabości.

Tawerna Vineyard Hills. Tawerna Pod Cienistym Wiązem. Tawerna Pod Światłem Świecy. Tawerna Na Uboczu.

Klienci stale proponowali jakieś nazwy. Jackie uznawał je za toporne, niestosowne bądź pretensjonalne.

Kiedy Billy przybył tam we wtorek o 10.45 rano, na kwadrans przed otwarciem tawerny, na parkingu stały tylko samochody Jackiego i Bena Vernona. Ben był dziennym kucharzem.

Stojąc obok swego explorera, przyjrzał się odległym niskim wzgórzom po drugiej stronie autostrady. Były ciemnobrązowe tam, gdzie oskalpowały je koparki, i jasnobrązowe w miejscach, gdzie zieloną trawę wypaliło ostre letnie słońce.

Międzynarodowa korporacja, Peerless Properties, budowała na dziewięciuset akrach ziemi światowej klasy kurort o nazwie Vine-land. Poza hotelem, polem golfowym, trzema basenami, klubem tenisowym i innymi atrakcjami w ośrodku miało stanąć sto dziewięćdziesiąt wielomilionowych rezydencji dla tych, którzy poważnie traktowali swój wolny czas.

Wczesną wiosną wylano fundamenty, teraz rosły ściany.

O wiele bliżej od stojących na wzgórzach pałacowych zabudowań, na ciągnącym się niespełna sto stóp od autostrady, porośniętym trawą polu dobiegała końca budowa niesamowitego trójwymiarowego muralu. Wysoki na siedemdziesiąt i długi na sto pięćdziesiąt stóp był zrobiony z drewna i pomalowany na szaro z czarnym obramowaniem.

Utrzymane w tradycji art deco malowidło przedstawiało stylizowaną, potężną maszynę, w skład której wchodziły koła napędowe i korbowody lokomotywy. Były tam również wielkie przekładnie, dziwne uzwojenia i wymyślne mechaniczne formy, które nie miały nic wspólnego z pociągami.

W części przedstawiającej lokomotywę znajdowała się gigantyczna stylizowana postać mężczyzny w stroju roboczym. Pochylony w prawą stronę, tak jakby zmagał się z silnym wiatrem, popychał jedno z wielkich kół napędowych, tkwiąc w samym środku maszynierii i prac do przodu, jednocześnie zdeterminowany i

ogarnięty paniką. Można było odnieść wrażenie, że jeśli na chwilę spocznie i zgubi rytm, jego ciało zostanie, rozerwane na strzępy.

Żadna z ruchomych części muralu nie była jeszcze sprawna; mimo to stwarzał on przekonującą iluzję ruchu i szybkości.

Dzieło zamówiono u słynnego artysty o jednoczłonowym nazwisku — Valis — który zaprojektował je i zbudował z szesnastoosobową ekipą.

Mural miał symbolizować gorączkowe tempo współczesnego życia i udręczoną jednostkę, na którą oddziałują przemożne społeczne siły.

W dniu otwarcia ośrodka sam Valis miał podłożyć ogień pod swoje dzieło i doszczętnie je spalić, aby zdystansować się od szalonego tempa życia, które symbolizował nowy ośrodek.

Większość mieszkańców Vineyard Hills i okolicznych terenów szydziła z muralu i określając go mianem „dzieła sztuki”, używała wyraźnego cudzysłowu.

Potężna konstrukcja nawet podobała się Billy'emu, lecz jej spalanie wydawało mu się bezsensowne.

Ten sam artysta przyczepił kiedyś dwadzieścia tysięcy wypełnionych helem baloników do pewnego mostu w Australii, tak że konstrukcja wydawała się na nich zawieszona, a następnie, wykorzystując zdalnie sterowanie urządzenia, przedziurawił wszystkie dwadzieścia tysięcy jednocześnie.

W tym wypadku Billy nie rozumiał ani „sztuki”, ani sensu jej dziurawienia.

Chociaż nie był krytykiem, miał wrażenie, że mural stanowi przykład niskiej sztuki bądź też sprawnego rzemiosła. Spalenie go nie wydawało mu się bardziej sensowne od puszczenia z dymem obrazów Rembrandta.

We współczesnym społeczeństwie bulwersowało go tak wiele rzeczy, że ten drobny problem nie spędzał mu snu z powiek. Jednak w noc samospalenia nie zamierzał tu przyjeżdżać i przyglądać się pożarowi.

Wszedł do tawerny.

Unoszący się w powietrzu intensywny zapach wydawał się niemal mieć swój smak. Ben Vernon gotował w garnku chili.

Jackie O'Hara przeprowadzał za barem inwentaryzację alkoholi.

—Oglądałeś wczoraj wieczorem na kanale szóstym raport specjalny, Billy? — zapytał.

—Nie.

—Nie oglądałeś tego programu o UFO i porwaniu przez kosmitów?

—Rzeźbiłem i słuchałem zydeco.

—Ten facet powiedział, że zabrano go na pokład macierzystego statku krążącego wokół Ziemi.

—I co w tym nowego? Bez przerwy słyszy się takie rzeczy.

—Powiedział, że banda kosmitów poddała go badaniu proktologicznemu.

Billy pchnął drzwiczki prowadzące za bar.

—Wszyscy to mówią.

—Wiem. Masz rację. Ale nie bardzo to chwytam — rzekł Jackie, marszcząc czoło. — Po co wyższa rasa kosmitów, tysiąc razy od nas inteligentniejsza, miałaby przemierzać tryliony mil kosmosu, żeby zajrzeć nam do tyłków? Kim oni są? Jakimiś zbokami?

—Do mojego nigdy nie zajrzeli — zapewnił go Billy. — I wątpię, czy zajrzeli do tyłka tego faceta.

—Gość ma dużą wiarygodność. Jest pisarzem. To znaczy zanim o tym napisał, opublikował kilka innych książek.

—To, że ktoś wydał książkę, wcale nie znaczy, że jest wiarygodny — powiedział Billy, wyjmując fartuch z szuflady. — Hitler też publikował książki.

—Naprawdę? — zdziwił się Jackie.

—Naprawdę.

—Ten Hitler?

—Nie mówię o Bobie Hitlerze.

—Robisz sobie jaja...

—Możesz to sprawdzić.



— I co takiego pisał? Powieści szpiegowskie czy coś innego?

— Coś innego — odparł Billy.

— Ten facet pisał fantastykę naukową.

— Zaskakujące.

— Fantastykę naukową — powtórzył Jackie z naciskiem na „naukową”. — Ten program naprawdę mną wstrząsnął. — Podnosząc stojący na kontuarze biały spodeczek, wydał z siebie pomruk zniecierpliwienia i odrazy. — I co ja mam robić? Potraćć Steve'owi za wisienki?

Na spodeczku było kilkanaście szypulek wisienek maraschino. Każda zawiązana w supełek.

— Klienci uważają, że jest zabawny — powiedział Billy.

— Bo są nawaleni. Swoją drogą, Steve udaje wesołego faceta, a to guzik prawda.

— Każdy ma swoje wyobrażenie o tym, co jest zabawne.

— Nie. Chcę powiedzieć, że udaje beztroskiego i pogodnego, ale wcale taki nie jest.

— Zawsze sprawiał na mnie takie wrażenie — stwierdził Billy.

— Zapytaj Celię Reynolds.

— Któż to taki?

— Mieszka obok Steve'a.

— Sąsiedzi zawsze mają jakieś anse — zasugerował Billy. — Nie można wierzyć we wszystko, co mówią.

— Celia mówi, że Steve szaleje na swoim podwórku.

— Co to znaczy „szaleje”?

— Dostaje amoku. Rozwala różne rzeczy.

— Jakie rzeczy?

— Na przykład krzesło z jadalni.

— Czyje?

— Swoje. Porąbał je na drzazgi.

— Dlaczego?

— Kiedy to robił, był wściekły i kłął jak szewc. Najwyraźniej wyładowywał gniew.

— Na krzesło?

—No! I porąbał arbuzy siekierą.  
—Może lubi arbuzy — zauważył Billy.  
—On ich nie je. Po prostu rąbie i rąbie, aż zostaje z nich sama miazga.  
—Przez cały czas przeklinając.  
—Żebyś wiedział. Przeklinając, jęcząc, warcząc jak jakieś zwierzę. Całe arbuzy. Kilka razy porąbał lalki.  
—Jakie lalki?  
—No wiesz, takie plastikowe kobiety z witryn sklepowych.  
—Manekiny?  
—No właśnie. Rozwalił je siekierą i młotem.  
—Skąd wziął te manekiny?  
—Nie mam pojęcia.  
—To nie jest w porządku.  
—Porozmawiaj z Celią. Wszystko ci opowie.  
—Zapytała Steve'a, dlaczego to robi?  
—Nie. Bała się.  
—Wierzysz jej?  
—Celia nie kłamie.  
—Myślisz, że Steve jest niebezpieczny? — zapytał Billy.  
—Chyba nie, ale kto to może wiedzieć...  
—Może powinienes go zwolnić.  
Jackie uniósł brwi.  
—A potem okaże się, że to jeden z tych facetów, których pokazują w telewizji? I przyjdzie z siekierą tu do nas?  
—Tak czy inaczej to nie jest w porządku — powtórzył Billy. — Chyba sam w to nie wierzysz.  
—Czemu nie, wierzę. Celia chodzi na mszę trzy razy w tygodniu.  
—Jackie, przecież żartujesz sobie ze Steve'em. Jesteś przy nim zupełnie wyluzowany.  
—Zawsze jestem trochę spięty.  
—Nigdy tego nie zauważyłem.  
—A ja tak. Ale nie chcę być wobec niego niesprawiedliwy.  
—Niesprawiedliwy?

— Jest dobrym barmanem, robi, co do niego należy. — Na twarzy Jackiego O’Hary odmalował się wstyd. Jego pulchne policzki oblały się rumieńcem. — Nie powinienem mówić o nim w ten sposób. To wszystko przez te wiśniowe szypułki. Wytrąciły mnie z równowagi.

— Dwadzieścia wisienek — powiedział Billy. — Ile mogą kosztować?

— Nie chodzi o pieniądze. Ta jego sztuczka z językiem... jest prawie obsceniczna.

— Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś się skarżył. Zwłaszcza kobiety lubią ją oglądać.

— No i geje — dorzucił Jackie. — Nie chcę, żeby to był bar dla singli, gejów czy heteryków. Chcę, żeby to był rodzinny bar.

— Istnieje coś takiego jak rodzinny bar?

— Oczywiście. — Jackie zrobił urażoną minę. Chociaż beziemienna, tawerna nie była speluną. — Mamy przecież w menu frytki i krążki cebulowe, prawda?

Zanim Billy zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawił się pierwszy tego dnia klient. Była 11.04. Facet miał ochotę na drugie śniadanie: Krwawą Mary z todyżką selera.

W porze lunchu Jackie i Billy obsługiwali we dwóch klientów. Jackie podawał również do stolików dania, które Ben smażył na grillu.

Mieli więcej pracy niż zwykle, ponieważ wtorek był dniem chili, lecz mimo to obywali się jakoś bez kelnerki z dziennej zmiany. Jedna trzecia klientów zamawiała lunch w płynie, kolejna jedna trzecia zadawała się orzeszkami, kiełbaskami ze stojącego na barze słoja albo darmowymi preclami.

Przyrządzając drinki i nalewając piwo, Billy Wiles miał przed oczyma obraz Steve’a Zillisa, który rozwała na kawałki sklepowe manekiny.

W miarę jak mijąca jego zmiana i nikt nie pojawił się z wiadomością o zastrzelonej nauczycielce ani o zatłuczonej starszej filantropce, Billy powoli się uspokajał. W sennym Vineyard Hills i spokojnej

Napa Valley wieści o brutalnym morderstwie szybko by się rozeszły. List musiał być wygłupem. Popołudnie minęło leniwie. O czwartej pojawiła się Ivy Elgin, a w ślad za nią spragnieni mężczyźni, do tego stopnia podekscytowani, że merdaliby ogonami, gdyby je mieli.

—Coś dzisiaj umarło? — zapytał ją Billy, uświadamiając sobie, że mimowolnie się wzdryga.

—Modliszka na tylnej werandzie, tuż przy moim progu — odparła.

—Co to twoim zdaniem oznacza?

—Umarło to, co się modli.

—Nie bardzo rozumiem.

—Wciąż staram się to rozgryźć.

O piątej przyszła Shirley Trueblood, prawdziwa mamuska w jasnożółtym uniformie z białymi klapami i mankietami.

Po niej pojawił się Ramon Padillo i od razu wciągnął w nozdrza zapach chili.

—Potrzebuję szczypty kminku — powiedział.

O szóstej do baru wpadł Steve Zillis, roztaczając wokół siebie zapach werbenowego kremu po goleniu i miętowego płynu do ust.

—Co słyhać, Kemosabe? — rzucił.

—Dzwoniłeś do mnie wczoraj wieczorem? — zapytał Billy.

—Kto, ja? Dlaczego miałbym dzwonić?

—Nie wiem. Ktoś zadzwonił, przerwało połączenie, ale czułem, że to ty.

—Oddzwoniłeś do mnie?

—Nie. Właściwie nie słyszałem, kto mówi. Miałem tylko przecucie, że to mogłeś być ty. '

Steve wybrał trzy duże oliwki z tacki z przyprawami.

—Wczoraj wieczorem wyszedłem na miasto ze znajomą.

—Kończysz zmianę o drugiej w nocy i wychodzisz potem na miasto?

Steve wyszczerzył zęby w uśmiechu i puścił do niego oko. Świecił księżyc, a ja jestem pies na baby.

— Gdybym ja kończył robotę o drugiej w nocy, poszedłbym prosto do łóżka.

— Bez obrazy, pielgrzymie, ale nie wyglądasz mi raczej na ogiera.

— Co to ma znaczyć?

Steve wzruszył ramionami, a potem zaczął zonglować z imponującą zręcznością śliskimi oliwkami.

— Ludzie zastanawiają się, dlaczego taki przystojny facet jak ty żyje jak stara panna.

— Jacy ludzie? — zapytał Billy, lustrując wzrokiem klientów.

— Wielu ludzi. — Steve złapał w usta pierwszą, drugą i trzecią oliwkę i energicznie je rozgryzł ku radości siedzącej na barowych stołkach widowni.

W trakcie ostatniej godziny swojej zmiany Billy baczniej niż zwykle obserwował Steve'a Zillisa. Nie zauważył nic podejrzanego.

Albo facet nie był tym żartownisiem, albo był nieporównanie sprytniejszy i podstępniejszy, niż się wydawało.

Zresztą nie miało to większego znaczenia. Nikt nie został zamordowany. List był żartem; i prędzej czy później Billy miał doczekać się puenty.

Kiedy wychodził o siódmej z tawerny, podeszła do niego Ivy Elgin. W jej oczach koloru brandy malowało się powściągane podniecenie.

— Ktoś umrze w kościele — oznajmiła.

— Jak na to wpadłaś?

— Modliszka. Umarło to, co się modli.

— W jakim kościele? — zapytał.

— Musimy poczekać i zobaczyć.

— Może to nie będzie w kościele? Może chodzi o to, że ma umrzeć miejscowy ksiądz albo pastor.

Utkwiła w nim przyprawiające o zawrót głowy spojrzenie.

— Nie pomyślałam o tym. Może masz rację. Ale jak się ma do tego opos?

—Nie mam pojęcia, Ivy. Nie potrafię wróżyć tak jak ty.

—Wiem, ale jesteś miły. Zawsze się interesujesz i nie stroisz sobie ze mnie żartów.

Chociaż pracował z Ivy pięć dni w tygodniu, jej niezwykła uroda i zmysłowość urzekały go do tego stopnia, że chwilami zapominał, iż jest bardziej dziewczyną niż kobietą, słodką, prostolinijną, cnotliwą, a może nawet czystą.

—Pomyślę o tym oposie — powiedział. — Może są we mnie za-  
datki na wróżbitę, choć o tym nie wiedziałem.

Jej uśmiech mógł zbić z nóg.

—Dziękuję, Billy. Chwilami ten dar... jest ciężarem. Przydałaby mi się czasem pomoc.

Cytrynowożółte letnie powietrze na dworze skąpane było w ukośnych promieniach zachodzącego słońca. Pełznące na wschód purpurowe cienie wiązków dzielił tylko jeden odcień od czerni.

Zbliżając się do forda explorera, Billy zauważył list pod wycieraczką.

# 6

Chociaż nie dotarła do niego żadna wiadomość o martwej blondynce ani starszej pani, zatrzymał się przed samochodem, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Nie miał ochoty czytać drugiej wiadomości.

Chciał jedynie posiedzieć trochę z Barbarą i wrócić do domu. Nie odwiedzał jej codziennie, ale przez większość dni w tygodniu.

Wizyty w Whispering Pines stanowiły jeden z fundamentów jego prostego życia. Wyczekiwał ich podobnie, jak czekał na koniec swojej zmiany w tawernie i na moment, kiedy będzie mógł rzeźbić w drewnie.

Nie był jednak głupcem i miał swój rozum. Wiedział, że życie w odosobnieniu może łatwo przerodzić się w życie w samotności.

Delikatna granica dzieli ostrożnego samotnika od trwożliwego eremity. Jeszcze delikatniejsza dzieli eremitę od zgorzkniałego mi-zantropa.

Wyjęcie listu spod wycieraczki, zmięcie go w kulkę i ciśnięcie na ziemię oznaczałoby z całą pewnością przekroczenie tej pierwszej granicy. I prawdopodobnie nie byłoby stamtąd odwrotu.

Od życia nie wymagał zbyt wiele. Był jednak dość roztropny, by

zdać sobie sprawę, że odrzucając ten list, odrzuci również wszystko, co podtrzymywało go na duchu. Jego życie nie stanie się po prostu inne, lecz gorsze.

Zastanawiając się, jaką podjąć decyzję, nie usłyszał wjeżdżającego na parking radiowozu. Wyjmując list spod wycieraczki, zauważył nagle podchodzącego do niego umundurowanego Lanny'ego Olsena.

— Następny — oznajmił Lanny, jakby spodziewał się drugiego listu.

Załamywał mu się lekko głos. Na twarzy widniał strach. Oczy były oknami domu nawiedzanego przez duchy.

Billy'emu dane było żyć w czasach, w których nie przyjmowano do wiadomości istnienia rzeczy ohydnych, w których określano łagodniejszym mianem horroru każde plugastwo, redefiniowano każdy horror jako zbrodnię, każdą zbrodnię jako przestępstwo, każde przestępstwo jako zwykłą uciążliwość. Mimo to czuł, że ogarnia go przerażenie, ponieważ dobrze wiedział, co przywiodło tutaj Lanny'ego Olsena.

— Billy. Słodki Jezu. Billy.

— Co?

— Spociłem się. Zobacz, jak się spociłem.

— Co? O co chodzi?

— Nie mogę przestać się pocić. A przecież wcale nie jest gorąco.

Billy też poczuł, że oblewa się potem. Przesunął dłonią po czole i przyjrzał się jej, spodziewając się zobaczyć wilgoć. Na oko wydawała się sucha.

Mam ochotę na piwo — stwierdził Lanny. — Na dwa piwa. Muszę usiąść. Muszę pomyśleć. Popatrz na mnie.

Lanny unikał jego wzroku. Patrzył na trzymany przez Billy'ego list.

Kartka była nadal złożona, ale coś otworzyło się we wnętrznościach Billy'ego, zakwitło niczym lubieżny kwiat, śliski i wielopłatkowy. Mdłości zrodzone ze złych przeczuć.



Właściwym pytaniem nie było „co?”. Właściwym pytaniem było „kto?” i Billy je zadał. Lanny oblizał wargi.

— Giselle Winslow.

— Nie znam jej.

— Ja też.

— Gdzie?

— Uczyła angielskiego w Napie.

— Blondynka?

— Tak.

— Urocza — domyślił się Billy.

— Kiedyś była. Ktoś zatłukł ją niemal na śmierć. Została zakatowana naprawdę paskudnie przez kogoś, kto wiedział, jak to przedłużać, jak sprawić, żeby się ciągnęło.

— Powiedziałaś „niemal na śmierć”.

— Potem zadusił ją jej własnymi rajstopami.

Pod Billym ugięły się nogi. Oparł się o explorera. Nie był w stanie się odezwać.

— Jej siostra znalazła ją przed dwiema godzinami.

Lanny nadal wpatrywał się w trzymaną przez Billy'ego złożoną kartkę.

— Tamten teren nie jest objęty jurysdykcją biura szeryfa — podjął. — Dlatego sprawą zajmuje się policja z Napy. Swoją drogą to nie najgorzej. To daje mi możliwość odetchnąć.

Z ust Billy'ego wyrwał się w końcu jakiś dźwięk, ochryply i niepodobny do głosu, którym się normalnie odzywał.

— Autor listu napisał, że zabije nauczycielkę, jeśli nie pójdę na policję. Ale ja poszedłem do ciebie.

— Napisał, że zabije ją, jeśli nie pójdziesz na policję i „ich w to nie zaangażujesz”.

— Ale ja poszedłem do ciebie. Próbowałem. To znaczy, na litość boską, przecież próbowałem. Prawda?

Lanny spojrzał mu w końcu w oczy.

— Przyszedłeś do mnie nieoficjalnie. Właściwie nie poszedłeś na

policję. Poszedłeś do znajomego, który przypadkowo jest gliniarzem.

—Ale przecież poszedłem — upierał się Billy.

Wzdrygnął się, słysząc w swoim głosie ton samousprawiedliwienia, słysząc, że wypiera się winy. Fale mdłości uderzały o ściany jego żołądka, lecz on zacisnął zęby i starał się je opanować.

—Nic w tym nie wydawało się prawdziwe — powiedział Lanny.

—W czym?

—W pierwszym liście. To był żart. Marny żart. Żaden gliniarz nie wyczułby w tym nic podejrzanego.

—Czy była zameżna? — zapytał Billy.

Na parking wjechała toyota i zaparkowała dwadzieścia albo trzydzieści jardów od explorera.

W milczeniu patrzyli, jak kierowca wysiada z samochodu i idzie do tawerny. Z tej odległości nie mógł usłyszeć ich rozmowy. Mimo to byli ostrożni.

Z otwartych drzwi lokalu wylała się muzyka country. Alan Jackson śpiewał z szafy grającej o czymś złamanym sercu.

—Czy była zameżna? — powtórzył Billy.

—Kto?

—Ta kobieta. Nauczycielka. Giselle Winslow.

—Nie sądzę, nie. W każdym razie w tym momencie nie ma mowy o mężu. Pokaż mi ten list.

—Miała dzieci? — zapytał Billy, chowając za siebie kartkę.

—A to ważne?

—Ważne — odparł Billy.

Zdał sobie sprawę, że zacisnął dłoń w pięść. Patrzył na starego przyjaciela, jeśli w ogóle mógł sobie pozwolić na posiadane przyjaciół. Mimo to niełatwo było mu rozluźnić palce. Ważne dla mnie, Lanny.

Dzieci? Nie wiem. Chyba nie. Z tego, co słyszałem, prawdopodobnie mieszkała sama. Od autostrady stanowej dobiegły ich odgłosy przejeżdżających pojazdów: werbel silników i cicha perkusja

przemieszczającego się powietrza.

— Posłuchaj, Billy, potencjalnie jestem w tym momencie w opałach — powiedział płaczącym tonem Lanny, kiedy na chwilę zapadła cisza.

— Potencjalnie?

Dobór słów wydał się Billy'emu komiczny, ale nie był to komicizm, który mógł go rozśmieszyć.

— Nikt inny w biurze szeryfa nie potraktowałby tego cholernego listu poważnie. Ale teraz powiedzą, że powinienem być to zrobić.

— Może ja powinienem potraktować go poważnie — mruknął Billy.

— To jest gadanie po faktach. Bzdurne gadanie. Nie mów takich rzeczy. Potrzebujemy wspólnej linii obrony.

— Obrony przeciwko komu?

— Nieważne. Posłuchaj, Billy, ja nie mam zupełnie czystego konta.

— Jakiego konta?

— Mówię o moich aktach, moim przebiegu służby. Wpłynęło na mnie kilka skarg.

— Co takiego zrobiłeś?

Lanny zmrużył oczy, wyraźnie urażony.

— Do diabła, nie jestem jakimś skorumpowanym gliniarzem.

— Wcale tego nie powiedziałem.

— Mam czterdzieści sześć lat. Nigdy nie wziąłem od nikogo złamanego centa i nigdy nie wezmę.

— W porządku. Dobrze.

— Niczego nie zrobiłem.

Irytacja Lanny'ego mogła być udawana, ponieważ nie trwała długo. A może przestraszył się jakiegoś złowrogiego obrazu, który podsunęła mu wyobraźnia, bo otworzył szerzej zmrużone oczy i przygryzł dolną wargę, jakby przeżuwał jakąś przykrą myśl, którą chciał rozgryźć, wypluć i do której nie zamierzał nigdy więcej wracać.

Billy zerknął na zegarek i czekał.

— Ale trzeba przyznać — podjął Billy — że jestem czasami leniwym gliniarzem. To przez tę nudę, rozumiesz. A może dlatego... tak naprawdę nigdy nie marzyłem o takim życiu.

— Nie musisz mi niczego wyjaśniać — zapewnił go Billy.

— Wiem. Ale sęk w tym, że bez względu na to, czy go chciałem, czy nie chciałem, to jest teraz moje życie. To wszystko, co mam. Nie chcę tego stracić. Muszę przeczytać ten nowy list, Billy. Proszę, daj mi ten list.

Współczując mu, ale nie mając zamiaru oddać kartki, która była teraz wilgotna od potu, Billy rozłożył ją i przeczytał.

Jeśli nie pójdziesz na policję i ich w to nie zaangażujesz, zabiję nieżonatego mężczyznę, którego braku świat nie odczuje zbyt dotkliwie.

Jeśli pójdziesz na policję, zabiję młodą matkę dwojga dzieci.

Masz pięć godzin na podjęcie decyzji. Wybór należy do ciebie.

Billy zrozumiał wszystkie szczegóły listu już w trakcie pierwszej lektury, lecz i tak przeczytał go ponownie. Dopiero wówczas przekazał go Lanny'emu.

Lęk, ta korozja życia, wykrzywił rysy Lanny'ego Olsena, kiedy przebiegał oczyma linijki tekstu.

— Kawał chorego sukinsyna — mruknął.

— Muszę jechać do Napy.

— Po co?

— Żeby oddać te dwa listy policji.

— Zaczekaj, zaczekaj — powiedział Lanny. — Nie wiesz, czy druga ofiara zginie w Napie. To może się stać w St. Helena albo Rutherford...

Albo w Angwin — przerwał mu Billy. — Albo w Calistoga.

Albo w Yountville. Albo w Circle Oaks. Albo w Oakville —

wyliczył skwapliwie Lanny, ciesząc się, że Billy podziela jego punkt widzenia. — Nie wiesz gdzie. Nic nie wiesz.

— Coś jednak wiem — odparł Billy. — Wiem, co jest słuszne.

— Prawdziwi zabójcy nie bawią się w takie gierki — mruknął Lanny, mrugając i strząsając pot z powiek.

— Ten się bawi.

Lanny złożył list i wsadził go do kieszeni na piersi.

— Daj mi chwilę pomyśleć — poprosił.

Billy natychmiast wyjął kartkę z kieszeni Lanny'ego.

— Myśl, ile chcesz — odparł. — Ja jadę do Napy.

— Człowieku, to zła decyzja. To błąd. Nie bądź głupi.

— Gra skończy się, jeśli nie będę w nią grał.

— Więc masz zamiar zabić matkę dwojga dzieci? Tak po prostu?

— Udam, że tego nie słyszałem.

— W takim razie powtórzę to jeszcze raz. Masz zamiar zabić matkę dwojga dzieci?

Billy potrząsnął głową.

— Nikogo nie zabijam.

— „Wybór należy do ciebie” — zacytował Lanny. — Masz zamiar uczynić dwoje dzieci sierotami?

To, co Billy zobaczył w tym momencie na twarzy swojego przyjaciela, w jego oczach, nie było podobne do tego, co oglądał wcześniej przy pokerowym stoliku i gdziekolwiek indziej. Odniósł wrażenie, że ma przed sobą kogoś obcego.

— „Wybór należy do ciebie” — powtórzył Lanny.

Billy nie chciał z nim zrywać stosunków. Był w większym stopniu samotnikiem niż pustelnikiem i nie chciał, żeby to się zmieniło.

Lanny wyczuł chyba zakłopotanie przyjaciela, bo spróbował łagodniejszego podejścia.

— Proszę tylko, żebyś rzucił mi linę. Stąpom po kruchym lodzie.

— Na litość boską, Lanny.

—Wiem. To paskudna sytuacja. Z którejkolwiek byś na nią spoj-  
rzał strony.

—Nie próbuj mną znowu w ten sposób manipulować. Nie sta-  
wiał mnie pod murem.

—Nie zrobię tego. Przepraszam. Chodzi po prostu o to, że szeryf  
jest cholernym dupkiem. Wiesz o tym. Z moim kontem, to wszyst-  
ko, czego potrzebuje, żeby odebrać mi odznakę, a brakuje mi jesz-  
cze sześciu lat do pełnej emerytury.

Dopóki Billy patrzył w oczy Lanny'emu i widział w nich despe-  
rację, widział w nich coś gorszego od desperacji, coś, czego nie  
chciał nazwać, nie mógł zawrzeć z nim kompromisu. Musiał odwró-  
cić wzrok i udać, że rozmawia z Lannym, którego znał przed tym  
spotkaniem.

—O co chcesz mnie prosić?

—Nie będziesz tego żałował — odparł Lanny bardziej zgodnym  
tonem, odczytując w jego pytaniu kapitulację. — Wszystko będzie  
dobrze.

—Nie powiedziałem, że zrobię to, o co mnie poprosisz. Chcę  
tylko wiedzieć, co to jest.

—Rozumiem. Doceniam to. Jesteś prawdziwym przyjacielem.  
Proszę tylko o godzinę, jedną godzinę, żeby to przemyśleć.

—Nie ma dużo czasu — stwierdził Billy, odwracając wzrok od  
tawerny i wbijając go w popękany asfalt pod stopami. — W pierw-  
szym liście było sześć godzin. Teraz jest pięć.

—Proszę tylko o jedną. Jedną godzinę.

—On musi wiedzieć, że kończę pracę o siódmej. Wtedy prawdo-  
podobnie zaczyna tykać zegar. Północ. A potem przed świtem zabija  
jedną lub drugą osobę, a ja przez działanie lub jego zaniechanie  
podejmuję wybór. Facet robi to, co robi, ale nie chcę myśleć, że  
zdecydowałem za niego.

Jedna godzina — obiecał Lanny. — Potem idę do szeryfa Palme-  
ra. Muszę się po prostu zastanowić, jak to załatwić, jak to przedsta-  
wić, żeby ocalić tyłek.

Znajomy, choć rzadko słyszany na tym terenie skrzek kazał Bil-  
ly'emu podnieść wzrok i spojrzeć na niebo.

Trzy mewy szybowały po wschodniej stronie nieboskłonu, białe na szafirowym tle. Rzadko kiedy zapuszczały się tak daleko na północ z San Pablo Bay.

— Potrzebuję tych listów, żeby je pokazać szeryfowi Palmerowi — powiedział Lanny.

— Wolałbym je zatrzymać — odparł Billy, obserwując mewy.

— Te listy są dowodami rzeczowymi — oznajmił płaczącym tonem Lanny. — Ten sukinsyn Palmer rozerwie mnie na strzępy, jeśli ich nie zabezpieczę.

Zaczynał się letni zmierzch, a mewy zawsze wracały o zmroku do swoich gniazd. Ich widok o tej porze był niezwykły, stanowił chyba zły omen. Od ich przenikliwych, chłodnych krzyków ciarki chodziły Billy'emu po grzbiecie.

— Mam przy sobie tylko ten list, który przed chwilą znalazłem — powiedział.

— A gdzie jest pierwszy?

— Zostawiłem go w kuchni, przy telefonie.

Billy zastanawiał się, czy wejść do tawerny i zapytać Ivy Elgin, co mogą oznaczać mewy.

— Dobrze. W porządku — rzekł Lanny. — Daj mi po prostu ten, który dostałeś. Palmer będzie chciał z tobą pogadać. Wtedy damy mu pierwszy list.

Problem polegał na tym, że Ivy potrafiła wróżyć tylko z martwych zwierząt.

Widząc, że Billy się waha, Lanny zaczął tracić cierpliwość.

— Na litość boską, spójrz na mnie. Co jest takiego w tych ptakach?

— Nie wiem — odparł Billy.

— Czego nie wiesz?

— Nie wiem, co jest takiego w tych ptakach. — Billy wyciągnął niechętnie kartkę z kieszeni i dał ją Lanny'emu. — Jedna godzina.

— To wszystko, czego potrzebuję. Zadzwoń do ciebie.

Lanny odwrócił się, ale Billy złapał go za ramię i zatrzymał.

— Co to znaczy „zadzwoń”? Powiedziałeś, że pójdziesz do Palmera.

— Wpierw do ciebie zadzwonię. Kiedy tylko obmyślę, jak podkolorować całą historię, żeby się do mnie nie przyczepił.

— Podkolorować — powtórzył Billy. Nie podobało mu się to słowo.

Mewy ucichły i pozęgłowały w stronę zachodzącego słońca.

— Kiedy zadzwonię — dodał Lanny — poinformuję cię, co mam zamiar powiedzieć Palmerowi, żebyśmy nadawali na tej samej fali. I wtedy do niego pójde.

Billy żałował, że w ogóle dał mu list. Ale to był dowód rzeczowy i logika podpowiadała, że Lanny powinien go mieć.

— Gdzie będziesz za godzinę? W Whispering Pines? — zapytał Lanny.

Billy potrząsnął głową.

— Wpadnę tam, ale tylko na piętnaście minut. Potem jadę do siebie. Zadzwoń do mnie do domu. Ale jest coś jeszcze.

— Mamy czas do północy, Billy. Pamiętasz? — spytał zniecierpliwiony Lanny.

— Skąd ten psychol wiedział, jaką podejmę decyzję? Skąd wiedział, że pojechałem do ciebie, a nie na policję? Skąd będzie wiedział, co zrobię w ciągu najbliższych czterech i pół godziny?

Lanny w odpowiedzi tylko zmarszczył czoło.

— Chyba że mnie obserwuje — mruknął Billy.

— Wszystko toczyło się tak gładko — powiedział Lanny, przyglądając się pojazdom na parkingi i splecionym koronom wiązów.

— Naprawdę?

Jak rzeka. A teraz ta skała.

Zawsze jest jakaś skała.

To prawda — odparł Lanny i odszedł do radiowozu. Jedyne syn pani Olsen miał przygarbione ramiona, wielki tytek i sprawiał wrażenie pokonanego.

Billy chciał zapytać, czy wszystko jest między nimi w porządku,



ale byłoby to zbyt obcesowe. Nie potrafił inaczej sformułować tego pytania.

— Jest coś, czego nigdy ci nie mówiłem, a powinienem — usłyszał nagle sam siebie.

Lanny zatrzymał się, odwrócił i ostrożnie mu się przyjrzał.

— Przez wszystkie te lata, kiedy twoja mama była chora, a ty się nią opiekowałeś... kiedy zrezygnowałeś z tego, czego pragnąłeś... to wymagało więcej hartu ducha niż policyjna robota.

Lanny spojrzął ponownie na drzewa, jakby słowa przyjaciela wprawiły go w zakłopotanie i zbiły z tropu.

— Dzięki, Billy. — Wydawał się autentycznie wzruszony tym, że jego poświęcenie zostało docenione. — Ale to wszystko nie da mi emerytury — dodał, jakby jakieś perwersyjne poczucie wstydu kazało mu pomniejszyć, a nawet wykpić własne zasługi.

Billy patrzył, jak wsiada do samochodu i odjeżdża.

W ciszy, która zapadła po przelocie mew, bezwietrzny dzień dobiegał końca. Wzgórza, łąki i drzewa rzucały coraz dłuższe cienie.

Po drugiej stronie autostrady czterdziestostopowy drewniany człowiek walczył, by nie zmiażdżyły go obracające się koła przemysłu, brutalnej ideologii lub współczesnej sztuki.

# 7

Spoczywająca we wgłębieniu poduszki twarz Barbary była dla Billy'ego źródłem rozpacz i zarazem nadziei, rozbudzała w nim poczucie straty, ale i oczekiwanie.

Była kotwicą w dwu znaczeniach. W pierwszym, pozytywnym, jej widok pomagał mu zachować właściwy kierunek bez względu na to, jakie miały nim prądy w ciągu dnia.

W drugim, mniej pozytywnym, każde jej wspomnienie z czasów, kiedy nie tylko tliła się w niej iskra życia, lecz żyła jego pełnią, stanowiło jedno z ogniw krępującego go łańcucha. Gdyby osunęła się ze śpiączki w pełną nieświadomość, łańcuch napiąłby się i Billy zatonąłby wraz z nią w najmroczniejszych wodach.

Przychodził tu nie tylko po to, by dotrzymać jej towarzystwa — w nadziei, iż wyczuje jego obecność nawet w swoim więzieniu — lecz także, by nauczyć się, jak dbać i nie dbać, nauczyć się siedzieć w ciszy i być może odnaleźć nieuchwytny spokój.

Tego wieczoru spokój był bardziej nieuchwytny niż zwykle.

Często odwracał wzrok od jej twarzy, spoglądając na zegarek lub w okno, za którym zjadliwie żółte światło dnia przechodziło Powoli w gorzki półmrok.

W rękę trzymał mały notatnik i kartkując go, czytał tajemnicze słowa, które wcześniej wypowiedziała.

Kiedy trafił na sekwencję, która go szczególnie zaintrygowała, czytał ją na głos.

...miękką czarna mżawka...

...śmierć słońca...

...garnitur jak ze stracha na wróble...

...stłuszczone gęsie wątróbki...

...wąskie uliczki, wysokie domy...

...cysterna do przechowywania mgły...

...dziwne kształty... upiorne ruchy...

...czysto brzmiące dzwonki...

Miał nadzieję, że słysząc ponownie swoje wygłoszone w śpiączce tajemnicze słowa, Barbara przemówi, być może uzupełni je, nada im więcej sensu.

W inne dni doczekiwał się czasami odpowiedzi na swoje recytacje. Nigdy jednak nie wyjaśniła tego, co poprzednio powiedziała. Zamiast tego wypowiadała nowe i odmienne sekwencje podobnie zagadkowych słów.

Tego wieczoru jedyną reakcją było milczenie przerywane co jakiś czas beznamyślnymi westchnieniami, jakby była oddychającą rytmicznie płytko maszyną, a głośniejsze wydechy, spowodowane były nagłymi wzrostami mocy.

Po przeczytaniu na głos dwóch sekwencji Billy schował notatnik z powrotem do kieszeni.

Podenerwowany czytał jej słowa ze zbyt wielkim naciskiem, zbyt pośpiesznie. W którymś momencie usłyszał sam siebie. W jego głosie brzmiał gniew i uznał, że słuchanie go nie wyjdzie Barbarze na dobre.

Zaczął spacerować po pokoju. Jego uwagę przyciągnęło okno.

Do ośrodka Whispering Pines przylegała położona na łagodnie opadającym zboczu winnica. Za oknem stały regimenty winnych latorośli ze szmaragdowozielonymi liśćmi, które z nadejściem jesieni oblekały się szkarłatem, oraz małymi twardymi winogronami, które miały dojrzeć dopiero za wiele tygodni.

Ścieżki między rzędami winorośli były nakrapiane czarnymi

cieniami ostatniej godziny dnia i używanymi w charakterze nawozu fioletowymi wytlokami.

W odległości dwudziestu albo trzydziestu jardów od okna, na jednej z tych ścieżek stał samotny mężczyzna. Nie trzymał narzędzi i nie wykonywał żadnej pracy.

Jeśli był spacerującym hodowcą albo winiarzem, najwyraźniej mu się nie śpieszyło. Stał w rozkroku, trzymając ręce w kieszeniach spodni.

Przyglądał się klinice.

Z tej odległości i przy takim świetle nie sposób było opisać dokładnie, jak wyglądał. Stał na ścieżce pomiędzy winoroślami, obrócony plecami do zachodzącego słońca, i widać było tylko jego sylwetkę.

Stuchając tupotu biegnących po wydrążonych schodach stóp, który był w rzeczywistości łomotem jego serca, Billy starał się nie wpaść w paranoję. Bez względu na to, jakie czekały go kłopoty, potrzebował jasnego umysłu i spokoju, żeby stawić im czoło.

Odwrócił się od okna i podszedł do łóżka.

Oczy Barbary poruszały się pod powiekami. Zdaniem specjalistów, oznaczało to, że coś jej się śni.

Wychodząc z założenia, że każda śpiączka jest o wiele głębsza od zwyczajnego snu, Billy zastanawiał się, czyjej senne marzenia są bardziej intensywne od normalnych — pełne dramatycznej akcji, rozbrzmiewające burzą dźwięków, nasycone kolorem.

Martwił się, że jej sny są wyrazistymi i nawracającymi koszmarami.

Wiatr wieje na wschodzie — mruknęła, kiedy całował ją w czoło.

Przez chwilę czekał, lecz Barbara nie powiedziała nic więcej, choć jej oczy poruszały się i obracały od jednego do drugiego widma pod zamkniętymi powiekami.

Ponieważ w jej słowach nie było żadnych złowrogich treści, a tembr nie świadczył o poczuciu zagrożenia, Billy skłonny był wierzyć, że przynajmniej obecny sen jest pogodny.

Chociaż wcale tego nie chciał, wziął z nocnej szafki kwadratową kremową kopertę, na której widniało skreślone zamasztyłym piśmem jego nazwisko; Schował nieprzeczytany list do kieszeni, wiedząc, że zostawił go lekarz Barbary, doktor Jordan Ferrier.

Kiedy trzeba było omówić ważne problemy natury medycznej, lekarz zawsze używał telefonu. Uciekał się do pisemnej korespondencji tylko wówczas, gdy przechodził od spraw medycznych do czarcich.

Stając ponownie przy oknie, Billy zorientował się, że obserwatora nie ma już w winnicy.

Wychodząc kilka chwil później z ośrodka, spodziewał się niemal znaleźć trzeci list za wycieraczką. Zostało mu to oszczędzone.

Mężczyzna stojący między winoroślami był najprawdopodobniej zwyczajnym facetem, nie mającym żadnych złych zamiarów. Po prostu.

Billy pojechał prosto do domu, zaparkował samochód w garażu, wspiał się po schodkach na werandę i zobaczył, że drzwi do jego kuchni są lekko uchylone.

# 8

W żadnym z listów nie wysunięto bezpośrednich gróźb pod jego adresem. Nie czuł, by zagrożone było jego życie lub zdrowie. Właściwie wolałby fizyczne niebezpieczeństwo od moralnego szantażu, któremu musiał się przeciwstawić.

Mimo to, widząc uchylone tylne drzwi do domu, zastanawiał się, czy nie poczekać na podwórku, aż przyjedzie Lanny z szeryfem Palmerem.

Rozwahał tę możliwość tylko przez chwilę. Nie dbał o to, czy Lanny i Palmer uznają go za faceta bez jaj, ważniejsze było to, że sam wolał tak o sobie nie myśleć.

Wszedł do środka. Nikt nie czekał na niego w kuchni.

Gasnące światło dnia bardziej mżyło po szybach, niż przez nie wpadało. Przechodząc przez dom, ostrożnie pozapalał lampy.

Nie znalazł intruza w żadnym pokoju ani szafie. Co ciekawe, nie dostrzegł również śladów najścia.

Kiedy wracał do kuchni, przyszło mu do głowy, że przypuszczalnie sam zapomniał zamknąć drzwi na klucz, wychodząc wcześniej z domu.

Tę możliwość musiał jednak wykluczyć, gdy znalazł zapasowy klucz na kuchennym blacie koło telefonu. Klucz powinien być

przymocowany taśmą do denka jednej z dwudziestu puszek z bejcą, które trzymał na półce w garażu.

Ostatnim razem używał go przed sześcioma miesiącami. Nie mógł tyle czasu pozostawać pod obserwacją.

Domyślając się, że Billy ma zapasowy klucz, zabójca musiał dojść do wniosku, że najbardziej prawdopodobnym miejscem jego ukrycia jest garaż.

Dwie trzecie jego powierzchni zajmował profesjonalnie wyposażony warsztat stolarski, z wieloma półkami, szufladami i szafkami, doskonale nadającymi się do schowania tak małego przedmiotu. Przeszukanie ich wszystkich mogło zająć kilka godzin.

Jeśli zabójca, po złożeniu wizyty w domu, chciał ujawnić fakt najścia, kładąc zapasowy klucz na blacie w kuchni, równie dobrze mógł sobie oszczędzić długiego szukania. Wystarczyło stłuc jedną z czterech szybek w tylnych drzwiach.

Zastanawiając się nad tą zagadką, Billy zdał sobie raptem sprawę, że klucz leży na granitowym blacie w tym samym miejscu, w którym zostawił pierwszy list od zabójcy. Listu nie było.

Obracając się dookoła, nie dostrzegł go na podłodze ani na drugim blacie. Wysunął najbliższe szuflady, ale też go nie znalazł.

Uświadomił sobie nagle, że nie złożył mu wcale wizyty zabójca Giselle Winslow. Intruzem był Lanny Olsen.

Lanny wiedział, gdzie jest zapasowy klucz. Kiedy poprosił o odanie mu w charakterze dowodu rzeczowego pierwszego listu, Billy poinformował go, że list leży tutaj, w kuchni.

Lanny zapytał również, gdzie może go zastać w ciągu najbliższej godziny, czy jedzie prosto do domu, czy do Whispering Pines.

Billy poczuł, że nachodzą go złe myśli, wątpliwości, które podkopywały jego zaufanie.

Skoro Lanny miał od samego początku zamiar tu przyjechać i





Większość ludzi, nawet tych dobrych, ma chwile, kiedy można ich złamać. Być może Lanny'emu niewiele do tego brakowało.

Ścienny zegar pokazywał 8.09.

Za niespełna cztery godziny, bez względu na to, jakiego wyboru dokona, ktoś miał zginąć. Chciał zdjąć tę odpowiedzialność ze swoich barków.

Lanny miał zadzwonić do niego o wpół do dziewiątej.

Billy nie miał zamiaru czekać tak długo. Złapał słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu i wystukał numer prywatnej komórki Lanny'ego.

Po pięciu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

— Tu Billy — powiedział. — Jestem w domu. Co jest, do diabła? Coś ty narobił? Natychmiast do mnie zadzwoń.

Instykt podpowiadał mu, żeby nie kontaktować się z Lannym przez biuro szeryfa. Zostawiłby ślad, który mógł mieć dla niego nieprzewidywalne konsekwencje.

Zdrada przyjaciela, jeśli właśnie z nią miał do czynienia, sprawiła, że całe jego myślenie zostało zredukowane do ostrożnych kalkulacji złoczyńcy, choć przecież nie zrobił nic złego.

Zrozumiałe byłoby przemijające, lecz bolesne ukłucie gniewu. Zamiast tego poczuł tak nagłą i potężną urazę, że ścisnęło go w pierś i miał trudności z przełknięciem śliny.

Zniszczenie listów i kłamstwo mogło uchronić Lanny'ego przed zwolnieniem ze służby, ale stawiało Billy'ego w znacznie trudniejszej sytuacji. Bez dowodów rzeczowych o wiele trudniej będzie mu przekonać władze, że jego opowieść jest prawdziwa i stanowi ważny przyczynek do psychologii zabójcy.

Zawiadamiając teraz policję, ryzykował, że potraktują go jak kogoś, kto szuka popularności, albo jak barmana, który skosztował zbyt wielu podawanych przez siebie trunków. Względnie jak podejrzanego.

Poruszony tą myślą, stał nieruchomo przez całą minutę, analizując ją. Potraktują go jak podejrzanego.

Zaschło mu w ustach. Język przywarł mu do podniebienia.

Podszedł do zlewu, odkręcił kran i nalał sobie szklanek zimnej wody. Z początku miał trudności z jej przełknięciem, ale potem opróżnił szklanek trzema potężnymi łykami.

Od zbyt szybko wypitej i za zimnej wody zrobiło mu się niedobrze i zakłuło go mocno w piersi. Postawił szklanek na ociekaczu i oparł się o zlew, czekając, aż miną mdłości.

Spryskał spoconą twarz zimną wodą i umył ręce ciepłą.

Zaczął chodzić po kuchni. Na chwilę usiadł przy stole, a potem znowu zaczął chodzić.

O wpół do dziewiątej stanął przy telefonie i wbił w niego wzrok, chociaż wszystko wskazywało na to, że nie zadzwoni.

O 8.40 znowu zadzwonił ze swojej komórki na komórkę Lanny'ego, żeby nie zajmować stacjonarnego telefonu. Ponownie usłyszał komunikat poczty głosowej.

W kuchni było zbyt ciepło. Dusił się.

O 8.45 wyszedł na tylną werandę. Potrzebował świeżego powietrza.

Zostawił za sobą szeroko otwarte drzwi, żeby usłyszeć telefon, gdyby dzwonił.

Niebo na wschodzie miało kolor indyga; nad jego głową i na zachodzie opalizowało pomarańczowo-zielonymi wibracjami.

Otoczające dom szczeniaste lasy wyraźnie pociemniały.

Gdyby wrogowie obserwator zajął pozycję między drzewami, kucając w paprociach i rododendronach, tylko pies o bardzo dobrym węchu wyczułby jego obecność.

Sto niewidocznych ropuch zaczęło rechotać w zapadającym zmroku, ale w kuchni, za otwartymi drzwiami, panowała niczym niezmacona cisza.

Być może Lanny potrzebował po prostu trochę więcej czasu, żeby podkolorować prawdę.

Na pewno nie dbał wyłącznie o własny tyłek. Jego życiowe priorytety nie mogły zostać tak nagle i całkowicie zredukowane do obrony własnych interesów.

Leniwy czy zdesperowany, był przecież nadal policjantem. Wcześniej czy później uświadomi sobie, że jeśli poprzez zakłócenie biegu śledztwa przyczyni się do kolejnych zabójstw, nie będzie mógł z tym dalej żyć.

Atramentowa plama na wschodzie zabarwiła niebo nad głową Billy'ego. Na zachodzie całe stało w płomieniach i krwi.

# 9

O godzinie dziewiątej Billy wrócił z werandy do kuchni i zamknął drzwi na klucz.

W ciągu zaledwie trzech godzin dopełni się los. Zostanie wydany wyrok śmierci i jeśli zabójca będzie się trzymał swego wzorca postępowania, ktoś zginie przed świtem.

Kluczyk do explorera leżał na stoliku. Billy wziął go.

Zastanawiał się, czy wyruszyć na poszukiwanie Lanny'ego Olse-  
na. To, co uważał wcześniej za urazę, było zwykłym oburzeniem.  
Dopiero teraz poczuł prawdziwą urazę, gorzki i mroczny żal.

Pragnął za wszelką cenę konfrontacji.

Uchroń mnie przed wrogiem, który ma coś do zyskania, i przed  
przyjacielem, który ma coś do stracenia.

Lanny pracował na dziennej zmianie. Teraz skończył służbę.

Najprawdopodobniej zaszył się w domu. Jeśli nie siedział u sie-  
bie, było tylko kilka restauracji, barów i domów znajomych, które  
mógł odwiedzić.

Poczucie odpowiedzialności i dziwny, desperacki rodzaj nadziei  
trzymały Billy'ego na uwięzi w kuchni, przy telefonie. Nie spodzie-  
wał się już, że zadzwoni Lanny; jednak mógł to zrobić zabójca.

Milczący rozmówca, który zadzwonił poprzedniego wieczoru,

był zabójcą Giselle Winslow. Billy nie miał na to żadnych dowodów, ale nie wątpił w to.

Mógł zadzwonić do niego również tego wieczoru. Gdyby udało się z nim porozmawiać, można by coś zrobić, czegoś się dowiedzieć.

Nie łudził się, że takiego potwora da się wciągnąć w pogawędkę. Morderczego socjopaty nie sposób przekonać racjonalnymi argumentami, żeby oszczędził czyjeś życie.

Jednak już kilka wypowiedzianych przez mężczyznę słów mogło dostarczyć wartościowego materiału, pomogło ustalić jego narodowość, miejsce urodzenia, wykształcenie, przybliżony wiek i inne fakty.

Przy odrobinie szczęścia zabójca mógł również mimowolnie zdradzić jakiś ważny, dotyczący siebie szczegół. Jedna wskazówka, jeden mały strzęp informacji poddane wnikliwej analizie dostarczyłyby Billy'emu wiarygodnych faktów, które przekazałby policji.

Stawienie czoła Lanny'emu Olsenowi mogło być emocjonalnie satysfakcjonujące, ale nie pomogłoby Billy'emu wydostać się z potrzasku, w który wpędzał go zabójca.

Odwiesił kluczyk do explorera na kołek.

Poprzedniego wieczoru, w nerwowej chwili, opuścił rolety we wszystkich oknach. Tego ranka, przed śniadaniem, podniósł te w kuchni. Teraz z powrotem je opuścił.

Stanął pośrodku kuchni.

Spojrzał na telefon.

Mając zamiar usiąść, położył prawą rękę na oparciu krzesła, ale nie odsunął go od stołu.

Po prostu tam stał, wpatrując się w podłogę z polerowanego granitu.

Utrzymawał dom w nieskazitelnym stanie. Granit był lśniący, bez najmniejszej skazy.

Czerń pod jego stopami wydawała się niesubstancjalna, zupełnie jakby wisiał w powietrzu, wysoko nad spowitą w mroku nocy ziemią, mając pod sobą pięć mil atmosfery.

Odsunął krzesło od stołu. Usiadł. Po niespełna minucie wstał.

W tych okolicznościach Billy Wiles nie miał pojęcia, jak postępować, co robić. Proste zadanie znalezienia sobie jakiegokolwiek zajęcia przerastało go, chociaż od lat nie robił w zasadzie nic innego.

Ponieważ nie jadł kolacji, otworzył lodówkę. Stracił apetyt. Nie miał ochoty na nic, co stało na tych zimnych półkach.

Zerknął na wiszący na kołku kluczyk do terenówki.

Podszedł do telefonu i przez jakiś czas mu się przyglądał.

Usiadł przy stole.

Ucz nas jak dbać i nie dbać. Ucz nas jak siedzieć w ciszy.

Po chwili przeszedł do pracowni, gdzie przez tyle wieczorów rzeźbił architektoniczne ornamenty sufitu.

Wziął kilka narzędzi i blok białego dębu, w którym zaczął już wcześniej rzeźbić pęk liści akantu, i zabrał je do kuchni.

W pracowni był telefon, ale tego wieczoru Billy wolał przebywać w kuchni. W pracowni stała poza tym wygodna kanapa, ale bał się, że będzie go kusiła, że zaśnie na niej i nie obudzi go ani telefon zabójcy, ani nic innego.

Bez względu na to, czy te obawy były uzasadnione, czy nie, zasiadł z drewnem i narzędziami przy stoliku w kuchni.

Bez imadła mógł zająć się tylko detalami, czyli w gruncie rzeczy wykonywał pracę przypominającą rzeźbienie w muszli. Skrobiące dąb ostrze wydawało głuchy odgłos, jakby to była kość, nie drewno.

Dziesięć po dziesiątej, niespełna dwie godziny przed wyznaczonym terminem, zdecydował nagle, że pojedzie do szeryfa.

Jego dom nie znajdował się w granicach żadnego miasta; ten teren jurysdykcji należał do szeryfa. Tawerna była w Vineyard Hills, miejscowości zbyt małej, by utrzymywać własne siły policyjne; tam również sprawował władzę szeryf Palmer.

Billy zdjął kluczyk z kołka, otworzył drzwi, wyszedł na tylną werandę... i zatrzymał się w miejscu.

Jeśli pójdziesz na policję, zabiję młodą matkę dwojga dzieci.

Nie chciał dokonywać wyboru. Nie chciał, żeby ktokolwiek ginął.

W całym okręgu Napa mogły być dziesiątki młodych matek z dwójką dzieci. Sto, dwieście, może więcej.

Nawet przez pięć godzin nie zdołaliby zidentyfikować i uprzedzić wszystkich możliwych ofiar. Musieliby zwrócić się do mediów, żeby ostrzec mieszkańców, a to zajęłoby kilka dni.

Teraz, w ciągu niecałych dwóch godzin, nie sposób było podjąć żadnych konkretnych działań. Więcej czasu mogło zająć samo przesłuchanie Billy'ego.

Młoda matka, z całą pewnością wybrana wcześniej przez zabójcę, zostanie zamordowana.

Co będzie, jeśli obudzą się dzieci? Szalenciec może je wyeliminować, żeby nie zostawiać świadków.

Nie obiecywał, że zabije tylko matkę.

Noc była mokra. Piżmowy zapach leśnych owoców unosił się z grubej warstwy ściółki i dryfował na werandę.

Billy wrócił do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

Później, strugając liście akantu, ukłuł się w kciuk. Nie nalepił plastra na skaleczenie; było niewielkie i powinno się szybko zasklepić.

Kiedy obtarł sobie kłykieć, był zbyt zajęty rzeźbieniem, żeby zawracać sobie tym głowę. Pracował szybciej i nie zauważył nawet, kiedy doszło do trzeciego drobnego skaleczenia.

Komuś, kto obserwował go z boku, mogło się wydawać, że Billy chce spłynąć krwią.

Ponieważ ruszał rękoma, skaleczenia się nie zasklepiły. Drewno przesiąkło krwią.

Po jakimś czasie uświadomił sobie, że dąb kompletnie zmienił kolor. Odłożył drewno i dłuto.

Przez chwilę siedział, wpatrując się we własne dłonie i bez żadnego powodu ciężko dysząc. Krew przestała w końcu płynąć i nie pojawiła się ponownie, kiedy mył ręce nad zlewem.

O 11.45, po wytarciu rąk ścierką, wyjął z lodówki zimnego guinnessa i wypił go duszkiem z butelki. Zrobił to zbyt szybko.

Pięć minut po wypiciu pierwszego piwa otworzył drugie i nalał do szklanki, żeby sączyć je powoli i zachować na dłużej.

Trzymając w rękę guinnessa, wpatrywał się w zegar ścienny.

Za dziesięć dwunasta. Odliczanie.

Chociaż bardzo mu na tym zależało, nie potrafił się dalej oszukiwać. Owszem, dokonał wyboru. Wybór należy do ciebie. Nawet zaniechanie jest wyborem.

Matka dwojga dzieci nie umrze tej nocy. Jeśli socjopatyczny morderca dotrzyma swojej obietnicy, matka przeżyje noc i doczeka świtu.

Billy brał w tym teraz udział. Mógł się do tego nie przyznawać, mógł uciec, mógł do końca życia trzymać opuszczone rolety i przekroczyć granicę dzielącą samotnika od eremity, lecz nie mógł podważyć podstawowego faktu, że wziął w tym udział.

Zabójca zaproponował mu partnerstwo. Billy wcale go nie chciał. Ale to było coś w rodzaju tej biznesowej transakcji, agresywnej oferty giełdowej, którą autorzy analiz gospodarczych nazywają wrogim przejęciem.

Z nadejściem północy skończył drugiego guinnessa. Miał ochotę na trzeciego. I czwartego.

Powtarzał sobie, że musi mieć jasny umysł. A potem zapytał po co i nie znalazł przekonującej odpowiedzi.

Zrobił już tej nocy to, co do niego należało. Dokonał wyboru. Świr dokona reszty.

Nic więcej nie wydarzy się już tej nocy, ale czuł, że bez piwa nie będzie mógł zasnąć. Być może znowu będzie musiał zająć się rzeźbieniem.

Bolały go ręce. Nie w wyniku trzech drobnych skaleczeń, ale dlatego, że zbyt mocno ścisnął narzędzia, a trzymał kawałek dębu w śmiertelnym uścisku.

Jeśli się nie prześpi, nie będzie gotów na to, co przyniesie jutrzejszy dzień. Rankiem pojawi się wiadomość o kolejnych zwłokach. Dowie się, kogo skazała na śmierć.



Billy wstawił szklanę do zlewu. Już jej nie potrzebował, ponieważ nie chciał sączyć piwa powoli. Każda butelka była niczym uderzenie, a on czekał na nokaut.

Zabrał trzecie piwo do salonu, usiadł na sofie i wypił je po ciemku.

Emocjonalne znużenie bywa tak samo otepiające jak fizyczne. Opuścili go wszystkie siły.

O 1.44 obudził go telefon. Zerwał się z krzesła jak wystrzelony z katapulty. Pusta butelka po piwie potoczyła się po podłodze.

Mając nadzieję, że to Lanny, złapał słuchawkę kuchennego telefonu po czwartym dzwonku.

— Halo — rzucił, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Słuchacz. Świr.

Billy wiedział już z doświadczenia, że strategia milczenia nigdzie go nie zaprowadzi.

— Czego ode mnie chcesz? Dlaczego ja? — zapytał.

Dzwoniący nie odpowiedział.

— Nie mam zamiaru podejmować twojej gry — powiedział Billy, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Obaj wiedzieli, że został w to wciągnięty.

Ucieszyłby się pewnie, gdyby zabójca zareagował cichym, drwiącym śmiechem, lecz nie doczekał się nawet tego.

— Jesteś chory, pokręcony — oznajmił. — Jesteś ludzkim śmieciem — dodał, kiedy i to nie wywołało żadnej reakcji.

Uświadomił sobie, że sprawa wrażenie słabego i nieskutecznego. W czasach, w których żył, tego rodzaju obelgi nie były zbyt dotkliwe. Jakaś heavymetalowa grupa nazywała się pewnie Chorzy i Pokręceni, a inna nadała sobie nazwę Ludzkich Śmieci.

Świr nie dał się sprowokować. Rozłączył się.

Billy odwiesił słuchawkę i zdał sobie sprawę, że trzęsą mu się ręce. Widząc, że są spocone, wytarł je o koszulę.

Wpadł na pomysł, który powinien przyjść mu do głowy, kiedy

zabójca zadzwonił poprzedniej nocy. Wrócił do telefonu, podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę sygnału centrali, a potem wystukał \*69, automatycznie łącząc się z ostatnio dzwoniącym numerem.

Po drugiej stronie linii telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał.

Jednak numer, który ukazał się na cyfrowym wyświetlaczu, był mu dobrze znany. Należał do Lanny'ego.

# 10

Otoczony szpalerem dębów i skąpany w świetle gwiazd kościół stał przy autostradzie, ćwierć mili od skrzyżowania do domu Lanny'ego Olsena.

Billy zatrzymał się w południowo-zachodnim rogu parkingu, w cieniu zwisających gałęzi potężnego dębu kalifornijskiego, po czym zgasił światła i wyłączył silnik.

Malownicze kredowobiałe ściany z ozdobnymi przyporami sięgały aż do ciemnopomarańczowycli dachówek. W niszy dzwonnicy stał posąg Matki Boskiej, witającej z otwartymi ramionami cierpiącą ludzkość.

Każde ochrzczone tutaj dziecko wydawało się potencjalnym świętym. Każde zawarte małżeństwo nosło obietnicę dożywotniego szczęścia bez względu na charakter panny i pana młodego.

Billy miał oczywiście rewolwer.

Broń była stara, kupiona dawno temu, lecz w dobrym stanie. Odpowiednio ją czyścił i przechowywał.

Razem z rewolwerem zapakowane było pudełko naboju kalibru .38. Nie było na nich śladów korozji.

Kiedy wyjmował broń z kufra, wydawała się cięższa, niż zapamiętał. Nadal była ciężka, gdy wziął ją z fotela pasażera.

Ten konkretny smith & wesson ważył tylko trzydzieści sześć uncji, ale być może swój ciężar miała również jego historia.

Billy wysiadł z explorera i zamknął wszystkie drzwi.

Autostradą przejechał samotny samochód. Światło reflektorów omiotło parking w odległości trzydziestu jardów od Billy'ego.

Plebania znajdowała się po drugiej stronie kościoła. Pastor nie usłyszałby explorera, nawet gdyby cierpiał na bezsenność.

Billy wyszedł spod baldachimu gałęzi na łąkę. Żdźbła polnej trawy sięgały mu do kolan.

Na wiosnę, po tym położonym na pochyłości polu spływały kaskady maku, pomarańczowoczerwone niczym lawa. Teraz ich nie było.

Billy zatrzymał się, żeby przyzwyczać wzrok do bezksiężycowej nocy.

Stojąc bez ruchu, nasłuchiwał. Powietrze ani drgnęło. Nikt nie jechał autostradą. Cykady i ropuchy umilkły, wyczuwając jego obecność. Wydawało mu się, że słyszy gwiazdy.

Nie będąc pewien niczego poza tym, że jego wzrok zaadaptował się do ciemności, ruszył na przełaj łąką, kierując się w stronę wybiestej i popękanej asfaltowej drogi, która prowadziła do domu Lanny'ego Olsena.

Bał się grzechotników, które w takie letnie, ciepłe noce polowały na myszy i młode króliki. Żaden się jednak nie pokazał, więc Billy dotarł do drogi i skręciwszy pod górę, minął dwa domy, oba ciche i pogrążone w mroku.

Przy drugim po ogrodzonym płotem podwórku biegał spuszczonej ze smyczy pies. Nie czekał, ale śmigał tam i z powrotem wzdłuż wysokich sztachet, starając się zwrócić swoim skamlaniem uwagę Billy'ego.

Lanny mieszkał pięćset jardów od domu z psem. We wszystkich oknach paliło się światło, rozświetlając szyby lub złocąc zasłony.

Na podwórku Billy przykucnął za śliwą. Widział stamtąd zachodnią, frontową ścianę domu i fragment północnej.

Nie można było wykluczyć, że cała historia to w rzeczywistości głupi kawał Lanny'ego.

Billy nie wiedział, czy w Napie naprawdę zamordowano jasnowłosą nauczycielkę. Uwierzył Lanny'emu na słowo.

Nie przeczytał notatki o zabójstwie w gazecie. Odkryto je zapewne zbyt późno, by zamieścić wiadomość w najświeższym wydaniu. Poza tym rzadko czytał gazety.

I nigdy nie oglądał telewizji. Czasami, jadąc samochodem, słuchał radiowej prognozy pogody, ale najczęściej zadowalał się puszczaną z odtwarzacza muzyką zydeco i western swingiem.

Po karykaturzyście należałoby się spodziewać skłonności do żartów. Poczucie humoru Lanny'ego było jednak tłumione od tak dawna, że znajdowało się praktycznie w zaniku. Był nie najgorszym kompanem, ale raczej nie tryskał humorem.

Billy nie zamierzał nadstawiać karku — i w ogóle czegokolwiek — zakładając, że Lanny Olsen spłatał mu figla.

Pamiętał, jak spocony, podenerwowany i zestresowany był jego przyjaciel, kiedy poprzedniego wieczoru stali na parkingu przy tawernie. W Lannym czytało się jak w otwartej księdze. Gdyby chciał zostać aktorem, nie rysownikiem, i jego matka nigdy nie zachorowałaby na raka, i tak skończyłby jako gliniarz z niezbyt chwalebny dossier.

Obejrawszy dokładnie dom i upewniwszy się, że nikt nie obserwuje go przez okno, Billy przeciął trawnik, minął frontową werandę i przyjrzał się południowej ścianie. Tam również światła paliły się w każdym oknie.

Zachowując pewną odległość od domu, obszedł go dookoła i spostrzegł, że tylne drzwi stoją otworem. Smuga światła leżała niczym dywan na ciemnej podłodze werandy, zapraszając gości do przekroczenia progu kuchni.

Tak jednoznaczne zaproszenie mogło oznaczać pułapkę.

Billy zaczął przypuszczać, że znajdzie w środku martwego Lanny'ego Olsena.

Jeśli nie pójdziesz na policję i ich w to nie zaangażujesz, zabiję nieżonatego mężczyznę, którego braku świat nie odczuje zbyt dotkliwie.

W pogrzebie Lanny'ego nie wezmą raczej udziału tysiące żałobników, być może nawet nie setki, chociaż jego brak odczuje kilka osób. Kilka osób, lecz nie świat.

Dokonując swojego wyboru i ocalając matkę dwojga dzieci, Billy nie zdawał sobie sprawy, że skazuje na śmierć Lanny'ego.

Gdyby o tym wiedział, niewykluczone, że postąpiłby inaczej. Skazanie na śmierć przyjaciela byłoby trudniejsze od wskazania bezimiennej nieznajomej. Nawet jeśli tą nieznajomą była matka dwojga dzieci.

Nie chciał o tym myśleć.

Na skraju podwórka stał pień uschniętego dębu, który wycięto przed wielu laty. Miał cztery stopy średnicy i dwie wysokości.

Po wschodniej stronie pnia była dziura, a w niej plastikowa torebka. W torebce znajdował się zapasowy klucz.

Billy wyjął go, obszedł z powrotem dom i ponownie schował się za śliwą.

Nikt nie zgasił ani jednego światła. W żadnym z okien nie ukazała się niczyja twarz i nigdzie nie poruszyły się w podejrzany sposób zasłony.

Miał ochotę zadzwonić pod 911, sprowadzić szybko pomoc i opowiedzieć im o wszystkim, podejrzewał jednak, że byłby to nierozważny krok.

Nie rozumiał reguł tej dziwacznej gry i nie wiedział, jak zabójca definiuje wygraną. Być może nader zabawne wydałoby mu się wrobieńie niewinnego barmana w dwa zabójstwa.

Billy był już kiedyś podejrzany. To doświadczenie go odmieniło. Gruntownie.

Perspektywa ponownej odmiany budziła w nim opór. Zbyt dużo samego siebie stracił za pierwszym razem.

Wyszedł zza śliwy, wspiął się cicho po schodkach werandy i podszedł prosto do drzwi.

Klucz pasował. Zamek nie zazgrzytał, zawiasy nie zaskrzypiały i drzwi otworzyły się bezszelestnie.

# 11

Wiktoriański dom miał wiktoriańską sień z ciemną drewnianą podłogą. Obity boazerią korytarz prowadził na tyły domu, a schody na piętro.

Na ścianie wisiała kartka formatu A4. Narysowana była na niej ręka, bardzo podobna do ręki Myszki Miki: gruby kciuk i trzy palce w podwiniętej na nadgarstku rękawiczce.

Dwa palce były zgięte do środka dłoni. Kciuk i palec wskazujący tworzyły pistolet wycelowany w stronę schodów.

Billy zrozumiał wskazówkę, ale wolał ją na razie zignorować.

Zostawił frontowe drzwi otwarte, na wypadek gdyby musiał salwować się ucieczką.

Trzymając rewolwer wycelowany w sufit, skręcił z sieni w lewo. Salon wyglądał tak samo, jak za czasów pani Olsen, dziesięć lat wcześniej. Lanny niewiele z niego korzystał.

To samo można było powiedzieć o jadalni. Lanny spożywał większość posiłków w kuchni albo w gabinecie, oglądając telewizję.

W korytarzu wisiała na ścianie kolejna komiksowa ręka wskazująca sień i schody, czyli kierunek przeciwny do tego, w którym podążał Billy.

Chociaż telewizor w gabinecie był wyłączony, w gazowym

kominku płonął ogień i fałszywe węgle na imitacji paleniska żarzyły się niczym prawdziwe.

Na kuchennym stole stał rum Bacardi, dwulitrowa plastikowa butelka coca-coli oraz wiaderko z lodem. Na talerzyku przy coca-coli leżał mały lśniący nożyk z ząbkowanym ostrzem i limonka, z której odkrojono kilka plasterków.

Obok stała wysoka szklanka wypełniona do połowy ciemnym płynem. W środku pływał plasterek limonki i kilka cienkich kostek topniejącego lodu.

Po kradzieży pierwszego listu z kuchni Billy'ego i zniszczeniu drugiego w celu ocalenia posady i emerytury, Lanny próbował uśmierzyć poczucie winy rumem i coca-colą.

Jeżeli butelki coli i rumu były pełne, gdy przystępował do wykonania zadania, poczynił znaczne postępy na drodze do upojenia, które pozwoliłoby mu zaćmić pamięć i znieczulić sumienie.

Drzwi do spiżarni były zamknięte. Billy nie bardzo wierzył, że świr czai się tam pośród puszek z jedzeniem, ale wolał to sprawdzić, zanim odwróci się do nich plecami.

Z prawą ręką przyciśniętą do boku i wycelowanym przed siebie rewolwerem przekręcił szybko klamkę i otworzył drzwi lewą ręką. Nikt nie czekał na niego w spiżarni.

Z kuchennej szuflady wyciągnął czystą ściereczkę i wytarłszy uchwyt szuflady oraz klamkę spiżarni, wsunął ją za pasek, tak że wisiała u jego boku niczym barowa serweta.

Na blacie obok kuchennej płyty leżały kluczyki samochodowe, portfel, drobniaki i komórka Lanny'ego. Był tam również jego służbowy pistolet kalibru dziewięć milimetrów razem z kaburą Wilson Combat, w której go nosił.

Billy wziął do ręki komórkę i połączył się z pocztą głosową. Jedyną wiadomością była ta, którą zostawił Lanny'emu poprzedniego wieczoru.

Tu Billy. Jestem w domu. Co jest, do diabła? Coś ty narobił? Natychmiast do mnie zadzwoń.



Po wysłuchaniu własnego głosu skasował wiadomość.

Niewykluczone, że popełnił błąd, ale nie widział, w jaki sposób wiadomość mogła udowodnić jego niewinność. Wprost przeciwnie — świadczyła o tym, że miał zamiar spotkać się z Lannym minionego wieczoru i że był na niego zły.

Co włączało go w krąg podejrzanych.

Zastanawiał się nad pozostawioną w poczcie głosowej wiadomością, kiedy jechał na parking przy kościele i szedł przez łąkę. Skasowanie jej wydawało się najrozsądniejszym wyjściem, jeśli znajdzie na piętrze to, co spodziewał się znaleźć.

Wyłączył komórkę, wytarł ściereczką pozostawione na niej odciśnięcie palców i odłożył ją na blat, na którym wcześniej leżała.

Gdyby ktoś go w tym momencie obserwował, uznałby, że nie traci zimnej krwi. W rzeczywistości robiło mu się niedobrze ze strachu i zdenerwowania.

Widząc, jaką uwagę przywiązuje do najdrobniejszych szczegółów, obserwator mógłby również dojść do wniosku, że Billy zacieriał już wcześniej ślady zbrodni. Nie było to prawdą, lecz brutalne doświadczenia wyostrzyły jego wyobraźnię i nauczyły, jak groźne mogą się stać dowody poszlakowe.

Godzinę wcześniej, o 1.44, zabójca wypłoszył Billy'ego z domu. W billingach zostanie odnotowane to krótkie połączenie.

Być może policja uzna to za dowód, że Billy nie mógł tutaj przebywać w chwili popełnienia morderstwa.

Prędzej jednak zaczną podejrzewać, że to sam Billy zatelefonował do siedzącego w jego domu współdnika, żeby stworzyć wrażenie, iż znajdował się gdzie indziej w chwili popełnienia morderstwa.

Gliniarze zawsze podejrzewają wszystkich o najgorsze. Nauczyło ich tego własne doświadczenie.

W tym momencie nie przychodziło mu do głowy nic, co mógł zrobić w sprawie billingów. Odsunął od siebie ten problem.

Musiał zająć się bardziej pilnymi sprawami. Na przykład odnalezieniem zwłok, jeśli gdzieś tu były.

Nie uważał, że warto tracić czas na poszukiwanie dwóch listów od zabójcy. Gdyby nadal istniały, znalazłby je najprawdopodobniej na stole, przy którym Lanny pił, albo na blacie, na którym zostawił swój portfel, drobniaki i komórkę.

Płomienie w kominku w gabinecie, w tę ciepłą letnią noc, nasuwały w kwestii listów dość logiczny wniosek.

Z boku szafki kuchennej wisiała komiksowa ręka wskazująca wahadłowe drzwi i korytarz.

Billy był już skłonny skorzystać z tej wskazówki, lecz paraliżował go paniczny strach.

Mimo że miał broń i gotów był jej użyć nie wystarczało mu odwagi, by natychmiast ruszyć na górę. Nie sądził, że natknie się na świra. Pod pewnymi względami zabójca był mniej przerażający aniżeli to, co spodziewał się znaleźć.

Kusiła go butelka rumu. Nie odczuwał już w ogóle działania trzech butelek guinnessa. Prawie przez godzinę serce waliło mu młotem, a metabolizm przyspieszył.

Był człowiekiem, który raczej nie zaglądał do kieliszka, ale pocieszał się ostatnio tą myślą wystarczająco często, by można było odnieść wrażenie, że tkwi w nim pragnący wyrwać się na wolność potencjalny pijak.

Odwaga potrzebna, by iść dalej, wynikała ze strachu przed zaniechaniem, z dotkliwej świadomości, jakie mogą być konsekwencje oddania tej partii świrowi.

Wyszedł z kuchni i wrócił do sieni. Na szczęście schody nie były pogrążone w mroku; paliły się lampy na dole i na górze.

Wchodząc na piętro, nie pomyślał nawet, żeby zawołać Lanny'ego po imieniu. Wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi, a poza tym wątpił, czy wyda z siebie głos.

# 12

Z korytarza na piętrze wchodziło się do trzech sypialni, łazienki i garderoby. Czworko z pięciorga drzwi były zamknięte.

Po obu stronach wejścia do głównej sypialni znajdowały się rysunki dłoni, które wskazywały otwarte drzwi.

Nie chcąc by prowadzono go za rękę, wyobrażając sobie zwierzęta prowadzone po rampie na rzeź, Billy zostawił główną sypialnię na sam koniec. Najpierw sprawdził łazienkę, potem garderobę i dwa pozostałe pokoje — w jednym z nich Lanny ustawił stół do rysowania.

Po dotknięciu każdej klamki wycierał ją ściereczką.

Kiedy do sprawdzenia zostało tylko jedno pomieszczenie, stanął na korytarzu i nasłuchiwał. Cicho jak makiem zasiał.

Coś utknęło mu w gardle i nie mógł tego przełknąć. Nie mógł tego przełknąć, ponieważ to coś nie było bardziej realne od sopła lodu, który ześlizgiwał się po jego krzyżu.

W głównej sypialni paliły się dwie lampy.

Wybrana przez matkę Lanny'ego tapeta w róże nie została usunięta po jej śmierci, a także kilka lat później, gdy Lanny przeniósł się tutaj ze swojego starego pokoju. Pociemniała ze starości, przybrała przyjemny odcień przypominający jasne plamy po herbacie.

Na łóżku leżała jedna z ulubionych narzut Pearl Olsen: różowa z haftowanymi kwiatkami na brzegach.

Podczas choroby pani Olsen, po sesjach chemioterapii i odepiającej radioterapii, Billy często siadywał z nią w tym pokoju. Czasami po prostu z nią rozmawiał, innym razem patrzył, jak śpi. Często jej czytał.

Lubiła powieści przygodowe. Historie, których akcja rozgrywała się w brytyjskich Indiach. Opowieści o gejszach i samurajach, chińskich wojownikach i karaibskich piratach.

Pearl odeszła, a teraz w ślad za nią odszedł również Lanny.

Ubrany w swój mundur, siedział w fotelu, opierając stopy o podnózek, ale już go nie było.

Zabito go strzałem w czoło.

Billy nie chciał tego oglądać. Bał się, że ten obraz na zawsze zostanie mu w pamięci. Chciał wyjść.

Ucieczka nie stanowiła jednak właściwego rozwiązania. Nigdy nim nie była, ani przed dwudziestu laty, ani teraz, ani w żadnym momencie tego dwudziestoletniego okresu. Jeśli ucieknie, dopadną go i zniszczą.

Trwało polowanie i z przyczyn, których nie rozumiał, to on był jego ostatecznym celem. Nie uratuje go prędkość światła. Prędkość nigdy nie uratowała lisa. Żeby umknąć przed ogarami i myśliwymi, lis potrzebuje sprytu i zamięłowania do ryzyka.

Billy nie czuł się jak lis, raczej jak zając, ale nie miał zamiaru uciekać niczym zając.

Brak krwi na twarzy Lanny'ego, brak krwawienia z rany, wskazywał na dwie rzeczy: że śmierć była natychmiastowa i że kula przeszła na wylot przez czaszkę.

Tapety za fotelem nie poplamiała krew ani mózg. A zatem Lanny nie zginął w tym fotelu, nie zastrzelono go w tym pokoju.

Ponieważ Billy nie spostrzegł krwi nigdzie w domu, doszedł do wniosku, że do zabójstwa doszło na zewnątrz.

Może Lanny wstał od kuchennego stołu, od swojej coli i rumu, i na pół pijany lub zalany w sztok, wyszedł na dwór, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Może uświadomił sobie, że nie zdoła trafić do

toalety, i wyszedł na tylne podwórko, żeby się załatwić.

Świr musiał posłużyć się plastikową plandeką lub czymś podobnym, żeby zawlec zwłoki z powrotem do domu, nie brudząc przy tym podłogi.

Nawet jeśli był silny, zaciągnięcie trupa z podwórka do sypialni na piętrze musiało być trudne. Trudne i na zdrowy rozum niepotrzebne.

Robiąc to, zabójca musiał jednak mieć jakiś powód, ważny przynajmniej dla niego.

Oczy Lanny'ego były otwarte i lekko wybałuszone. Lewe zwierkało w bok, jakby miał za życia zeza.

Ciśnienie. W momencie, kiedy pocisk przeszywał mózg, ciśnienie w czaszce wzrosło i dopiero później spadło.

Na kolanach Lanny'ego leżała powieść z klubu książki, mniejsza i gorszej jakości niż piękne wydanie tego samego tytułu dostępne w księgarniach. Co najmniej dwieście podobnych książek stało na półce przy jednej ze ścian sypialni.

Billy widział tytuł, nazwisko autora i ilustrację na obwolucie. Powieść opowiadała o poszukiwaniach skarbu i o prawdziwej miłości na południowym Pacyfiku.

Dawno temu przeczytał ją na głos Pearl Olsen. Spodobała jej się, ale w gruncie rzeczy podobały jej się wszystkie.

Prawa ręka Lanny'ego spoczywała na książce. Mogło się zdawać, że zaznaczył miejsce, gdzie przerwał lekturę, wkładając tam fotografię, której brzeżek wystawał spomiędzy kartek.

Psychopata wszystko to zaaranżował. Cała scena sprawiła mu satysfakcję i miała dla niego emocjonalne znaczenie, względnie była jakąś wiadomością — zagadkową lub szyderczą.

Billy przyjrzał się uważnie całej kompozycji, zanim odważył się coś w niej zmienić. Nic nie wydawało się w niej pociągające ani pomysłowe, na tyle rajcujące dla zabójcy, by zadawać sobie trud jej stworzenia.

Billy bolał z powodu śmierci przyjaciela, lecz o wiele większy ból sprawiło mu to, że Lanny'ego odarto z godności nawet po śmierci.

Świr ciągał go tam i z powrotem po domu i wystawił na pokaz, jakby był manekinem, lalką, jakby istniał tylko po to, by dostarczyć mu rozrywki i stać się obiektem manipulacji.

Lanny zdradził Billy'ego, ale nie miało to już znaczenia. Na skraju Mroku, na krawędzi Pustki niewiele wykroczeń godnych jest zapamiętania. Warto pamiętać wyłącznie chwile przyjaźni i radości.

Nawet jeśli w ostatnim dniu życia Lanny'ego on i Billy mieli ze sobą na pieńku, grali teraz w tej samej drużynie, mieli tego samego przeciwnika.

Nagle usłyszał jakiś hałas na zewnątrz.

Trzymając oburącz rewolwer, wybiegł bez wahania z sypialni i omiół lufą korytarz, szukając celu. Nie znalazł żadnego.

Drzwi do łazienki, garderoby i innych sypialni były zamknięte — tak jak je zostawił.

Nie odczuwał palącej potrzeby, by je ponownie przeszukać. Hałas mógł być zwyczajnym odgłosem, jaki wydają stare domy, protestując w ten sposób przeciwko upływowi czasu. Prawdopodobnie nie był to odgłos otwieranych albo zamykanych drzwi.

Wytarł spoconą lewą dłoń o koszulę, wziął do niej rewolwer, wytarł prawą, przełożył do niej z powrotem broń i stanął u szczytu schodów.

Z parteru i werandy za otwartymi drzwiami frontowymi nie dobiegał żaden dźwięk. Nic nie zakłócało martwej nocnej ciszy.

# 13

Stojąc u szczytu schodów i nasłuchując, Billy poczuł nagle pulsujący w skroniach ból. Zdał sobie sprawę, że zacisnął zęby niczym szczęki imadła.

Próbował się uspokoić i oddychać przez usta. Przekreślił głowę z boku na bok, próbując rozruszać zesztynniałe mięśnie karku.

Stres może być korzystny, jeśli człowiek zachowuje dzięki niemu skupienie i czujność. Strach może sparaliżować, ale może również wyostrzyć instynkt przetrwania.

Billy wrócił do głównej sypialni.

Kiedy podchodził do drzwi, przyszło mu nagle do głowy, że ciało i książka znikną. Ale Lanny nadal siedział w fotelu.

Z leżącego na jednej z nocnych szafek pudełka z kleenexami Billy wyciągnął dwie chusteczki i używając ich w charakterze prowizorycznej rękawiczki zsunął z książki dłoń trupa.

Nie zdejmując książki z jego kolan, otworzył ją w miejscu, w którym tkwiła fotografia.

Oczekiwał zaznaczonych w jakiś sposób zdań albo akapitów: kolejnej wiadomości. Ale w tekście nie było żadnych podkreśleń.

Nadal używając kleenexów, wziął do ręki fotografię.

Przedstawiona na niej kobieta była młoda, jasnowłosa i ładna. Nic na zdjęciu nie pozwalało domyślić się jej zawodu, ale Billy wiedział, że była nauczycielką.

Jej zabójca musiał znaleźć to zdjęcie w jej domu w Napie. Przedtem albo potem brutalnie pozbawił ją urody.

Nie ulegało kwestii, że świr zostawił fotografię w książce, aby utwierdzić władze w przekonaniu, że oba morderstwa były dziełem tego samego człowieka. Chętnie się nimi. Chciał, żeby spotkało go uznanie za to, co zrobił.

Jedyna mądrość, jaką możemy osiągnąć, jest mądrością pokory...

Świr nie nauczył się tej lekcji. Być może ten fakt doprowadzi go do zguby.

Jeśli można autentycznie zapłakać nad losem obcej osoby, fotografia tej młodej kobiety pewnie by to sprawiła, gdyby Billy wpatrywał się w nią wystarczająco długo. On jednak wsadził ją do książki i zamknął między poźółkłymi kartkami.

Położył z powrotem dłoń trupa na książce i zmiął w pięści dwie chusteczki. Wszedł do łazienki, która przylegała do głównej sypialni, wcisnął przycisk toalety przez kleenexy, po czym wrzucił je do wirującej wody w misce klozetowej.

W sypialni stał przez chwilę przy fotelu, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

Lanny nie zasługiwał na to, by zostawić go tutaj bez dobrodziejstwa modlitwy i sprawiedliwości. Był jego przyjacielem, choć może nie najbliższym. Poza tym był synem Pearl Olsen i to powinno mieć olbrzymie znaczenie.

Mimo to zawiadomienie biura szeryfa o zbrodni, nawet anonimowe, mogło okazać się błędem. Władze będą chciały wyjaśnić, kto dzwonił stąd do Billy'ego zaraz po morderstwie, a on nie zdecydował jeszcze, co im powie.

Inne rzeczy, sprawy, o których w ogóle nie wiedział, mogły skierować na niego podejrzenia. Dowody poszlakowe.

Być może głównym celem zabójcy było wrobienie Billy'ego w te i inne morderstwa.



Bez wątpienia świr traktował to jako grę. Jej zasady, jeśli w ogóle istniały, były znane tylko jemu.

I tylko on znał definicję zwycięstwa. Zdobycie pucharu, szach mat czy rozstrzygająca bramka mogły w tym wypadku oznaczać posłanie Billy'ego za kratki nie z jakiegoś racjonalnego powodu, nie po to, by sam świr mógł uniknąć kary, lecz dla czystej przyjemności.

Billy nie znał nawet kształtu boiska, na którym grali, i z tego względu nie cieszyła go perspektywa przesłuchania przez szeryfa Johna Palmera.

Potrzebował czasu, żeby się zastanowić. Przynajmniej kilku godzin. Do świtu.

— Przepraszam — powiedział do Lanny'ego, po czym zgasił lampy przy łóżku i pod sufitem.

Gdyby dom jarzył się przez całą noc niczym tort urodzinowy, ktoś mógłby to zauważyć, i zacząć się zastanawiać. Wszyscy wiedzieli, że Lanny Olsen kładzie się spać z kurami.

Dom stał w najwyższym punkcie prowadzącej do niego i kończącej się przy nim drogi. Prawie nikt wtedy nie jeździł, chyba że wybierał się do Lanny'ego, i nikt nie powinien go odwiedzić w ciągu najbliższych ośmiu albo dziesięciu godzin.

O północy wtorek się skończył i zaczęła środa. W środę i czwartek Lanny miał wolne. Nikt w pracy nie powinien zauważyć jego nieobecności aż do piątku.

Mimo to Billy zajrzał ponownie do pozostałych pomieszczeń na górze i tam również pogasił światła.

Wyłączył lampę w korytarzu i zszedł po schodach, czując, jak przytłacza go mrok za plecami.

W kuchni zamknął na klucz drzwi na werandę.

Miał zamiar zabrać ze sobą zapasowy klucz Lanny'ego.

Przechodząc jeszcze raz przez parter, pogasił wszystkie światła, w tym także ceramiczne węgle w gazowym kominku w gabinecie, wciskając przełączniki lufą rewolweru.

Przystanąwszy na werandzie, zamknął na klucz również frontowe drzwi i wytarł kłamek.

Schodząc po stopniach, czuł się obserwowany. Omiótł wzrokiem trawnik i drzewa i zerknął na dom.

Wszystkie okna były czarne jak noc. Billy wyszedł z ciemności zamkniętej w ciemność otwartą, pod atramentowe niebo, na którym gwiazdy wydawały się pływać i drżeć.

# 14

Schodził szybko w dół poboczem drogi, gotów schować się w przydrożnych zaroślach na widok reflektorów jakiegoś samochodu.

Często oglądał się za siebie. Z tego, co mógł powiedzieć, nikt go nie śledził.

Bezksiężycowa noc sprzyja tropicielom. Powinna również sprzyjać Billy'emu, lecz on czuł się odsłonięty w świetle gwiazd.

Przy domu z wysokim do piersi ogrodzeniem niewidoczny pies ponownie biegał tam i z powrotem wzdłuż sztachet, skamłając do Billy'ego. Wydawał się zdesperowany.

Billy współczuł zwierzęciu i rozumiał jego sytuację, ale własna sytuacja oraz potrzeba opracowania planu nie pozwalały mu przyśtanąć i go pocieszyć.

Poza tym każdy przejaw deklarowanej przyjaźni niesie niebezpieczeństwo ugryzienia. Każdy uśmiech odsłania szczerzące się zęby.

Poszedł więc dalej drogą, oglądając się za siebie i ściskając w dłoni rewolwer, a potem skręcił w lewo i pobrnął przez trawę, obawiając się węży.

Jedno pytanie dręczyło go bardziej od innych: Czy zabójca to ktoś, kogo znał, czy też nieznajomy?

Jeżeli był to ktoś obecny wcześniej w życiu Billy'ego, utajony socjopata, nie potrafiący zapanować dłużej nad swoimi morderczymi skłonnościami, zidentyfikowanie go okaże się trudne, lecz możliwe. Przyjrzenie się znajomym i poszukanie w pamięci wszystkich, co odbiegało od normy, dostarczą zapewne ciekawych wskazówek. Dedukcja oraz wysiłek wyobraźni mogły wskazać twarz bądź pokrecone motywy.

Jeśli jednak świr był kimś obcym, kto przypadkowo wybrał Billy'ego, aby go dręczyć i zniszczyć, detektywistyczna praca mogła się okazać trudniejsza. Wyobrażenie sobie twarzy, której nigdy się nie widziało, i odkrycie motywu w kompletnej próżni nie było łatwe.

Nie tak dawno jeszcze w historii świata codzienna, zwykła przemoc — z wyjątkiem masakry całych narodów podczas wojny — miała na ogół podłoże osobistej natury. Morderczy impuls wyzwalający urazy, znieważony honor, cudzołóstwo względnie kłótnie o pieniądze.

We współczesnym świecie, a jeszcze bardziej w świecie postmodernistycznym, przede wszystkim w takim świecie, przemoc stała się w dużym stopniu bezosobowa. Terrorysty, gangi uliczne, samotni socjopaci, socjopaci działający w grupach oraz wyznawcy utopijnych wizji zabijają ludzi, których nie znają, do których nie mają konkretnych pretensji. Robią to, żeby ściągnąć na siebie uwagę, dać coś do zrozumienia, zastraszyć innych lub po prostu dla czystej satysfakcji.

Świr, znany bądź nieznany Billy'emu, był trudnym przeciwnikiem. Z jego dotychczasowych działań wynikało, że jest odważny, lecz nie zuchwały, ma psychopatyczną osobowość, lecz potrafi się kontrolować. Był sprytny, pomysłowy i przebiegły, obdarzony barokową i makiaweliczną umysłowością.

W przeciwieństwie do niego Billy Wiles szedł przez świat prostszą

i najbardziej bezpośrednią drogą. Jego umysł nie był skomplikowany, pragnienia również. Miał nadzieję żyć i żył z ostrożną nadzieją.

Krocząc szybko przez źdźbła wysokiej trawy, które smagały go po nogach z konspiracyjnym szeptem, czuł, że więcej go łączy z myszą pełną niż ostrodrobią sową.

Zobaczył przed sobą wielki rozłożysty dąb. Wchodząc pod jego konary, usłyszał furkoczące cicho niewidoczne skrzydła, lecz żaden ptak nie wzbil się w powietrze.

Stojący za fordem explorem kościół wydawał się wykuty z lodu z niewielką domieszką fosforu.

Zbliżając się do samochodu, Billy wcisnął przycisk pilota. Powiatały go dwa elektroniczne miauknięcia oraz podwójne mrugnięcie świateł postojowych.

Wsiadł do środka, zatrzasnął drzwi, ponownie je zablokował i rzucił rewolwer na fotel pasażera.

Kiedy chciał wsunąć kluczyk do stacyjki, coś go powstrzymało. Do kolumny kierownicy przylepiona była taśmą złożona kartka.

List.

Trzeci list.

Zabójca musiał stać gdzieś przy autostradzie i obserwować zjazd do domu Olsena, żeby przekonać się, czy Billy połknie przynętę. Musiał dostrzec wjeżdżającego na parking explora.

Samochód był zamknięty. Świr mógł dostać się do środka, wyłączenie tłukąc szybę, ale żadna nie była stłuczona. Nie zadziałał alarm.

Do tej pory każdy element tego rozgrywającego się na jawie koszmaru wydawał się dotkliwie realny, prawdziwy niczym płomień wobec muskającej go dłoni. Odkrywając trzeci list od zabójcy, Billy miał wrażenie, że przechodzi przez membranę między światem rzeczywistym i fantastycznym.

Ogarnięty irracjonalnym lękiem oderwał kartkę od kolumny kierownicy.

Ponieważ dopiero przed chwilą zamknął i zablokował drzwi, nadal paliła się wewnętrzna lampka, która włączała się automatycznie, kiedy wsiadał do samochodu. List — związane pytanie — był doskonale widoczny.

Czy jesteś gotów na pierwszą ranę?

# 15

## CZY JESTEŚ GOTÓW NA PIERWSZĄ RANĘ?

Zupełnie jakby jakaś einsteinowska przekładnia zwolniła upływ czasu, list wysunął się z jego palców i powoli jak piórko opadł na kolana. Lampka zgasła.

W transie przerażenia, sięgając prawą ręką po leżący na sąsiednim fotelu rewolwer, Billy odwrócił się w prawo, mając zamiar zerknąć, przez ramię na pogrążone w mroku tylne siedzenie.

Mogło się zdawać, że z tyłu jest za mało miejsca, by ukrył się tam człowiek, Billy wszedł jednak do explorera pośpiesznie, nie miał się na baczności.

Kiedy sięgał po wymykającą mu się broń, muskając palcami jej karbowaną kolbę, szyba w drzwiach kierowcy rozprysła się na kawałki.

Deszcz kłujących okruchów posypał się na jego pierś i uda. Rewolwer wyslizgnął mu się z palców i poleciał na podłogę.

Zanim jeszcze przestało sypać się szkło, zanim Billy zdążył odwrócić się, by stawić czoło napaści, świr wsadził rękę do samochodu, złapał go za włosy z tyłu głowy i mocno pociągnął.

Uwięziony między kierownicą i fotelem, wleczony brutalnie za włosy, nie mogąc pochylić się i poszukać broni, Billy wbił paznokcie

w trzymającą go rękę, okazało się jednak, że chroni ją skórzana rękawiczka.

Świr był silny, bezwzględny, nieubłagany.

Billy miał wrażenie, że wyrwie mu włosy razem z cebulkami. Ból był nie do wytrzymania. W oczach stanęły mu łzy.

Zabójca chciał wyciągnąć jego odwróconą do góry głowę przez wybite okno.

Tył jego czaszki uderzył mocno o krawędź okna. Od kolejnego uderzenia zadzwoniły mu zęby i z ust wyrwał się chrapliwy krzyk.

Billy złapał lewą ręką za kierownicę, prawą za zagłówek i zaczął stawiać opór. Niech świr wyrwie mu z głowy całą garść włosów. Wtedy się oswobodzi.

Ale świr nie wyrwał mu włosów i Billy nie zdołał się oswobodzić. Pomyślał o klaksonie. Jeśli uda mu się zatrąbić, nadejdzie pomoc i świr ucieknie.

Szybko zorientował się jednak, że trąbienie usłyszy wyłącznie ksiądz na plebanii, i jeżeli tu przyjdzie, świr nie ucieknie. Nie, zamiast tego strzeli księdzu w twarz, tak jak zastrzelił Lanny'ego.

Od wybicia okna nie minęło więcej niż dziesięć sekund. Jego głowa wysuwała się nieubłaganie na zewnątrz.

Ból był nie do zniesienia. Billy miał wrażenie, iż cebulki włosów tkwią w mięśniach jego twarzy — gdyż bolała go również twarz, tak jakby palił ją żywy płomień — że sięgają jego barków i ramion, ponieważ tracił w nich siły razem z kolejnymi opornymi włosami.

Pod karkiem poczuł krawędź okna i przeszedł go zimny dreszcz. Okruchy szkła wbijały mu się w skórę.

Głowę miał teraz wygiętą do tyłu. Jak szybko można było mu poderżnąć odsłonięte gardło, jak łatwo złamać kręgosłup.

Puścił kierownicę i sięgnął ręką za siebie, próbując wymacać klamkę w drzwiach.

Gdyby zdołał je otworzyć i mocno pchnąć, napastnik mógł stracić



równowagę, wyrzucić się i albo go puścić, albo wyrwać w końcu resztkę włosów.

Żeby dosięgnąć wyslizgującej się ze spoconych palców klamki, musiał wykręcić ramię i wygiąć dłoń pod bolesnym kątem. Nie miał dość swobody ruchu, by przesunąć dźwignię.

Wyczuwając chyba jego zamiary, świr oparł się całym ciężarem o drzwi.

Prawie cała głowa Billy'ego znajdowała się teraz na zewnątrz samochodu. Nagle pojawiła się nad nim odwrócona o sto osiemdziesiąt stopni twarz. Oblicze bez wyrazu. Zakapturzona zjawa.

Zamrugął oczyma, żeby lepiej widzieć.

To nie był kaptur, lecz ciemna kominiarka.

Nawet w tak słabym świetle dostrzegał płonące w otworach źrenice.

Coś spryskało dolną połowę jego twarzy, od nosa w dół. Coś zimnego i gryzącego, lecz mimo to słodkiego. Jakiś medyczny specyfik.

Otworzył zszokowany usta, a potem próbował wstrzymać oddech, ale wystarczył ten jeden wdech. Gryzące opary paliły mu nozdrza. Poczul, że się ślini.

Zamaskowane oblicze pochyliło się nad jego twarzą niczym zachodzący księżyc z kraterami oczu.

# 16

Środek usypiający przestawał działać. Ból wyciągał go z mroku nieświadomości niczym nawijana na bleczek lina.

W ustach miał dziwny smak — zupełnie jakby wy chłęptał syrop do gofrów i popił go wybielaczem. Słodki i gorzki. Niczym samo życie.

Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Początkowo było mu wszystko jedno. Wyłowiony z oceanu odrętwienia, czuł niezwykłą senność i pragnął się w nią z powrotem osunąć.

Nieubłagany ból zmusił go w końcu do zainteresowania się otoczeniem, niezamykania oczu i przeanalizowania tego, co się z nim dzieje. Leżał na plecach na jakimś twardym podłożu — przykościelnym parkingu.

Czuł słabą woń smoły, oleju i benzyny. Niewyraźny, stęchły orzechowy zapach rozpościerającego nad nim gałęzie dębu. Kwaśny odór własnego potu.

Kiedy obliział wargi, poczuł smak krwi.

Wycierając twarz, odkrył, że pokrywa ją śliska, lepka substancja, która była najprawdopodobniej krwią zmieszaną z potem. W ciemności nie widział, co przyłgnęło do jego dłoni.

Bolała go przede wszystkim głowa. Z początku myślał, że ból spowodowany jest tym, że świr o mało nie wyrwał mu całej garści włosów.

Leniwy pulsujący ból, przerywany ostrzejszymi ukłuciami, przesywał jego głowę, promieniował jednak z czoła, nie z ciemienia, gdzie jego włosy zostały poddane ciężkiej próbie.

Kiedy podniósł z wahaniem dłoń i zbadał jego źródło, odkrył, że jakiś sztywny druciany przedmiot sterczy mu z czoła, cał poniżej linii włosów. Chociaż dotknął go bardzo lekko, ból był tak silny, że krzyknął.

Czy jesteś gotów na pierwszą raną?

Pozostawił zbadanie obrażeń na później, kiedy będzie mógł je obejrzeć.

Nie mogły być śmiertelne. Świr nie zamierzał go zabić, lecz tylko zranić, być może przerazić.

Niechętny respekt, jaki Billy żywił do swojego przeciwnika, urósł do tego stopnia, że właściwie nie mieściło mu się w głowie, by facet mógł popełnić jakiś błąd, przynajmniej poważny.

Ból przeszył jego czoło, kiedy siadał, a potem ponownie, kiedy wstał.

Chwiejąc się na nogach, omiół wzrokiem parking. Jego prześladowca zniknął.

Wysoko na nocnym niebie sunął na zachód rój gwiazd: pozycyjne światła odrzutowca. Sądząc po trasie lotu, był to prawdopodobnie wojskowy transport kierujący się w rejon wojny. Innej wojny, nie tej, która toczyła się tu na dole.

Billy otworzył drzwiczki explorera.

Fotel usłany był okruchami szkła. Wyciągnął kilka chusteczek z pudełka i uprzątnął nimi tapicerkę.

Poszukał wzrokiem listu, który był przymocowany nad stacją. Zabójca najwyraźniej go zabrał.

Upuszczony kluczyk znalazł pod pedałem hamulca. Rewolwer leżał na podłodze przed fotelem pasażera.

Wolno mu było użyć broni w dalszej grze. Świr się jej nie bał.

Substancja, którą został spryskany Billy — chloroform albo inny środek znieczulający — miała przedłużone działanie. Kiedy się pochylał, zakreśliło mu się w głowie.

Siadając za kierownicą, zamykając drzwi i uruchamiając silnik, bał się, że nie da rady prowadzić.

Włączył klimatyzację i skierował dwa nawiewy na twarz.

Kiedy oceniał stan swojej gotowości do jazdy, zgasła wewnętrzna lampka. Ponownie ją zapalił.

Przekrzywił lusterko wsteczne, żeby przyjrzeć się swojej twarzy. Wyglądał jak malowany diabeł: ciemnoczerwony, z białymi zębami i nienaturalnie jasnymi białkami oczu.

Przejrzawszy się ponownie w lusterku, odkrył źródło bólu.

Zobaczyć niekoniecznie oznacza uwierzyć. Billy wolał uznać, że wywołanym przez środek nasenny zawrotom głowy towarzyszą halucynacje.

Zamknął oczy i kilka razy głęboko odetchnął. Próbował usunąć z umysłu to, co zobaczył w lusterku. Miał nadzieję, że kiedy znów w nie spojrzy, nie zobaczy tego, co wcześniej.

Nic się nie zmieniło. W jego czole, cał poniżej linii włosów, tkwiły trzy wielkie haczyki wędkarskie.

Ze skóry wystawały ostrza każdego z nich. A także trzonki. Kolanek tkwiły w jego czole.

Billy zadrżał i uciekł wzrokiem w bok.

Nawet najbardziej żarliwym wyznawcom trafiają się chwile zwątpienia, najczęściej w samotne noce, gdy zastanawiają się, czy ich dziedzictwem jest istotnie królestwo potężniejsze od ziemskiego i czy zaznają miłosierdzia — czy też są niczym zwierzęta, które nie czeka nic poza wichrem i mrokiem.

Billy przeżywał jedną z takich nocy. Pamiętał inne podobne do niej. Zwątpienie zawsze ustępowało. Przekonywał sam siebie, że ponownie ustąpi, choć tym razem przejmowało go większym chłodem i czuł, że zostawi po sobie głębszy ślad.

Świr wydawał się z początku graczem, dla którego morderstwo jest rodzajem sportu. Wbicie haczyków w czoło nie stanowiło jednak kolejnego ruchu pionka; to nie była gra.

Zabójstwa były dla świra czymś więcej aniżeli zwykłymi morderstwami, ale nie można ich było przyrównać do szachów czy

partyjki pokera. Zabójstwo miało dla niego symboliczne znaczenie i kiedy go dokonywał, nie chodziło mu wyłącznie o rozrywkę. Przyświecał mu jakiś tajemniczy cel, który wykraczał poza samo pozabawienie kogoś życia, cel, który chciał zrealizować do końca.

Jeśli słowo „gra” nie oddawało istoty rzeczy, Billy musiał znaleźć to właściwe. Dopóki nie pozna odpowiedniego słowa, nigdy nie zrozumie i nie odnajdzie zabójcy.

Starł delikatnie kleenexem zakrzepłą krew z brwi, powiek i rzęs.

Widok haczyków wędkarskich rozjaśnił mu umysł. Nie kręciło mu się już w głowie.

Jego rany wymagały interwencji lekarza. Włączył reflektory i wyjechał z parkingu.

Bez względu na to, jaki ostateczny cel przyświecał świrowi i czego symbolem miały być według niego haczyki, musiał również liczyć na to, że Billy odwiedzi doktora. Lekarz będzie chciał wiedzieć, skąd wzięły się haczyki, a każda udzielona przez Billy'ego odpowiedź mogła skomplikować jego sytuację.

Wyznając prawdę, ujawniłby, że jest zamieszany w morderstwa Giselle Winslow i Lanny'ego Olsena. Stałby się głównym podejrzanym.

Bez trzech listów nie miał żadnych dowodów na istnienie świra.

Władze mogły nie uznać haczyków za wiarygodny dowód: równie dobrze mogły to potraktować jako samookaleczenie. Mordercy zadawali sobie czasem sami obrażenia, aby udawać ofiary i wyeliminować się z kręgu podejrzanych.

Wiedział, z jakim cynizmem niektórzy gliniarze potraktują jego dramatyczne, dziwaczne, lecz mimo to powierzchowne rany. Dokładnie to wiedział.

Co więcej Billy sam był wędkarzem. Łowił w strumieniach pstrągi i okonie. Tego rodzaju masywne haczyki służyły do złowienia dużego okonia na żywą przynętę, nie na błystkę. W swoim pudełku ze sprzętem wędkarskim miał kilka haczyków prawi nie

różniących się od tych, które splamiły się jego krwią.

Bał się jechać do doktora. Musiał sam opatrzyć swoje rany.

O wpół do czwartej rano stały przed nim otworem wszystkie wiejskie drogi. Noc była bezwietrzna, ale explorer wzniecał własny wiatr, którego podmuchy wpadały przez wybite okno. Oświetlone halogenowymi reflektorami winnice i zalesione wzgórza, choć znajome dla oka, z każdą milą stawały się bardziej obce sercu niczym każda jałowa ziemia.

## **Część druga**

**Czy jesteś gotów na drugą  
ranę?**

# 17

W lutym, po ekstrakcji zęba trzonowego, którego korzenie wrosły w żuchwę, Billy dostał od swojego dentysty receptę na lek przeciwbólowy, vicodin. Zażył tylko dwie z dziesięciu tabletek.

Na nalepce z apteki zaznaczono, że lek powinien być zażywany po jedzeniu. Billy nie zjadł kolacji i w dalszym ciągu nie miał apetytu.

Musiał wziąć tabletkę, żeby efektywnie działać. Z lodówki wyjął żaroodporne naczynie z resztkami domowej lasagne.

Chociaż nakłucia na czole zasklepiły się i ustało krwawienie, ból nadal nie ustępował i nie pozwalał mu racjonalnie myśleć. Uznał, że nie będzie tracił kilku minut potrzebnych na podgrzanie dania w mikrofalówce, i postawił zimną lasagne na kuchennym stole.

Na nalepce z apteki zaznaczono również, żeby nie spożywać napojów alkoholowych w trakcie stosowania leku. Zlekceważył zalecenie. W ciągu następnych kilku godzin nie miał zamiaru prowadzić samochodu ani obsługiwać ciężkiego sprzętu.

Łyknął tabletkę i zaczął opychać się lasagne, popijając to wszystko duńskim piwem Elephant, chlubiącym się wyższą zawartością alkoholu od innych.



Jedząc, myślał o martwej nauczycielce, o siedzącym na fotelu w sypialni Lannym i o tym, co może teraz planować zabójca.

Tego rodzaju myśli nie pobudzały apetytu ani trawienia. Nauczycielce i Lanny'emu nie można było już pomóc. Nie sposób było też przewidzieć następnego ruchu świra.

Zamiast tego zaczął myśleć o Barbarze Mandel, przede wszystkim o tym, jaka była kiedyś, nie, jaką ją oglądał w Whispering Pines. Te reminiscencje w nieunikniony sposób przywiodły go do chwili obecnej. Zaczął się martwić, co się z nią stanie w razie jego śmierci.

Przypomniał sobie małą kwadratową kopertę od lekarza. Wyciągnął ją z kieszeni i otworzył.

Na kremowego koloru kartce wytłoczone było nazwisko doktora Jordana Ferriera. Lekarz miał precyzyjny charakter pisma: Drogi Billy. Kiedy odwiedzając Barbarę, zaczęłaś unikać godzin, w których można się na mnie natknąć podczas obchodu, zdałem sobie sprawę, że nadeszła pora na naszą półroczną ocenę stanu jej zdrowia. Proszę, zadzwoń do mojego gabinetu, abyśmy mogli ustalić termin spotkania.

Na butelce elefanta skropiła się woda. Billy użył listu doktora Ferriera jako podkładki chroniącej stół przed wilgocią.

— Może ty zadzwońisz do mojego gabinetu i zapytasz o termin spotkania — mruknął.

Naczynie żaroodporne było do połowy wypełnione lasagne. Billy nie miał apetytu, ale zjadł wszystko, wpychając posiłek do ust i energicznie go żując, jakby jedzenie mogło uśmierzyć gniew równie łatwo, jak uśmierza głód.

Ból w czole w końcu znacznie zelżał.

Billy poszedł do garażu, gdzie trzymał swoje przybory wędkarskie, i wyjął z zestawu szczypce do cięcia drutu.

Wróciwszy do domu i zamknąwszy na klucz tylne drzwi, wszedł do łazienki i przejrzał się w lustrze. Na jego twarzy zaschła krwawa maska. Wyglądał jak rdzenny mieszkaniec piekła.

Świr wbił trzy haczyki najdelikatniej, jak to możliwe. Najwyraźniej starał się zadać jak najmniejsze obrażenia.

Dla podejrzliwego policjanta taka troska mogła przemawiać na rzecz teorii, że Billy sam się okaleczył.

Przy jednym końcu haczyka znajdowało się kolanko i zadziór. Na drugim oczko, na którym można było zamocować przypon i agrafkę. Próba wyciągnięcia go zarówno z jednej, jak z drugiej strony zakończyłaby się powiększeniem rany.

Billy odciął szczypcami oczko jednego z haczyków, złapał kciukiem i palcem wskazującym zadziór i wyciągnął trzonek.

Po usunięciu wszystkich trzech haczyków wziął najgorętszy prysznic, jaki tylko mógł znieść.

Wysterylizował nakłucia spirytusem salicylowym i wodą utlenioną po czym nałożył na nie neosporynę i opatrunek z gazy, który przymocował taśmą samoprzylepną.

Kiedy zegar na nocnej szafce wskazywał 4.27, położył się do łóżka. Podwójnego łóżka, z dwoma zestawami poduszek. Jego głowa spoczęła na jednej miękkiej poduszce, twardy rewolwer pod drugą.

Sąd nad nami niech nie będzie zbyt srogi...

Kiedy powieki mu opadły pod własnym ciężarem, zobaczył przed sobą Barbarę. Z jej bladych ust padały zagadkowe zdania.

Chcę wiedzieć, co mówi... morze. Co to jest, co stale powtarza.

Zasnął, nim zegar wskazał połowę godziny.

Śniło mu się, że leży w śpiączce, nie mogąc się poruszyć ani odezwać, lecz wiedząc, co się wokół niego dzieje. Lekarze w białych fartuchach i ciemnych kominiarkach pochylali się, krojąc go stalowymi skalpelami, rzeźbiąc w jego ciele krwawe pęki akantowych liści.

Powracający ból, tępy, lecz uporczywy obudził go o 8.40, w środowy ranek.

Z początku nie potrafił sobie uświadomić, które z jego koszmarów są prawdziwe, a które się przyśniły. A potem sobie uświadomił.

Miał ochotę na następną tabletkę vicodinu. Zamiast tego wytrząsnął ze słoiczka w łazience dwie aspiryny.

Chcąc popić je sokiem pomarańczowym, wszedł do kuchni. Zapomniał włożyć do zmywarki żaroodporne naczynie z resztkami lasagne. Pusta butelka elephanta stała na papeterii doktora Ferriera.

Kuchnia skąpana była w porannym świetle, rolety — podniesione. Przed pójściem spać zasłonił okna.

Do lodówki przymocowano taśmą złożoną kartkę, czwartą wiadomość od zabójcy.

# 18

Nie miał wątpliwości, że wracając z garażu ze szczypcami do cięcia drutu, zamknął tylne drzwi na zasuwę. Teraz były otwarte.

Wyszedłszy na werandę, przyjrzał się lasom na zachodzie. Blżej rosło kilka wiązów, dalej sosny.

Poranne słońce prawie zupełnie nie rozjaśniało mrocznych ostępów. Cienie wszystkich drzew padały w głąb lasu.

Omiatając wzrokiem zieloną ścianę, szukając odbitego błysku, który zdradziłby obecność lornetki, zobaczył nagle jakiś ruch. Między drzewami zamajaczyły tajemnicze formy, sunące płynnie niczym cienie lecących wysoko ptaków, migoczące blado cętkami słońca.

Billy poczuł się nieswojo. A potem formy wyłoniły się zza drzew i okazało się, że to tylko jelenie: byk, dwie łanie i mały jelonek.

Pomyślał, że coś musiało je spłoszyć w lesie, lecz one zatrzymały się po przebiegnięciu zaledwie kilku jardów i łagodne niczym jelenie w rajskim ogrodzie zaczęły skubać miękką trawę.

Nie przeszkadzając im w śniadaniu, Billy wrócił do domu i zamknął na zasuwę tylne drzwi, mimo że nie dało mu to poczucia bezpieczeństwa. Zabójca miał najwyraźniej klucz względnie wytrych, którym umiał się sprawnie posługiwać.

Nie ruszając listu, otworzył lodówkę i wyjął z niej sok pomarańczowy.

Połknął aspiryny i popił je sokiem bezpośrednio z kartonu, wpatrując się przy tym w przymocowaną taśmą kartkę. Nie dotknął jej.

Wsunął dwie bułeczki do tosterka. Kiedy się upiekły, posmarował je masłem orzechowym i zjadł przy kuchennym stole.

Kusiło go, żeby nie czytając listu, spalić go w zlewie i splukać popiół. Zrezygnowałby w ten sposób z dalszego udziału w grze.

Pierwszy problem, jaki mógł się w takim wypadku wyłonić, nie różnił się od tego, który dręczył go już wcześniej: zaniechanie również oznaczało jakiś wybór.

Drugi problem polegał na tym, że on sam stał się ofiarą napaści. I obiecano mu dalsze.

Czy jesteś gotów na pierwszą ranę?

Świr nie podkreślił ani nie wyróżnił słowa „pierwszą”, ale Billy zgadywał, na co położony jest nacisk. Miał pewne wady, lecz nie należała do nich skłonność do oszukiwania samego siebie.

Jeśli nie przeczyta listu, jeśli spróbuje się wycofać, trudniej mu będzie wyobrazić sobie, co go czeka. Kiedy na jego głowę spadnie topór, nie usłyszy nawet świstu przecinanego powietrza.

Poza tym dla zabójcy nie była to bynajmniej gra — Billy zdał sobie z tego sprawę już poprzedniej nocy. Pozbawiony towarzysza zabaw świr nie zabierze po prostu swoich zabawek i nie pójdzie do domu. Doprowadzi wszystko do takiego końca, jaki sobie zaplanował.

Billy miał ochotę rzeźbić akantowe liście.

Miał ochotę rozwiązać krzyżówkę. Był w tym dobry.

Pranie, praca w ogródku, czyszczenie rynien, malowanie skrzynki na listy. Mógł zająć się prozaicznymi codziennymi obowiązkami i znaleźć w nich otuchę.

Miał ochotę pojechać do tawerny i pozwolić, by czas upływał mu na wykonywaniu monotonnych czynności i głupawych rozmowach.

Wszystkie zagadki, jakich potrzebował — i cały dramatyzm — można było odnaleźć w Whispering Pines, w tajemniczych słowach, które padały czasami z ust Barbary, i w jego upartej wierze, że istnieje dla niej jakaś nadzieja. Nie potrzebował nic więcej. Nie miał nic więcej.

Nie miał nic więcej aż do chwili, kiedy zaczęła się ta historia — historia, której nie potrzebował i nie chciał, i przed którą nie mógł uciec.

Po zjedzeniu bułek włożył talerz i nóż do zlewu. Umył je, wytarł i odstawił na miejsce.

W łazience zdjął opatrunek z czoła. Każdy haczyk przebił dwa razy jego skórę. Sześć skaleczeń było czerwonych i zaognionych.

Delikatnie obmył je wodą, a potem ponownie przetarł spirytusem i wodą utlenioną, posmarował neosporinem i nałożył nowy opatrunek.

Miał chłodne czoło. Podjęte przez niego zabezpieczenia mogły nie uchronić go przed infekcją, jeżeli haczyk był brudny, zwłaszcza gdyby zadziory dotknęły kości.

Nie groził mu tężec. Odnawiając przed czterema laty garaż, aby założyć w nim warsztat stolarski, zranił się głęboko w lewą rękę skorodowanym ostrym zawiasem i zaszczepił ponownie na tężec, koklusz i dyfteryt. Tężec nie powinien spędzać mu snu z powiek. Nie umrze na tę chorobę.

Nie umrze również w wyniku infekcji. To były fałszywe obawy, które miały odwrócić jego uwagę od realnych i większych zagrożeń.

W kuchni oderwał kartkę' od lodówki, zmiął ją w kulkę i podszedł do kosza na śmieci.

Zamiast wyrzucić list, rozłożył go na stole i przeczytał.

Zostań dziś rano w domu. Mój wspólnik przyjdzie do ciebie o 11.00. Zaczekaj na niego na frontowej werandzie. Jeśli nie zostaniesz w domu, zabiję dziecko. Jeśli zawiadomisz policję, zabiję dziecko.

Wydajesz się taki zagniewany. Czyż nie podałem ci przyjaznej dłoni? Owszem, zrobiłem to.

Wspólnik. To słowo zaniepokoiło Billy'ego. Wcale mu się nie spodobało.

Socjopatyczni mordercy działali czasami w parach. Gliniarze nazywali ich kumplami od mokrej roboty. „Dusicielem z Hillside” w Los Angeles byli w rzeczywistości dwaj kuzyni. „Snajperem z Waszyngtonu” okazali się dwaj mężczyźni.

Rodzina Mansonów liczyła więcej niż dwie osoby.

Prosty barman mógł mieć nadzieję, że poradzi sobie z jednym bezwzględny psychopata. Ale nie z dwoma.

Billy nie miał zamiaru iść na policję. Świr już dwukrotnie udowodnił, że dotrzymuje słowa. Jeśli Billy go nie posłucha, zginie dziecko.

W tym wypadku miał przynajmniej do wyboru możliwość, która nie pociągała za sobą czyjejs śmierci.

Pierwsze cztery linijki tekstu były oczywiste, ale znaczenie dwóch ostatnich nie było łatwe do rozszyfrowania.

Czyż nie podałem ci przyjaznej dłoni?

Od razu rzucił się w oczy drwiący ton. Billy wyczuwał również prowokującą sugestię, że informacja zawarta w tym zdaniu mogłaby okazać się przydatna, gdyby tylko zdołał ją zrozumieć.

Sześciokrotne — a nawet ośmiokrotne i dziesięciokrotne — przeczytanie listu nie naprowadziło go na żaden trop. Wzbudziło wyłącznie frustrację.

Mając w ręku tę kartkę, Billy dysponował ponownie jakimś dowodem rzeczowym. Choć sama w sobie niewiele znaczyła i nie powinna zrobić wrażenia na policji, zamierzał schować ją w bezpiecznym miejscu.

Przyjrzał się kolekcji książek w salonie. W ostatnich latach była dla niego wyłącznie czymś, co należało odkurzać.

Wybrał W naszych czasach, wsadził list między stronę tytułową

i stronę z dedykacją, i odstawił książkę z powrotem na półkę.

Pomyślał o martwym Lannym Olsenie, siedzącym w fotelu z przygodową książką na kolanach.

W sypialni wyciągnął smitha & wessona spod poduszki.

Sprawdzając broń, przypomniał sobie, jak zachowywała się podczas wystrzału. Lufę podrywało lekko do góry. Górna część kolby opierała się mocniej o kłęb kciuka, i siła odrzutu wędrowała przez kości ręki oraz ramienia, przeszywając szpik.

W szufladzie komody leżało otwarte pudełko z amunicją. Billy włożył po trzy zapasowe naboje do każdej z przednich kieszeni spodni.

Sześć pocisków powinno wystarczyć. Cokolwiek miało się zdarzyć, nie zapowiadało się raczej na wojnę. Starcie powinno być gwałtowne i brutalne, lecz szybkie.

Poprawił pościel po nocy. Nie nakrył jej narzutą, ale ułożył na nowo poduszki i naciągnął prześcieradło tak, że było napięte niczym membrana bębna.

Biorąc ponownie broń z nocnej szafki, przypomniał sobie nie tylko, jak zachowywała się podczas wystrzału, ale jak to jest, gdy zabija się człowieka.



# 19

Odbierając telefon komórkowy, Jackie O'Hara przywitał go formułą, do której przywykł, pracując za barem.

— Czym mogę służyć?

— Szefie, tu Billy.

— Cześć, Billy, wiesz, o czym rozmawialiśmy zeszłej nocy?

— O sporcie?

— Gdzie tam, do diabła. Nie jesteśmy cholernym sportowym barem.

— Przepraszam — mruknął Billy, spoglądając przez okno na ławkę, z której zniknęły jelenie.

— Faceci w sportowym barze... picie nic dla nich nie znaczy.

— To tylko sposób, żeby złapać fazę.

— Zgadza się. Równie dobrze mogliby zajarać trawę albo nawet nażłopać się kawy. Nie jesteśmy cholernym sportowym barem.

Billy, który słyszał to już wcześniej, próbował drążyć dalej temat.

— Dla naszych klientów picie to coś w rodzaju rytuału.

— Więcej niż rytuał. To obrzęd, ceremonia, prawie sakrament. Nie dla wszystkich, ale dla większości. To komunია.

— No dobrze. Więc rozmawiali o Wielkiej Stopie?

— Chciałbym... Najlepsze, naprawdę zajmujące barowe rozmowy

dotyczyły kiedyś Wielkiej Stopy, latających spodków, zaginionego kontynentu Atlantydy, tego, co się stało z dinozaurami...

— Tego, co jest po drugiej stronie księżycy — przerwał mu Billy. — Potwora z Loch Ness, Całunu Turyńskiego...

— Duchów, Trójkąta Bermudzkiego, wszystkich tych klasycznych tematów — podjął Jackie. — Ale to już się skończyło.

— Wiem — przyznał Billy.

— Rozmawiali o tych profesorkach z Harvardu, Yale i Princeton, tych naukowcach, którzy twierdzą, że za pomocą klonowania, komórek macierzystych i inżynierii genetycznej stworzą wyższą rasę.

— Sprytniejszą, szybszą i lepszą od nas — ocenił Billy.

— Do tego stopnia lepszą — odparł Jackie — że nie będą w ogóle ludźmi. Pisali o tym w „Timie” albo „Newsweeku”. Ci naukowcy uśmiechali się i byli z siebie bardzo dumni. Tam, w tym czasopiśmie.

— Nazywają to posthumanistyczną przyszłością — powiedział Billy.

— Co się z nami stanie, kiedy będziemy „post”? — zapytał Jackie. — Będziemy mieli przechlapane. Rasa panów. Czy ci faceci nie słyszeli o Hitlerze?

— Uważają, że się od niego różnią.

— Nie mają lustra? Jacyś idioci krzyżują ludzkie i zwierzęce geny, żeby stworzyć nowe... nowe rzeczy. Jeden z nich chce stworzyć świnię, która będzie miała ludzki mózg.

— A to dopiero.

— W czasopiśmie nie napisano, dlaczego akurat świnię, jakby to było oczywiste, że świnię, a nie kota, krowę albo pręgowca. Na litość boską, Billy, czy nie dość trudne jest bycie ludzkim mózgiem w ludzkim ciele? Co to będzie za cholerstwo, ludzki umysł w świńskim ciele?

— Może tego nie dożyjemy — rzekł Billy.

— Dożyjesz, jeśli nie masz zamiaru przekreślić się już jutro. Bardziej mi się podobała Wielka Stopa. Bardziej mi się podobały duchy

i Trójkąt Bermudzki. Teraz wszystkie te pokręcone brednie stały się prawdziwe.

— Zadzwoń, żeby ci powiedzieć, że nie dam dziś rady przyjść do roboty — oznajmił Billy.

— Hej, co się stało, jesteś chory? — zapytał z autentyczną troską Jackie.

— Trochę mi niedobrze.

— Nie słyszę, żebyś był przeziębiony.

— Nie sądzę, żeby to było przeziębienie. To raczej coś z żołądkiem.

— Czasami tak się zaczyna letnie przeziębienie. Lepiej weź cynk. Jest taki cynkowy żel, który wciskasz do nosa. Naprawdę pomaga. Przeziębienie przechodzi, jak ręką odjął.

— Wezmę trochę.

— Za późno na witaminę C. Trzeba ją brać przez cały czas.

— Zażyję cynk. Czy zadzwoniłem za wcześnie? Ty zamknąłeś wczoraj tawernę?

— Nie. Wróciłem do domu o dziesiątej. Cała ta gadka o świniach z ludzkimi mózgami wytrąciła mnie z równowagi.

— Więc lokal zamknął Steve Zillis?

— Tak. Można na nim polegać. Teraz żałuję, że opowiedziałem ci o nim te bzdury. Jeśli chce rąbać na swoim podwórku manekiny i arbuzy, to jego sprawa, póki dobrze wykonuje swoją robotę.

We wtorkowy wieczór ruch w tawernie był często minimalny. Jeśli klienci nie dopisali, Jackie wołał nie czekać do drugiej, kiedy ją normalnie zamykano. Otwarty lokal z niewieloma klientami lub też w ogóle bez nich kusił rabusiów i pracownikom groziło niebezpieczeństwo.

— Duży ruch? — zapytał Billy.

— Steve powiedział, że po jedenastej miał wrażenie, że to koniec świata. Musiał otworzyć drzwi i wyjrzeć na zewnątrz, żeby upewnić się, czy nikt ich nie teleportował na księżyc albo gdzie indziej. Zgasił światło przed północą. Chwała Bogu, że nie mamy dwóch wtorków w tygodniu.

— Ludzie lubią spędzić niekiedy trochę czasu z rodziną. To przekleństwo rodzinnego baru.

— Zabawny z ciebie facet, wiesz?

— Nie zawsze.

— Jeśli wciśniesz sobie ten cynk do nosa i ci nie pomoże — powiedział Jackie — zadzwoń jeszcze raz, to powiem ci, gdzie jeszcze możesz go wcisnąć.

— Myślę, że byłby z ciebie świetny ksiądz. Naprawdę.

— Wracaj do zdrowia, dobrze? Klienci tęsknią za tobą, kiedy masz wolny dzień.

— Naprawdę?

— Niezupełnie. Ale przynajmniej nie cieszą się, że cię nie ma.

W sytuacji, w jakiej znajdował się Billy, prawdopodobnie tylko Jackie O'Hara potrafił przywołać na jego usta uśmiech.

Rozłączył się i spojrzął na zegarek. Dziesiąta trzydzieści jeden.

„Wspólnik” miał pojawić się za niespełna pół godziny.

Jeśli Steve Zillis zamknął tawernę tuż przed północą, miał mnóstwo czasu, żeby pojechać do domu Lanny'ego, zabić go i posadzić w fotelu w sypialni.

Gdyby kazano Billy'emu wskazać podejrzanych, raczej nie postawiłby na Steve'a. Ale czasami wyścig wygrywa ten, na kogo nikt nie postawił złamanego szeląga.

# 20

Na frontowej werandzie były dwa tekowe bujane fotele z ciemnozielonymi poduszkami. Billy rzadko potrzebował drugiego.

Tego ranka, ubrany w biały podkoszulek i brezentowe spodnie, zajął fotel bardziej oddalony od schodków na werandę. Nie bujał się. Siedział nieruchomo.

Tuż przy nim stał tekowy koktajlowy stolik. Na stoliku, na korkowej tacce stała szklanka z colą.

Billy nie upił z niej ani łyka. Przygotował ją w charakterze rekwizytu, który miał odwrócić uwagę od pudełka z krakersami Ritza.

W pudełku nie było nic poza rewolwerem z krótką lufą. Jedyne krakersy leżały na stole, obok pudełka.

Dzień był jasny, bezchmurny i gorący, zbyt suchy, by zadowolić winiarzy, lecz całkiem odpowiedni dla Billy'ego.

Z werandy, między cedrami himalajskimi, widział długą wiejską drogę, która wiodła pod górę do jego domu.

Ruch był niewielki. Rozpoznawał niektóre z pojazdów, lecz nie wiedział, do kogo należą.

Nad prażącym się słońcu asfalterm unosiły się wywołane przez upał zjawy.

O 10.53 w oddali pojawiła się idąca postać. Billy raczej nie

przewidywał, że współnik przybędzie na spotkanie piechotą. Był przekonany, że to ktoś inny.

Z początku postać mogła się wydać mirażem. Żar zniekształcał ją, marszczył, sprawiał, że wyglądała niczym odbicie w wodzie. W pewnym momencie wyparowała, ale po chwili pojawiła się ponownie.

W twardym świetle mężczyzna wydawał się wysoki i chudy, nienaturalnie chudy, jakby wisiał ostatnio na krzyżu, na kukurydzianym polu, łypiąc gniewnie na ptaki oczyma z guzików.

Skreślił z wiejskiej drogi i ruszył podjazdem. Potem zszedł z podjazdu na trawę. O 10.58 stanął przed schodkami na werandę.

— Pan Wiles? — zapytał.

— Tak.

— Chyba mnie pan oczekuje.

Miał ochrypy, szorstki głos kogoś, kto zamarynował krtań w whiskey i uwędził ją, zaciągając się przez długie lata papierosowym dymem.

— Jak pan się nazywa? — zapytał Billy.

— Ralph Cottle, proszę pana.

Billy oczekiwał, że przybysz zignoruje jego pytanie. Jeśli ukrywał swoje nazwisko, wystarczyłoby proste John Smith. Ralph Cottle zabrzmiało prawdziwie.

Cottle był rzeczywiście taki chudy, jak zdawało się z oddali, ale nie aż tak wysoki. Jego cienki kark wyglądał, jakby mógł załamać się pod ciężarem głowy.

Miał na nogach pociemniałe ze starości i brudu białe tenisówki. Wyświecony, kakaowobrązowy letni garnitur z postrzępionymi mankietami wisiał na nim z podobną gracją, z jaką zwisałyby z wieszaka. Poliestrowa koszula była wytarta i poplamiona i brakowało jej guzika.

Rzeczy pochodziły ze sklepu ze starzyzną, z najtańszego kosza, i nosił je od bardzo dawna.

— Czy mógłbym stanąć w cieniu, panie Wiles?

Stojąc u stóp schodów, Cottle wyglądał, jakby mógł w każdej

chwili wyrzucić się pod ciężarem słońca. Wydawał się zbyt wątpliwy, by stanowić zagrożenie, ale w takich sprawach nigdy nic nie wiadomo.

— Jest tu dla pana fotel — powiedział Billy.

— Dziękuję. Doceniam pańską uprzejmość.

Billy stęzał, kiedy Cottle wspinał się po schodkach, i rozluźnił się trochę, kiedy mężczyzna usiadł w drugim bujanym fotelu.

Cottle również się nie zabujał, jakby wprawienie fotela w ruch wymagało zbyt wiele wysiłku, by można było w ogóle brać to pod uwagę.

— Nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli zapalę? — zapytał.

— Owszem, będę miał.

— Rozumiem. To paskudny nałóg.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Cottle wyjął piersiówkę seagramsa i odkręcił korek. Jego kościste ręce drżały. Nie zapytał, czy może się napić. Po prostu pociągnął łyk.

Jak widać panował nad nikotynowym nałogiem w wystarczającym stopniu, by folgując mu, zachować wymogi grzeczności. Natomiast gorzała mówiła po prostu, kiedy jej potrzebuje, i nie mógł nie posłuchać jej płynnego głosu.

Billy podejrzewał, że w innych kieszeniach kryją się inne piersiówki, a także papierosy i zapalniczki oraz być może kilka skrętów. To wyjaśniało kwestię garnituru mimo panującego upału: służył on nie tylko jako przyodziewek, lecz jako niezbednik, dzięki któremu przybysz mógł ulegać swoim licznym słabościom.

Alkohol nie zmienił koloru jego twarzy, która i tak była już pociemniała od słońca i zaczerwieniona od układających się\* w misterną siateczkę popękanych żyłek.

— Długo pan szedł? — zapytał Billy.

— Tylko od skrzyżowania. Wcześniej ktoś mnie podrzucił. W tej okolicy zna mnie dużo osób — dodał Cottle, kiedy na twarzy Billy'ego pojawiło się powątpiewanie. — Wiedzą, że jestem nieszkodliwy. Niechlujny, ale czysty.

Jego blond włosy rzeczywiście wydawały się czyste, chociaż ich nie uczesał. Był za to ogolony. Skóra jego twarzy była tak szorstka, że nie zdołałby jej skaleczyć nawet drżącą ręką.

Trudno było określić jego wiek. Mógł mieć czterdzieści albo sześćdziesiąt lat, ale nie trzydzieści albo siedemdziesiąt.

— To bardzo zły człowiek, panie Wiles.

— Kto?

— Ten, który mnie do pana wysłał. — Jest pan jego współnikiem.

— Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że jestem małpą.

— Wspólnik... tak pana określił.

— Czy ja wyglądam na małpę?

— Jak się nazywa?

— Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

— Jak wygląda?

— Nie widziałem jego twarzy. Mam nadzieję, że nigdy jej nie zobaczę.

— Miał kominiarkę? — domyślił się Billy.

— Tak, proszę pana. Jego oczy były zimne jak oczy węża.

Głos zadrżał mu, solidaryzując się z rękoma, i Cottle ponownie przystawił do ust szyjkę butelki.

— Jakiego były koloru? — zapytał Billy.

— Dla mnie były żółte jak żółtko w jajku, ale to dlatego, że padało na nie światło lampy.

— Było zbyt ciemno, żebym zobaczył ich kolor... widziałem tylko gorący błysk — powiedział Billy, przypominając sobie spotkanie na kościelnym parkingu.

— Nie jestem takim złym człowiekiem jak on, panie Wiles. Problem w tym, że jestem słaby.

— Dlaczego pan tu przyszedł?

— Po pierwsze, dla pieniędzy. Zapłacił mi sto czterdzieści dolarów, w dziesięciodolarowych banknotach.

— Sto czterdzieści? Udało się panu tyle wytargować powyżej setki?



— Nie, proszę pana. Dokładnie tyle mi zaproponował. Powiedział, że daje dziesięć dolarów za każdy rok pańskiej niewinności, panie Wiles.

Billy wpatrywał się w niego w milczeniu.

Oczy Ralpa Cottle'a mogły być kiedyś intensywnie niebieskie. Niewykluczone jednak, że wyblakły od wypitego alkoholu, ponieważ miały teraz odcień najjaśniejszego błękitu, jaki kiedykolwiek Billy widział, jasny odcień nieba na dużej wysokości, gdzie atmosfera jest zbyt rzadka, by zapewnić pełnię kolorom, i gdzie trudno ukryć czającą się nieopodal pustkę.

Cottle uciekł w bok spojrzeniem i popatrzył na podwórko, drzewa i drogę.

— Wie pan, co to znaczy? — zapytał Billy. — Czternaście lat mojej niewinności?

— Nie, proszę pana. To nie moja sprawa. On chciał po prostu, żebym to panu powiedział.

— Wspomniał pan, że po pierwsze dla pieniędzy. Dlaczego jeszcze?

— Gdybym do pana nie przyszedł, zabiłby mnie.

— Zagroził, że to zrobi?

— On nie grozi, panie Wiles.

— Wygląda mi to na groźbę.

— On mówi po prostu, co się stanie, i wiadomo, że to prawda. Albo przyszedłbym do pana, albo zginął. I to nie lekka, lecz bardzo ciężką śmiercią.

— Wie pan, co on zrobił? — zapytał Billy.

— Nie, proszę pana. I niech pan mi tego nie mówi.

— Teraz obaj wiemy, że on istnieje naprawdę. Moglibyśmy wzajemnie uwiarygodnić nasze zeznania.

— Niech pan nawet o tym nie mówi.

— Nie widzi pan? Facet popełnił błąd.

— Chciałbym być jego błędem — rzekł Cottle — ale nie jestem. Za dużo pan o mnie myśli, a wcale pan nie powinien.

— Trzeba go powstrzymać — powiedział Billy.

— Ja tego nie zrobię. Nie jestem bohaterem niczyjej bajki. Niech

pan mi nie mówi, co on zrobił. Niech pan się nawet nie waży.

— Dlaczego miałbym panu nie mówić?

— To pański świat. Nie mój.

— Jest tylko jeden świat.

— Nie, proszę pana. Są ich miliardy. Mój różni się od pańskiego i tak już powinno zostać.

— Siedzimy na tej samej werandzie.

— Nie, proszę pana. Może się wydawać, że to ta sama weranda, ale to dwie różne werandy. Pan wie, że to prawda. Widzę to w panu.

— Co pan widzi?

— Widzę, że jest pan trochę podobny do mnie.

— Nic pan nie widzi — odparł Billy, czując, jak przechodzi go dreszcz. — Nawet pan na mnie nie patrzy.

Ralph Cottle ponownie popatrzył mu w oczy.

— Widział pan twarz kobiety w słoju, podobną do meduzy? — zapytał.

Rozmowa zesłała nagle z głównego nurtu na dziwne manowce.

— Jaką kobietę? — zapytał Billy.

Cottle pociągnął kolejny łyk z piersiówki.

— On twierdzi, że trzyma ją w tym słoju już trzy lata.

— W słoju? Lepiej przestań wlewać w siebie tę wodę, Ralph. Mówisz od rzeczy.

Cottle przymknął powieki i skrzywił się, jakby widział przed oczyma to, co zaczął opisywać.

— To półtoralitrowy słoć, może większy, z szerokim otworem. On zmienia regularnie formaldehyd, żeby nie zmętniał.

Niebo nad werandą było krystalicznie czyste. Wysoko w promieniach słońca krążył samotny jastrząb, wyraźny jak cień.

— Twarz lubi się zwijać — kontynuował Cottle — więc z początku jej nie widać. Widać jakby coś wyłowionego z morza, ściśniętego, lecz mimo to rozdętego. Więc facet łagodnie potrząsa słojem,

łagodnie porusza zawartością i twarz... jakby rozkwita.

Trawa na trawniku jest słodka i zielona, a dalej, tam gdzie dba o nią sama natura, wyższa i złocista. Obie trawy wydzielają odmienne zapachy, każdy rzeński i przyjemny na swój sposób.

— Najpierw rozpoznaje się ucho — powiedział Ralph Cottle. — Uszy są doczepione do głowy i chrząstki nadają im określony kształt, W nosie też jest chrząstka, ale nie zachowuje zbyt dobrze kształtu. Nos wygląda jak kartofel.

Jastrząb opadał z jasnych przestworzy coraz ciaśniejszym korkociągami, kreśląc ciche i harmonijne kręgi.

— Wargi są pełne, ale usta to zwykła dziura. Oczy to też dziury. Nie ma włosów, ponieważ on wyciął skórę tylko od ucha do ucha i od czoła do podbródka. Nie można poznać, czy to twarz kobiety, czy mężczyzny. On mówi, że jest piękna, ale w słoju nie widać piękna.

— To tylko maska z lateksu, tania sztuczka — powiedział Billy.

— O nie, to prawdziwa twarz. Prawdziwa jak śmiertelny nowotwór. On mówi, że to drugi akt jednej z jego najlepszych inscenizacji.

— Inscenizacji?

— Ma cztery fotografie jej twarzy. Na pierwszej jest żywa. Potem martwa. Na trzeciej twarz jest częściowo ściągnięta. Na czwartej widać głowę i włosy, ale nie ma tkanki miękkiej. Została tylko kość, szczerząca zęby czaszka.

Jastrząb przestał zataczać kręgi i runął raptownie w dół, pikując w wysoką trawę.

Piersiówka przypomniała Ralphowi Cottle'owi, że jego fortyfikacje wymagają wzmocnienia. Podniósł ją do ust i podbudował kolejnym łykiem sypiącą się w gruzy odwęgę.

— Na pierwszym zdjęciu, tym, na którym żyje, może jest i ładna — oznajmił, wydzielając z ust wonne wyziewy. — Trudno powiedzieć, bo na jej twarzy widać wyłącznie przerażenie. Jest brzydka ze strachu.

Wysoka trawa, jeszcze przed chwilą nieruchoma w paraliżującym skwarze, zafalowała nagle tam, gdzie roztrąciły ją pióra.

— Twarz na tym pierwszym zdjęciu — podjął Cottle — jest gorsza niż twarz w słoju. O wiele gorsza.

Jastrząb wyskoczył z trawy i wzbił się w powietrze. W pazurach trzymał coś małego, chyba mysz polną, która wierzgała przerażona, a może i nie wierzgała. Z tej odległości trudno było to stwierdzić.

Głos Cottle'a był niczym szorujący stare drewno pilnik.

— Jeśli nie zrobię dokładnie tego, co kazał mi zrobić, obiecał, że umieści w słoju moją twarz. I postara się, żebym żył i był przytomny, kiedy będzie ją wycinał.

Szybujący na tle krystalicznie jasnego nieba jastrząb ponownie stał się czarny i wyraźny jak cień. Jego skrzydła przecinały błyszczące powietrze, a ciepłe prądy powietrzne były niczym nieskazitelnie czysta rzeka, przez którą płynął i w której w końcu zniknął, zabrawszy tylko to, czego potrzebował do przetrwania.

# 21

Siedząc nieruchomo w bujanym fotelu, Ralph Cottle wyjawiał, że mieszka w rozpadającej się chacie przy rzece. Chatę, składającą się z dwóch izb oraz werandy z widokiem, zbity z desek w latach trzydziestych i od tego czasu popadała w ruinę.

Dawno temu nocowali w niej łowiący ryby niezidentyfikowani nieokrzesani osobnicy. Nie było tam prądu. Wygódka na zewnątrz służyła za toaletę. Bieżąca woda płynęła rzeką.

— W tym miejscu mogli się schronić przed żonami — oznajmił Cottle. — I się upić. Nadal można to tam robić.

Kominek zapewniał ciepło i pozwalał ugotować coś prostego. Cottle odżywiał się głównie odgrzewanymi daniami z puszek.

Działka stanowiła kiedyś prywatną własność. Obecnie należała do okręgu, który najprawdopodobniej przejął ją za niezapłacone podatki. Nikt o nią nie dbał, jak to przeważnie bywa w przypadku państwowej ziemi. Żaden biurokrata ani strażnik leśny nie nachodził Ralpha Cottle'a od dnia, kiedy przed jedenastu laty wysprzątał dom, położył tam swoje poślanie i został dzikim lokatorem.

Nie miał sąsiadów w zasięgu wzroku. Domek stał na odludziu, ale wcale mu to nie przeszkadzało.

Aż do godziny 3.45 poprzedniego ranka, kiedy obudził go gość

w kominiarce. W tym momencie to, co wydawało mu się przytulnym odosobnieniem, stało się przerażającą izolacją.

Cottle zasnął, nie gasząc lampy naftowej, przy której czytał powieści z Dzikiego Zachodu i upijał się przed snem. Mimo palącego się w izbie światła nie zapamiętał żadnego faktu, który pomógłby zidentyfikować zabójcę. Nie potrafił określić, jakiego był wzrostu i ile mógł ważyć.

Twierdził, że głos szaleńca nie miał cech charakterystycznych.

Billy podejrzewał, że Cottle wie więcej, lecz boi się powiedzieć. Lęk malujący się w jego wyblakłych, niebieskich oczach, choć nie tak paniczny, był jednak tak samo czysty i intensywny jak przerażenie nieznannej sfotografowanej kobiety, od której świr „pobrał” twarz.

Sądząc po długości jego wychudłych palców i grubych sękatych nadgarstkach, Cottle potrafił się kiedyś bronić. Teraz jednak, jak sam przyznawał, był słaby, nie tylko emocjonalnie i moralnie, lecz fizycznie.

Mimo to Billy pochylił się do przodu w swoim fotelu i próbował przeciągnąć go na swoją stronę.

— Niech pan potwierdzi moje zeznania na policji. Niech pan mi pomoże...

— Nie potrafię pomóc nawet samemu sobie, panie Wiles.

— Kiedyś umiał pan sobie chyba jakoś radzić.

— Nie chcę tego pamiętać.

— Czego pamiętać?

— Czegokolwiek. Mówiłem już panu: jestem słaby.

— Wygląda na to, że chce pan być słaby.

Cottle podniósł do ust butelkę i uśmiechnął się lekko, zanim z niej pociągnął.

— Nie słyszał pan? Cisi odziedziczą ziemię.

— Jeśli nie chce pan tego zrobić dla siebie, niech pan to zrobi dla mnie.

Cottle oblizał wargi, które były fatalnie spierzchnięte w wyniku upału i odwadniającego działania whiskey.

— Dlaczego miałbym to zrobić? — zapytał.

— Cisi nie stoją z boku, patrząc, jak niszczy się innego człowieka. Cisi to nie to samo co tchórzliwi. To dwie różne rzeczy.

— Nie skłoni mnie pan do współpracy zniewagami. Ja się nie obrażam. Nie dbam o to. Wiem, że jestem nikim, i wcale mi to nie przeszkadza.

— To, że zrobił pan to, co panu kazał, wcale nie znaczy, że będzie pan bezpieczny w swojej chacie.

— Bezpieczniejszy od pana — stwierdził Cottle, zakręcając butelkę.

— Wątpię. Poprzez pana można dotrzeć do niego. Niech pan posłucha, policja da panu ochronę.

Z ust lumpa wydarł się chrapliwy śmiech.

— Dlatego właśnie tak szybko się pan do nich zgłosił? Żeby dali panu ochronę?

Billy nie odpowiedział.

Ośmielony jego milczeniem, Cottle odezwał się ostrzejszym tonem, bardziej triumfalnym aniżeli złośliwym.

— Pan też jest nikim, podobnie jak ja, tyle że jeszcze pan o tym nie wie. Pan jest zerem, ja jestem zerem, wszyscy jesteśmy zerami. I jeżeli ten stuknięty gnój zostawi mnie w spokoju, może robić, co mu się żywnie podoba, ponieważ on także jest zerem.

— A co będzie, jeśli zrzucę pana z tych schodów i wykopię z mojej ziemi? — powiedział Billy, patrząc, jak Cottle odkręca korek, który dopiero co zakręcił. — On dzwoni do mnie czasami, żeby grać mi na nerwach. Co będzie, jeśli powiem mu, że był pan pijany, bełkotał i nie mogłem zrozumieć ani słowa z tego, co pan mówił?

Opalona i przekrwiona twarz Cottle'a nie mogła okryć się bladością, lecz jego spierzchnięte usta, które dopiero co zacisnęły się z satysfakcją po wygłoszonej tyradzie, teraz otworzyły się i posypały się z nich fałszywe monety przeprosin.

— Panie Wiles, proszę, niech pan nie zwraca uwagi na mój niewyparzony język. Nie potrafię zapanować nad tym, co pada z moich ust, podobnie jak nie potrafię zapanować nad tym, co w nie wlewam.

— On chciał, żeby opowiedział mi pan o twarzy w słoju, prawda?

— Tak, proszę pana.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Nie konsultowałem tego ze mną, proszę pana. Włożył mi po prostu w usta słowa, które miałem panu powtórzyć, i jestem tutaj, bo chcę żyć.

— Dlaczego?

— Słucham?

— Spójrz na mnie, Ralph.

Cottle popatrzył mu prosto w oczy.

— Dlaczego chcesz żyć?

Cottle zrobił taką minę, jakby nigdy nad tym nie myślał, jakby to pytanie przyszpiliło jakąś rzadką ćmę trzepoczącą nocą w jego umyśle, jakiś wiecznie niespokojny, wiecznie swarliwy, wiecznie zgorzkniały aspekt jego osobowości, nad którym w tym momencie wydawał się w końcu skłonny zastanowić. Ale potem uciekł w bok spojrzeniem i objął piersiówkę nie jedną, lecz obiema dłońmi.

— Dlaczego chcesz żyć? — nie dawał za wygraną Billy.

— A cóż innego pozostaje? — Unikając jego wzroku, Cottle podniósł w obu dłoniach butelkę, jakby trzymał kielich mszalny. — Chętnie łyknąłbym kropelkę — oznajmił, jakby prosił o pozwolenie.

— Proszę bardzo.

Cottle pociągnął mały łyk i zaraz potem następny.

— Świr kazał panu opowiedzieć o twarzy w słoju, bo chciał, żebyśmy ją sobie wyobraził — powiedział Billy.

— Skoro pan tak mówi.

— Chodzi o zastraszenie, o wytrącenie mnie z równowagi.

— Jest pan wytrącony z równowagi?



— Co jeszcze miał mi pan przekazać? — cisnął go dalej Billy, ignorując pytanie.

Cottle zakręcił ponownie butelkę, jakby przechodził teraz do interesów, i tym razem schował ją do kieszeni na piersi.

— Ma pan pięć minut na podjęcie decyzji — powiedział.

— Jakiej decyzji?

— Niech pan zdejmie zegarek i oprze go o balustradę werandy.

— Po co?

— Żeby odliczyć pięć minut.

— Mogę je liczyć z zegarkiem na rękę.

— Położenie go na balustradzie będzie sygnałem, że zaczęło się odliczanie.

Na północy lasy, cieniste i chłodne nawet w gorący dzień. Na wschodzie zielony trawnik, potem wysoka złota trawa, kilka rozłożystych dębów i domy na zboczu. Na zachodzie droga, drzewa, a za nimi pola.

— Obserwuje nas w tej chwili? — zapytał Billy.

— Powiedział, że będzie obserwował, panie Wiles.

— Z którego miejsca?

— Nie wiem, proszę pana. Proszę, niech pan po prostu zdejmie zegarek i oprze go o balustradę.

— A jeśli tego nie zrobię?

— Proszę tak nie mówić, panie Wiles.

— A jeśli tego nie zrobię? — powtórzył Billy.

— Wspominałem już panu — odparł Cottle swoim ochrypłym barytonem, który przeszedł nagle w wyższy rejestr. — Wytnie mi twarz i nie stracę przytomności, kiedy będzie to robił. Mówiłem panu.

Billy wstał, zdjął z nadgarstka swojego timeksa i oparł go o balustradę, tak że cyferblat był widoczny z obu bujanych foteli.

Sięgające zenitu słońce roztopiło cienie wszędzie poza lasem. Okryte zielenią zakonspirowane drzewa nie ujawniły żadnych sekretów.

— Musi pan usiąść, panie Wiles.

Blask pokrył chromowozółtą mgiełką pola i bruzdy i Billy musiał zmrużyć oczy, penetrując wzrokiem niezliczone miejsca, gdzie mógł się skryć na otwartym terenie człowiek, skutecznie zakamuflowany dzięki roziskrzonemu słonecznemu światłu.

— Nie zauważy pan go — powiedział Cottle — a jemu nie spodoba się, że pan próbuje. Niech pan tu wraca i siada w fotelu.

Billy dalej stał przy balustradzie.

— Zmarnował pan pół minuty, panie Wiles. Czterdzieści sekund.

Billy nie poruszył się.

— Nie wie pan, w jakim znalazł się pan potrzasku — rzekł podenerwowany Cottle. — Będzie pan potrzebował każdej minuty, którą dał panu na zastanowienie.

— Więc niech pan mi powie, co to za potrzask.

— Musi pan usiąść. Na litość boską, panie Wiles. — Cottle podniósł głos, zupełnie jak podnosi ręce zrozpaczona stara kobieta. — On chce, żeby pan usiadł.

Billy wrócił na swoje miejsce.

— Chcę to już po prostu mieć za sobą—oznajmił Cottle. — Chcę powtórzyć, co kazał mi powiedzieć, i wynosić się stąd.

— Teraz to pan marnuje czas.

Minęła pierwsza z pięciu minut.

— W porządku, dobrze — zgodził się Cottle. — Teraz to on będzie mówił. Rozumie pan? To on.

— Gadaj pan.

Cottle oblizwał nerwowo wargi. Wyciągnął piersiówkę z kieszeni marynarki, nie zamierzał jednak w tym momencie skosztować jej zawartości. Ścisnął ją tylko oburącz, jakby była obdarzonym tajemną mocą talizmanem, który rozproszy spowijające jego umysł pijackie opary, pozwoli przekazać precyzyjnie wiadomość i uratować twarz przed zamarynowaniem w słoju.

— „Zabiję kogoś, kogo znasz. Wybierzesz dla mnie ofiarę spośród osób obecnych w twoim życiu” — zacytował Cottle. — Masz szansę uwolnić świat od jakiegoś beznadziejnego dupka”.

— Pojebany sukinsyn — mruknął Billy, uświadamiając sobie nagle, że zacisnął pięści i nie ma nimi w co uderzyć.

— „Jeśli nie wybierzesz dla mnie celu — cytował dalej Cottle — sam wybiorę i zabiję kogoś obecnego w twoim życiu. Masz pięć minut na podjęcie decyzji. Wybór należy do ciebie, jeśli masz odwagę go dokonać”.

# 22

Wysięk, którego wymagało precyzyjne odtworzenie wiadomości, zmienił Ralpa Cottle'a w kłębek rozedrganych nerwów. Niezliczone, dręczące go obawy widać było w rozbieganych oczach, wstrząsanej tikami twarzy i drżących dłoniach; Billy niemal słyszał łopoczące nad nim skrzydła przerażenia.

Kiedy zagrożony karą śmierci, gdyby coś pomylił, Cottle recytował wyzwanie i warunki świra, piersiówka była dodającym mu sił i natchnienia talizmanem; teraz jednak pożądał jej zawartości.

— Nie potrzebuję pięciu minut — powiedział Billy, zerkając na leżący na balustradzie zegarek. — Do diabła, nie potrzebuję nawet tych trzech, które mi zostały.

Nie idąc na policję i nie angażując ich w to, przyczynił się już mimowolnie do śmierci jednej znajomej osoby: Lanny'ego Olsena. Poprzez zaniechanie oszczędził matkę dwojga dzieci, ale skazał na śmierć przyjaciela.

Za swoją śmierć odpowiedzialny był w znacznym stopniu sam Lanny. Zabrał listy zabójcy i zniszczył je, aby uratować posadę i emeryturę. Zapłacił za to własnym życiem.

Mimo to Billy również ponosił jakąś winę. Czuł jej brzemień i wiedział, że się od niego nigdy nie uwolni.

To, czego obecnie domagał się świr, było czymś nowym i straszniejszym niż cokolwiek, czego żądał wcześniej. Tym razem nie przez zaniechanie, nie przez nieuwagę, lecz poprzez świadome wskazanie, Billy miał przyczynić się do śmierci kogoś, kogo znał.

— Nie zrobię tego — odparł.

Łyknąwszy kilka kropel, Cottle przesuwiał tam i z powrotem po wargach mokrą szyjkę butelki, jakby zamiast na whiskey, miał ochotę na francuski pocałunek. Hałaśliwie wciągnął przez nos alkoholowe wyziewy.

— Jeśli pan tego nie zrobi, on zrobi to za pana — zauważył.

— Dlaczego miałbym wybierać? Przecież tak czy owak jestem udupiony.

— Nie wiem. Nie chcę wiedzieć. To nie moja sprawa.

— Gówno prawda.

— To nie moja sprawa — upierał się Cottle. — Mam tutaj siedzieć, dopóki nie powie mi pan, jaką podjął decyzję. Potem przekażę mu ją i nic więcej mnie nie obchodzi. Zostały panu niecałe dwie minuty.

— Idę na policję.

— Na to już za późno.

— Tkwię po same uszy w gównie, ale mogę w nim jeszcze bardziej ugrzęznąć — uznał Billy, wstając z fotela.

— Niech pan siada! — nakazał mu ostro Cottle. — Jeśli będzie pan chciał opuścić werandę przede mną, oberwie pan kulką w głowę.

Lump miał poupychane w kieszeniach butelki, nie broń. Nawet gdyby miał pistolet, Billy był pewien, że zdoła mu go odebrać.

— Nie ja będę strzelał, ale on — pośpieszył z wyjaśnieniem Cottle. — Obserwuje nas teraz przez lunetę snajperskiego karabinu.

Mroczone lasy na północy, skąpana w słońcu pochyłość na wschodzie, skalne formacje i wykroty na polach na południu...

— Potrafi czytać z ruchu warg — powiedział Cottle. — Ma najwyższej jakości broń i umie się z nią obchodzić. Może pana trafić z tysiąca jardów.

— Może tego właśnie chcę.

— On chętnie spełni pana życzenie. Ale jego zdaniem nie jest pan jeszcze gotów. Mówi, że za jakiś czas pan będzie. Mówi, że w końcu sam go pan poprosi, żeby pana zabił. Ale jeszcze nie teraz.

Mimo że przygniatało go brzemień winy, Billy Wiles poczuł się nagle lekki jak piórko. Bojąc się, że uniesie go nagły podmuch wiatru, usiadł z powrotem na bujanym fotelu.

— Jest już za późno, żeby iść na policję — wyjaśnił Cottle. — On pozostawił dowody rzeczowe w jej mieszkaniu, na jej ciele.

Dzień był nadal spokojny, ale na werandzie zerwał się wiatr.

— Jakie dowody?

— Na przykład kilka pańskich włosów w jej pięści i pod paznokciami.

Billy'emu zdreptały wargi.

— Skąd wziął moje włosy?

— Z otworu odpływowego pańskiego prysznica.

Świr odwiedził ten dom, zanim jeszcze zaczął się koszmar, zanim zginęła Giselle Winslow.

Cień werandy nie chronił już dłużej przed letnim upałem. Billy równie dobrze mógłby stać na prażącym słońcu.

— Co jeszcze poza włosami?

— Nie powiedział. Ale to nie jest coś, dzięki czemu policja trafiłaby na pana trop... chyba że z jakiegoś powodu znalazłby się pan w kręgu podejrzanych.

— On może sprawić, że tam się znajdę.

— Jeśli gliniarze dojdą do wniosku, że powinni pana poprosić o próbkę DNA, już po panu.

Cottle zerknął na zegarek. Billy zrobił to samo.

— Została jedna minuta — oznajmił Cottle.

# 23

Jedna minuta. Billy Wiles patrzył na swój zegarek, jakby był bombą zegarową odliczającą czas do wybuchu.

Nie myślał o uciekających sekundach, o dowodach rzeczowych podrzuczonych w miejscu zabójstwa Giselle Winslow ani o tym, że jest na celowniku snajperskiego karabinu.

Zamiast tego układał w głowie spis ludzi obecnych w jego życiu. Tych, których lubił. Tych, do których miał stosunek obojętny. Tych, których nie znosił.

To były mroczne odmęty. Mógł w nich zatonać. Mimo to odsunięcie od siebie tych myśli okazało się tak samo trudne jak zignorowanie noża przystawionego do gardła.

Nóż innego rodzaju, nóż poczucia winy, uwolnił go w końcu od tych rozważań. Uświadomiwszy sobie, jak sumiennie szacował wartość swoich znajomych, jak poważnie oceniał, który z nich ma mniejsze prawo do życia, nie mógł powstrzymać dreszczu odrazy.

— Nie — powiedział na kilka sekund przed upłynięciem wyznaczonego czasu. — Nie, nigdy nie wybiorę. Niech idzie do diabła.

— W takim razie on wybierze za pana — przypomniał mu Cottle.

— Niech idzie do diabła.

— Dobrze. To pańska decyzja. I pańska odpowiedzialność, panie Wiles. Mnie nic do tego.

— I co teraz?

— Zostanie pan na fotelu, proszę pana, tam gdzie pan siedzi. Ja mam podejść do telefonu w kuchni, zaczekać, aż on zadzwoni i powiedzieć mu, jaka jest pańska decyzja.

— Ja wejdę do środka — oświadczył Billy. — Ja odbiorę telefon.

— Doprowadza mnie pan do szaleństwa — mruknął Cottle. — Przez pana obaj zginiemy.

— To mój dom.

Cottle podniósł do ust butelkę. Ręce drżały mu tak silnie, że szkło zadzwoniło o zęby. Whiskey pociekła mu po podbródku.

— On chce, żeby pan siedział w fotelu — oznajmił, w ogóle jej nie wycierając. — Jeśli spróbuje pan wejść do środka, przestrzeli panu mózg, zanim dojdzie pan do drzwi.

— I co mu z tego przyjdzie?

— A potem przestrzeli mózg mnie, ponieważ nie przekonałem pana, żeby mnie pan słuchał.

— Nie robi tego — odparł Billy, zaczynając patrzeć na całą sytuację z punktu widzenia świra. — Nie jest gotów tego zakończyć, nie w ten sposób.

— Co pan może wiedzieć? Nic pan nie wie. Kompletnie nic.

— On ma jakiś plan, jakiś cel, coś, co być może nie ma sensu dla pana ani dla mnie, ale ma sens dla niego.

— Jestem tylko bezwartościowym cholernym moczymordą, ale nawet ja wiem, że chrzani pan głupoty.

— On chce, żeby to potoczyło się tak, jak sobie obmyślił — mówił Billy, bardziej do siebie, niż do Cottle'a — a nie skończyło się w połowie dwoma strzałami w głowę.

— Będiesz mnie słuchał, ty durny sukinsynu? — zawołał Ralph Cottle, pryskając śliną i omiatając wzrokiem skąpany w słońcu krajobraz przed frontową werandą. — Nie słuchasz mnie!

— Słucham.



— Przede wszystkim on chce, żeby wszystko działo się tak, jak sobie zaplanował. Jasne? Może nie chce, żeby pan usłyszał jego głos.

To miało sens, jeśli świr był kimś, kogo Billy znał.

— A może po prostu podobnie jak ja nie chce słuchać pańskiego gładzenia. Nie wiem. Jeśli chce pan odebrać telefon, żeby pokazać, kto tu rządzi, po prostu, żeby go wkurzyć, a on przestrzeli panu mózg, mam to głęboko w dupie. Ale potem zastrzeli i mnie, a pan nie może wybierać za mnie. Nie może pan wybierać za mnie!

Billy wiedział, że intuicja go nie zawodzi: świr nie miał zamiaru ich zastrzelić.

— Pańskie pięć minut minęło — poinformował z troską w głosie Cottle, wskazując zegarek na balustradzie. — Sześć minut. Minęło już sześć minut. Nie spodoba mu się to.

Prawdę mówiąc, Billy nie był pewien, czy świr nie będzie strzelał. Podejrzuwał, że nie, wyczuwał to intuicyjnie, ale nie wiedział na pewno.

— Pański czas się skończył. Mija siódma minuta. Siódma minuta. On oczekuje, że opuszczę werandę i wejdę do środka.

W wyblakłych błękitnych oczach Cottle'a czaił się strach. Tak mało miał powodów, żeby żyć, a mimo to rozpaczliwie pragnął żyć dalej.

„Cóż innego pozostaje?”, rzekł wcześniej.

— Idź — mruknął Billy.

— Co?

— Niech pan wejdzie do środka. Tam jest telefon.

Cottle zerwał się z bujanego fotela i upuścił otwartą butelkę.

Trochę whiskey wylało się na deski werandy.

Cottle nie pochylił się, żeby odzyskać swój skarb. Pragnąc jak najszybciej dotrzeć do drzwi frontowych, kopnął butelkę, która potoczyła się po podłodze, kręcąc piruety.

— Nie wiem, jak szybko zadzwoni — powiedział, zatrzymując się w progu.

— Najważniejsze, żeby zapamiętał pan każde wypowiedziane przez niego słowo — pouczył go Billy. — Dokładnie każde słowo.

— Dobrze, proszę pana. Zapamiętam.

— I każdą intonację. Niech pan zapamięta każde słowo i to, jak je wymówił. I wszystko mi powie.

— Zrobię to, panie Wiles. Zapamiętam każde słowo — obiecał Cottle i wszedł do domu.

Billy pozostał sam na werandzie. Być może wciąż obserwowany przez celownik teleskopowy.

# 24

Trzy motyle, powietrzne gejsze, wpadły roztańczone ze słonecznego blasku w cień werandy. Wirując w swoich kolorowych, rozwijających się i zwijających jedwabnych kimonach, wstydlive niczym skryte za ręcznie malowanymi wachlarzami twarze, uciekły szybko w jasność, z której przyfrunęły.

Inscenizacja.

Niewykluczone, że właśnie to słowo definiowało zabójcę, mogło doprowadzić do zrozumienia jego działań i ujawnienia jego pięty achillesowej.

Według Ralpa Cottle'a świr określił zamordowanie kobiety i wycięcie jej twarzy mianem „drugiego aktu” jednej ze swoich „najlepszych inscenizacji”<sup>\*</sup>.

Zakładając, że morderstwo było dla psychopaty przede wszystkim emocjonującą grą, Billy się mylił. Niewykluczone, że był w tym jakiś element sportu, ale perwersyjny zmysł zabawy nie stanowił jedyne, ani nawet głównego motywu jego działań.

Billy nie do końca wiedział, jak rozumieć słowo „inscenizacja”. Może dla jego nemezis świat był jedną wielką sceną, rzeczywistość — oszustwem? Może wszystko było kuglarską sztuczką.

Jak tego rodzaju poglądy mogły wyjaśnić mordercze zachowanie? Billy nie wiedział tego i nie potrafił się domyślić.

Określenie „nemezis” było niewłaściwe. Nemezis oznaczało wroga, którego nie sposób pokonać. Lepszym słowem było „przeciwnik”. Billy nie porzucił jeszcze nadziei.

Frontowe drzwi były otwarte i powinien usłyszeć przez nie dzwonek telefonu, ale ten się jeszcze nie rozległ.

Kołysząc się leniwie na bujanym fotelu, nie po to, by utrudnić celowanie, lecz żeby nie dać poznać, iż się boi, i pozbawić zabójcę wynikającej z tego satysfakcji, Billy przyjrzał się uważnie najbliższemu dębowi kalifornijskiemu, a potem temu, który stał trochę dalej.

Oba były wielkimi, rozłożystymi drzewami. W jasnym słońcu ich pnie i konary przybrały czarny kolor.

W cienistych koronach snajper mógł znaleźć odpowiednie miejsce dla siebie i trójnogu karabinu.

Oba najbliższe, stojące niżej domy, jeden po tej, drugi po tamtej stronie drogi, znajdowały się w odległości mniejszej niż tysiąc jardów. Jeśli nikogo akurat w nich nie było, świr mógł się tam włamać i zająć pozycję przy jednym z okien na piętrze.

Inscenizacja.

Billy'emu nie przychodziła do głowy żadna inna obecna w jego życiu osoba, dla której to słowo miałoby większe znaczenie niż dla Steve'a Zillisa. Dla Steve'a tawerna była scena.

Jednak czy to możliwe, by świr, brutalny seryjny zabójca, uwielbiający zadawać tortury, miał tak proste poczucie humoru i tak infantylne pojęcie o teatrze, że rajcowało go wydmuchiwanie orzeszków z nosa, wiązanie językiem wiśniowych szypulek oraz dowcipy o blondynkach?

Trzy, nawet cztery minuty oczekiwania wydawały się dopuszczalne. Kiedy jednak minęło pięć minut, uznał, że to zbyt długo.

Miał zamiar wstać, ale przypomniał sobie wypowiedziane wcześniej słowa Cottle'a — „Nie może pan wybierać za mnie!” — i brzemień odpowiedzialności wcisnęło go z powrotem w fotel.

Ponieważ przetrzymał Cottle'a dłużej niż pięć minut na werandzie, świr mógł im teraz odpłacać pięknym za nadobne, grać im na nerwach, dawać do zrozumienia, że nie powinno się drażnić psa.

Ta myśl uspokoiła na chwilę Billy'ego. Potem jednak przyszła mu do głowy bardziej złowieszcza możliwość.

Kiedy Cottle nie wszedł do domu punktualnie po pięciu minutach, kiedy wyznaczony czas został przekroczony o dwie albo trzy minuty, zabójca mógł dojść do przekonania — zresztą słusznego — że Billy nie wybierze za niego ofiary.

Doszedłszy do takiego wniosku, mógł uznać, że nie musi już dzwonić do Ralphi Cottle'a. W tym momencie mógł zabrać swój karabin i wyjść z lasu albo jednego z położonych niżej domów.

Jeśli wybrał ofiarę już wcześniej, zanim jeszcze usłyszał, jaka jest odpowiedź Billy'ego — a zrobił tak z całą pewnością — chciał jak najszybciej zrealizować swój plan.

Jedną z obecnych w życiu Billy'ego osób, najważniejszą osobą, była oczywiście Barbara, która leżała bezbronna w Whispering Pines.

Choć nie dysponował żadnym doświadczeniem ani wiedzą, które usprawiedliwiałyby to przypuszczenie, Billy wyczuwał jednak, że to dopiero pierwszy akt dziwnego dramatu. Jego popaprany antagonista nie zamierzał jeszcze kończyć inscenizacji; z tego względu Barbarze nie groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Jeśli świr wiedział cokolwiek o osobie, którą poddawał udreće — a wszystko wskazywało, że wie o niej dość dużo — zdawał sobie sprawę, że śmierć Barbary natychmiast pozbawi Billy'ego dalszej woli walki. Opór był czymś kluczowym dla dramatu. Konflikt. Bez Billy'ego nie będzie drugiego aktu.

Musiał podjąć jakieś kroki, by chronić Barbarę. Musiał jednak zastanowić się dokładnie, jak to zrobić, i miał na to czas.

Jeśli mylił się w tej kwestii, jeśli Barbara była następną, to ten świat miał się dla niego stać krótkim i gorzkim czyścim, po którym szybko trafi do piekła.

Odkąd Cottle wszedł do domu, minęło siedem minut, siedem długich minut.

Billy wstał z fotela. Miał miękkie kolana.

Wyjął rewolwer z pudełka krakersów Ritza. Nie przejmował się tym, że zobaczy go pijak.

— Cottle? — zawołał w progu otwartych drzwi, ale nie doczekał się odpowiedzi. — Cottle, do diabła!

Wszedł do domu, minął salon i zajrzał do kuchni.

Ralph Cottle'a tam nie było. Tylnie drzwi były otwarte, choć Billy pamiętał, że zamknął je na klucz.

Wyszedł na tylną werandę. Tam również nie było Cottle'a i nie było go na podwórku. Zniknął.

Telefon nie zadzwonił, a mimo to Cottle zniknął. Mógł dojść do wniosku, że świr nie dzwoni, ponieważ uznał, iż misja jego „wspólnika” zakończyła się niepowodzeniem. Pewnie wpadł w panikę i uciekł.

Billy wrócił do domu, zamknął za sobą drzwi i omiół wzrokiem kuchnię, szukając rzeczy, które odbiegałyby od normy. Nie miał pojęcia, co by to mogło być.

Wszystko znajdowało się na swoim miejscu, tak jak powinno.

Mimo to niepewność ustąpiła miejsca złym przeczuciom, złe przeczucia podejrzeniom. Cottle musiał coś zabrać, coś przynieść, musiał coś zrobić.

W kuchni, w salonie i w gabinecie Billy nie odkrył niczego, co odbiegałoby od normy, ale w łazience odnalazł Ralph Cottle'a. Martwego.

# 25

Twarde światło jarzeniówki pokryło warstwą sztucznego szronu otwarte oczy Cottle'a.

Raczej martwy niż nieprzytomny, pijak siedział na pokrywie sedesu, opierając się o zbiornik z wodą, z otwartymi ustami i głową przechyloną do tyłu. Pożółkłe, przegniłe zęby otaczały różowy język, który sprawiał wrażenie popękanego w wyniku odwodnienia, spowodowanego permanentnym upojeniem alkoholowym.

Billy stał przez chwilę bez tchu, całkowicie oglupiały, a potem wycofał się na korytarz i popatrzył na zwłoki przez drzwi.

Nie cofnął się z powodu zapachu. Cottle nie opróżnił w agonii kiszek ani pęcherza. Również po śmierci pozostał niechlujny, lecz czysty — co było chyba jego jedynym powodem do dumy.

Billy nie mógł po prostu złapać oddechu w łazience. Miał wrażenie, że odessano z niej całe powietrze, że Cottle'a zabiła nagle powstała próżnia, która groziła uduszeniem i jemu.

Na korytarzu zaczerpnął tchu. Mógł zacząć myśleć.

Dopiero teraz zobaczył jasnożółtą rękojeść noża, który przyszpilił pogniecioną marynarkę do ciała.

Ostrze zostało wbite w górę, między żebrami po lewej stronie. Przebite serce przestało pracować.

Billy wiedział, że tkwiące w ciele po samą rękojeść ostrze ma

sześć cali długości. Żółty nóż należał do niego. Trzymał go w swoim zestawie wędkarskim w garażu. To był jego ostry nóż rybacki, którego używał do patroszenia okoni i filetowania pstrągów.

Zabójca nie czał się w lesie, polnym wykrocie ani którymś z sąsiednich domów. Nie obserwował ich przez lunetę karabinu. To było kłamstwo i pijak w nie wierzył.

Kiedy Cottle podchodził do werandy, świr musiał wejść kuchennymi drzwiami do domu. Kiedy Billy i jego gość siedzieli na bujanych fotelach, ich przeciwnik czał się tuż obok.

Billy nie chciał wskazać, która z obecnych w jego życiu osób ma stać się następną ofiarą. Zabójca, zgodnie ze swoją obietnicą, zaskakująco szybko dokonał za niego wyboru.

Mimo że Cottle'a można było w zasadzie uznać za nieznanego, niezaprzeczalnie pojawił się w życiu Billy'ego. I był teraz w jego domu. Martwy.

W ciągu czterdziestu jeden godzin zamordowane zostały trzy osoby. Mimo to Billy był nadal przekonany, że to dopiero pierwszy akt. Przypuszczalnie koniec pierwszego aktu; intuicja mówiła mu, że czekają go dalsze znaczące wydarzenia.

W każdym przełomowym momencie postępował w najbardziej rozsądny i ostrożny sposób, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego osobiste doświadczenia.

Rozsądek i ostrożność Billy'ego ułatwiały jednak zadanie zabójcy. Z każdą godziną Billy Wiles oddalał się coraz bardziej od bezpiecznej przystani.

W Napie, w domu, w którym zamordowana została Giselle Winslow, podrzucano obciążające go dowody. Włosy z otworu odpływowego jego prysznic. Nie wiedział, co jeszcze.

Obciążające dowody znajdowały się również na pewno w domu Lanny'ego Olsena. Fotografia tkwiąca w spoczywającej na kolanach Lanny'ego książce przedstawiała z całą pewnością Giselle Winslow, co pozwalało połączyć obie zbrodnie.

A teraz w jego łazience siedział trup przeбитo należącym do niego nożem.



Chociaż był środek lata, Billy miał wrażenie, że zsuwa się po pokrytym lodem, spowitym zimną mgłą zboczu. Wciąż trzymał się na nogach, lecz z każdą sekundą nabierał szybkości, która mogła go doprowadzić do upadku.

Odkrycie zwłok Cottle'a wprawiło go w pierwszej chwili w psychiczne i fizyczne odrętwienie. Obecnie przyszło mu do głowy kilka wariantów postępowania, jednak nadal nie mógł się zdecydować na żaden z nich.

Nie wolno mu było działać pochopnie. Musiał to przemyśleć, musiał przewidzieć konsekwencje każdej opcji.

Nie mógł sobie pozwolić na kolejne błędy. Od jego sprytu i odwagi zależało, czy będzie wolny. I czy przetrwa.

Wchodząc ponownie do łazienki, nie zauważył krwi. Mogło to oznaczać, że Cottle został zabity gdzie indziej.

Jednak w innych pomieszczeniach również nie dostrzegł śladów przemocy.

Ten fakt kazał mu się skupić na rękojęści noża. Ciemna krew zabrudziła marynarkę wokół rany, ale plama nie była tak duża, jak należałoby się spodziewać.

Zabójca wykończył Cottle'a pojedynczym pchnięciem. Wiedział dokładnie, gdzie i jak wbić ostrze pomiędzy żebra. Serce przestało bić jedno lub dwa uderzenia po tym, jak zostało przebite, co ograniczyło krwawienie.

Dłonie Cottle'a leżały na kolanach, jedna na dole, obrócona w górę, druga na górze, obrócona w dół, jakby zmarł, bijąc brawo zabójcy. Między nie włożono jakiś przedmiot.

Kiedy Billy wyjął go z rąk nieboszczyka, okazało się, że to dyskietka komputerowa: czerwona, o dużej gęstości, tej samej marki, której używał w okresie, gdy pracował na komputerze.

Przyjrzał się ciału pod różnymi kątami. Zatoczył powoli pełen krąg, szukając śladów, które zabójca mógł zostawić umyślnie bądź nieumyślnie.

Prędzej czy później powinien chyba przeszukać kieszenie marynarki i spodni Cottle'a. Odkrycie dyskietki dało mu pretekst, by odłożyć na później to nieprzyjemne zadanie.

W gabinecie położył na biurku rewolwer i dyskietkę i ściągnął winylowy pokrowiec z komputera. Nie używał go prawie od czterech lat.

Co ciekawe, nigdy nie odłączył go od prądu. Przypuszczał, że mogło to być wyrazem jego upartej, choć kruchej nadziei, że Barbara Mandel pewnego dnia wróci do zdrowia.

Na drugim roku studiów, gdy zdał sobie sprawę, że niewiele z tego, czego się tam uczył, pomoże mu zostać pisarzem, jakim chciał zostać, odszedł z uczelni. Imał się różnych prac fizycznych, pilnie pisząc w wolnym czasie.

W wieku dwudziestu jeden lat po raz pierwszy został barmanem. Praca wydawała się idealna dla pisarza. Widział materiał na opowiadanie w każdym bywalcu knajpy.

Cierpliwie rozwijając swój talent, zamieścił ponad dwadzieścia dobrze przyjętych nowel w różnych czasopismach. Kiedy skończył dwadzieścia pięć lat, znany wydawca opublikował je w jednym tomie.

Książka odniosła umiarkowany sukces, ale została dostrzeżona przez krytykę, co pozwalało mieć nadzieję, że nie będzie do końca życia stać za barem.

Gdy Barbara pojawiła się w jego życiu, nie tylko dodała mu otuchy, lecz stała się źródłem inspiracji. Dzięki temu, że ją poznał i pokochał, odnalazł prawdziwszy i czystszy głos w swojej prozie.

Jego pierwszą powieść wydawca przyjął z entuzjazmem. Zaproponowane przez niego poprawki były drobne, można było ich dokonać w ciągu miesiąca.

A potem Barbara zapadła w śpiączkę.

Razem z nią Billy utracił prawdziwszy i czystszy głos swojej prozy.

Nadal potrafił pisać, ale stracił ochotę, by to robić, nie interesowało go opowiadanie historii. Nie chciał już eksplorować ludzkiego losu w literaturze, zbyt brutalnie doświadczył go bowiem w rzeczywistości.

Wydawca i redaktor czekali cierpliwie przez dwa lata. Ale to, co

wcześniej mógł wykonać w ciągu miesiąca, okazało się pracą, na którą nie starczało mu życia. Nie był w stanie tego zrobić. Zwrócił zaliczkę i wycofał się z umowy.

Włączenie komputera — nawet po to, by sprawdzić, co zabójca zostawił w rękach Ralpa Cottle'a — wydawało mu się zdradą Barbary, chociaż wiedział, że ona wyśmiałaby te obiekcje i nigdy by ich nie zaakceptowała.

Zaskoczyło go trochę, kiedy pecet, od tak dawna nieużywany, natychmiast zbudził się do życia. Ekran monitora rozjaśnił się i pojawiło się na nim logo systemu operacyjnego. Z głośników popłynęły syntetyczne dźwięki harfy.

Być może komputer nie stał beczynnie tak długo, jak mu się wydawało. Fakt, że dyskietka była tej samej marki co nieużywane, które trzymał w szufladzie, mógł oznaczać, że świr posłużył się jedną z nich i napisał swój ostatni list na tej właśnie klawiaturze.

Co dziwne, uświadomienie sobie takiej ewentualności przeraziło go bardziej aniżeli odnalezienie w łazience zwłoki.

Na ekranie pojawił się dawno niewidziany znajomy pulpit. Ponieważ zapisywał swoje teksty w Wordzie, postanowił otworzyć go w pierwszej kolejności.

Wybór okazał się słuszny. Zabójca również zapisał wiadomość w Wordzie, który od razu się załadował.

Na dyskietce były trzy dokumenty. Zanim Billy zdążył je otworzyć, zadzwonił telefon.

Był przekonany, że to zabójca.

# 26

— Halo? — powiedział, podnosząc słuchawkę.

To nie był świr.

— Kto mówi? — zapytała jakaś kobieta.

— Kto mówi? To pani do mnie zadzwoniła.

— Billy, to chyba ty. Mówi Rosalyn Chan.

Rosalyn była znajomą Lanny'ego Olsena. Pracowała w biurze szeryfa okręgu Napa. Od czasu do czasu odwiedzała tawernę.

Najwyraźniej ciało Lanny'ego zostało odnalezione, zanim Billy zdążył postanowić, co z nim zrobi.

— Dobrze się czujesz? — zapytała, kiedy uświadomił sobie, że nie odpowiedział na jej poprzednie słowa.

— Ja? Świetnie. Nic mi nie jest. Ale dostaję fioła od tego upału.

— Stało się coś złego?

Przed oczyma stanęło mu ciało Cottle'a w łazience. Nieczyste sumienie wprawiło go w kompletną konsternację.

— Coś złego? Nie. Dlaczego miałoby się stać coś złego?

— Czy nie dzwoniłeś do nas przed chwilą i nie rozłączyłeś się bez słowa?

Mgła konsternacji na chwilę zgęstniała, a potem wyparowała.

Przypomniał sobie, co Rosalyn robiła w biurze szeryfa. Od-  
bierała zgłoszenia pod numer 911.

Nazwisko i adres każdego dzwoniącego pod ten numer pojawiało  
się na jej monitorze, kiedy podnosiła słuchawkę.

— To było... kiedy? Jakąś minutę temu? — zapytał, starając się  
szybko zanalizować swoją sytuację.

— Minutę i dziesięć sekund — odparła Rosalyn. — Czy...

— Chodzi o to — powiedział — że wystukałem dziewięćset je-  
denaście, ale tak naprawdę chciałem zadzwonić do informacji.

— Masz na myśli czterysta jedenaście?

— Chciałem zadzwonić pod czterysta jedenaście, ale wystukałem  
dziewięćset jedenaście. Zdałem sobie od razu sprawę, co zrobiłem, i  
rozłączyłem się.

Świr był nadal w domu. To on zadzwonił pod 911. Billy nie  
umiał zgadnąć — w każdym razie nie w tych okolicznościach — po  
co to zrobił i co miał nadzieję osiągnąć.

— Dlaczego nie zaczekałeś, aż się odezwę — zapytała Rosalyn  
Chan — i nie powiedziałaś, że wybrałaś ten numer przez pomyłkę?

— Zdałem sobie sprawę z błędu i odłożyłem słuchawkę. Do  
głowy mi nie przyszło, że w ogóle doszło do połączenia. To było  
głupie. Przepraszam, Rosalyn. Dzwoniłem pod czterysta jedenaście.

— Więc nic ci nie jest?

— Nic mi nie jest. To tylko ten cholerny upał.

— Nie masz klimatyzacji?

— Mam, ale wysiadła.

— To fatalnie.

— Zgadza się.

Rewolwer leżał na biurku. Billy wziął go do ręki. Świr był w  
domu.

— Słuchaj, może wpadnę do tawerny koło piątej — powiedziała  
Rosalyn.

— Nie będzie mnie. Nie najlepiej się czuję, więc wziąłem wolne.

— Powiedziałeś przed chwilą, że nic ci nie jest.

Tak łatwo samemu się zaplątać. Musiał szukać intruza, ale równocześnie nie wolno mu było wzbudzić podejrzeń Rosalyn.

— Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. To nic poważnego. Drobną niedyspozycją żołądkową. Może to letnie przeziębienie. Biorę ten żel do nosa.

— Jaki żel?

— No wiesz, ten żel z cynkiem, wciska się do nosa i przeziębienie przechodzi, jak ręką odjął.

— Chyba coś o tym słyszałam — mruknęła.

— Jest dobry. Działa. Powiedział mi o nim Jackie O'Hara. Powinnaś sobie kupić na wszelki wypadek.

— Czyli u ciebie wszystko w porządku?

— Z wyjątkiem upału i tego, że trochę mi niedobrze, ale nie można na to nic poradzić. Dzwoniąc pod dziewięćset jednaście, nie można wyleczyć przeziębienia ani naprawić klimatyzacji. Przepraszam, Rosalyn. Czuję się jak idiota.

— Nic się nie stało. Połowa zgłoszeń nie dotyczy sytuacji kryzysowych.

— Naprawdę?

— Ludzie dzwonią, że ich kot wlaźł na drzewo, że sąsiedzi głośno się bawią, tego rodzaju sprawy.

— To mnie pociesza. Nie jestem przynajmniej największym idiotą pod słońcem.

— Uważaj na siebie, Billy.

— Będę uważał. Ty też. Też na siebie uważaj.

— Cześć — powiedziała.

Billy odłożył słuchawkę i wstał z krzesła.

Kiedy był w łazience z trupem, świr wrócił do domu. A może przez cały czas ukrywał się w szafie albo w jakimś innym miejscu, którego Billy nie sprawdził.

Facet miał jaja. Trzeba mu to przyznać. Wiedział o rewolwerze, a mimo to wrócił do domu i zadzwonił pod 911, kiedy Billy ściągał winylowy pokrowiec z komputera.

Świr mógł tu dalej być. Co robił? Coś robił.

Billy zbliżył się do drzwi gabinetu, które zostawił otwarte. Trzymając w obu dłoniach rewolwer, przeszedł przez nie szybko i skierował lufę w lewą, a potem w prawą stronę.

Świra nie znalazł na korytarzu. Był gdzie indziej.

# 27

Chociaż nie miał na ręku zegarka, wiedział, że czas płynie szybciej niż woda przez sito.

W sypialni otworzył drzwi szafy. Nikogo.

Pod łóżkiem było za mało miejsca. Nikt by się pod nim nie chował, ponieważ nie sposób się stamtąd szybko wysunąć; kryjówka okazałaby się pułapką. Poza tym nie było narzuty, która zasłoniłaby to miejsce.

Zerkanie pod łóżko stanowiłoby stratę czasu. Billy ruszył w stronę drzwi, a potem zawrócił i przyklęknął na jedno kolano. Strata czasu.

Świr zniknął. Był szalony, ale nie aż tak szalony, by zostać tutaj po tym, jak zadzwonił pod 911, i czekać na policję.

Billy przeszedł kilkanaście kroków i stanął w progu łazienki. Cottle siedział tam sam.

Zasłona prysznicowa była odsunięta. Gdyby była zasunięta, to miejsce należałoby sprawdzić najpierw.

W wielkiej szafie w korytarzu mieścił się piec olejowy. Nikt by się tam nie schował.

Salon. Otwarta przestrzeń, jeden rzut oka wystarczył do jej sprawdzenia.

Wśród kuchennych szafek była jedna wysoka i wąska, przeznaczona na szczotki. Nikogo.



Billy otworzył drzwi do zajmującej osobne pomieszczenie spiżarni. Jedzenie w puszkach, paczki z makaronem, pikantne sosy w butelkach, domowe zapasy. Dorosły mężczyzna nie zdołałby się tu ukryć.

Wróciwszy do salonu, wsunął rewolwer głęboko pod poduszkę sofy. Nie widać było żadnego wyrzuszenia, ale każdy, kto usiadłby w tym miejscu, wyczułby broń.

Wcześniej zostawił otwarte na oścież drzwi frontowe. Zaproszenie. Zamknął je i dopiero wtedy pobiegł z powrotem do łazienki.

Siedzący z otwartymi ustami, odchyłoną do tyłu głową i złożonymi na kolanach rękoma, Cottle wyglądał, jakby śpiewał piosenkę w stylu western swing i klaskał do rytmu.

Nóż zazgrzytał o kość, kiedy Billy wyciągał go z rany. Ostrze było umazane we krwi.

Kilkoma kleenexami wyciągniętymi z pudełka przy umywalce wytarł nóż do czysta, po czym zmiął je i zostawił na zbiorniku toalety. Następnie złożył nóż i położył go przy umywalce.

Kiedy przesunął na bok zwłoki, głowa opadła do przodu i z ust wydobył się głośny gulgot, jakby Cottle zmarł na wdechu i ostatni wydech tkwił aż do tego momentu w jego gardle.

Billy wsunął ręce pod pachy nieboszczyka i starając się nie dotykać marynarki w miejscu, w którym przesiąkła krwią, ściągnął go z sedesu.

Wychudzony na spirytusowej diecie Cottle nie ważył więcej niż nastolatek. Przeniesienie go nie było jednak łatwe, ponieważ był tyczkowaty i długonogi.

Na szczęście nie doszło jeszcze do stężenia pośmiertnego. Cottle był bezwładny i giętki.

Drepcząc do tyłu, Billy wyciągnął ciało z łazienki. Tenisówki nieboszczyka skrzypiały i stukały o terakotę.

Protestowały również, kiedy włókł go po polerowanych mahoniowych klepkach korytarza i gabinetu, przez całą drogę wokół biurka, po którego okrążeniu położył zwłoki na podłodze.

Billy dyszał ciężko, nie tyle ze zmęczenia, ile ze zdenerwowania. Czas pędził do przodu niczym spadająca wodospadem rzeka.

Odsunąwszy krzesło, wcisnął zwłoki pod biurko. Musiał zgiąć nogi, żeby nieboszczyk cały się zmieścił.

Zrobiwszy to, maksymalnie dosunął z powrotem krzesło.

Biurko było głębokie i miało z przodu zasłaniający kolana panel. Każdy, kto wchodził do gabinetu, musiałby obejść je dookoła i zajrzeć pod szufladę, żeby spostrzec zwłoki.

Nawet wówczas mógł nie odkryć ponurej tajemnicy, gdyby nie spojrzął pod biurko pod odpowiednim kątem i gdyby zasłoniło mu widok krzesło.

Pożądany był półmrok. Billy wyłączył światło nad głową. Zostawił zapaloną lampę na biurku.

Zajrzawszy ponownie do łazienki, zobaczył rozmazaną krew na podłodze. Nie było jej tam, kiedy wszedł, żeby przenieść Cottle'a.

Jego serce było spłoszonym koniem walącym kopytami o drewniane ściany piersi.

Jeden błąd. Jeden popełniony błąd mógł go pograżyć.

Miał zwichrowane poczucie czasu. Wiedział, że sprawdza dom dopiero od kilku minut, ale odniósł wrażenie, jakby minęło ich dzień, piętnaście.

Żałował, że nie ma na ręku zegarka. Nie miał czasu, żeby pójść i zabrać go z balustrady werandy.

Wytarł papierem toaletowym krew z podłogi. Płytki udało się wyczyścić, ale na fragmencie fugi pozostało niewyraźne odbarwienie. Chciał wierzyć, że wyglądało jak rdza, nie jak krew.

Wrzucił do sedesu papier toaletowy i chusteczki, którymi oczyścił ostrze noża, po czym spuścił wodę.

Zabójcza broń leżała na blacie przy umywalce.

Wsunął ją w głęb szuflady, za płyn po goleniu i olejek do opalania.

Kiedy zatrzaskał szufladę tak szybko i mocno, że łupnęła niczym

strzał z pistoletu, zdał sobie sprawę, że musi nad sobą bardziej panować.

Ucz nas jak dbać i nie dbać. Ucz nas jak siedzieć w ciszy.

Byłby spokojniejszy, gdyby pamiętał, jaki przyświeca mu cel. Jego prawdziwym celem nie było nieskończone koło myśli i czynu, zachowanie wolności ani nawet życia. Musiał żyć, aby mogła żyć ona, bezbronna, lecz bezpieczna, bezbronna i pogrążona we śnie, lecz nie narażona na żadne poniżenie i zło.

Był człowiekiem powierzchownym. Często się o tym przekonywał.

W obliczu cierpienia nie okazał wystarczającej siły woli, by korzystać z daru słowa pisanego. Odrzucił ten dar nie raz, lecz nieprzyzwoicie wiele razy, ponieważ dary udzielane przez moc, która mu go udzieliła, są ofiarowywane bez przerwy i idą na marne tylko wtedy, gdy są bez przerwy odrzucane.

Cierpiąc, został upokorzony przez ograniczenia języka, przez które powinien zostać upokorzony. Nie uporał się również z tymi ograniczeniami języka, z którymi powinien się uporać.

Był człowiekiem powierzchownym. Nie potrafił troszczyć się o całą ludzkość i bez żadnych zastrzeżeń przygarnąć do serca każdego sąsiada. Umiejętność współodczuwania była w nim jedynie potencjalną zdolnością, ograniczającą się do troski o jedną kobietę.

Z powodu tej powierzchowności uważał się za słabego człowieka, być może nie tak słabego jak Ralph Cottle, ale niezbyt silnego. Zmroziło go, lecz nie zaskoczyło, kiedy menel oznajmił, że jest trochę do niego podobny.

Pogrążona w śpiączce kobieta, bezpieczna i śniąca, była jego prawdziwym celem i jego jedyną nadzieją na odkupienie. Dlatego musiał dbać i nie dbać. Musiał siedzieć w ciszy.

Znacznie spokojniejszy niż wówczas, kiedy zatrzasnął szufladę, Billy po raz kolejny omiótł wzrokiem łazienkę. Nie zobaczył dowodów zbrodni.

Czas był nadal pędzącą rzeką, obracającym się kołem.

Szybko, ale uważnie cofnął się tą samą drogą, którą włókł trupa,

wypatrując plam krwi podobnych do tych w łazience. Nie dostrzegł żadnej.

Nie dowierzając sobie, ponownie sprawdził sypialnię, salon i kuchnię. Starał się lustrować wszystko oczyma podejrzliwej władzy.

Do uporządkowania pozostała tylko weranda. Zostawił to zadanie na sam koniec, ponieważ ukrycie zwłok było pilniejsze.

Na wypadek gdyby nie miał czasu zająć się werandą, wyjął z kuchennej szafki bourbona, którym doprawił piwo w poniedziałkowy wieczór. Pociągnął prosto z butelki.

Zamiast wypić alkohol, przepłukał nim usta, jakby chciał odświeżyć oddech. Im dłużej trzymał w ustach bourbona, tym bardziej palił on jego dziąsła, policzki, język.

Wypływając alkohol do zlewu, przypomniał sobie, że powinien również wypłukać gardło.

Nabrał znowu w usta bourbona i tym razem to zrobił.

Oddychając chrapliwie, ale nie krztusząc się, wypłuł alkohol do zlewu i w tym samym momencie rozległo się oczekiwane pukanie do drzwi frontowych, głośne i długie.

Od momentu, kiedy odłożył słuchawkę po rozmowie z Rosalyn Chan, upłynęły może cztery minuty. Może pięć. Miał wrażenie, że minęła godzina; miał wrażenie, że minęło dziesięć sekund.

Zanim przebrzmiało pukanie, Billy odkręcił zimną wodę, żeby zmyć odór alkoholu ze zlewu. Nie zakręcił jej od razu.

W ciszy, która zapadła, zakorkował butelkę i odstawił ją do szafki.

Kiedy wrócił do zlewu i zakręcił wodę, pukanie rozległo się ponownie.

Otwarcie drzwi po pierwszym zapukaniu mogło świadczyć, że jest podenerwowany. Oczekiwanie na trzecie sugerowałoby, że zastanawiał się, czy w ogóle otworzyć.

Kiedy przechodził przez salon, przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić ręce. Nie było na nich krwi.

# 28

Otwierając drzwi frontowe, Billy Wiles zobaczył za nimi policjanta stojącego w ostrożnej odległości trzech kroków od progu. Jego prawa dłoń spoczywała na tkwiącym w obrotowej kaburze pistolecie, nie tak jakby miał go zamiar zaraz wyciągnąć, lecz z niedbałością, z jaką ktoś inny mógłby oprzeć dłoń na biodrze.

Billy miał nadzieję, że to będzie ktoś, kogo znał. Ale nie.

Na odznace policjanta widniało: sierż. V. Napolitino.

W wieku czterdziestu sześciu lat Lanny Olsen miał ten sam stopień — zastępcy szeryfa — w jakim wstąpił do służby jako młody mężczyzna.

Liczący dwadzieścia kilka lat V. Napolitino dosłużył się już stopnia sierżanta. Robił wrażenie wyszorowanego do czysta, inteligentnego, trzeźwo myślącego, sumiennego mężczyzny, który zostanie porucznikiem w wieku dwudziestu pięciu, kapitanem w wieku trzydziestu, komendantem w wieku trzydziestu pięciu i szefem jeszcze przed czterdziestką.

Billy wolałby mieć do czynienia z grubym, rozchełstany, znużonym i cynicznym okazem tego gatunku. Może był to jeden z tych dni, kiedy nie powinien grać w ruletkę: za każdym razem, gdy obstawiał czarne, wygrywało czerwone.

— Pan Wiles?

— Tak. To ja.

— William Wiles?

— Tak, Billy.

Sierżant Napolitino zerkał na niego i na salon za jego plecami.

Na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia. W jego oczach nie widać było lęku, niepokoju ani nawet nieufności — wyłącznie czujność.

— Czy mógłby pan podejść ze mną do samochodu, panie Wiles?

Na podjeździe stał radiowóz z biura szeryfa.

— Nie chce pan wejść do środka? — zapytał Billy.

— Niekoniecznie, proszę pana. Chciałbym tylko, żeby podszedł pan na kilka minut do samochodu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Brzmiało to prawie jak prośba, ale nią nie było.

— Jasne — odparł Billy. — W porządku.

Drugi wóz patrolowy zjechał z asfaltowej drogi na podjazd i zatrzymał się dziesięć stóp za pierwszym. Billy sięgnął za klamkę, mając zamiar zamknąć za sobą drzwi frontowe.

— Mógłby pan zostawić je otwarte — powiedział sierżant Napolitino.

Ton jego głosu nie wskazywał, czy było to pytanie, czy sugestia. Billy zostawił otwarte drzwi.

Napolitino najwyraźniej miał zamiar iść za nim.

Billy przeszedł obok leżącej na werandzie piersiówki i kałuży alkohol.

Chociaż whiskey wylała się przynajmniej przed kwadrans, w upale wyparowała dopiero niecała połowa. W bezwietrznym powietrzu unosił się jej odór.

Billy zszedł po schodkach na trawnik. Nie udawał, że z trudem trzyma się na nogach. Nie był dość dobrym aktorem, żeby grać pijaka; każda tego rodzaju próba podważyłaby jego szczerość.

Uznał, że musi ograniczyć się do oddechu, aby zasugerować stan upojenia i uprawdopodobnić historię, którą miał zamiar opowiedzieć.

Kiedy z drugiego radiowozu wysiadł następny policjant, Billy poznał go. Sam Sobieski. Również w stopniu sierżanta, był o jakieś pięć lat starszy od Napolitino.

Sobieski odwiedzał czasami tawernę, na ogół z jakąś dziewczyną. Przychodził tam raczej, żeby coś zjeść, niż wypić, i dwa piwa stanowiły jego górny limit.

Billy nie znał go zbyt dobrze. Nie byli przyjaciółmi, ale wolał mieć do czynienia ze znajomym niż z dwoma obcymi policjantami.

Na trawniku odwrócił się i spojrział na dom.

Napolitino wciąż znajdował się na werandzie. Podchodząc do schodków i zaczynając po nich schodzić, ani na chwilę nie odwrócił się plecami do otwartych drzwi i okna. Mimo to przez cały czas sprawiał wrażenie odprężonego.

Po chwili wyprzedził Billy'ego i obszedł wraz z nim samochód, który oddzielał ich teraz od domu. Sierżant Sobieski dołączył do nich.

— Cześć, Billy.

— Witam, sierżancie Sobieski. Co słyhać?

Do barmana wszyscy zwracali się po imieniu. W niektórych wypadkach należało odwzajemnić się podobną poufałością, w innych nie.

— Wczoraj był dzień chili, ale zapomniałem o tym — rzekł Sobieski.

— Ben robi najlepsze chili pod słońcem.

— To mistrz chili — zgodził się Sobieski.

Samochód przyciągał promienie słońca, grzejąc powietrze dookoła. Karoseria z pewnością parzyła w dotyku.

Napolitino, który zjawił się pierwszy, przejął z powrotem pałeczkę.

— Dobrze się pan czuje, panie Wiles?

— Jasne. Nic mi nie jest. Chodzi wam pewnie o to, że się zbłądziłem.

— Zadzwoił pan pod dziewięćset jedenaście — powiedział Napolitino.

— Chciałem zadzwonić pod czterysta jedenaście. Mówiłem to już Rosalyn Chan.

— Wyjaśnił to pan, dopiero kiedy oddzwoniła.

— Odłożyłem słuchawkę tak szybko, że nie miałem pojęcia, że doszło do połączenia.

— Panie Wiles, czy działa pan pod jakimkolwiek przymusem?

— Pod przymusem? Skądże znowu. Chce pan zapytać, czy ktoś nie trzymał mnie na muszce, kiedy rozmawiałem z Rosalyn? Kurczę. Co za szalony pomysł. Bez obrazy, wiem, że takie rzeczy się zdarzają, ale nie mnie.

Billy ostrzegł się w duchu, że powinien udzielać krótkich odpowiedzi. Dłuższe mogły przypominać nerwowy bełkot.

— Zgłosił pan w pracy, że jest chory? — zapytał Napolitino.

— Owszem. — Krzywiąc się, ale niezbyt dramatycznie, Billy dotknął ręką brzucha. — Boli mnie żołądek.

Miał nadzieję, że poczują jego oddech. Sam go czuł. Jeśli dotrze do nich woń gorzały, dojdą do wniosku, że opowieści o chorobie mają w nieudolny sposób ukryć fakt, że nadużył alkoholu.

— Kto jeszcze tutaj mieszka, panie Wiles?

— Nikt. Tylko ja. Mieszkam sam.

— Czy ktoś jest w tym momencie w domu?

— Nie. Nikt.

— Nie ma tam żadnego pańskiego znajomego albo członka rodziny?

— Nie. Nie ma nawet psa. Czasami myślę, czy nie sprawić sobie psa, ale nie mogę się zdecydować.

Ciemne oczy sierżanta Napolitino były ostrzejsze od skalpeli.

— Proszę pana, jeśli jest tam jakiś złoczyńca...

— Nie ma żadnego złoczyńcy — zapewnił go Billy.

— Jeśli ktoś, na kim panu zależy, jest tam przetrzymywany pod przymusem, najlepiej będzie, jeśli mi pan o tym powie.



— Oczywiście. Wiem o tym. Kto by o tym nie wiedział?

Intensywny żar emanujący z prażącego się na słońcu samochodu przyprowadził Billy'ego o mdłości. Miał wrażenie, że płonie mu twarz. Palące słońce najwyraźniej nie przeszkadzało żadnemu z sierżantów.

— Ludzie, którzy działają pod przymusem i są sterroryzowani — powiedział Sobieski — podejmują złe decyzje, Billy.

— Słodki Jezu — jęknął Billy. — Naprawdę zrobiłem z siebie dupka, dzwoniąc pod dziewięćset jedenaście, a potem mówiąc Rosalyn to, co powiedziałem.

— Czyli co? — zainteresował się Napolitino.

Billy był pewien, że wiedzą w ogólnych zarysach, co jej powiedział. On sam pamiętał dokładnie każde swoje słowo, ale chciał ich przekonać, iż jest zbyt pijany, by przypomnieć sobie, jak wpakował się w tę całą kabałę.

— Cokolwiek powiedziałem, to musiało być dość głupie, skoro doszła do wniosku, że ktoś mi zagraża. Pod przymusem. Człowieku. Jakie to żenujące.

Potrząsnął głową, dziwiąc się swojej głupocie, po czym wykrzeszał z siebie ochrypy śmiech i ponownie potrząsnął głową.

Obaj sierżanci bacznie mu się przyglądali.

— Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Od kilku dni nikt do mnie nie przychodził. Nigdy nie ma tu nikogo poza mną. Trzymam się raczej na uboczu, taki już jestem.

Dosyć. Jego odpowiedź znowu zbliżyła się niebezpiecznie do bełkotu.

Jeśli wiedzieli o Barbarze, powinni orientować się w jego sytuacji. Jeśli o niej nie wiedzieli, powie im o tym Rosalyn.

Mówiąc, że od kilku dni nikt go nie odwiedzał, trochę ryzykował. Słusznie bądź nie uznał, że powinien sprawiać wrażenie samotnika.

Jeśli któryś z sąsiadów widział idącego drogą Ralpa Cottle'a albo zauważył go siedzącego na werandzie i jeśli policjanci postanowią

poproś w okolicy, Billy zostanie złapany na kłamstwie.

— Co się panu stało w czoło? — zapytał Napolitano.

Aż do tego momentu Billy nie pamiętał o ranach po haczykach. Kiedy sierżant zadał mu to pytanie, poczuł pulsujący w nich tępy ból.

# 29

— Czy to nie jest opatrunek? — pytał dalej sierżant Napolitino.

Opadające Billy'emu na czoło gęste włosy nie zasłoniły do końca przymocowanych samoprzylepną taśmą opatrunków z gazy.

— Miałem mały wypadek z piłą — wyjaśnił Billy, przyjemnie zaskoczony tym, jak szybko przyszło mu do głowy zgrabne kłamstwo.

— Wygląda poważnie — ocenił sierżant Sobieski.

— Nie, to nic takiego. Mam warsztat stolarski w garażu. Zrobiłem sam wszystkie szafki w domu. Wczoraj wieczorem pracowałem nad czymś i ciąłem sześciocalową orzechową deskę. Ostrze trafiło na sęk i kilka drzazg wbiło mi się w czoło.

— W ten sposób można stracić oko — powiedział Sobieski.

— Zakładam specjalne gogle. Nigdy bez nich nie pracuję.

— Poszedł pan z tym do lekarza? — zapytał Napolitino.

— Nie. Nie było takiej potrzeby. To tylko parę drzazg. Wyciągnąłem je szczypczykami. Same skaleczenia były niewielkie, ale rozbabrałem je, wyciągając te drzazgi, i tylko dlatego założyłem opatrunek.

— Niech pan uważa, żeby nie dostać infekcji.

— Przemylem je spirytusem salicylowym i wodą utlenioną. A potem posmarowałem neosporinem. Nic mi nie będzie. Takie rzeczy się zdarzają.

Billy czuł, że uspokoił ich obawy. Słuchając sam siebie, nie odnosił wrażenia, by działał pod przymusem, względnie miał jakieś poważne życiowe problemy.

Słońce było niczym płonący piec. Żar emanujący z samochodu przypiekał go mocniej, niż robiłaby to mikrofalówka, lecz mimo to zachowywał zimną krew.

Nie od razu zdał sobie sprawę, że pytania zaczynają przybierać bardziej dociekliwy i agresywny charakter.

— Czy zadzwonił pan do informacji, panie Wiles? — zapytał Napolitino.

— Czy co zrobiłem?

— Czy po tym, jak omyłkowo wystukał pan numer dziewięćset jedenaście i rozłączył się, zadzwonił pan do informacji zgodnie z tym, co pan pierwotnie zamierzał?

— Nie. Siedziałem po prostu przez minutę i myślałem o tym, co zrobiłem.

— Siedział pan przez minutę i zastanawiał się nad tym, że omyłkowo połączył się pan z numerem dziewięćset jedenaście?

— No, może nie przez całą minutę. Tyle, ile to trwało. Nie chciałem się znowu zbłąźnić. Kręciło mi się trochę w głowie. Mówiłem już, bolał mnie brzuch. A potem oddzwoniła do mnie Rosalyn.

— Oddzwoniła, zanim zatelefonował pan do informacji.

— Zgadza się.

— A po rozmowie z dyspozytorką numeru dziewięćset jedenaście...

— Z Rosalyn.

— Tak. Czy po rozmowie z nią zadzwonił pan pod czterysta jedenaście?

Firma telefoniczna obciążała abonenta specjalną opłatą za każde

połączenie z numerem czterysta jednaście. Gdyby się z nim połączył, mieliby to zarejestrowane.

—Nie — odparł Billy. — Czułem się jak kompletny dureń. Musiałem się czegoś napić.

Aluzja do alkoholu padła w sposób naturalny, bez nachalnego sugerowania, że znajduje się w stanie wskazującym na spożycie. Miał wrażenie, że dobrze sobie radzi, jest przekonujący.

—O czyj numer by pan zapytał, gdyby zadzwonił pan pod czterysta jednaście? — zapytał Napolitino.

Billy uświadomił sobie, że ta rozmowa nie ma już na celu zapewnienia mu bezpieczeństwa. Pytania Napolitino zabarwione były zawołowaną wrogością, subtelną, lecz bez wątpienia wrogością.

Zastanawiał się, czy nie powinien oświadczyć, że takie odniósł wrażenie, i zapytać o ich intencje. Nie chciał, żeby pomyśleli, że ma coś na sumieniu.

—Steve'a — odparł. — Chciałem dowiedzieć się, jaki jest numer Steve'a Zillisa.

—Steve Zillis jest...

—Jest barmanem w tawernie.

—Zastępuje pana, kiedy pan zachoruje? — zapytał Napolitino.

—Nie. Pracuje na następnej zmianie. Dlaczego to takie ważne?

—Dlaczego chciał pan do niego zadzwonić?

—Chciałem go po prostu uprzedzić, że wziąłem wolne i że kiedy przyjdzie, czeka go nielichy bałagan, ponieważ Jackie będzie sam stał za barem.

—Jackie? — zapytał Napolitino.

—Jackie O'Hara. Właściciel. Zastępuje mnie. Jackie nie utrzymuje baru w czystości tak, jak powinien. Rośnie stos brudnych kieliszków i naczyń, blat jest pozalewany, i facet, który po nim przechodzi, potrzebuje co najmniej kwadransa, żeby doprowadzić wszystko do porządku.

Za każdym razem, gdy Billy musiał udzielić dłuższej, bardziej wyczerpującej odpowiedzi, słyszał, że coraz bardziej drży mu głos. To nie było złudzenie; obawiał się, że obaj sierżanci też to słyszą.

Zapewne każdemu zadrżałby głos, gdyby rozmawiał przez dłuższy czas z dwoma gliniarzami na służbie. Może podenerwowanie było całkiem normalne.

Od normy odbiegała jednak żywa gestykulacja, zwłaszcza u Billy'ego. Udzielając swoich długich odpowiedzi, zdał sobie sprawę, że za bardzo wymachuje rękoma, nie potrafi nad nimi zapanować.

Żeby temu zaradzić, wsunął dłonie w kieszenie spodni, starając się, by wyglądało to zupełnie naturalnie. W każdej z nich jego palce wymacały trzy naboje kalibru .38, zapasową amunicję.

— Więc chciał pan uprzedzić Steve'a Zillisa, że czeka go bałagan?

— Zgadza się.

— Nie zna pan numeru pana Zillisa?

— Nie dzwonię do niego zbyt często.

To nie była już niewinna zabawa w pytanie i odpowiedź. Nie zeszli jeszcze na poziom przesłuchania, ale dość szybko się do niego zbliżali.

Billy nie bardzo rozumiał, dlaczego do tego doszło. Czyżby jego odpowiedzi i zachowanie były bardziej podejrzane, niż mu się wydawało?

— Czy numeru pana Zillisa nie ma w książce telefonicznej?

— Chyba jest. Ale czasami łatwiej jest po prostu zadzwonić pod czterysta jedenaście.

— Chyba że przez pomyłkę wystuka się dziewięćset jedenaście — powiedział Napolitano.

Zamiast oskarżać się o idiotyzm, jak to uczynił wcześniej, Billy uznał, że lepiej będzie, jeśli zachowa milczenie.

Gdyby sytuacja pogorszyła się do tego stopnia, że zdecydowałiby się go przeszukać, nawet obmacać, znaleźliby naboje w kieszeniach.

Zastanawiał się, czy zdoła wyjaśnić ich obecność kolejnym gładkim i przekonującym kłamstwem. W tym momencie żadne nie przychodziło mu do głowy.

Nie wierzył jednak, by do tego doszło. Policjanci przyjechali tutaj, ponieważ obawiali się, że może mu grozić niebezpieczeństwo. Musiał ich tylko przekonać, że jest bezpieczny, wtedy się stąd wyniosą.

Coś, co powiedział — albo czego nie powiedział — obudziło ich wątpliwości. Jeśli uda mu się znaleźć właściwe słowa, magiczne słowa, sierżanci odjadą.

Ponownie zirytowały go ograniczenia języka.

Chociaż zmiana w nastawieniu Napolitino wydawała się całkiem autentyczna, Billy nie był pewien, czy nie pada ofiarą złudzenia. Napięcie, w jakim pozostawał, musiało wpłynąć na jego percepcję, wpędzać go w lekką paranoję.

Wiedział, że powinien być spokojny, zachować cierpliwość.

— Panie Wiles, czy jest pan absolutnie pewien — zapytał Napolitino — że to pan osobiście zadzwonił pod numer dziewięćset jedenaście?

Chociaż konstrukcja tego pytania była dla Billy'ego dosyć jasna, nie do końca rozumiał, jaki jest jego sens. Nie wiedział, jakie kryją się za nim intencje, i biorąc pod uwagę wszystko, co powiedział wcześniej, nie miał pojęcia, jakiej oczekują od niego odpowiedzi.

— Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że pod ten numer zadzwonił ktoś inny obecny w pana domu? — nalegał Napolitino.

Przez krótką chwilę Billy myślał, że policjanci dowiedzieli się w jakiś sposób o zabójcy, ale potem zrozumiał. Domyślił się, o co im chodzi.

Sierżant Napolitino sformułował swoje pytanie akurat w taki sposób, aby nie dopuścić do ewentualnego późniejszego podważenia policyjnej procedury. W rzeczywistości chciał zadać Billy'emu bardziej bezpośrednie pytania: Czy przetrzymuje pan kogoś pod przykryciem w swoim domu, panie Wiles? Czy ta osoba miała przez

krótką chwilę możliwość zadzwonić pod dziewięćset jedenaście i czy wyrwał pan jej słuchawkę z dłoni, mając nadzieję, że nie doszło do połączenia?

Żeby zapytać go o to wszystko bez owijania w bawełną, Napolitino musiałby wcześniej poinformować Billy'ego o jego konstytucyjnym prawie do zachowania milczenia i obecności adwokata podczas przesłuchania.

Billy Wiles stał się podejrzanym.

Stanęli na skraju przepaści.

Umysł Billy'ego nigdy jeszcze nie analizował tak pośpiesznie wszystkich możliwości i konsekwencji. Każda sekunda wahania mogła sprawić, iż wyda się bardziej winny.

Na szczęście nie musiał udawać, że jest kompletnie zaskoczony. Rzeczywiście opadła mu szczęka.

Nie wierząc, że uda mu się z pełnym przekonaniem odegrać gniew albo nawet oburzenie, Billy zaprezentował zamiast tego swoje zdumienie.

—Dobry Boże, nie myślicie chyba...? Myślicie, że... dobry Boże. Jestem ostatnim facetem, którego można wziąć za Hannibala Lectera.

Napolitino nie odezwał się ani słowem. Podobnie jak Sobieski.

Ich oczy były nieruchome niczym oś obracającego się żyroskopu.

—Oczywiście musiała wam przyjść do głowy ta ewentualność — mruknął Billy. — Rozumiem. Naprawdę. Nie ma sprawy. Jeżeli chcecie, wejdźcie do środka. Rozejrzyjcie się.

—Panie Wiles, czy prosi nas pan, żebyśmy sprawdzili pański dom w poszukiwaniu intruzów lub kogoś takiego?

Opuszki jego palców spoczywały na tkwiących w kieszeniach nabojach. Czyżby wyobraźni widział skuloną pod biurkiem ciemną postać Cottle'a...

—Szukajcie, czego chcecie — powiedział życzliwie, jakby uświadomienie sobie w końcu, czego od niego chcą, sprawiło mu ulgę. — Śmiało.



— Panie Wiles, nie pytam, czy mogę przeszukać pański dom.  
Rozumie pan sytuację?

— Jasne. Rozumiem. W porządku. Proszę bardzo.

Jeśli sam zapraszał ich do środka, wszystko, co znaleźli, mogło zostać wykorzystane podczas rozprawy. Gdyby natomiast weszli bez zaproszenia, bez nakazu ani poważnego powodu, by sądzić, że komuś w środku grozi niebezpieczeństwo, sąd mógłby nie uznać uzyskanych w ten sposób dowodów rzeczowych.

Policjanci powinni potraktować skwapliwą zgodę Billy'ego za dowód jego niewinności.

Billy uspokoił się w wystarczającym stopniu, żeby wyjąć ręce z kieszeni.

Jeśli będzie sprawiał wrażenie otwartego, odprężonego, jeśli będzie ich sam zachęcał, mogą uznać, że nie ma nic do ukrycia. I odjechać, rezygnując z przeszukania domu.

Napolitino spojrział na Sobieskiego, który kiwnął głową.

— Panie Wiles, skoro ma to poprawić pana samopoczucie, rozejrzę się szybko po pańskim domu.

Sierżant Napolitino obszedł samochód i ruszył w stronę werandy, zostawiając Billy'ego z Sobieskim.

# 30

Wina wychodzi na jaw z obawy, że może zostać ujawniona, powiedział ktoś, może Szekspir, może OJ. Simpson. Billy nie pamiętał, kto ubrał tak zgrabnie tę myśl w słowa, lecz w tym momencie poczuł w nader dotkliwy sposób jej trafność.

Sierżant Napolitino wspiał się po schodkach na werandę i minął piersiówkę oraz to, co nie wyparowało jeszcze z rozlanej whiskey.

— Służbista — powiedział Sobieski.

— Słucham?

— Vince. Nigdy się nie uśmiechnie. Świdruje cię tymi swoimi oczkami, z kamienną twarzą, ale w rzeczywistości nie jest wcale takim dupkiem, na jakiego wygląda.

Zdradzając, jak ma na imię Napolitino, Sobieski dopuszczał jakby Billy'ego do konfidencji.

Wyczulony na wszelkie przejawy manipulacji, Billy podejrzewał jednak, że sierżant czyni to z podobną życzliwością i wylewnością, jak pająk witający trafiającą do sieci pszczołę.

Vince Napolitino zniknął w otwartych frontowych drzwiach domu.

— Vince przywiązuje zbyt wielką wagę do tego, czego nauczyli go w akademii — kontynuował Sobieski. — Kiedy nabierze trochę doświadczenia, nie będzie taki sztywny.

— Facet wykonuje po prostu swoją robotę — zauważył Bill. — Rozumiem to. Nie ma sprawy.

Sobieski pozostał na podjeździe, ponieważ nadal podejrzewał Billy'ego o jakieś przestępstwo. W przeciwnym razie obaj sierzanci przeszukaliby dom razem. Zadaniem sierżanta Sobieskiego było pilnowanie, żeby Billy nie dał dyla.

— Jak się czujesz?

— W porządku — odparł Billy. — Trochę mi głupio, że przysporzyłem tylu kłopotów.

— Miałem na myśli twój żołądek — powiedział Sobieski.

— No nie wiem. Może zjadłem coś nieświeżego.

— To nie mogło być chili Bena Vernona — orzekł Sobieski. — To żarcie jest tak ostre, że leczy każdą chorobę, którą zna medycyna.

Uświadamiając sobie, że niewinny człowiek, który nie ma się czego obawiać, nie powinien gapić się nerwowo na dom, czekając, aż Napolitino skończy przeszukiwanie, Billy spojrzął w głąb doliny, na skąpane w złotym blasku winnice i na wznoszące się w błękitnej mgiełce góry.

— To mógł być krab — dodał Sobieski.

— Co?

— Krab, krewetki, homar... jeśli są nieświeże, mogą doprowadzić do prawdziwej rewolucji.

— Wczoraj wieczorem jadłem lasagne.

— Nie powinna ci zaszkodzić.

— Nie znasz mojej lasagne — odparł Billy, próbując dostosować się do nonszalanckiego tonu Sobieskiego.

— Pośpiesz się, Vince — mruknął sierżant. W jego głosie zabrzmiała niecierpliwość. — Wiem, że jesteś sumienny, compadre. Nie musisz mi niczego udowadniać. Masz strych? — zapytał Billy'ego.

— Tak.

Sierżant westchnął.

— Na pewno będzie chciał go sprawdzić.

Z zachodu nadleciało stado niewielkich ptaków, na zmianę

pikowały i wzbijały się wyżej. To były dziecioty różowoszyje, niezwykle aktywne jak na tę porę roku i upał.

— Tego szukasz? — zapytał Sobieski, podając mu rozdarte z jednej strony opakowanie miętówek.

Billy nie rozumiał, o co mu chodzi. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że wsadził z powrotem ręce do kieszeni i obraca w palcach naboje.

Wyjął ręce z kieszeni.

— Obawiam się, że już na to trochę za późno — powiedział, ale wziął miętówkę.

— Rozumiem, że to ryzyko zawodowe — powiedział Sobieski.

— Jako barman masz styczność z alkoholem przez cały dzień.

— Właściwie wcale tak dużo nie piję — odparł Billy, ssąc cukierek. — Obudziłem się dziś o trzeciej w nocy i nie mogłem wyłączyć umysłu, przestać martwić się o rzeczy, na które i tak nie mam wpływu. Pomyślałem sobie, że szklaneczka albo dwie dobrze mi zrobią.

— Wszyscy mamy takie chwile. Nazywam je nocnymi smutkami. Ale nie utopisz ich w alkoholu. Kubek gorącej czekolady wyleczy prawie każdą bezsenność, choć nawet on nie rozproszy nocnych smutków.

— Mimo że whiskey niewiele pomogła, nadal wydawała się niezłym pomysłem na spędzenie nocy. A potem ranka.

— Masz mocną głowę.

— Naprawdę?

— Nie sprawiasz wrażenia nawalonego.

— Bo nie jestem. Przez ostatnich parę godzin zwalniałem tempo picia, żeby uniknąć kaca.

— Na tym polega sztuczka?

— To jedna z nich.

Z sierżantem Sobieskim miło się gawędziło: zdecydowanie zbyt miło.

Dziecioty ponownie zapikowały w ich stronę, gwałtownie skręciły, wzbłyły się w górę i znowu skręciły, trzydzieści albo czterdzieści osobników wiedzionych jakby jedną myślą.

—Prawdziwe z nimi utrapienie — stwierdził Sobieski, mając na myśli ptaki.

Ze swoimi spiczastymi dziobami dziecięty szukały odpowiednich domów, stajni i kościołów i wierciły misterne wzory w drewnianych gzymsach, architrawach, okapach, szczytowych i narożnych deskach.

—Nigdy nie dobierały się do mojego domu — odparł Billy. — Jest z cedru.

—Nie lubią cedru? — zdziwił się Sobieski.

—Nie wiem. Na pewno nie lubią mojego.

Po wywierceniu wysoko w domu otworów dzieciąt umieszcza w nich żołędzie, żeby ogrzało je słońce. Po kilku dniach wraca i sprawdza, czy nie dobiegają z nich jakieś dźwięki. Słyszac je, otwiera głośny żołędź i wyjada gnieźdzące się w środku larwy.

To tyle jeśli chodzi o nienaruszalność domowego porządku.

Dziecięty i gliniarze robią to, co do nich należy.

Robią to powoli i nieubłaganie.

—To nie jest taki duży dom — mruknął Billy z nutką niecierpliwości, na którą, jak sądził, powinien sobie pozwolić ktoś niewinny.

Wracając do nich, sierżant Napolitino nie wyszedł przez drzwi frontowe. Wyłonił się zza południowej flanki domu, od strony garażu.

Nie podszedł do nich z ręką niedbale wspartą na kolbie pistoletu. Może był to dobry znak.

Ptaki umknęły w odległy zakątek nieba, jakby przeraził je sam jego widok.

—Urządził pan tam fantastyczny warsztat — zwrócił się do Billy'ego. — Może pan tam robić wszystko, czego dusza zapagnie. — Młody sierżant powiedział to takim tonem, jakby Billy używał swoich elektrycznych narzędzi do ćwiartowania zwłok. — Niesamowity ma pan stąd widok — dodał, spoglądając na dolinę.

—Całkiem miły — zgodził się Billy.

—Istny raj.

— Owszem — odparł Billy.

— Dziwię się, że zasunął pan wszystkie rolety.

Billy za szybko się odprężył.

— Zasuwać je kiedy jest taki upał — wyjąkał niezbyt składnie.

— Nawet z boku domu, gdzie nie dociera słońce?

— W taki jasny dzień — wyjaśnił Billy — kiedy człowieka rwie głowa po paru głębszych, lepiej posiedzieć w półmroku.

— Przez cały ranek zwalniał tempo picia — powiedział Sobieski do Napolitino — żeby wytrzeźwieć i uniknąć kaca.

— Na tym polega sztuczka? — zapytał Napolitino.

— To jedna z nich.

— W środku jest miło i chłodno.

— Chłód też pomaga — przyznał Billy.

— Rosalyn powiedziała, że zepsuła się panu klimatyzacja.

Billy zapomniał już o tym małym kłamstewku, cienkiej nitce w utkanej przez niego sieci łgarstw.

— Nie działa przez kilka godzin, potem włącza się i znowu przestaje działać. Nie wiem, może to jakiś problem z kompresorem — powiedział.

— Jutro ma być straszny upał — rzekł Napolitino, wciąż wpatrując się w dolinę. — Niech pan lepiej sprowadzi fachowca, jeśli nie jest zawałony robotą aż do Bożego Narodzenia.

— Zamierzam sam przy tym pomajstrować — odparł Billy. — Mam smykałkę do takich rzeczy.

— Niech pan nie dłubie w sprzęcie, dopóki pan do końca nie wytrzeźwieje.

— Dobrze. Poczekam.

— Zwłaszcza w sprzęcie elektrycznym.

— Najpierw zrobię sobie coś do jedzenia. To pomaga. Może mi nawet pomóc na żołądek.

Napolitino spojrział w końcu na Billy'ego.

— Przykro mi, że musiał pan czekać na słońcu z tym bólem głowy i w ogóle.

Ton sierżanta wydawał się szczery, po raz pierwszy pojednawczy,

lecz oczy w dalszym ciągu były chłodne, mroczne i bezlitosne niczym lufy pistoletów.

— Wszystko to moja wina — odparł Billy. — Wykonywaliście po prostu swoją robotę. Powiedziałem już sześć razy, że się wygłupiłem. Nie można tego inaczej określić. Naprawdę mi przykro, że zabrałem wam tyle czasu.

— Naszym zadaniem jest „służyć i chronić”. — Na ustach Napolitino pojawił się słaby uśmiezek. — Mamy nawet taki napis na samochodzie.

— Bardziej podobał mi się napis „najlepsi zastępcy szeryfa, jakich można kupić” — powiedział sierżant Sobieski. Billy parsknął mimowolnym śmiechem, ale twarz Napolitino zdradzała wyłącznie zniecierpliwienie. — Może czas już przestać zwalniać tempo, Billy, i coś zjeść.

Billy pokiwał głową.

— Macie rację.

Idąc w stronę domu, czuł, że go obserwują. Nie obejrzał się.

Jego serce przez cały czas nie biło specjalnie mocno. Teraz znowu zaczęło walić.

Nie wierzył we własne szczęście. Bał się, że za chwilę się od niego odwróci.

Na werandzie zabrał zegarek z balustrady i założył go na rękę. Pochylił się, żeby podnieść piersiówkę. Nie widział nigdzie nakrętki. Musiała stoczyć się z werandy albo pod któryś z foteli.

Przystanąwszy przy stoliku, włożył trzy krakersy do pustego pudełka, w którym trzymał wcześniej rewolwer, i zabrał szklanekę z colą.

Czekał, aż policjanci zapalą silniki swoich samochodów. Nie zrobili tego.

Nie oglądając się, zaniósł szklanekę, pudełko i butelkę do środka. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie.

Na zewnątrz nadal było bezwietrznie. Silniki milczały.

# 31

Nagle przyszło mu do głowy, że jak długo będzie czekał oparty plecami o drzwi, sierżanci Napolitino i Sobieski nie odjadą.

Nasłuchując, przeszedł do kuchni. Wyrzucił pudełko po krakersach Ritza do śmieci.

Nasłuchując, wylał do zlewu resztki whiskey z piersiówki, a potem colę ze szklanki. Butelkę wyrzucił do śmieci, szklankę wsadził do zmywarki.

Nie słysząc nadal odgłosu zapalanych silników, nie potrafił się skupić na niczym innym.

Zaciemniony dom budził w nim uczucie coraz większej klaustrofobii, wydawał się kurczyć do rozmiarów trumny — pewnie dlatego, że były w nim ukryte zwłoki.

Kiedy wchodził do salonu, kusił go, żeby podnieść jedną z rolet, podnieść wszystkie. Nie chciał jednak, by sierżanci pomyśleli, że chce ich obserwować, że ich przedłużająca się obecność go deprymuje.

Ostrożnie odchylił brzeg jednej z rolet. Z tego miejsca nie widział podjazdu. Podszedł do innego okna i zobaczył, że dwaj mężczyźni stoją przy samochodzie Napolitino, tam gdzie ich zostawił. Żaden nie patrzył w stronę domu.



Wydawali się pogrążeni w rozmowie. Raczej nie dotyczyła baseballu.

Billy zastanawiał się, czy Napolitino poszukał w warsztacie przeciętej do połowy sześciocalowej orzechowej deski z dziurą po sęku. Sierżant nie znalazłby oczywiście deski tej długości, ponieważ w ogóle nie istniała.

Kiedy Sobieski odwrócił głowę w stronę domu, Billy natychmiast puścił roletę. Miał nadzieję, że zrobił to dość szybko.

Dopóki nie odjechali, zamartwiał się o różne rzeczy. Biorąc pod uwagę, ile miał powodów do obaw, mogło wydawać się dziwne, że zdominowało je dziwaczne przeświadczenie, iż ciało Ralpa Cottle'a nie leży już pod biurkiem w gabinecie, tam gdzie je zostawił.

Żeby usunąć zwłoki, zabójca musiałby wejść do domu w czasie, kiedy dwaj policjanci rozmawiali z Billym na podjeździe. Udowodnił już, że jest odważny, ale to byłaby brawura, najgorszego rodzaju ryzykanctwo.

Jeśli ciało zostało przeniesione, Billy musiał je odnaleźć. Nie wolno mu było czekać, aż trup pojawi się niespodziewanie w najbardziej nieodpowiednim i obciążającym go momencie.

Wyciągnął rewolwer spod poduszki sofy.

Odchylając bębenek i sprawdzając, czy nadal tkwi w nim sześć nabojów, zapewnił się w duchu, że to akt rozumnej podejrzliwości, nie oznaka paranoi.

Kiedy szedł korytarzem, wzmógł się niepokój, który przedtem szarpał dyskretnie jego nerwy. Gdy przestąpił próg gabinetu, urósł do alarmistycznych rozmiarów.

Odsunął fotel od biurka.

Otoczony z trzech stron przez wewnętrzne ścianki biurka, cały w miękkich fałdach workowatego pogniecionego garnituru, Ralph Cottle wyglądał niczym tkwiąca w skorupie jadalna część orzecha włoskiego.

Billy nie wyobrażał sobie, że widok zwłok we własnym domu sprawi mu tak olbrzymią ulgę.

Podjejrzał, że na ciele mężczyzny umieszczonych zostało kilka subtelnych, lecz bezspornie obciążających go dowodów. Nawet gdyby poświęcił wiele czasu na skrupulatną inspekcję zwłok, przypuszczalnie nie dostrzegłby jednego czy drugiego.

Ciało musiało zostać zniszczone lub pochowane w miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie. Billy nie wiedział jeszcze, jak się go pozbędzie, lecz starając się zażegnać narastający kryzys, kreślił jednocześnie w umyśle różne ponure scenariusze.

Odnajdując ciało w tym samym miejscu, gdzie je zostawił, przekonał się również, że komputer jest nadal włączony i czeka. Zdążył już wcześniej wsunąć do stacji dyskietkę znaną w dłoniach Cottle'a, lecz zanim dowiedział się, co zawiera, zadzwoniła do niego Rosalyn Chan, żeby spytać, czy nie telefonował przed chwilą pod 911.

Usiadł przed komputerem i wsunął nogi pod fotel, jak najdalej od zwłok.

Na dyskietce były trzy dokumenty. Pierwszy miał tytuł DLACZEGO, bez znaku zapytania.

Otworzywszy dokument, przekonał się, że jest krótki.

Ponieważ ja również jestem rybakiem ludzi.

Przeczytał to zdanie trzy razy. Nie wiedział, jak ma je rozumieć, ale ponownie rozboleły go rany po haczykach na czole.

Rozpoznał religijne odniesienia. Rybakiem ludzi nazywano Chrystusa.

Nasuwał się łatwy wniosek, że zabójca jest fanatykiem religijnym, któremu wydaje się, iż słyszy nakłaniające go do zabijania boskie głosy. Łatwe wnioski okazują się jednak na ogół błędne. Prawidłowe rozumowanie musi się opierać na więcej niż jednej przesłance.

Poza tym świr miał skłonność do dwuznaczności, tendencję do ściemniania, potrafił wprowadzać w błąd i tworzyć atmosferę

tajemniczości. Wolał niejasność od bezpośredniości, okrężną drogę od prostej.

DLACZEGO.

Ponieważ ja również jestem rybakiem ludzi.

Prawdziwego, pełnego znaczenia tego zdania nie sposób było odgadnąć i po stu odczytaniach. Tym bardziej było to trudne w ograniczonym czasie, który Billy mógł obecnie poświęcić na jego analizę.

Drugi dokument miał tytuł JAK. Okazał się nie mniej tajemniczy od pierwszego.

Okrucieństwo, przemoc, śmierć.

Ruch, prędkość, uderzenie.

Ciało, krew, kości.

Te triady, choć pozbawione rymu i metrum, wydawały się niemal strofą wiersza. I podobnie jak w abstrakcyjnej poezji ich znaczenie było zakamuflowane.

Billy odniósł dziwne wrażenie, że te trzy wersy są trzema odpowiedziami i gdyby poznał pytania, pozwoliłoby mu to ustalić tożsamość zabójcy.

Nie miał teraz czasu zastanawiać się, czy to wrażenie jest trafne. Musiał coś zrobić ze zwłokami Lanny'ego i Cottle'a. Był przekonany, że kiedy zerknie na zegarek, wskazówki minutowa i godzinowa będą się obracały tak, jakby odmierzały sekundy.

Trzeci mieszczący się na dyskietce dokument miał tytuł KIEDY. Otwierając go, Billy poczuł, że schowany pod biurkiem nieboszczyk złapał go za stopę.

Gdyby nie zabrakło mu tchu, krzyknąłby ze strachu. Wypuszczając w końcu uwięzione w krtani powietrze, zdał sobie sprawę, że nie ma do czynienia z żadnym nadprzyrodzonym zjawiskiem.

Nieboszczyk nie złapał go; podenerwowany Billy sam wcisnął stopy pod zwłoki. Teraz cofnął je ponownie pod fotel.

Widniejący na ekranie monitora dokument pod tytułem **KIEDY** zawierał wiadomość, której interpretacja była łatwiejsza od poprzednich.

Moje ostatnie zabójstwo: czwartek o północy.  
Twoje samobójstwo: wkrótce potem.

# 32

MOJE OSTATNIE ZABÓJSTWO: CZWARTEK O PÓŁNOCY.

Twoje samobójstwo: wkrótce potem.

Billy Wiles spojrzął na zegarek. Było kilka minut po południu, w środę.

Jeśli świr mówił serio, inscenizacja, czy cokolwiek to było, miała się skończyć za trzydzieści sześć godzin. Piekło jest wieczne, ale każde piekło na ziemi musi być z samej definicji skończone.

Wzmianka o „ostatnim zabójstwie” nie oznaczała, że należało oczekiwać tylko jednego morderstwa. W półtora dnia świr popełnił ich trzy; w trakcie następnych trzydziestu sześciu godzin nie musiał wcale poskromić swoich morderczych skłonności.

Okrucieństwo, przemoc, śmierć.

Ruch, prędkość, uderzenie.

Ciało, krew, kości.

Spośród dziewięciu zawartych w drugim dokumencie słów jedno wydało się Billy'emu celniejsze od innych. Prędkość.

Ruch zaczął się, kiedy pod wycieraczką explorera zostawiona została pierwsza wiadomość. Uderzenie nadejdzie wraz z ostatnim zabójstwem, tym, które miało go doprowadzić do samobójstwa.

Tymczasem musiał w coraz szybszym tempie stawiać czoło

wytrącającym go z równowagi nowym wyzwaniem. Słowo **prędkość** zapowiadało, że najbardziej stromy zjazd na tej diabelskiej kolejce dopiero go czeka.

Nie lekceważył obietnicy przyśpieszenia tempa ani nie odrzucał z góry możliwości, że popełni samobójstwo.

Samobójstwo jest grzechem śmiertelnym, ale Billy zdawał sobie sprawę, że jest człowiekiem płytkim, pod wieloma względami słabym i ułomnym. W tym momencie nie był zdolny do autodestrukcji, lecz można łamać zarówno serca, jak i umysły.

Wyobrazenie sobie tego, co mogło go zaprowadzić na skraj przepaści, nie przysparzało mu większych trudności. Właściwie było bardzo łatwe.

Sama śmierć Barbary Mandel nie skłoniłaby go do samobójstwa. Prawie od czterech lat przygotowywał się do jej odejścia. Przywykał do myśli, że będzie musiał żyć bez nadziei na jej wyzdrowienie.

Sposób, w jaki zostałaaby zamordowana, mógł jednak doprowadzić do fatalnego załamania się całej jego konstrukcji psychicznej. Pograżona w śpiączce mogła nie zdawać sobie sprawy, co jej robi zabójca. Gdyby jednak musiała znosić ból, gdyby padła ofiarą brutalnej przemocy i poniżenia, Billy mógł załamać się pod ciężarem związanej z tym grozy.

Miał do czynienia z człowiekiem, który zatłukł na śmierć uroczą młodą nauczycielkę i ściągał kobietom skórę z twarzy.

Co więcej, jeżeli świr miał zamiar ukartować wszystko tak, by podejrzewano Billy'ego nie tylko o zamordowanie Giselle Winslow, Lanny'ego i Ralpa Cottle'a, lecz również o pozbawienie życia Barbary, może nie warto byłoby znosić długich miesięcy procesu i ostrzału mediów, nawet gdyby proces zakończyłby się ostatecznie wyrokiem uniewinniającym.

Świr zabijał dla przyjemności, lecz również w pewnym celu i z pewnym planem. Bez względu na to, jaki przyświecał mu cel, plan polegał, jak się zdaje, na przekonaniu policji, iż przed zamordowaniem Barbary Billy popełnił umyślnie całą serię zabójstw, aby wywołać wrażenie, że w okolicy grasuje brutalny seryjny morderca,

odwrócić w ten sposób podejrzenia od siebie i skierować je na nieistniejącego psychopatę.

Gdyby świr zrealizował z odpowiednim sprytem swój plan — a powinien — władze przełknęłyby tę teorię niczym łyżkę lodów waniliowych. W ich oczach Billy miał przecież poważny motyw, żeby załatwić Barbarę.

Koszty jej opieki medycznej pokrywane były z dochodów płynących z siedmiomilionowego funduszu powierniczego ustanowionego na mocy wyroku sądowego przez firmę odpowiedzialną za to, że Barbara zapadła w śpiączkę. Billy był jednym z trzech powierników, którzy zarządzali funduszem.

Gdyby Barbara zmarła, nie obudziwszy się ze śpiączki, był jej jedynym spadkobiercą.

Nie chciał tych pieniędzy, nie chciał z nich ani grosza, i nie zamierzał ich zatrzymać, gdyby przypadły mu w udziale. Gdyby zmarła, miał zamiar oddać wszystkie miliony.

Nikt oczywiście nie uwierzy, że takie były jego intencje.

Zwłaszcza kiedy świr skutecznie go wrobi, jeśli do tego właśnie prowadzą jego działania.

Dzwoniąc pod 911, z całą pewnością realizował ten zamiar. W biurze szeryfa zainteresowali się wskutek tego Billym i zapewne powiążą go ze sprawą, którą będą się starali rozwikłać.

Billy połączył wszystkie trzy dokumenty i wydrukował je na jednej kartce:

Ponieważ ja również jestem rybakiem ludzi.

Okrucieństwo, przemoc, śmierć.

Ruch, prędkość, uderzenie.

Ciało, krew, kości.

Moje ostatnie zabójstwo: czwartek o północy.

Twoje samobójstwo: wkrótce potem.

Następnie wyciął nożyczkami tekst, mając zamiar złożyć go i schować do portfela, skąd mógł go w każdej chwili wyjąć. Zrobiwszy to, uświadomił sobie, że papier, na którym wy drukował tekst,

nie różni się od tego, na którym zabójca wydrukował cztery pierwsze wiadomości. Skoro teksty znajdujące się na trzymanej przez Cottle'a dyskietce zostały napisane na tym komputerze, to samo mogło dotyczyć pierwszych czterech notek.

Wyszedł z Worda, a potem wszedł w niego ponownie i otworzył katalog dokumentów.

Lista nie była długa. Używał tego programu wyłącznie do pisania swojej prozy.

Rozpoznał tytuły swojej jedynej powieści, kilku ukończonych nowelek oraz kilku, których nigdy nie ukończył. Tylko jeden dokument nie był mu znany: ŚMIERĆ.

Otworzył go. Dokument zawierał cztery pierwsze wiadomości od świra.

Zastanawiał się przez chwilę, przypominając sobie odpowiednie procedury, a potem postukał w klawisze i na ekranie ukazała się data i godzina utworzenia dokumentu: 10.09, w poprzedni piątek.

Tamtego dnia Billy wyjechał do pracy kwadrans wcześniej niż zwykle. Po drodze zahaczył o pocztę, żeby zapłacić rachunki.

Oba listy pozostawione za wycieraczką, ten przymocowany nad stacyjką explorera, a nawet ten, który odnalazł rano na lodówce, zostały napisane na tym komputerze trzy dni przed doręczeniem pierwszego, zanim jeszcze w poniedziałek wieczorem zaczął się cały koszmar.

Gdyby Lanny nie zniszczył dwóch pierwszych listów, aby ocalić posadę, gdyby Billy zawiózł je na policję w charakterze dowodu, gliniarze wcześniej czy później sprawdziliby jego komputer. Doszliby do nieuniknionego wniosku, że on sam napisał te listy.

Świr przygotował się na wszelkie ewentualności. Był bardzo przewidujący. I nie miał wątpliwości, że wydarzenia potoczą się zgodnie z jego scenariuszem.



Billy skasował dokument zatytułowany ŚMIERĆ, co w zależności od tego, jak potoczą się wypadki, również mogło świadczyć przeciwko niemu.

Podjerzywał, że skreślając dokument z katalogu, nie usuwał go z twardego dysku. Musiał zapytać, jak to się robi, kogoś, kto lepiej od niego znał się na komputerach.

Wyłączając komputer, zdał sobie sprawę, że w dalszym ciągu nie usłyszał odgłosu zapalanych silników.

# 33

Odsuwając rolety w oknie gabinetu, przekonał się jednak, że skąpany w słońcu podjazd jest pusty. Teksty z dyskietki tak go zaabsorbowały, że nie usłyszał, jak policjanci odjechali.

Prawdę mówiąc, spodziewał się znaleźć na dyskietce kolejne wyzwanie: wybór pomiędzy dwiema niewinnymi ofiarami, krótki termin na podjęcie decyzji.

Z pewnością wkrótce stanie przed podobnym wyzwaniem; na razie jednak mógł zająć się pilniejszymi sprawami. Miał ich mnóstwo.

Poszedł do garażu i wrócił z długim kawałkiem sznura i jedną z poliuretanowych płacht, którymi okrył meble, kiedy malował na wiosnę wewnątrz domu. Rozłożył ją na podłodze gabinetu, wywlókł spod biurka zwłoki Cottle'a i położył je na płachcie.

Perspektywa przeszukania kieszeni nieboszczyka budziła w nim odrazę, ale przemógł się.

Nie szukał obciążających go dowodów. Jeżeli świr umieścił jakieś na zwłokach, zrobił to w subtelny sposób. Billy i tak niczego by nie znalazł.

Poza tym miał zamiar pozbyć się ciała w miejscu, gdzie nikt go nie odkryje. Dlatego nie przejmował się tym, że zostawia odciski palców na plastikowej płachcie.

Marynarka miała dwie wewnętrzne kieszenie. W pierwszej Cottle trzymał piersiówkę z whiskey, która się wylała. W drugiej Billy znalazł piersiówkę z rumem i włożył ją z powrotem.

W dwóch zewnętrznych kieszeniach marynarki były papierosy, tania gazowa zapalniczka oraz rolka słodkich landrynek. W kieszeniach spodni odnalazł sześćdziesiąt siedem centów monetami, talię kart i gwizdek w kształcie plastikowego kanarka.

W portfelu Cottle miał sześć jednodolarowych banknotów, jedną piątkę i czternaście dziesięciodolarówek. Te ostatnie musiał dać mu świr.

Dziesięć dolarów za każdy rok pańskiej niewinności, panie Wiles.

Z natury oszczędny, Billy nie chciał grzebać nieboszczyka razem z pieniędzmi. Zastanawiał się, czy nie wrzucić ich do skarbonki dla ubogich w kościele, przy którym zaparkował i został napadnięty poprzedniej nocy.

Ostrożność wzięła jednak górę nad oszczędnością. Billy zostawił banknoty w portfelu. Podobnie jak martwi faraonowie, których wysyłano na drugi brzeg z solą, ziarnem, winem i wykastrowanymi sługami, Ralph Cottle miał przekroczyć Styks z pieniędzmi na drobne wydatki.

Z innych znajdujących się w portfelu przedmiotów dwa zasługiwały na uwagę. Pierwszym było wyblakłe i pogniecione zdjęcie Cottle'a jako młodego człowieka. Przystojny i pełen wigoru, radykalnie różnił się od zużytego mężczyzny z późniejszych lat, lecz można go było rozpoznać. Towarzyszyła mu urocza młoda kobieta. Uśmiechali się. Sprawiali wrażenie szczęśliwych.

Drugim przedmiotem była legitymacja Amerykańskiego Towarzystwa Sceptyków z roku 1983. RALPH THURMAN COTTLE, CZŁONEK OD 1978.

Billy zatrzymał zdjęcie oraz legitymację i włożył całą resztę do kieszeni Cottle'a.

Owinął szczelnie zwłoki płachtą, po czym złożył jej końce i zakleił je długimi odcinkami taśmy.

Miał nadzieję, że owinięty warstwami nieprzezroczystego poliuretanu trup będzie przypominał zapakowany w plastik dywan. Wyglądał jednak jak trup owinięty płachtą.

Z mocno ściągniętego sznura sporządził przy końcu zapakowanych zwłok coś w rodzaju uchwytu, za który można je było ciągnąć.

Nie zamierzał się ich pozbywać przed zapadnięciem zmroku. Przestrzeń bagażowa w jego explorerze była otoczona oknami. Terenówki są użytecznymi pojazdami, ale jeśli chce się transportować zwłoki w świetle dnia, bardziej przydatny jest samochód z przestronnym bagażnikiem.

Ponieważ zaczął mieć wrażenie, że jego dom przypomina dworzec autobusowy w godzinie szczytu, przeciągnął trupa z gabinetu do salonu i schował za sofą. Nie było go tu widać zarówno od drzwi frontowych, jak i kuchennych.

Stanąwszy przy zlewie, energicznie wyszorował ręce w gorącej wodzie, polewając je kilkakrotnie mydłem w płynie.

Potem zrobił sobie kanapkę z szynką. Wyglodniały, dziwił się, jak można mieć apetyt po tym, co przed chwilą robił.

Nie spodziewał się, że wola przetrwania jest w nim taka silna po tylu latach dezercji. Zastanawiał się, jakie inne cechy, dobre i złe, odkryje w sobie po raz pierwszy lub na nowo w trakcie następnych trzydziestu sześciu godzin.

Jest ktoś, kto pamięta drogę do drzwi waszych. Możecie wymknąć się Życiu, lecz nie Śmierci.

# 34

Kiedy Billy zjadł kanapkę z szynką, zadzwonił telefon.

Nie chciał go odbierać. Nie dostawał wielu telefonów od znajomych, a Lanny już nie żył. Wiedział, kto to musi być. Co za dużo to niezdrowo.

Po dwunastym dzwonku odsunął krzesło od stołu.

Świr nigdy nie powiedział nic przez telefon. Nie chciał ujawnić swojego głosu. Przysłuchiwał się tylko w szyderyczym milczeniu temu, co mówił Billy.

Po szesnastym dzwonku wstał od stołu.

Celem tych telefonów było zastraszenie go. Odbieranie ich nie miało sensu.

Stanął przy aparacie i wbił weń wzrok. Po dwudziestym szóstym dzwonku podniósł słuchawkę.

Na cyfrowym wyświetlaczu nie było numeru dzwoniącego.

Nie powiedział „halo”. Słuchał.

Po kilku sekundach ciszy w słuchawce zabrzmiało mechaniczne kliknięcie i szum. W tle słychać było stuki i trzaski: dźwięki, jakie wydaje sunąca po głowicy nienagrana taśma magnetofonowa.

Kiedy rozległy się słowa, wypowiedane były przez różne głosy, niektóre męskie, niektóre kobiece. Żadna osoba nie wypowiedziała ich więcej niż trzy, często mówiła tylko jedno.

Sądząc po różnych poziomach głośności i innych oznakach, świr skomponował wiadomość, składając ją z fragmentów istniejących nagrań, najprawdopodobniej wydanych w wersji dźwiękowej książek, czytanych przez różnych lektorów.

— Zabiję... ładną rudą kobietę. Jeśli powiesz... załatw tę dziwkę... zabiję... ją... szybko. W przeciwnym razie... zginie... w męczarniach... Masz... jedną minutę... żeby powiedzieć... załatw tę dziwkę. Wybór... należy... do ciebie.

W słuchawce ponownie rozległ się szum, a potem stuki i trzaski nienagranej taśmy.

Zasadzka została skonstruowana idealnie. Nie pozwalała uchylać się od działania osobie na dalsze uniki.

Wcześniej Billy ponosił moralną współodpowiedzialność, gdy chował głowę w piasek, a w przypadku Cottle'a, gdy odmówił udziału w grze, przyczyniając się w ten sposób do wyboru tej lub innej ofiary.

Śmierć uroczej nauczycielki i śmierć zaangażowanej w działalność charytatywną starszej pani wydawały się w równym stopniu tragiczne, chyba że ktoś sprzyjał pięknym i nie lubił starszych. Podjęcie aktywnej decyzji nie pociągało za sobą ani większej, ani mniejszej tragedii aniżeli zaniechanie.

Kiedy ofiarą miał się stać nieżonaty mężczyzna, „którego braku świat nie odczuje zbyt dotkliwie”, lub młoda matka dwojga dzieci, większą tragedią mogła się wydać śmierć matki. W tym wypadku wybór został skonstruowany w ten sposób, by Billy ocalił matkę, jeśli nie zawiadomi policji. Jego bierność została nagrodzona, słabość wykorzystana.

Obecnie ponownie poproszono go, by wybrał między jednym a drugim złem i z tej racji stał się współnikiem świra. Tym razem jednak zaniechanie nie było lepszym wyjściem. Nie mówiąc nic, skazywał rudą kobietę na męczarnie, na długą i okrutną śmierć. Odpowiadając, oszczędzał jej tortur.

Nie mógł jej ocalić.

I w jednym, i w drugim wypadku czekała ją śmierć.

Ale jedna śmierć mogła być łagodniejsza od drugiej.

Z taśmy dobiegły kolejne dwa słowa:

— ...trzydzieści sekund...

Billy miał wrażenie, że brakuje mu tchu, ale to było złudzenie. Miał wrażenie, że zakrztusi się, jeśli spróbuje przełknąć ślinę, ale wcale się nie zakrztusił.

— ...piętnaście sekund...

Zaschło mu w ustach. Spuchł mu język. Nie wierzył, że zdoła się odezwać, lecz zdołał.

— Załatw tę dziwkę.

Świr rozłączył się. Billy zrobił to samo.

Wspólnicy.

Przeżuta szynka, chleb i majonez obracały mu się w żołądku.

Gdyby przypuszczał, że świr zechce się z nim skomunikować przez telefon, poczyniłby przygotowania, żeby nagrać rozmowę. Teraz było już na to za późno.

Tego rodzaju nagranie nie stanowiłoby zresztą przekonującego dowodu, chyba że odnaleziono by zwłoki rudej kobiety. A gdyby je odnaleziono, podrzucone dowody z pewnością obciążąłyby Billy'ego.

Klimatyzacja działała jak należy, lecz mimo to miał wrażenie, że w kuchni jest gorąco i duszno. Lepkie powietrze oblepiło mu gardło i płuca.

Załatw tę dziwkę.

Billy zorientował się nagle, że schodzi z tylnej werandy. Nie pamiętał, że wyszedł z domu, i nie miał pojęcia, dokąd się wybiera.

Usiadł na schodkach.

Popatrzył na niebo, na drzewa, na podwórko.

Spojrzał na swoje dłonie. Nie poznawał ich.

# 35

Wyjeżdżając okrężną drogą z miasta, nie widział, żeby ktoś go śledził.

Ponieważ nie wiozł zwłok, mógł śmiało przekraczać dozwoloną szybkość przez większą część drogi na południe. Kiedy o 13.52 minął granice miasta Napa, gorący wiatr awanturował się w wybitym od strony kierowcy oknie.

Napa jest urokliwym, raczej malowniczym miastem, co zawdzięcza w przeważającej mierze samej naturze, a nie politykom i wielkim korporacjom, spiskującym, by zmienić je w park tematyczny w rodzaju Disneylandu, który to los spotkał już wiele miejsc w Kalifornii.

Adwokat Billy'ego, Harry Avarikian, miał swoją kancelarię w śródmieściu, niedaleko sądu, przy ulicy wysadzonej starymi oliwkami. Spodziewał się wizyty Billy'ego i złapał go na powitanie w niedźwiedzi uścisk.

Mniej więcej pięćdziesięcioletni, wysoki, solidny i dobroduszny, o mięsistej, skorej do uśmiechu twarzy, Harry mógł stanowić reklamę cudownej maści na porost włosów. Miał gęstą czarną czuprynę, która wyglądała, jakby musiał ją codziennie strzyc fryzjer, sumiaste wąsy oraz wielkie dłonie porośnięte z wierzchu twardą czarną szczecina.

Siedział przy zabytkowym biurku swojego wspólnika i kiedy Billy



zajął miejsce naprzeciwko, nie wyglądali jak adwokat i jego klient, lecz omawiający wspólny interes przyjaciele.

— Więc co to za ważna sprawa, o której nie mogłeś mi powiedzieć przez telefon? — zapytał Harry, kiedy przywitani się i wymienili uwagi na temat upału.

— Nie chodzi o to, że nie mogłem mówić przez telefon — skłamał Billy. Pozostała część jego wypowiedzi była mniej lub więcej prawdziwa. — Przyjechałem, żeby załatwić kilka innych spraw, i pomyślałem, że mogę do ciebie zajrzeć i powiedzieć, co mnie gnębi.

— Więc pytaj o wszystko i zobaczymy, czy znam się choć trochę na prawie.

— Chodzi mi o fundusz powierniczy, z którego finansowane jest leczenie Barbary.

Pozostałymi członkami trzyosobowego zarządu powierniczego byli Harry Avarkian oraz księgowy Billy'ego, Gi Minh „George” Nguyen.

— Nie dalej jak przed dwoma dniami dostałem sprawozdanie finansowe za drugi kwartał — powiedział Harry. — Dochód wyniósł czternaście procent. Doskonały wynik jak na ten rynek. Nawet po odjęciu wydatków na leczenie kapitał stale rośnie.

— Sprytnie zainwestowaliśmy — zgodził się Billy. — Ale ja nie mogę spać w nocy. Zastanawiam się, czy komuś nie uda się w jakiś sposób dobrać do konfitur.

— Do konfitur? Chodzi ci o pieniądze Barbary? Jeśli musisz się czymś martwić, martw się tym, że w Ziemię trafi planetoida.

— Martwię się. Nic na to nie mogę poradzić.

— Sam pisałem statut tego funduszu, Billy, i nie ma takiej możliwości. A z tobą na straży nikt nie uszczknie nawet centa.

— Sęk w tym, że może mi się coś stać.

— Masz dopiero trzydzieści cztery lata. Dla mnie jesteś dzieciuch.

— Mozart zmarł, zanim skończył trzydzieści cztery lata.

— Nie żyjemy w osiemnastym wieku, a ty nawet nie grasz na fortepianie — zauważył Harry — więc to porównanie nie ma

żadnego sensu. Jesteś chory czy coś w tym rodzaju? — zapytał, marszcząc czoło.

— Nie czuję się najlepiej — przyznał Billy.

— Co to za opatrunek na czole?

Billy opowiedział mu historię o sęku w desce.

— To nic poważnego — dodał.

— Jesteś błądy jak na tę porę roku.

— Prawie nie jeździłem na ryby. Słuchaj, Harry, nie mam raka ani czegoś podobnego, ale może mnie zawsze potracić ciężarówka.

— Tak bardzo na ciebie ostatnio polują, te ciężarówki? Musiałeś przed nimi uciekać? Odkąd to stałeś się takim pesymistą?

— A Dardre?

Dardre była siostrą Barbary. Były bliźniaczkami, ale dwujajowymi, nie identycznymi, wcale do siebie niepodobnymi i zdecydowanie różniącymi się charakterem.

— Wyrok sądu nie tylko wyłączył jej zasilanie, ale pozbawił baterii.

— Wiem, ale...

— Zgoda, jest cholernie zawzięta, lecz należy do historii w tym samym stopniu, co serek jogurtowy i mozarella, które jadłem na lunch przed tygodniem.

Matka Barbary i Dardre, Cicily, była narkomanką. Nigdy nie po-  
dała tożsamości ojca dziewczynek i na świadectwach urodzenia bliźniaczki nosiły panieńskie nazwisko matki.

Kiedy miały dwa latka, Cicily wylądowała na oddziale psychiatrycznym. Odebrano jej prawa rodzicielskie i umieszczono bliźniaczki w rodzinie zastępczej. Cicily zmarła jedenaście miesięcy później.

Do ukończenia piątego roku życia siostry wędrowały od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Potem zostały rozdzielone.

Barbara nigdy już nie spotkała się z Dardre. Kiedy w wieku dwudziestu jeden lat wytropiła siostrę i próbowała nawiązać z nią na nowo stosunki, została odtrącona.

Chociaż nie tak autodestrukcyjna jak matka, Dardre odziedziczyła po niej upodobanie do nielegalnych substancji chemicznych i nieustannego balowania. Trzeźwa i schludna siostra wydała jej się nudna i nieciekawa.

Osiem lat później, kiedy media zainteresowały się wypadkiem Barbary, a firma ubezpieczeniowa przeznaczyła miliony dolarów na jej długotrwałe leczenie, Dardre odkryła, że jest głęboko emocjonalnie związana ze swoją siostrą. Jako jedyna znana krewna Barbary podjęła kroki prawne w celu uznania jej za wyłączną powierniczkę funduszu.

Na szczęście, za podszeptem Harry'ego, Billy i Barbara krótko po zaręczynach sporządzili i podpisali w jego kancelarii proste testamenty, czyniąc się wzajemnie spadkobiercami i wykonawcami ostatniej woli.

Życiorys, taktyka oraz niezawołowana chciwość Dardre nie wzbudziły entuzjazmu sędziego. Jej powództwo zostało oddalone.

Dardre próbowała szczęścia w innym sądzie, ale tam również nic nie wskórała. Od dwóch lat nie mieli o niej żadnej wiadomości.

— Ale gdybym umarł... — zaczął ponownie Billy.

— Wybrałeś powierników, którzy mogą cię zastąpić. Jeżeli przejedzie cię ciężarówka, jeden z nich przejmie twoje obowiązki.

— Rozumiem. Ale...

— Jeżeli ty, ja i George Nguyen zginiemy pod kołami ciężarówek — powiedział Harry — jeżeli każdy z nas zginie pod kołami trzech ciężarówek, w pogotowiu czekają zaakceptowani przez sąd, gotowi do przejęcia swoich obowiązków kandydaci na powierników. Dopóki nie zostaną zatwierdzeni, codziennymi sprawami funduszu będzie się zajmowała wyspecjalizowana firma zarządzająca.

— Pomyślałeś o każdej ewentualności.

— Ze wszystkich moich osiągnięć najbardziej szcycę się tym, że nie pozbawiono mnie uprawnień adwokackich — oświadczył Harry, unosząc w uśmiechu swój sumiasty wąs.

— Ale jeżeli coś mi się stanie...

— Dprowadzasz mnie do szaleństwa...

— ...czy oprócz Dardre jest ktoś, kogo powinniśmy się obawiać?

— Na przykład kto?

— Ktokolwiek.

— Nie.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Nikt nie może dobrać się do pieniędzy Barbary?

Harry pochylił się do przodu i oparł dłoń na biurku.

— O co ci tak naprawdę chodzi? Billy wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ostatnio jestem jakiś... przeczulony.

— Może nadeszła pora, żebyś zaczął żyć jak człowiek — powiedział po krótkiej chwili Harry.

— Ja żyję jak człowiek — odparł Billy trochę zbyt ostrym tonem, zważywszy na to, że Harry był przyjacielem i przyzwoitym facetem.

— Możesz opiekować się Barbarą, być wiernym jej pamięci i jednocześnie żyć jak człowiek.

— Ona nie jest wspomnieniem. Ona żyje. Jesteś ostatnim człowiekiem, Harry, którego chciałbym strzelić w pysk.

Harry westchnął.

— Masz rację. Nikt nie może nikomu dyktować, co powinno czuć jego serce.

— Do diabła, Harry, nigdy nie strzeliłbym cię w pysk.

— Czy wyglądam na przestraszonego?

— Wyglądasz tak jak zawsze. Jak muppet — rzekł Billy, cicho się śmiejąc.

Pełne gracji cienie oświetlonych słońcem drzew oliwnych przesunęły się po szybie okna i po pokoju.

— Zdarzają się sytuacje, kiedy po zatruciu jadem kiełbasianym ludzie budzą się ze śpiączki w pełni władz umysłowych — powiedział po chwili Harry Avarkian.

— Niezbyt często — przyznał Billy.

— Niezbyt często nie oznacza nigdy.

— Staram się być realistą, ale tak naprawdę wcale nie chcę nim być.

— Kiedyś lubiłem zupę z porów — powiedział Harry. — Teraz kiedy widzę ją na półce w supermarkecie, robi mi się niedobrze.

Pewnej soboty, kiedy Billy pracował w tawernie, Barbara otworzyła na kolację puszkę z zupą z porów. Zrobiła sobie również grillowanego sandwicza z serem.

Kiedy nie odpowiedziała na jego telefon w niedzielę rano, pojechał do jej mieszkania i otworzył je własnym kluczem. Odnalazł ją nieprzytomną na podłodze łazienki.

W szpitalu podano jej antytoksynę i udało się to zrobić dostatecznie szybko, żeby uratować ją przed śmiercią. I teraz spała. I spała.

Dopóki się nie obudzi, jeśli w ogóle się obudzi, trudno było dokładnie ocenić, do jakich doszło uszkodzeń mózgu.

Producent zupy — ciesząca się nieposzlakowaną opinią firma — natychmiast wycofał całą partię wyrobu ze sklepowych półek. Z ponad trzech tysięcy puszek tylko sześć było zatrutych.

Żadna z nich w widoczny sposób nie napęczniała; można było zatem uznać, iż cierpienie Barbary uchroniło przynajmniej sześć osób od podobnego losu.

Billy nigdy nie potrafił pocieszać się tą myślą.

— Uroczą z niej kobieta — stwierdził Harry.

— Jest blada i chuda, ale dla mnie wciąż jest piękna — oznajmił Billy. — I gdzieś w środku nadal żyje. Mówi różne rzeczy. Opowiadałem ci. Ona żyje i myśli.

Obserwował, jak soczewki szyby rzucają cień oliwek na blat biurka. Nie patrzył na Harry'ego. Nie chciał widzieć współczucia w oczach adwokata.

Po krótkiej chwili Harry wygłosił ponownie jakąś uwagę na temat pogody.

— Słyszalesz, że w Princeton... a może to było w Harvardzie...

naukowcy próbują stworzyć świnie z ludzkim mózgiem? — zapytał Billy.

— Wszędzie zajmują się podobnymi bzdurami — przyznał Harry. — Nigdy się niczego nie nauczą. Im są sprytniejsi, tym bardziej robią się głupi.

— Czysta groza.

— Nie widzą jej. Widzą tylko pieniądze i powód do chwały.

— Ja nie widzę w tym żadnego powodu do chwały.

— A jaki powód do chwały można spostrzec w Auschwitz? A jednak niektórzy go dostrzegli.

Przez chwilę milczeli, a potem Billy spojrzał Harry'emu prosto w oczy.

— Kiedy już coś powiem, można zrywać boki ze śmiechu, prawda? — powiedział.

— Nie uśmieiałem się tak od czasu Abbotta i Costella.

# 36

W sklepie ze sprzętem elektronicznym w Napie Billy kupił kompaktową kamerę wideo i nagrywarkę. Sprzętem można było posługiwać się w tradycyjny sposób, bądź też użyć go do zrobienia serii wykonywanych co parę sekund zdjęć.

W tym drugim trybie, po załadowaniu specjalnej płyty, można było monitorować przez cały tydzień wybrany teren, podobnie jak to się robi w przeciętnym sklepie.

Pamiętając, że explorer ma wybitą szybę i nie powinien zostawiać w nim żadnych wartościowych przedmiotów, Billy zapłacił za zakupy i uprzedził, że wróci po nie za pół godziny.

Ze sklepu ze sprzętem wyruszył na poszukiwanie automatu z gazetami. Znalazł go przy aptece.

Na pierwszej stronie był artykuł o Giselle Winslow. Nauczycielka została zamordowana we wtorek, we wczesnych godzinach porannych, ale ciało odnaleziono dopiero po południu, przed niespełną dwudziestoma czterema godzinami.

Zdjęcie zamieszczone w gazecie różniło się od tego, które znalazł na kolanach Lanny'ego Olsena, ale przedstawiało tę samą atrakcyjną kobietę.

Z gazetą pod pachą Billy poszedł do miejskiej biblioteki.

Miał w domu komputer, ale bez dostępu do Internetu. Biblioteka oferowała i jedno, i drugie.

Tylko on korzystał z komputera. Inni czytelnicy siedzieli za stołami albo przeglądali książki na półkach. Może przyszłości bibliotek nie należało jednak upatrywać w elektronice.

Pisząc swoje opowiadania, sprawdzał w Internecie różne rzeczy. Potem szukał w nim rozrywki, ucieczki. Od dwóch lat w ogóle nie surfował po sieci.

W tym czasie wiele się zmieniło. Dostęp był szybszy. Przeszukiwanie zasobów również okazało się szybsze i łatwiejsze.

Billy wpisał w okienku ciąg wyrazów. Kiedy nie uzyskał żadnych wyników, zmodyfikował go raz, a potem drugi.

Przepisy dotyczące wieku, w którym wolno pić alkohol, różniły się w zależności od stanu. W wielu z nich Steve Zillis nie mógł pracować za barem przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia. Billy wykreślił słowo „barman” z ciągu wyrazów.

Steve pracował w tawernie zaledwie od pięciu miesięcy. On i Billy nigdy nie opowiadali sobie o swoim życiu.

Billy'emu obito się o uszy, że Steve studiował. Nie pamiętał gdzie. Dodał „student” do ciągu wyrazów.

Być może słowo „morderstwo” w zbyt dużym stopniu ograniczało poszukiwania. Zastąpił je słowem „przestępstwo”.

Uzyskał jeden wynik. Z „Denver Post”.

Materiał pochodził sprzed pięciu lat i ośmiu miesięcy. Chociaż Billy ostrzegał się w duchu, aby nie wyciągać pochopnych wniosków, informacja wydawała się ważna.

W listopadzie tamtego roku na Uniwersytecie Kolorado w Denver zaginęła osiemnastoletnia studentka, Judith Sarah Kesselman. Z początku nic nie wskazywało na to, że popełnione zostało przestępstwo.

W tekście, który okazał się jednym z wielu artykułów dotyczących zaginięcia młodej kobiety, przytoczono słowa innego



studenta Uniwersytetu Kolorado, dziewiętnastoletniego Steve'a Zillisa, który twierdził, że Judith była „wspaniałą dziewczyną, serdeczną i troskliwą, przyjaźniła się ze wszystkimi”. Steve martwił się, ponieważ Judith była „zbyt odpowiedzialną osobą, żeby tak po prostu wyjechać na kilka dni, nie mówiąc nikomu o swoich planach”.

Po wpisaniu do wyszukiwarki „Judith Sarah Kesselman” Billy uzyskał więcej wyników. Przygotował się na wiadomość, że jej ciało zostało odnalezione bez twarzy.

Z początku czytał wszystkie artykuły bardzo uważnie. Kiedy informacje zaczęły się powtarzać, opuszczał całe fragmenty.

Często cytowano przyjaciół, krewnych oraz profesorów Judith Kesselman. Nie było żadnych dalszych wzmianek o Stevie Zillisie.

Sądząc z liczby tekstów poświęconych Judith, nie znaleziono po niej żadnego śladu. Zupełnie jakby przeszła do innego wszechświata.

Przed Bożym Narodzeniem pisano o niej coraz rzadziej. Z nastaniem nowego roku artykuły przestały się ukazywać.

Media wolą zajmować się osobami martwymi niż zaginionymi, wolą krew od tajemnicy. Stale dochodzi do nowych i ekscytujących aktów przemocy.

Ostatni, chwytający za serce artykuł ukazał się w piątą rocznicę zaginięcia Judith. Pochodziła z Laguna Beach w Kalifornii i wydrukowano go w tamtejszym „Orange County Register”.

Według autora, ubolewającego nad nierozwikłaną tajemnicą Kesselmanów, rodzice wciąż mieli nadzieję, iż Judith żyje. Jakimś cudem. Gdzieś. I któregoś dnia wróci do domu.

Studiowała muzykę. Dobrze grała na fortepianie i na gitarze. Lubiła gospel. I psy. I długie spacery plażą.

W gazetach były jej dwie fotografie. Na obu sprawiała wrażenie figlarnej, rozbawionej i łagodnej.

Chociaż Billy nigdy nie spotkał Judith Kesselman, nie mógł znieść widoku jej twarzy. Odwracał od niej wzrok.

Wydrukował kilka artykułów, żeby przejrzeć je później, i wsunął do wcześniej kupionej gazety.

— Billy Wiles. Kopę lat — powiedział do niego ktoś, kiedy wychodził z biblioteki.

Na krześle przy jednym ze stolików siedział, uśmiechając się szeroko, szeryf John Palmer.

# 37

Chociaż szeryf był w mundurze i bez czapki, bardziej przypominał polityka niż stróża prawa. Ponieważ wybierano go na ten urząd, był faktycznie jednym i drugim.

Z pretensjonalnie ufryzowaną czupryną, gładko wygolonymi policzkami, perfekcyjnie białymi zębami i rzymskim profilem nadającym się do wyrycia na rewersie monety, wyglądał na młodszego o dziesięć lat, niż był w rzeczywistości — i gotowego do wystąpienia przed kamerami.

Wprawdzie siedział przy stoliku w czytelnicy, lecz nie miał przed sobą żadnej gazety, czasopisma lub książki. Sprawiał wrażenie, jakby wszystko już wiedział.

Nie wstał z krzesła. Billy nie usiadł.

— Jak ci się podoba w Vineyard Hills? — zapytał Palmer.

— Dużo tutaj winnic i wzgórz — odparł Billy.

— Nadal pracujesz za barem?

— Barmani są zawsze potrzebni. To trzecia najstarsza profesja na świecie.

— Jaka jest druga, po kurwach? — zapytał Palmer.

— Politycy.

Szeryfa chyba to rozbawiło.

— Pisziesz coś ostatnio? — zapytał.

— Trochę — skłamał Billy.

W jednym z jego opublikowanych opowiadań występowała postać przypominająca do złudzenia Johna Palmera.

— Zbierasz materiały do swoich utworów? — zapytał Palmer.

Z miejsca, gdzie siedział, widać było komputer, przy którym pracował Billy, lecz nie ekran monitora.

Być może Palmer potrafił ustalić, czego szukał Billy w Internecie. Przeznaczony do użytku publicznego komputer mógł rejestrować wszystkie dokonywane przez użytkownika czynności.

Nie. Chyba nie. Poza tym istniały przecież przepisy chroniące prywatność.

— Zgadza się — odparł Billy. — Zbierałem materiały.

— Mój zastępca widział, jak parkujesz przed kancelarią Harry'ego Avarkiana.

Billy nie odpowiedział.

— Trzy minuty po tym, jak wyszedłeś od Harry'ego, skończył się twój czas parkowania.

To mogło być prawdą.

— Wrzuciłem za ciebie dwie dwudziestopięciocentówki — dodał Palmer.

— Dzięki.

— Masz wybitą szybę od strony kierowcy.

— Mały wypadek — powiedział Billy.

— To nie narusza przepisów kodeksu drogowego, ale powinienes ją wstawić.

— Umówiłem się na piątek — skłamał Billy.

— Nie masz chyba nic przeciwko? — zapytał szeryf.

— Przeciwko czemu?

— Że tak tu sobie gawędzimy. — Palmer rozejrzał się dookoła. Nikogo nie było w pobliżu. — Tylko my dwaj.

— Nie mam nic przeciwko — odparł Billy.

Miał wszelkie powody i prawo, żeby odejść. Zamiast tego został, pragnąc pokazać, że nie da się zastraszyć.

To, w jaki sposób John Palmer przesłuchiwał przed dwudziestu

laty czternastoletniego Billy'ego Wileasa, powinno doprowadzić do jego dyscyplinarnego zwolnienia z policji.

Zamiast tego Palmer został awansowany ze stopnia porucznika na stopień kapitana, a potem komendanta. Później wystartował w wyborach na szeryfa i wygrał je. Dwa razy.

Harry Avarkian określał w nader zwięzły sposób sekret kariery Palmera: gównu nie tonie. Twierdził, że słyszał to wyjaśnienie od zastępców szeryfa.

— Jak się miewa ostatnio panna Mandel? — zapytał Palmer.

— Bez zmian — odparł Billy.

Zastanawiał się, czy Palmer wie o zgłoszeniu pod numer 911. Napolitino i Sobieski nie mieli powodu, żeby pisać o tym w raporcie, zwłaszcza że alarm okazał się fałszywy.

Poza tym dwaj sierżanci pełnili służbę w St. Helena. Biuro szeryfa Palmera znajdowało się tutaj, w stolicy okręgu.

— Smutna historia — rzekł Palmer.

Billy nie odpowiedział.

— Mając tyle pieniędzy, będzie przynajmniej do końca życia otoczona najlepszą możliwą opieką.

— Ona wyzdrowieje. Wyjdzie z tego.

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak.

— Tyle pieniędzy... mam nadzieję, że się nie mylisz.

— Nie myślę się.

— Powinna mieć okazję nacieszyć się całą tą forszą.

Zachowując kamienne oblicze, Billy nie dał po sobie w najmniejszy sposób poznać, że rozumie aluzję Palmera.

Szeryf ziewnął i przeciągnął się. Rozwalony niedbale na krześle, widział chyba siebie w roli kota bawiącego się z myszą.

— No cóż, ludzie ucieszą się, słysząc, że się nie wypaliłeś, że trochę piszesz.

— Jacy ludzie?

— Ludzie, którzy lubią to, co piszesz, oczywiście.

— Zna pan jakichś?

Palmer wzruszył ramionami.

—Nie obracam się w tych kręgach. Ale jednego jestem całkowicie pewien...

Billy nie zapytał czego, ponieważ tego właśnie oczekiwał szeryf.

—Jestem pewien, że twoi rodzice byliby z ciebie bardzo dumni — oznajmił Palmer, nie przejmując się jego milczeniem.

Billy zostawił go i wyszedł z biblioteki.

Po klimatyzowanym wnętrzu przytłoczył go panujący na zewnątrz upał. Nabierając w płuca powietrza, miał wrażenie, że się dławi, wydychając je, że się dusi. A może to nie był upał, lecz przeszłość.

# 38

Pędząc na północ drogą numer 29, na przemian w prażącym słońcu i w cieniu, patrząc, jak słynna i urodzajna dolina zwęża się z początku niepostrzeżenie, a potem całkiem wyraźnie, Billy zastanawiał się, jak ma chronić Barbarę.

Fundusz powierniczy mógł zatrudnić ochroniarzy, którzy czuwaliby przy niej przez całą dobę do czasu, kiedy Billy zlokalizowałby świra, względnie kiedy świr by go załatwił.

Nie mieszkał jednak w wielkim mieście. Ogłoszenia prywatnych firm ochroniarskich nie zajmowały całych stron w książce telefonicznej.

Wyjaśnienie strażnikom, do czego są potrzebni, wiązało się z pewnym ryzykiem. Gdyby powiedział im całą prawdę, musiałby wspomnieć o trzech morderstwach, w które był najprawdopodobniej wrabiany.

Gdyby nie powiedział im dokładnie, o co chodzi, strażnicy nie wiedzieliby, co im grozi. Naraziłby ich na niebezpieczeństwo.

Poza tym ochroniarze w tych stronach byli na ogół byłymi policjantami bądź też policjantami, którzy dalej pełnili służbę i dorabiali po godzinach. Wielu z nich pracowało w przeszłości bądź obecnie dla szeryfa Palmera.

Billy nie chciał, żeby Palmer dowiedział się, iż Barbary pilnują

wynajęci strażnicy. Dałoby mu to do myślenia. Zacząłby zadawać pytania.

W przeszłości Palmer przez kilka lat żywo się nim interesował; teraz ponownie znalazł się na jego celowniku. Wolał nie zwracać na siebie większej uwagi.

Nie mógł prosić przyjaciół, żeby pomogli mu strzec Barbary. Narazałby ich na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

Poza tym w gruncie rzeczy nie miał bliskich przyjaciół, do których mógłby się o to zwrócić. Obecni w jego życiu ludzie byli na ogół znajomymi.

Tak to sam urządził. Niczyje życie nie toczy się poza społecznością. Wiedział o tym. Wiedział. Mimo to nie zasiał w odpowiednim momencie ziarna i teraz nie zbierał plonów.

Wiatr w otwartym oknie przemawiał językiem chaosu.

W godzinie największego niebezpieczeństwa będzie musiał chronić Barbarę w pojedynkę. Jeśli zdoła.

Zasługiwała na kogoś lepszego. Znając dzieje Billy'ego, nikt potrzebujący pomocy nie zwróciłby się do niego w pierwszej ani drugiej kolejności. Nie zwróciłby się do niego w ogóle.

Moje ostatnie zabójstwo: czwartek o północy.

Jeśli prawidłowo odczytywał intencje świra — a był tego prawie całkowicie pewien — zamordowanie Barbary miało być kulminacyjnym punktem „inscenizacji”, po którym spuszczone zostanie kurtyna.

Twoje samobójstwo: wkrótce potem.

Jutro wieczorem, na długo przed północą, zaczniesz wartę przy jej łóżku.

Dziś wieczorem nie mógł do niej pojechać. Miał do załatwienia pilne sprawy, które go zajmą prawdopodobnie aż do rana.

Jeśli się mylił, jeśli morderstwo miało być niespodzianką, która wydarzy się w drugim akcie, ta słoneczna dolina stanie się dla niego mroczna niczym międzygwiazdne przestrzenie.

Jadąc coraz szybciej, gnany do przodu przez pragnienie odkupienia, mając po lewej stronie padające ukośnie promienie słońca, a przed sobą potężny i na pozór wcale się nie zbliżający maszyn Góry



Świętej Heleny, Billy zadzwonił z komórki do Whispering Pines, wciskając klawisz „1” i przytrzymując go dłużej.

Ponieważ Barbara miała własną izolatkę z łazienką, jej gości nie obowiązywały normalne godziny odwiedzin. Po uprzednim uzgodnieniu członek rodziny mógł tam nawet zostać na noc.

Miał nadzieję, że w drodze do domu wpadnie do Whispering Pines i poprosi, by pozwolono mu posiedzieć z Barbarą w noc z czwartku na piątek. Wymyślił historyjkę, którą powinni zaakceptować bez zastrzeżeń.

Recepcjonistka, która odebrała telefon, poinformowała go, że kierowniczka kliniki, pani Norlee, jest na zebraniu do wpół do szóstej, ale potem będzie mogła go przyjąć. Umówił się na spotkanie.

Tuż przed czwartą podjechał pod swój dom, spodziewając się zobaczyć radiowozy, furgonetkę koronera, tabuny zastępców szeryfa oraz sierżanta Napolitino stojącego na werandzie przy odwiniętym z folii, siedzącym na bujanym fotelu Ralphie Cottle. Ale wszędzie panował spokój.

Zostawił samochód na podjeździe za domem.

Wszedł do środka i przeszukał wszystkie pokoje. Nie znalazł żadnych śladów wskazujących, by intruz pojawił się tam podczas jego nieobecności.

Zwłoki nadal leżały w poliuretanowym kokonie za sofą.

# 39

Nad mikrofalówką wisiła głęboka, zamykana na drzwiczki szafka, w której były blachy do pieczenia, dwie perforowane formy do pizzy oraz inne ustawione pionowo wąskie przedmioty. Billy wyjął formy oraz przenośny stelaż, na którym stały, i włożył je do spiżarni.

Z tyłu opróżnionej szafki znajdowały się dwa gniazdka elektryczne. W dolnym tkwiła wtyczka, której kabel znikał w wycięciu z tyłu szafki.

Przewód zasilał mikrofalówkę. Billy wyciągnął go.

Stanąwszy na drabince, wywiercił wiertarką dziurę w dolnej ścianie szafki i górnej ścianie piecyka. Zniszczył w ten sposób mikrofalówkę. Nie dbał o to.

Następnie używając wiertła niczym pilnika i wodząc nim wzdłuż krawędzi otworu, poszerzył go. Hałas był potworny.

W powietrzu rozszedł się śwąd spalonej izolacji, ale udało mu się skończyć wiercić, zanim wysoka temperatura przysporzyła jakichś problemów.

Uprzątnął śmieci z mikrofalówki i wstawił do niej kamerę wideo.

Po wsadzeniu wtyczki kabla wideo w gniazdko kamery przecisnął jego drugi koniec przez otwór, który wywiercił w górnej ścianie mikrofalówki. To samo zrobił z przewodem elektrycznym.

W szafce, w której przedtem były blachy do pieczenia, postawił nagrywarke. Zaglądając do instrukcji obsługi, umieścił drugi koniec kabla wideo w gniazdku nagrywarki.

Następnie wsadził przewód zasilający kamery do wyższego gniazdka z tyłu szafki. Nagrywarke podłączył do niższego gniazdka, tego, które zasilalo wcześniej mikrofalówkę.

Załadował siedmiodniową płytę, nastawił cały sprzęt zgodnie z instrukcją i włączył go.

Kiedy zamknął drzwiczki mikrofalówki, ich wewnętrzna szybka przywarła do gumowej obwódki obiektywu kamery. Obiektyw był wycelowany w tylne kuchenne drzwi.

Kiedy wewnątrz mikrofalówki nie było oświetlone, Billy musiał przystawić twarz do szybki, żeby dojrzeć stojącą w środku kamerę. Świr nie miał szans jej dostrzec, chyba że zechce zrobić sobie prażoną kukurydzę.

Ponieważ szybka miała wtopioną w środku siatkę, Billy nie wiedział, czy otrzyma wyraźny obraz. Musiał sprawdzić kamerę.

W całej kuchni były opuszczone rolety. Podniósł je i zapalił światło.

Chwilę stał po prostu w tylnych drzwiach, a potem przeszedł przez kuchnię niespiesznym krokiem.

Nagrywarka miała mały wyświetlacz do szybkiego podglądu. Billy wspiął się na drabinkę, wcisnął odtwarzanie i zobaczył na ekranie ciemną sylwetkę. Kiedy przechodził przez kuchnię, ostrość poprawiła się i zdołał się rozpoznać.

Patrzył na samego siebie z niechęcią. Poszarzała posępna postać wydawała się zdeterminowana, lecz coś ją jednocześnie wstrzymywało.

Wynikało to po części z faktu, że obraz był czarno-biały i trochę ziarnisty. Niezdecydowane ruchy stanowiły efekt poklatkowego nagrania.

Jednak bez względu na to postać na ekranie wydawała mu się nieprzekonująca: obdarzona konturem, lecz niematerialna jak zjawa. Sprawiał wrażenie obcego we własnym domu.

Nastawił na nowo kamerą, zamknął drzwi szafki i odstawił drabinę.

W łazience zmienił opatrunek na czole. Rany po haczyku nie były bardziej zaognione niż przedtem.

Włożył czarny podkoszulek, czarne dżinsy i czarne rockporty. Do zachodu słońca pozostały niecałe cztery godziny; po zapadnięciu zmierzchu musiał poruszać się jak najdyskretniej we wrogim mroku nocy.

# 40

Gretchen Norlee preferowała ciemne kostiumy, nie nosiła biżuterii, zaczesywała proste włosy do tyłu, oglądała świat przez okulary w stalowych oprawkach... i ozdobiła swój gabinet pluszakami. Pluszowy miś, żabka, kaczuszka, króliczek Knuffle oraz granatowy kociak stały na półkach pośród dominujących w kolekcji psów, które wystawiały na powitanie gości różowe i czerwone aksamitne języki.

Gretchen prowadziła liczącą sto dwa łóżka kliniką Whispering Pines z wojskową operatywnością i maksymalną czułością. Jej szorstki, wiecznie poirytowany głos skrywał serdeczne podejście do ludzi.

Nie ucieleśniała większych sprzeczności od innych osób, które odnalazły tymczasową równowagę w tym najbardziej tymczasowym ze światów. Jej były po prostu bardziej widoczne i bardziej ujmujące.

Wstając od biurka, żeby zasygnalizować, że traktuje to spotkanie bardziej jako osobiste niż służbowe, Gretchen usiadła w fotelu stojącym ukośnie do tego, w którym siedział Billy.

— Ponieważ Barbara ma własny pokój — powiedziała — może przyjmować gości poza normalnymi godzinami odwiedzin i nie przeszkadza to innym pacjentom. Nie widzę problemu, chociaż na

ogół rodziny zostają na noc tylko wówczas, kiedy pacjent zostaje przywieziony ze szpitala.

Gretchen była zbyt taktowna, aby otwarcie wyrazić swoją ciekawość, lecz Billy uznał, że powinien jej udzielić wyjaśnień — mimo że każde słowo, które zamierzał powiedzieć, było kłamstwem.

—W mojej grupie studiującej Biblię omawiamy to, co Pismo Święte mówi na temat siły modlitwy — oświadczył.

—A więc należysz do grupy studiującej Biblię — powiedziała, jakby ją to zaintrygowało, jakby nie był człowiekiem, którego posądzałyby o udział w tak pobożnym przedsięwzięciu.

—Prowadzono poważne badania medyczne, które dowiodły, że kiedy przyjaciele i krewni aktywnie modlą się przy swoich chorych bliskich, ci częściej i szybciej wracają do zdrowia.

Gdy opisano w gazetach te kontrowersyjne badania, stały się tematem wielu ożywionych barowych dyskusji. Właśnie te bełkotliwe debaty, a nie jakaś modlitewna grupa zainspirowały Billy'ego, kiedy starał się wymyślić pretekst do nocnych odwiedzin.

—Chyba o tym czytałam — rzekła Gretchen Norlee.

—Oczywiście codziennie modłę się za Barbarę.

—Oczywiście.

—Ale doszedłem do wniosku, że modlitwa ma większe znaczenie, jeśli wiąże się z jakąś ofiarą.

—Z ofiarą... — powtórzyła za nim w zadumie.

—Nie miałem na myśli ofiary z baranka — uśmiechnął się.

—Aha. To ucieszy nasze sprzątaczk.

—Jednak modlitwa przy łóżku, mimo że szczerza, nie pociąga za sobą żadnej niewygody.

—Rozumiem, o co panu chodzi.

—Z całą pewnością modlitwa okaże się bardziej znacząca i skuteczna, jeśli będzie się wiązała z jakimś poświęceniem... choćby tym poświęceniem miała być tylko nieprzespana noc.

—Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób — przyznała.

— Chciałbym od czasu do czasu posiedzieć z nią przez całą noc i pomodlić się. Jeśli nie jej, to pomoże przynajmniej mnie.

Słuchając siebie samego, miał wrażenie, że przemawia niczym telewizyjny kaznodzieja zachwalający cnotę wstrzemięźliwości po tym, jak złapano go z dziwką na tylnym siedzeniu limuzyny.

Najwyraźniej jednak Gretchen Norlee odebrała jego słowa inaczej niż on sam. W jej skrytych za stalowymi oprawkami oczach załśniły łzy współczucia.

Nowo odkryta przebiegłość wprawiła Billy'ego w konsternację i zmartwiła. Kiedy kłamca staje się zbyt biegły w swojej sztuce, traci niekiedy zdolność rozpoznawania prawdy i można go wówczas łatwiej oszukać.

Ponieważ wszystko ma swoją cenę, obawiał się, że istnieje również cena za wyprowadzenie w pole kogoś tak sympatycznego jak Gretchen Norlee.

# 41

Kiedy szedł głównym korytarzem w stronę pokoju Barbary w zachodnim skrzydle, z innej sali wyszedł jej lekarz, doktor Jordan Ferrier. O mało się nie zderzyli.

—Billy!

—Witam, doktorze Ferrier.

—Billy, Billy, Billy.

—Wyczuwam, że czeka mnie wykład.

—Unikałeś mnie.

—Staralem się, jak mogłem — przyznał Billy.

Doktor Ferrier nie wyglądał na swoje czterdzieści dwa lata. Wiecznie wesoły, miał rudawe włosy, zielone oczy i był gorliwym orędownikiem śmierci.

—Spóźniamy się już parę tygodni z naszą półroczną oceną.

—Półroczna ocena to był pański pomysł. Mnie wystarczyłaby ocena raz na dziesięć lat.

—Chodźmy do Barbary.

—Nie — odparł Billy. — Nie będę o tym mówił w jej obecności.

—Dobrze.

Doktor Ferrier wziął go pod ramię i zaprowadził do pomieszczenia, w którym odpoczywał personel. Poza nimi nie było tam



nikogo. Automaty z przekąskami i zimnymi napojami mruczały cicho, gotowe wydać wysokokaloryczne, wysokotłuszczowe i wysokokofeinowe produkty pracownikom służby zdrowia, którzy znali konsekwencje swojego łakomstwa, ale mieli dość zdrowego rozsądku, żeby sobie trochę odpuścić.

Ferrier odsunął białe plastikowe krzesło od pomarańczowego stolika z formiki. Kiedy Billy nie poszedł w jego ślady, doktor westchnął, dosunął z powrotem krzesło do stolika i nie usiadł.

— Przed trzema tygodniami zakończyłem ocenę okresową Barbary.

— Ja sporządzam ją codziennie.

— Nie jestem twoim wrogiem, Billy.

— Trudno to stwierdzić o tej porze roku.

Ferrier był ciężko pracującym lekarzem, inteligentnym, utalentowanym i pełnym dobrych chęci. Niestety, na uniwersytecie, na którym studiował, zaraził się tym, co nazywano „etyką utylitarną”.

— Jej stan się nie poprawia — oznajmił.

— Ale i nie pogarsza.

— Szanse, żeby odzyskała funkcje poznawcze, są...

— Czasami mówi — przerwał mu Billy. — Wie pan o tym.

— Czy kiedykolwiek mówi z sensem? Czy jej wypowiedzi są spójne?

— Czasami tak — odparł Billy.

— Daj mi przykład.

— Nie mogę tak na poczekaniu. Musiałbym zajrzeć do moich notesów.

Ferrier miał smutne oczy. Wiedział, jak się nimi posługiwać.

— Ona była wspaniałą kobietą, Billy. Nikt z wyjątkiem ciebie nie szanował jej bardziej ode mnie. Ale teraz jej życie straciło sens.

— Dla mnie ma wiele sensu.

— To nie ty cierpisz, ale ona.

— Nie wydaje mi się, żeby cierpiała.

— Nie możemy tego wiedzieć na pewno, prawda?

— Właśnie.

Barbara lubiła Ferriera. To był jeden z powodów, dla których Billy nie zmienił lekarza.

Niewykluczone, że na jakimś głębokim poziomie odbierała to, co się wokół niej działo. W takim wypadku mogła się czuć bezpieczniej, wiedząc, że opiekuje się nią doktor Ferrier, a nie jakiś obcy lekarz, którego nigdy nie spotkała.

Czasami ironia była tarczą szlifierską, dzięki której poczucie niesprawiedliwości Billy'ego stawało się ostre jak brzytwa.

Gdyby Barbara wiedziała o bioetycznej infekcji doktora Ferriera, gdyby wiedziała, że uważa się za władnego decydować, czy jakość życia niemowlęcia z zespołem Downa, niepełnosprawnego dziecka lub pogrążonej w śpiączce kobiety jest wystarczająca, by mogli żyć dalej, być może zmieniłaby lekarza. Lecz ona nie miała o tym pojęcia.

— Była taką tryskającą energią, angażującą się we wszystko osobą — dodał Ferrier. — Nie chciałyby wegetować w ten sposób, rok po roku.

— Ona nie wegetuje — odparł Billy. — Nie leży na dnie morza. Unosi się tuż pod powierzchnią. Tuż obok.

— Rozumiem twój ból, Billy. Wierz mi, naprawdę rozumiem. Ale nie masz wiedzy medycznej, która pozwoliłaby ci ocenić jej stan. Ona nie jest tuż obok. I nigdy nie będzie.

— Pamiętam coś, co powiedziała przed kilku dniami. „Chcę wiedzieć, co mówi... morze. Co to jest, co stale powtarza”.

Ferrier przyjrzał mu się jednocześnie z czułością i frustracją.

— To ma być przykład mówienia z sensem?

— Po pierwsze nie szkodzić — powiedział Billy.

— Szkody doznają inni pacjenci, kiedy wydajemy ograniczone środki na beznadziejne przypadki.

— Ona nie jest beznadziejnym przypadkiem. Czasami się śmieje. Jest tuż obok i ma wystarczające środki.

— Które mogłyby przynieść wiele dobra, gdyby zostały odpowiednio użyte.

Ja nie chcę tych pieniędzy.

— Wiem. Nie jesteś człowiekiem, który wydałby z nich choć jednego centa. Ale mógłbyś je ofiarować ludziom, którzy mają większe szanse, by cieszyć się akceptowalną jakością życia, ludziom, którym można w większym stopniu pomóc.

Billy tolerował Ferriera również dlatego, że lekarz złożył tak wyczerpujące zeznania w postępowaniu przedprocesowym, na które zdecydował się producent zupy z porów.

— Myślę wyłącznie o Barbarze — kontynuował Ferrier. — Gdybym był w jej stanie, nie chciałbym tu tak leżeć, rok po roku.

— A ja uwzględniłbym pańskie życzenie — odparł Billy. — Nie wiemy jednak, czego ona by sobie życzyła.

— Jej odejście nie wymaga podjęcia aktywnych kroków — przypomniał mu Ferrier. — Wymaga tylko bierności. Usunięcia drenu, przez który jest odżywana. — W śpiączce Barbara nie miała prawidłowego odruchu przełykania i nie można jej było normalnie karmić. Pożywienie mogło wylądować w płucach. — Trzeba usunąć dren i pozwolić, by reszty dokonała natura.

— Zagłodzić ją na śmierć.

— Pozwolić, by reszty dokonała natura.

Billy pozwalał mu opiekować się dalej Barbarą, ponieważ Ferrier przyznawał się otwarcie do swoich bioetycznych poglądów. Inny lekarz mógłby wyznawać je w skrytości ducha i wyobrażać sobie, że jest aniołem — albo agentem — łaski.

Ferrier spierał się z nim dwa razy w roku, wiadomo było jednak, że nie uczyni nic bez aprobaty Billy'ego.

— Nie — rzekł stanowczo Billy. — Nie zrobimy tego. Będziemy kontynuować to, co robiliśmy wcześniej.

— Cztery lata to długi okres.

— Śmierć jest dłuższa — odparł Billy.

# 42

O szóstej po południu chylące się nad winnicami słońce wypełniało okno latem, życiem i obfitością.

Ostłonięte bladymi powiekami oczy Barbary Mandel śledziły barwną akcję jej snów.

— Widziałem się dziś z Harrym—powiedział Billy, siadając na barowym stołku przy jej łóżku. — Nadal się uśmiecha, przypominając sobie, że nazywałaś go muppetem. Twierdzi, że jego największym sukcesem jest fakt, że nie pozbawiono go uprawnień adwokackich.

Nie powiedział jej o niczym innym, co wydarzyło się tego dnia. Inne rzeczy nie podniosłyby jej na duchu.

Niebezpieczeństwo mogło jej grozić od strony okna i drzwi na korytarz. Przylegająca do pokoju łazienka była ślepa.

Okno wyposażone było w roletę i zasuwkę. Drzwi nie można było zamknąć na klucz.

Łóżko Barbary stało na kółkach podobnie jak każde szpitalne łóżko. W czwartek wieczorem Billy mógł wytoczyć ją przed Północą z tego pokoju i umieścić w jakimś bezpieczniejszym miejscu.

Nie była podłączona do żadnych systemów podtrzymujących życie ani do monitorów. Doprowadzający pożywienie dren i pompa infuzyjna wisiały na stelażu przymocowanym do ramy łóżka.

Ze stanowiska pielęgniarek w połowie długiego głównego korytarza nie było widać, co dzieje się za rogiem, w zachodnim skrzydle. Przy odrobinie szczęścia mógł niepostrzeżenie przewieźć Barbarę w inne miejsce, a potem wrócić tutaj i poczekać na świra.

Przy optymistycznym, a nawet trochę naiwnym założeniu, że wcześniej sytuacja nie rozwinie się inaczej.

Billy zostawił Barbarę i przespacerował się po zachodnim skrzydle, zaglądając do sal innych pacjentów, sprawdzając schowki z bielizną i prysznice, rozważając różne możliwości.

Kiedy wrócił do jej pokoju, mówiła.

— ...ociekający wodą... zabłocony... poraniony kamieniami...

Jej słowa sugerowały zły sen, lecz ton głosu nie. Mówiła cicho, jakby coś ją urzekło.

— ...podrapany żwirem... poparzony pokrzywami... pokłuty cierniami...

Billy zapomniał swojego notesu i długopisu. Nawet gdyby o nich pamiętał, nie miał czasu, żeby usiąść i zapisać jej słowa.

— Prędko! — powiedziała.

Stojąc przy jej łóżku, położył dłoń na ramieniu Barbary, starając się dodać jej otuchy.

— Gadaj! — szepnęła z naciskiem.

Oczekiwał niemal, że otworzy oczy i spojrzy na niego, lecz nie zrobiła tego.

Kiedy umilkła, przykucnął, żeby poszukać kabla do mechanizmu regulującego wysokość materaca. Jeśli chciał ją przewieźć jutro w nocy, musiał wyciągnąć wtyczkę.

Na podłodze, dokładnie pod wysokim łóżkiem, leżało zdjęcie z cyfrowego aparatu. Billy podniósł je i wyprostował się, żeby przyrzec mu się w lepszym świetle.

— ...wśliznie się bez szelestu... — wyszeptała Barbara.

Trzy razy obrócił zdjęcie w palcach, nim zorientował się, że przedstawia martwą modliszkę, bladą na tle jasnych lakierowanych desek.

— ...wśliznie się bez szelestu... otworzy mu brzuch.

Jej szept zatrzepotał nagle w jego uszach niczym umierająca modliszka. Billy poczuł, że przechodzą go ciarki.

W normalnych godzinach odwiedzin rodzina i znajomi pacjentów wchodziła przez frontowe drzwi i udawali się tam, gdzie chcieli; nie musieli się nigdzie meldować.

— ...rękami umarłych... — wyszeptała.

Ponieważ Barbarze nie trzeba było poświęcać tyle uwagi co przytomnym pacjentom z ich tysiącami życzeń i zażaleń, pielęgniarki nie odwiedzały jej tak często jak innych.

— ...kamienie... krwawymi pręgami...

Cichy gość mógł tutaj spędzić nawet pół godziny i nikt nie spostrzegłby, że siedzi przy jej łóżku, nikt nie spostrzegłby, że wchodzi lub wychodzi.

Billy nie chciał zostawiać Barbary samej, chociaż wcześniej musiał to robić niezliczoną liczbę razy. Nie chciał, by przemawiała do czterech ścian. Jego i tak już wypełniony zajęciami wieczór skomplikowało dodanie jeszcze jednego pilnego zadania.

— ...ze zwisającymi łańcuchami... okropnie...

Billy schował do kieszeni zdjęcie.

Pochylił się nad Barbarą i pocałował ją w czoło. Miała chłodną skórę, jak zawsze.

Opuścił rolety w oknie.

Nie mając ochoty odejść, przyglądał się jej, stojąc w otwartych drzwiach.

I wtedy powiedziała coś, co wydawało mu się znajome, choć nie miał pojęcia dlaczego.

— Pani Joe — szepnęła. — Pani Joe.

Nie znał żadnej pani Joe, pani Joseph, pani Johanson, pani Jonas ani nikogo o nazwisku podobnym do tego, które wymieniła Barbara. A mimo to... wydawało mu się, że ją zna.

Urojona modliszka znowu zatrzepotała skrzydłami w jego uszach. I wzdłuż krzyża.

Odmawiając modlitwę tak samo prawdziwą jak te, o których

opowiadał Gretchen Norlee, zostawił Barbarę samą w tę ostatnią noc, kiedy mogła czuć się bezpieczna.

Pozostały mu jeszcze niespełna trzy godziny dziennego światła. Na niebie zbyt suchym, by pojawił się na nim strzęp chmury, paliło się termojądrowym blaskiem słońce. Powietrze zamarło w przewidywaniu apokaliptycznego błysku.

# 43

Zamiast wymagającej strzyżenia trawy ogrodzone płotem podwórko pokrywał puszysty dywan solejrolii i płożący się pod gałęziami drzew pieprzowych didiskus.

Pergolę, pod którą biegła alejka, oplatały pnącza milinu amerykańskiego. Orkiestra trąbkowatych szkarłatnych kwiatów unosiła w milczeniu ku słońcu swoje instrumenty.

Ażurowy tunel, zapowiedź zmroku, prowadził na skąpane w słońcu patio, gdzie rosła w donicach czerwona itea wirginijska i waleriana czerwona.

Dom był w stylu hiszpańskiego bungalowu. Skromny, lecz elegancki i bardzo zadbane.

Na czerwonych drzwiach frontowych namalowany był czarny kontur wzbijającego się w powietrze ptaka.

Billy zapukał krótko i drzwi otworzyły się, nim zdążył od nich odsunąć dłoń, zupełnie jakby gospodyni spodziewała się go, nie mogła się wręcz doczekać.

— Cześć, Billy — powiedziała Ivy Elgin, zupełnie niezaskoczona. Mógłby pomyśleć, że zobaczyła go przez szybę w drzwiach, gdyby nie to, że nie było w nich szyby.

Była na bosaka, ubrana w rozcięte dla wygody szorty khaki i obszerny czerwony podkoszulek bez żadnego napisu. Nawet opatulona



i zakapturzona, przyciągałaby wszystkie nocne ćmy niczym światło świecy.

— Nie wiedziałem, czy cię zastanę — powiedział.

— W środę mam wolne — odparła, dając krok do środka.

— No tak — mruknął, ociągając się po słonecznej stronie progu.

— Ale masz przecież swoje życie.

— Łupałam orzechy pistacjowe w kuchni.

Odwróciła się i ruszyła w głąb domu, nie sygnalizując żadnym gestem, by szedł za nią, zupełnie jakby odwiedzał ją setki razy. To była jego pierwsza wizyta.

Półmrok w salonie rozpraszały prześwitujące przez grube zastolony światło słoneczne i podłogowa lampa z frędzlastym abażurem z szafirowego jedwabiu.

Billy dostrzegł ciemną jodłową podłogę, obite granatowym moherem meble i perski dywan. Wystrój pochodził chyba z lat trzydziestych.

Kiedy szedł, zaskrzypiała pod nim podłoga, lecz Ivy poruszała się bezszelestnie. Płynęła przez pokój, jakby powietrzna poduszka przez cały czas oddzielała jej stopy od jodłowych desek, w podobny sposób, w jaki nimfa wodna przechodziłaby przez staw, nie naruszając napięcia powierzchniowego wody.

Kuchnia z tyłu domu nie ustępowała rozmiarami salonowi i łączyła się z jadalnią.

Ozdobne panele na ścianach, szklane drzwiczki szafek i inkrustowane czarnymi rombami białe kafle na podłodze przywodziły na myśl styl bayou i Nowy Orlean.

Dwa wychodzące na werandę kuchenne okna były otwarte. W jednym z nich siedział duży czarny ptak.

Jego absolutny bezruch sugerował, że jest wypchany. Nagle podniósł w górę łepkę.

Chociaż Ivy wcale go o to nie poprosiła, Billy wyczuwał, że może usiąść przy stole. Kiedy się sadowił, postawiła przed nim szklankę z lodem, po czym wzięła stojący na stole dzbanek i nalała mu herbaty.

Na kraciastej czerwono-białej ceracie stała druga szklanka herbaty,

talerzyk z wiśniami, forma do pieczenia, na której piętrzył się wysoki stos nierozłupanych orzechów pistacjowych, oraz do połowy pełna miska rozłupanych.

— Masz fajny dom — powiedział.

— Należał do mojej babci — odparła, biorąc trzy wisienki z talerzyka. — Wychowywałam się u niej.

Mówiła cicho, jak zawsze. Nawet w tawernie nigdy nie podnosiła głosu i zawsze było ją świetnie słyhać.

— Co się stało z twoją matką? — zapytał cicho, dostosowując się do jej tonu i dziwiąc jednocześnie sobie, ponieważ na ogół nie był wścibski.

— Zmarła podczas porodu — odparła Ivy, kładąc wiśnie w rzadku na parapecie obok ptaka. — Mój ojciec po prostu wyjechał.

Herbata została osłodzona nektarem brzoskwiniowym i pachniała miętą.

Ivy usiadła z powrotem przy stole i zabrała się za łupanie orzechów. Ptak przypatrywał się Billy'emu, ignorując wiśnie.

— Należy do ciebie? — zapytał Billy.

— Wzajemnie do siebie należymy. Rzadko wchodzi dalej niż na parapet. Kiedy to robi, przestrzega moich zasad czystości.

— Jak się nazywa?

— Jeszcze mi nie powiedział. W końcu to zrobi.

Jeszcze nigdy w życiu Billy nie czuł się taki wyluzowany, a jednocześnie lekko zdezorientowany. Gdyby nie to, pewnie nie zadałby cisnącego mu się na usta dziwnego pytania.

— Który ptak zjawił się pierwszy, prawdziwy czy ten na drzwiach frontowych?

— Zjawiły się razem — odparła, udzielając odpowiedzi nie mniej dziwacznej niż jego pytanie.

— To wrona?

— Jest z bardziej szlachetnego rodu. To kruk i nie chce, byśmy sądzili, że jest kimś więcej.

Billy nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Milczenie, które zapadło, nie przeszkadzało im obojgu.

Uświadomił sobie, że nic go już nie goni, opuściło go poczucie pośpiechu, z którym wyjeżdżał z Whispering Pines. Czas przestał uciekać; w gruncie rzeczy nie miał tutaj większego znaczenia.

Ptak pochylił się w końcu nad wiśniami i zaczął szybko i sprawnie oddzielać dziobem owoce od pestek.

Długie zwinne palce Ivy wydawały się poruszać niezbyt szybko, lecz w misce rósł stos rozłupanych pistacji.

— W tym domu jest tak cicho — powiedział Billy.

— Bo ściany nie przesiąkły długimi latami bezcelowej paplaniny.

— Nie przesiąkły?

— Moja babcia była głucha. Porozumiewałyśmy się językiem migowym i słowem pisany.

Za tylną werandą znajdował się ogród, w którym rosły czerwone, ciemnoniebieskie i fioletowe kwiaty. Nawet jeśli poruszył się jakiś liść i odezwał świerszcz, jeśli jakaś pszczoła zatoczyła krąg wokół róży, żaden dźwięk nie wpadał przez otwarte okna.

— Może chciałbyś posłuchać muzyki? — zapytała Ivy. — Ja wolę, jak nic nie gra.

— Nie lubisz muzyki?

— Mam jej dosyć w tawernie.

— Ja lubię zydeco. I western swing. Texas Top Hands. Boba Willsa i Texas Playboys.

— Zresztą i tak już gra muzyka — dodała — jeśli jesteś dość wyciszony, żeby ją usłyszeć.

Widocznie nie był wystarczająco wyciszony.

— Znalazłem to na podłodze pokoju Barbary w Whispering Pines — powiedział, wyjmując z kieszeni zdjęcie martwej modliszki.

— Jeśli chcesz, możesz to zatrzymać. Nie wiedział, jak ma to rozumieć.

— Odwiedzasz ją?

— Czasami z nią siedzę.

— Nie wiedziałem.

—Była dla mnie miła.

—Zaczełaś pracować w tawernie, kiedy Barbara była od roku w śpiączce.

—Znałam ją wcześniej.

—Naprawdę?

—Była dla mnie miła, kiedy babcia umierała w szpitalu. Barbara była kiedyś pielęgniarką, dobrą w swoim zawodzie.

—Jak często ją odwiedzasz? — zapytał Billy.

—Raz w miesiącu.

—Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś, Ivy?

—Wtedy musielibyśmy o niej porozmawiać, prawda?

—Porozmawiać o niej?

—O tym, w jakim jest stanie, jak cierpi... czy to ci daje ukojenie? — zapytała Ivy.

—Ukojenie? Nie. Jak mogłoby?

—Czy wspomnianie tego, jaka była przed zapadnięciem w śpiączkę, daje ci ukojenie?

—Czasami — odparł po zastanowieniu.

Ivy uniosła swoje niezwykle złociste oczy znad pistacji i popatrzyła mu prosto w twarz.

—Więc nie mów o tym, co jest teraz. Pamiętaj to, co było.

Kruk zjadł dwie wisienki i cicho rozprostował skrzydła, a następnie cicho je zamknął.

Kiedy Billy spojrzał z powrotem na Ivy, wpatrywała się we własne palce.

—Dlaczego zabrałaś ze sobą to zdjęcie, idąc do niej do kliniki? — zapytał.

—Zabieram je ze sobą wszędzie, najnowsze zdjęcia martwych rzeczy.

—Ale dlaczego?

—Jestem haruspiczką — przypomniała mu. — Przepowiadam z nich przyszłość.

Billy upił łyk herbaty.

Kruk obserwował go z otwartym dziobem, jakby krakał. Nie wydał najmniejszego dźwięku.

— Co mówią o Barbarze? — zapytał Billy.

Wrodzona łagodność i charakterystyczny dla jasnowidzki sposób bycia nie pozwalały odgadnąć, czy Ivy zastanawia się nad odpowiedzią, czy też waha się, ponieważ jej myśli błądzą gdzie indziej.

— Nic.

— Nic a nic?

Udzieliła mu już odpowiedzi. Nie miała innej. Modliszka z leżącej na stole fotografii nie mówiła nic Billy'emu.

— Skąd ci przyszło do głowy, żeby przepowiadać przyszłość z martwych rzeczy? — zapytał. — Podsunęła ci ten pomysł babcia?

— Nie. Ona tego nie pochwałała. Była pobożną katoliczką w starym stylu. Wiarę w okultyzm uważała za grzech, który wystawiał na szwank nieśmiertelność duszy.

— Ale ty się z nią nie zgadzasz.

— Tak i nie — odparła Ivy ciszej niż zwykle.

Po zjedzeniu trzeciej wiśni kruk zostawił pestki w rządku na parapecie, zupełnie jakby akceptował obowiązujące w tym domu reguły ładu i porządku.

— Nigdy nie słyszałam głosu mojej matki — powiedziała Ivy.

Billy nie wiedział, co sądzić o tym stwierdzeniu. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że jej matka zmarła w czasie porodu.

— Od maleńkości — dodała Ivy — wiedziałam, że moja matka ma mi coś strasznie ważnego do powiedzenia.

Billy dopiero teraz zauważył wiszący na ścianie zegar. Nie miał wskazówki sekundowej, minutowej ani godzinowej.

— W tym domu zawsze było tak cicho — powiedziała Ivy. — Tak cicho. Człowiek uczy się tutaj słuchać.

Billy słuchał.

— Martwe istoty mają nam do powiedzenia różne rzeczy — dodała.

Kruk przyglądał się swojej pani oczyma z polerowanego antracytu.

—Mur jest tutaj cieńszy — powiedziała. — Mur między światami. Duch może przemówić przez ten mur, jeśli bardzo mu na tym zależy.

Odkładając na bok puste skorupki i wrzucając pistacje do miski, komponowała niemal bezgłośnie symfonię dźwięków, cichszą od pękania lodu, który rozpuszczał się w ich szklankach.

—Czasami w nocy lub w jakimś wyjątkowo spokojnym momencie po południu, lub o zmroku, kiedy horyzont połyka słońce i kompletnie je ucisza, wiem, że ona mnie wzywa. Słyszę niemal tembr jej głosu... ale nie słowa. Jeszcze nie.

Billy pomyślał o Barbarze przemawiającej z głębi nienaturalnego snu, o jej słowach pozbawionych sensu dla innych i mających tajemniczy sens dla niego.

Ivy Elgin wydała mu się w równym stopniu niepokojąca jak urzekająca. Choć jej niewinność sprawiała chwilami wrażenie niepokalanej, starał się pamiętać, że w jej sercu, podobnie jak w sercu każdego mężczyzny i kobiety, istnieją zakamarki, do których nie dociera światło, w których nie sposób zaznać kojącego milczenia.

Tak czy inaczej, niezależnie od tego, w co sam wierzył w kwestii życia i śmierci, bez względu na to, jakie nieczyste motywy mogły jej przyświecać, jeśli w ogóle jej przyświecały, Billy czuł, że Ivy szczerze wierzy, iż jej matka próbuje do niej dotrzeć, będzie próbowała dalej i w końcu jej się to uda.

Co ważniejsze, Ivy wywarła na nim tak silne wrażenie — oddziałując nie na jego rozum, lecz na podświadomość — że nie mógł jej po prostu określić mianem ekscentryczki. W tym domu mur pomiędzy światami mógł być rzeczywiście cienki, wypłukany przez wiele lat milczenia.

Jej oparte na wróżeniu z martwych zwierząt przepowiednie rzadko się sprawdzały. Składała to na karb swojej niekompetencji i nie zgodziłaby się z sugestią, że bezsensowne jest samo wróżbiarstwo.

Billy rozumiał teraz jej upór. Jeśli nie sposób odczytać przyszłości z unikalnego położenia każdego martwego zwierzęcia, może również okazać się prawdą, że martwi nie mają nam nic do powiedzenia, że dziecko pragnące usłyszeć głos utraconej matki może go nigdy nie usłyszeć, bez względu na to, jak uważnie słucha i jak bardzo się wewnętrznie wycisza.

Dlatego Ivy studiowała zdjęcia zabitych przy drodze oposów, martwych modliszek i ptaków, które spadły z nieba.

W milczeniu chodziła po domu, bezszelestnie łupała orzechy, cicho przemawiała do kruka, albo nie mówiła do niego w ogóle i chwilami zapadała wokół niej idealna cisza.

Taka cisza zapadła i teraz, lecz Billy ją przerwał.

— Psychopatycczni mordercy zabierają czasami jakieś pamiątki, żeby przypominały im ofiary — powiedział, zainteresowany nie tyle jej analizą, ile pierwszą reakcją, obserwując ją jeszcze baczniej, niż robił to ptak.

Ivy upiła łyk herbaty i powróciła do łupania pistacji, jakby uwaga Billy'ego nie różniła się wiele od komentarza na temat upału.

Podejrzewał, że nic, co ktokolwiek powiedział do Ivy, nigdy jej nie zaskoczyło — tak jakby zawsze wiedziała, jakie za chwilę padną słowa.

— Słyszałem o wypadku — kontynuował — kiedy seryjny morderca wyciął twarz ofierze i trzymał ją w słoju z formaldehydem.

Ivy zgarnęła skorupki ze stołu i włożyła je do kosza stojącego przy krześle. Nie wrzuciła ich, lecz włożyła tak, żeby nie zagrzechały.

Obserwując ją, Billy nie potrafił zgadnąć, czy słyszała wcześniej o złodzieju twarzy, czy też było to dla niej coś nowego.

— Co odczytałabyś z takiego pozbawionego twarzy ciała, gdybyś je znalazła? Nie na temat przyszłości, ale o nim, o zabójcy?

— Teatr — odparła bez wahania.

— Nie wiem, co masz na myśli.

—On lubi teatr.

—Dlaczego tak twierdzisz?

—Dramat wycinania twarzy.

—Nie bardzo rozumiem.

Ivy wzięła wiśnię z płaskiego talerzyka.

—Teatr jest oszustwem — stwierdziła. — Żaden aktor nie gra samego siebie.

—No dobrze — mruknął Billy i czekał na ciąg dalszy.

—W każdej roli aktor przybiera fałszywą tożsamość — powiedziała i włożyła wiśnię do ust. Chwilę później wypluła pestkę w dłoń i połknęła owoc.

Czy chciała dać mu do zrozumienia, że pestka jest ostateczną rzeczywistością wiśni? Doszedł do wniosku, że tak. Ivy ponownie spojrzała mu prosto w oczy.

—On nie chce mieć twarzy dlatego, że to twarz. On chce ją mieć dlatego, że to maska.

Jej oczy były piękne i nieprzeniknione, nie sądził jednak, by ta interpretacja zmroziła ją tak bardzo jak zmroziła jego. Może kiedy ktoś przez całe życie słucha głosów zmarłych, nie tak łatwo przechodzi go dreszcz.

—Chcesz powiedzieć, że czasami, kiedy jest sam i w odpowiednim nastroju, wyjmuje ją ze słoja i zakłada na własną twarz?

—Może. A może chciał ją mieć, bo przypomina mu po prostu ważny dramat w jego życiu, ulubioną inscenizację.

Inszenizacją.

Wagę tego słowa uświadomił mu już Ralph Cottle. Ivy mogła je powtórzyć świadomie albo zupełnie przypadkowo. Nie potrafił zgadnąć.

Nadal patrzyła mu prosto w oczy.

—Uważasz, że każda twarz jest maską, Billy?

—A ty?

—Moja babcia, mimo że była naprawdę świętą osobą, miała swoje sekrety. Niewinne, można nawet powiedzieć, że urocze. Jej maska była przezroczysta jak szkło... lecz mimo to ją nosiła.



Nie wiedział, o co jej chodzi, jaki ma wyciągnąć wniosek z jej słów. Nie sądził, by pytając ją prosto z mostu, zdołał uzyskać jaśniejszą odpowiedź.

Niekoniecznie dlatego, że chciała go oszukać. Częściej wypowiadała się w sposób aluzyjny aniżeli bezpośredni, nie rozmyślnie, lecz ponieważ taka była jej natura. Wszystko, co mówiła, było klarowne niczym dźwięk dzwonu — a mimo to chwilami niełatwe do zinterpretowania.

Jej milczenie zdawało się bardziej wymowne niż wypowiedziane słowa, co nie powinno dziwić u dziewczyny wychowywanej przez osobę głuchą jak pień.

Jeśli zdołał ją choć w części rozszyfrować, Ivy w żadnym wypadku go nie oszukiwała. Ale w takim razie dlaczego sugerowała, że każda twarz, w tym jej własna, jest maską?

Jeśli Ivy odwiedzała Barbarę tylko dlatego, że ta była dla niej kiedyś miła, i jeśli zabierała fotografie martwych zwierząt do Whispering Pines tylko dlatego, że zabierała je wszędzie, to zdjęcie martwej modliszki nie miało żadnego związku z pułapką, w której znalazł się Billy. Ivy nie wiedziała nic o świrze.

Skoro tak, powinien wstać, wyjść i zająć się tym, co trzeba było pilnie zrobić. Mimo to nadal siedział przy stole.

Jej oczy spoczęły z powrotem na pistacjach, a dłonie zajęły się cichą i pożyteczną czynnością ich łupania.

— Moja babcia była głucha od urodzenia — powiedziała. — Nigdy w życiu nie usłyszała jednego słowa i nie wiedziała, jak je powiadać.

Obserwując jej zwinne palce, Billy podejrzewał, że Ivy wypełnia cały swój czas pożyteczną pracą — pielęgnacją ogrodu, utrzymaniem domu w nieskazitelnym stanie, gotowaniem — i że za wszelką cenę unika bezczynności.

— Nigdy nie słyszała też, jak ktoś się śmieje, a mimo to potrafiła to robić. Miała piękny i zaraźliwy śmiech. Aż do ukończenia ósmego roku życia nigdy nie słyszałam, żeby płakała.

Billy rozpoznał w kompulsywnej pracowitości Ivy odbicie własnej

postawy i sympatyzował z nią. Niezależnie od tego, czy mógł, czy nie mógł jej ufać, lubił ją.

— Kiedy byłam o wiele młodsza, nie rozumiałam dobrze, co to znaczy, że moja matka zmarła podczas porodu. Myślałam, że w jakiś sposób ją zabiłam i jestem odpowiedzialna za jej śmierć.

Stojący w oknie kruk ponownie rozprostował skrzydła, tak samo cicho jak wcześniej.

— Miałam osiem lat, kiedy zdałam sobie sprawę, że to nie moja wina — ciągnęła Ivy. — Posługując się językiem migowym, powiedziała to babci i po raz pierwszy zobaczyłam, że płacze. To może się wydać zabawne, ale byłam przekonana, że kiedy płacze, robi to jak niemowa, roniąc wyłącznie łzy, wstrząsana cichym szlochem. Jednak jej płacz był tak samo normalny jak śmiech. Jeśli chodzi o te dwa dźwięki, nie różniła się wcale od innych kobiet, które słyszą i mówią; należała do ich społeczności.

Billy'emu wydawało się wcześniej, że Ivy hipnotyzuje mężczyzn swoją urodą i seksualnością; teraz doszedł do wniosku, że rzucany przez nią urok ma głębsze źródła.

Zdał sobie sprawę, co ma zamiar ujawnić, dopiero gdy usłyszał wypowiedane przez siebie słowa.

— Kiedy miałem czternaście lat, zastrzeliłem matkę i ojca.

— Wiem — odparła, nie podnosząc wzroku.

— Zabiłem ich.

— Wiem. Nie przyszło ci do głowy, że któreś z nich chciałoby porozmawiać z tobą przez mur?

— Nie. Nigdy. I na Boga, mam nadzieję, że nigdy tego nie zrobią.

Ivy dalej łupała orzechy, a on dalej jej się przypatrywał. — Musisz już iść — powiedziała w końcu. Jej ton wskazywał, że nie ma nic przeciwko temu, żeby został, ale rozumie, że powinien wyjść.

— Tak — odparł, wstając z krzesła.

— Masz kłopoty, prawda, Billy?

—Nie.

—To kłamstwo.

—Tak.

—I nie powiesz mi nic więcej.

Billy milczał.

—Przyszedłeś tutaj, czegoś szukając. Znalazłeś to?

—Nie jestem pewien.

—Czasami człowiek tak uważnie nasłuchuje najcichszych dźwięków, że nie słyszy tych głośniejszych — powiedziała.

Billy przez chwilę się nad tym zastanawiał.

—Odprowadzisz mnie do drzwi? — zapytał.

—Znasz już drogę.

—Powinnaś zamknąć się, kiedy wyjdę.

—Drzwi same się zatrzasną.

—To nie wystarczy. Przed zmrokiem powinnaś zamknąć je na zasuwę. I zamknąć te okna.

—Niczego się nie boję — odparła. — Nigdy się nie bałam.

—Ja zawsze się bałam.

—Wiem. Od dwudziestu lat.

Kiedy wychodził, podłoga nie skrzypiała pod jego stopami tak głośno, jak wówczas gdy wchodził. Zamknął za sobą drzwi frontowe, sprawdził, czy dobrze się zatrzasnęły, po czym wyszedł przez tunel pergoli na ulicę, zostawiając Ivy Elgin z jej herbatą, pistacjami i ważnym krukiem, w pogrążonej w ciszy kuchni, w której zegar nie miał wskazówek.

# 44

Steve Zillis mieszkał w parterowym domu o banalnej architekturze, przy uliczce, której mieszkańcy hołdowali, jak się zdaje, filozofii niedbania o swoje domostwa.

Jedyną zadbaną nieruchomością była ta położona bezpośrednio na północ od domu Zillisa. Mieszkała w niej Celia Reynolds, znajoma Jacka O'Hary.

To ona twierdziła, że ogarnięty szalem Zillis rąbał na swoim podwórku krzesła, arbuzy i manekiny.

Garaż stał po południowej stronie domu, poza polem widzenia Celi Reynolds. Billy, który jadąc tutaj, zerkał często w lusterko wsteczne i nie zauważył, że ktoś go śledził, zaparkował śmiało na podjeździe.

Między Zillisem i jego południowym sąsiadem wznosił się zapewniający prywatność szpaler wysokich na dwadzieścia jardów nieprzyciętych eukaliptusów.

Kiedy Billy wysiadał z explorera, jedynym elementem jego przebrania była niebieska baseballowa czapka. Nasunął ją nisko na czoło.

Prawo obecności w tym miejscu dawała mu skrzynka z narzędziami. Kroczący zdecydowanym krokiem mężczyzna z narzędziami uważany jest za montera i nigdy nie wzbudza podejrzeń.

Jako barman Billy cieszył się w pewnych kręgach dużą popularnością. Nie zamierzał jednak przebywać długo na widoku.

Wszedł między pachnące eukaliptusy i garaż. Tak jak oczekiwał, garaż miał z boku niewielkie drzwi.

Zgodnie z tym, czego można się było spodziewać po niechlujnym otoczeniu i tanim czynszu, zamykano je na prosty zatrzaśkowy zamek. Nie miały zasuw.

Billy otworzył je laminowanym prawem jazdy, wstawił narzędzia do garażu i zapalił światło.

W drodze z Whispering Pines do domu Ivy Elgin minął tawernę. Samochód Steve'a stał na parkingu.

Zillis mieszkał sam. Droga była wolna.

Billy otworzył garaż, wjechał do środka explorerem i zamknął drzwi. Zachowywał się spokojnie, żeby nikt nie pomyślał, że chce się jak najszybciej schować.

W środę wieczorem tawernę odwiedzało na ogół dużo klientów. Steve nie powinien wrócić do domu przed drugą w nocy.

Mimo to Billy nie miał całych siedmiu godzin na przeszukanie domu. Jeszcze przed świtem musiał pozbyć się dwóch zwłok, na których znajdowały się obciążające go dowody.

W zasnutym pajęczynami, zakurzonego garażu nie było żadnych starych gratów. W ciągu dziesięciu minut znalazł kilka pajaków, ale ani jednego klucza do wewnętrznych drzwi.

Nie chciał zostawiać śladów włamania, jednak otworzenie drzwi wytrychem nie jest takie łatwe, jak to pokazują na filmie. Podobnie jak uwiedzenie kobiety, zabicie mężczyzny i w ogóle wszystko.

Zakładając nowe zamki w swoim domu, Billy nauczył się nie tylko, jak to porządnie zrobić, ale jakie popełnia się przy tym błędy. Miał nadzieję, że robotę wykonano tu po partacku, i nie omylił się.

Drzwi wstawiono prawdopodobnie po złej stronie. W związku z tym fachowiec zamontował zamek tak, że jego wewnętrzna strona obrócona była w stronę garażu.

Zamiast nie dającej się usunąć osłony zamka, Billy miał przed sobą dwie odkręcane kluczem śruby. Zatyczka dziurki od klucza miała pierścień zaciskowy, który pozwalał ją łatwo wyjąć.

Otworzył drzwi w czasie krótszym, niż zajęło mu szukanie zapasowego klucza. Zanim ruszył dalej, złożył z powrotem zamek, uprzątnął ślady i wytarł odciski palców.

Następnie włożył narzędzia z powrotem do skrzynki i wyjął z niej rewolwer. Na wypadek gdyby musiał się szybko wycofać, wsadził skrzynkę do samochodu.

Poza narzędziami zabrał ze sobą całe pudełko jednorazowych lateksowych rękawiczek, które teraz nałożył.

Została mu jeszcze godzina dziennego światła. Obchodząc cały dom, zapalił wszystkie lampy i żyrandole.

Wiele półek w spiżarni było pustych. Steve zgromadził tu typowe dla samotnego mężczyzny zapasy: zupy i gulasze w puszkach, chipsy ziemniaczane, chrupki serowe.

Brudne naczynia i garnki w zlewie przewyższały liczebnie te stojące w szafkach, w większości pustych.

W szufladzie Billy znalazł kolekcję zapasowych kluczy do samochodu, kłódek i najprawdopodobniej do domu. Sprawdził, czy któryś z nich pasuje do tylnych drzwi, i znalazł ten właściwy. Schował go do kieszeni i odłożył resztę do szuflady.

Steve Zillis gardził meblami. Stojące w kącie jadalnym pojedyncze krzesło nie pasowało do porysowanego stolika z formiki.

W salonie stała powybrzuszana sofa, obita popękana skórą otomana oraz telewizor i odtwarzacz DVD na stoliku na kółkach. Na podłodze, obok pary brudnych skarpetek piętrzył się stos czasopism.

Wystrój przypominał pokój w internacie, jeśli pominąć fakt, że na ścianach nie wisały plakaty. Brak dojrzałości był żalony, «e nie stanowił jeszcze przestępstwa.

Gdyby złożyła tu wizytę kobieta, nie zawitałaby po raz drugi... i

na pewno by nie przenocowała. Umiejętność zawiązywania językiem szypulek wiśni to za mało, by życie stało się pasmem upojnych romansów.

W gościnnej sypialni zamiast mebli ujrzał cztery manekiny. Wszystkie damskie, wszystkie nagie i wszystkie bezwłose. Trzy zostały przerobione.

Jeden leżał na plecach pośrodku pokoju, trzymając w dłoniach dwa noże do steków. Ich ostrza tkwiły w jego gardle, tak jakby sam siebie zasztyletował.

Między jego nogami wywiercona była dziura. Tkwił w niej kuty żelazny pręt z ogrodzenia. Jego ostry koniec wsunięto w prymitywnie uformowaną pochwę.

Zamiast stóp manekin miał przy końcach nóg dodatkową parę dłoni. Obie były wygięte tak, by mogły złapać żelazny pręt.

Trzecia para dłoni wyrastała z piersi. Ich rozcapierzone palce wydawały się czegoś szukać, usiłowały coś złapać, jakby manekin nie potrafił nasycić swoich żądz.

# 45

W niejednym domu, gdyby można było sprawdzić wszystkie jego zakamarki, odkryto by dowody perwersji i wstydliwych sekretów.

Te manekiny świadczyły jednak o czymś więcej. Ich przerozbiecie wymagało wiele trudu, musiało zająć mnóstwo czasu. Nie świadczyły o pożądaniu, lecz o dokuczliwym pragnieniu, potrzebie, która nigdy nie mogła zostać zaspokojona.

Drugi manekin siedział z rozłożonymi nogami, opierając się plecami o ścianę. Z oczodołów wycięto mu oczy i wstawiono zamiast nich zęby.

Sprawiły wrażenie zwierzęcych, chyba gadzich i chyba autentycznych. Zakrzywione kły i nadłamane siekacze.

Każdy został pieczołowicie doklejony do krawędzi oczodołu. Każdy zębaty oczodoł preparowano tak, by wywołać mrozący krew w żyłach efekt.

Usta były rozcięte i szeroko rozwarte. W ich wnętrzu także tkwiły ohydne nie ludzkie zęby.

Również uszy okolone były zębami gotowymi się zacisnąć niczym płatki muchołówki.

Zęby wyrastały z brodawek piersi i z pępka. W pochwie było ich więcej niż w innych otworach.

Billy nie miał pojęcia i nie obchodziło go, czy ta makabryczna



figura świadczyła o lęku przed pożerającą wszystko kobiecością, czy też pożerała samą siebie.

Chciał po prostu stamtąd wyjść. Zobaczył już dosyć. Ale patrzył dalej.

Trzeci manekin również siedział oparty plecami o ścianę. Na kolanach trzymał miskę, która była w rzeczywistości oderzniętą górną częścią jego czaszki.

Z miski wysypywały się zdjęcia męskich genitaliów. Billy nie dotknął ich, ale zobaczył dosyć, żeby stwierdzić, że przedstawiają narządy tej samej osoby.

Bukiet podobnych zdjęć, ich dziesiątki, tkwił w otwartej czaszce. Jeszcze więcej wystawało z ust manekina.

Steve Zillis spędzał najwyraźniej mnóstwo czasu, fotografując się pod różnymi kątami, w różnych stadiach podniecenia.

Lateksowe rękawiczki Billy'ego nie tylko zapobiegły zostawieniu odcisków palców. Bez nich zrobiłoby mu się niedobrze, gdyby musiał dotykać klamek, kontaktów, czegokolwiek w tym domu.

Czwarty manekin nie został jeszcze okaleczony. Zillis nie mógł się prawdopodobnie doczekać, żeby się nim zająć.

Kiedy podczas swojej zmiany w tawernie nalewał ludziom piwo, opowiadał dowcipy i prezentował sztuczki, tak wyglądały myśli, które skrywał pod promiennym uśmiechem.

Sypialnia Steve'a okazała się tak samo skąpo umeblowana jak reszta domu. Łóżko, nocna szafka, lampa, zegar. Żadnych ilustracji na ścianach, bibelotów ani pamiątek.

Pościel była skotłowana. Poduszka wałała się po podłodze.

Jeden z rogów pokoju służył najwyraźniej za kosz na brudne rzeczy. Pogniecione koszule, dżinsy i brudna bielizna leżały na stosie tam, gdzie je rzucił Steve.

Przeszukanie sypialni i szafy przyniosło kolejne niepokojące odkrycie. Pod łóżkiem leżało kilkanaście pornograficznych filmów, których okładki przedstawiały nagie kobiety w kajdankach i w łańcuchach, niektóre zakneblowane, inne z opaskami na oczach; kulące

się kobiety, którym grozili sadystyczni mężczyźni.

Te filmy nie miały nic wspólnego z domowym wideo. Profesjonalnie zapakowane, były najprawdopodobniej dostępne w każdym erotycznym sklepie, tradycyjnym bądź internetowym.

Odłożywszy je na miejsce, Billy zaczął się zastanawiać, czy odkrył już dosyć, żeby wezwać policję.

Nie. Ani manekiny, ani pornografia nie dowodziły, że Steve Zillis kiedykolwiek skrzywdził jakąkolwiek żywą osobę. Świadczyły wyłącznie o tym, że ma chorą i bujną wyobraźnię.

Gdy tymczasem za sofą w domu Billy'ego leżał zapakowany w plandekę nieboszczyk i czekał, by coś z nim zrobić.

Jeśli policja zacznie go podejrzewać o zamordowanie Giselle Winslow w Napie albo jeśli odnalezione zostanie ciało Lanny'ego Olsena i Billy znajdzie się w kręgu podejrzanych o to morderstwo, w najlepszym razie wezmą go pod obserwację. Straci swobodę działania.

A jeśli znajdą zwłoki Cottle'a, aresztują mnie, pomyślał.

Nikt nie zrozumie ani nie uwierzy w to, że Barbarze grozi niebezpieczeństwo. Nie potraktują serio jego ostrzeżeń. Kiedy ktoś jest głównym podejrzanym, policja chce od niego usłyszeć to, co spodziwiera się usłyszeć, czyli przyznanie się do winy.

Wiedział, jak to działa. Dokładnie wiedział, jak to działa.

W trakcie dwudziestu czterech lub czterdziestu ośmiu godzin — względnie tygodnia, miesiąca, roku — których będzie potrzebował, aby udowodnić swoją niewinność, jeśli w ogóle zdoła to kiedykolwiek zrobić, Barbara będzie narażona na niebezpieczeństwo i pozbawiona ochrony.

Zabrnął w to zbyt głęboko. Nikt poza nim samym nie zdoła go uratować.

Gdyby znalazł twarz w słoju z formaldehydem oraz inne makabryczne pamiątki, mógłby donieść na Zillisa do władz. Nic o mniejszym ciężarze gatunkowym nie zdołałoby ich przekonać.

Podobnie jak większość domów w Kalifornii dom Steve'a nie

miął piwnicy, ale strych. W suficie w salonie była kłapa ze zwisającym sznurowym uchwytem.

Kiedy za niego pociągnął, rozłożyła się składana drabinka.

Usłyszał coś za plecami. Oczywiście wyobraźni zobaczył wyciągającego ku niemu dłoń manekina z zębami w oczodołach.

Obrócił się na pięcie, sięgając po tkwiący za pasem rewolwer. Był sam. Usłyszał prawdopodobnie odgłosy osiadania — stary dom szukał wygodniejszej pozycji pod naporem grawitacji.

Na górze znalazł kontakt w ramie wjazdu. Dwie przykurzone gołe żarówki oświetlały pustą, wspartą na krokwiach przestrzeń, z której dolatywał zapach próchna.

Świr był najwyraźniej zbyt sprytny, by trzymać tutaj obciążające go dowody.

Billy podejrzewał, że Zillis nocuje w tym wynajętym domu, lecz tak naprawdę wcale tu nie mieszka. Skąpo umeblowane i pozbawione jakichkolwiek ozdób miejsce sprawiało wrażenie przydrożnego motelu. Steve Zillis nie zapuścił tu korzeni. Był tu tylko przejazdem.

Pracował w tawernie od pięciu miesięcy. Gdzie się podziewał od czasu, gdy pięć i pół roku temu studiował na Uniwersytecie Kolorado w Denver, gdzie zaginęła Judith Kesselman?

W Internecie jego nazwisko pojawiło się w związku z tym jedynym zaginięciem i nie było powiązane z żadnym zabójstwem. Gdyby wrzucono do Google'a nazwisko Billy'ego, wyniki byłyby znacznie bardziej interesujące.

Ale gdyby sporządziło się listę miast, w których Steve Zillis na chwilę się zatrzymał, gdyby zbadało się morderstwa i zaginięcia w tych miejscach, można by dokopać się prawdy.

Najgroźniejsi seryjni mordercy byli waga-bundami, wędrowcami pokonującymi duże odległości między miejscami, w których dawali upust swym morderczym skłonnościom. Kiedy jedno takie miejsce dzieli od drugiego setki mil i granice różnych jurysdykcji, trudniej skojarzyć ze sobą zabójstwa; dostrzegane z samolotu charakterystyczne cechy krajobrazu rzadko kiedy widzi ktoś, kto podróżuje na piechotę.

Wędrowny barman, który dobrze przyrządza koktajle, nawiązuje łatwy kontakt z ludźmi i potrafi oczarować klientów, nie ma trudności ze znalezieniem roboty. Jeśli będzie się o nią starał w odpowiednich miejscach, nie poproszą go nawet o formalne świadectwo pracy, wyłącznie o legitymację ubezpieczenia społecznego, prawo jazdy oraz zaświadczenie z urzędu nadzorującego obrót spirytualiami. Jackie O'Hara, reprezentujący w tym względzie dość typową postawę, nie dzwonił do poprzednich pracodawców kandydata; zatrudniał ludzi, kierując się podszeptem instynktu.

Wychodząc z domu, Billy zgasił światło. Zamknął za sobą drzwi zapasowym kluczem i schował go do kieszeni, ponieważ miał tu jeszcze zamiar wrócić.

# 46

Zachodzące słońce skąpało w krwawym świetle nieukończony mural po drugiej stronie autostrady.

Kiedy Billy jechał do domu, by zabrać stamtąd zwłoki Cottle'a, rozświetlone dzieło przykuło jego uwagę. Zafascynowało go do tego stopnia, że zjechał na pobocze i zatrzymał się.

Przed wielkim żółto-fioletowym namiotem, w którym zatrudnieni przy realizacji projektu artyści i rzemieślnicy spotykali się regularnie na lunchu, a także, by omówić postępy prac i powitać znakomitości ze świata nauki i sztuki, zebrał się teraz tłum podziwiający ulotne dzieło natury.

Zaparkowany nieopodal namiotu olbrzymi żółto-fioletowy autobus mieszkalny z biegnącym z boku wielkim napisem Valis miał mnóstwo stalowych i chromowanych części, w których odbijały się promienie słońca. Przyciemnione szyby płonęły karmazynowo-brązowym ogniem.

Billy nie zatrzymał się jednak po to, by podziwiać odświętny namiot ani godny rockowego gwiazdora dom na kołach, a tym bardziej obserwujących piękny zachód słońca artystów i rzemieślników.

Z początku skłonny był uznać, że urzekł go przede wszystkim szkarłatno-złoty blask całego spektaklu. To ostrożne przypuszczenie było jednak zgodne z prawdą.

Konstrukcja była jasnoszara, lecz na lśniącej farbie płonęły refleksy prażącego słońca. Ten jasny odbłask oraz powietrze falujące tuż przy nagrzejanej powierzchni malowidła tworzyły wrażenie, że obraz płonie.

I w gruncie rzeczy to właśnie kazało Billy'emu zatrzymać się na poboczu drogi: prorocza wizja płonącej konstrukcji, która miała zostać spalona zaraz po ukończeniu.

Dzięki odpowiednim warunkom atmosferycznym i kątowi padania światła można było ujrzeć upiorną zapowiedź przyszłości. Zapowiedź mającego nadejść pożaru. Nawet przyszłe popioły widać było w szarości, która przeziarała przez widmowe płomienie.

Kiedy cały ten pirotechniczny efekt spotęgował się w ostatnich promieniach słońca, Billy uświadomił sobie, dlaczego ta scena oddziałuje na niego z taką hipnotyczną mocą. Jego uwagę przykuła uwieczona w stylizowanej maszynerii wielka postać, mężczyzna, który walczył o przetrwanie pośród gigantycznych tarcz szlifierskich, rwących kół zębatych i łomoczących tłoków.

W trakcie trwającej długie tygodnie budowy, kiedy malowidło tworzone i dopracowywano, mężczyzna wydawał się uwieczony w maszynie, dokładnie tak jak to sobie wyobraził artysta. Był ofiarą sił większych od siebie.

Jednak w tym momencie, dzięki szczególnej łasce zachodzącego słońca, mężczyzna nie płonął wraz z otaczającą go maszynerią. Owszem, był rozświetlony, lecz w niepowtarzalny sposób: rozświetlony, krzepki i silny, nie pożerany przez płomienie, lecz na nie uodporniony.

Żaden element fantasmagorycznej maszyny nie miał technicznego uzasadnienia. Stanowiła wyłącznie zbiór symboli, bez żadnego funkcjonalnego celu.

Maszyna pozbawiona produktywnej funkcji nie ma sensu. Nie może służyć nawet jako więzienie.

Mężczyzna mógł z niej wyjść, kiedy tylko chciał. Nie był uwieczony. Tak mu się tylko zdawało. To złudzenie zrodziło się z nieopowiedzianej rozpacz, można więc było je uznać za błędne. Mężczyzna

musiał porzucić bezsens, odnaleźć sens i postawić przed sobą jakiś cel wart zachodu.

Billy Wiles nie był podatny na objawienia. Przez całe życie przed nimi uciekał. Samoanaliza była dla niego synonimem cierpienia.

Mimo to uznał, że to, czego teraz doświadczył, jest objawieniem, i nie starał się przed nim uciec. Zamiast tego, wjeżdżając z powrotem na autostradę i podróżując dalej w zapadającym zmroku, wspinał się na kolejne szczeble mentalnych implikacji.

Nie potrafił przewidzieć, w jaki sposób wykorzysta tę nagłą intuicyjną wizję. Mógł nie okazać się w wystarczającym stopniu mężczyzną, by wykorzystać ją w godny sposób, ale wiedział, że jakoś ją wykorzysta.

Przybywszy do domu, który stał pod indygowym niebem rozjaśnionym zaledwie jedną smugą słabego światła na zachodzie, zjechał z podjazdu na trawnik i zaparkował tyłem do stopni werandy, aby ułatwić sobie załadowanie Ralpa Cottle'a.

Nie można było go zobaczyć z drogi ani z najbliższego domu. Wsiadając z terenówki, usłyszał pierwsze pohukiwanie sowy. Widziała go tylko ona i gwiazdy.

Po wejściu do domu wyciągnął drabinkę ze składziku i sprawdził nagrywarke nad mikrofalówką. Z odtworzonego z dużą szybkością nagrania wynikało, że nikt nie wchodził do domu podczas jego nieobecności. Przynajmniej przez kuchnię.

Nie spodziewał się nikogo zobaczyć. Steve Zillis pracował w taernie.

Odstawiwszy na miejsce drabinkę, wyciągnął Cottle'a na tylną werandę, korzystając ze sznurowego uchwytu, który sporządził przy owiniętych płachtą zwłokach. Załadowanie ich do bagażnika wymagało więcej cierpliwości i siły, niż sobie wyobrażał.

Kiedy już się z tym uporał, omiół wzrokiem ciemne podwórko i pełniące nocną wartę drzewa. Nie miał wrażenia, że jest obserwowany. Czuł się głęboko osamotniony.

Mimo że zamykanie domu na klucz wydawało się pozbawione sensu, zrobił to i wjechał explorem do garażu.

Widok piły stołowej, wiertarki i innych narzędzi zbudził w nim irracjonalną chęć, by zapomnieć o całym kryzysie. Chciał poczuć zapach świeżo ściętego drewna, doznać satysfakcji, jaką daje sporządzenie porządnego wczepinowego połączenia.

W ostatnich latach zbudował tyle rzeczy do domu, dla siebie, wszystko dla siebie. Jeśli miał teraz budować dla innych, od czego miał zacząć, jeśli nie od rzeczy, które były potrzebne: od trumien. Wybrał dla siebie zajęcie grabarza.

Z ponurą miną załadował do explora kolejną plastikową płachtę, zwój grubego sznura, taśmę samoprzylepną, latarkę i inne niezbędne rzeczy. Na owinięte płachtą zwłoki rzucił kilka złożonych kołder i pustych kartonów, żeby nie rzucał się tak bardzo w oczy ich kształt.

Czekała go długa noc i cmentarna praca i bał się nie tylko szalonego zabójcy, lecz wielu innych rzeczy, które mogły się czaić w mroku. Ciemność rodzi niezliczone obawy, ale prawdą jest również — i czerpał z tego pociechę — że ciemność przypomina nam o tym, co jasne. O świetle. Bez względu na to, co go czekało w nadchodzących godzinach, wierzył, że dożyje świtu.



# 47

Cztery godziny snu po zażyciu vicodinu i wypiciu elefanta nie zapewniły Billy'emu wystarczającego odpoczynku.

Od czasu gdy zwiłkł się z łóżka, minęło ponad dwanaście wypełnionych gorączkową aktywnością godzin. Fizycznie wciąż był sprawny, lecz obracające się w jego umyśle trybiki nie kręciły się tak szybko jak wcześniej, tak szybko, jak potrzebował.

Wierząc, że explorer nie przypomina karawanu, którym był w rzeczywistości, zatrzymał się przy całodobowym sklepie i kupił anacin na dokuczliwy ból głowy oraz paczkę tabletek kofeinowych No-Doz.

Na śniadanie zjadł dwie bułki, a potem kanapkę z szynką. Zaczynało mu brakować kalorii i był roztrzęsiony.

W sklepie były pakowane próżniowo kanapki i mikrofalówka, w której można je było podgrzać. Z jakiegoś powodu sama myśl o mięsie przyprawiała go o mdłości.

Kupił po sześć batoników Hersheya i Planters Peanut, żeby wyrównać niedobór cukru i białka, oraz butelkę pepsi, żeby popić no-doz.

— Mamy w lipcu walentynki czy co? — zapytał kasjer, nawiązując do kupionych przez niego słodyczy.

— Halloween — odparł Billy.

W samochodzie łyknął anacin i kofeinowe tabletki.

Na siedzeniu pasażera leżała gazeta, którą kupił w Napie. Nie znalazł jeszcze czasu, żeby przeczytać artykuł o zamordowaniu Gisselle Winslow.

Do środka włożył stare artykuły z „Denver Post”, które wydrukował w bibliotece. O Judith Kesselman, która nigdy się nie odnalazła.

Przeczytał je, jedząc batoniki. Cytowano przedstawicieli władz uniwersyteckich i miejskich oraz policji. Wszyscy poza gliniarzami twierdzili, że Judith odnajdzie się cała i zdrowa.

Policjanci byli ostrożniejsi w wypowiedziach. W przeciwieństwie do profesorów, biurokratów i polityków nie pletli andronów. Miało się wrażenie, że tak naprawdę tylko oni troszczyli się o tę młodą kobietę.

Śledztwo w sprawie zaginięcia prowadził detektyw Ramsey Osgard. Niektórzy z kolegów nazywali go Oz.

Osgard miał czterdzieści cztery lata, kiedy zaginęła Judith. Do tego czasu otrzymał trzy wyróżnienia za odwagę.

W wieku pięćdziesięciu lat nadal powinien służyć w policji. Wydawało się to całkiem prawdopodobne w świetle jedynej osobistej informacji na jego temat, która pojawiła się w artykułach. Kiedy miał trzydzieści osiem lat, postrzelono go w lewą nogę. Stwierdzono trwały uszczerbek na zdrowiu. Odmówił przejścia na rentę. Nie utykał.

Billy miał ochotę porozmawiać z Osgardem, wiedział jednak, że nie może posłużyć się swoim prawdziwym nazwiskiem ani telefonem.

Jadąc do domu Lanny'ego Olsena, czuł, jak pod wpływem słodyczy, pepsi-coli i tabletek kofeinowych zaczynają się szybciej kręcić trybiki w jego umyśle.

Nie zaparkował przy kościele i nie pokonał reszty drogi na piechotę, tak jak to zrobił wcześniej. Podjechawszy do stojącego samotnie przy końcu alejki domu, minął położone na wznoszącym się zboczku podwórko i strzelnicę z tarczami ze słomianych beli.

Trawnik ustępował tu miejsca dzikiej trawie i krzakom jeżyn. Teren był kamienisty i pofalowany.

W dwóch trzecich zbocza Billy zatrzymał się i zaciągnął hamulec ręczny.

Przydałyby mu się samochodowe reflektory, jednak na tej wysokości mogliby je zobaczyć mieszkańcy położonych niżej przy drodze domów.

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, zgasił światła i wyłączył silnik.

Omiatając ziemię światłem latarki, w odległości dwudziestu stóp od samochodu odnalazł szybko wylot szczeliny wulkanicznej.

Przed założeniem winnic i przybyciem Europejczyków, zanim przodkowie Indian przybyli tu drogą lądową lub po lodzie z Azji, dolinę Napa kształtowały wulkany.

Dawna wytwórnia win Rossiego, w której mieściły się obecnie piwnice Heitza, a także inne budynki w dolinie wzniesione były z riolitu, wydobywanej lokalnie w kamieniołomach wulkanicznej formy granitu. Wzgórze, na którym stał dom Olsena, zbudowane było głównie z bazaltu, innego wulkanicznego kamienia, ciemnego i ciężkiego.

Po erupcji pozostają czasami w skale długie tunele lawowe. Billy nie znał się dość dobrze na wulkanologii, by stwierdzić, czy wygasły komin w tym wzgórzu jest takim tunelem, czy też fumarolą pozostałą po ekshalacji gazów wulkanicznych.

Wiedział jednak, że ma cztery stopy szerokości przy ujściu i jest niezmiernie głęboki.

Cała okolica była mu świetnie znana; gdy w wieku czternastu lat został sam jak palec, to właśnie Pearl Olsen zapewniła mu dom. W przeciwieństwie do innych osób nigdy się go nie bała. Wiedziała dobrze, jaka jest prawda. Otworzyła przed nim serce i mimo nawrotów raka wychowała go jak własnego syna.

Lanny był o dwanaście lat starszy od Billy'ego i chociaż mieszkali w tym samym domu, nigdy nie czuli się braćmi. Poza tym

Lanny był zawsze zamknięty w sobie i po powrocie ze służby rysował swoje komiksy.

Trochę się jednak zaprzyjaźnili. I co jakiś czas Lanny odgrywał wobec Billy'ego rolę dobrego wujka.

Podczas jednej z takich okazji spróbował wraz z nim określić głębokość szczeliny.

Chociaż na porośniętym jeżynami wzgórzu nie bawiły się żadne dzieci, Pearl dbała o bezpieczeństwo nawet wymaginowanych urwisów. Kilka lat wcześniej kazała zamontować drewnianą ramę na kamiennej krawędzi szczeliny. Do ramy przykręcona była sekwojowa pokrywa.

Po jej zdjęciu Lanny i Billy rozpoczęli penetrację za pomocą podłączonego policyjnego reflektora do silnika półciężarówki. Jego promień oświetlił ściany do głębokości około trzystu stóp, lecz nie odnalazł dna.

Poniżej wylotu szyb poszerzał się mniej więcej do ośmiu, dziesięciu stóp. Ściany były pofalowane, poskręcane i dziwne.

Chłopcy przywiązali do długiego zwoju szpagatu mosiężne uszczelki o wadze jednego funta i spuścili je pośrodku dziury, nasłuchując wyraźnego brzęku objających się o dno kółek. Tysiącstopowy odcinek szpagatu okazał się za krótki.

Na koniec zaczęli wrzucać w otchłań stalowe łożyska kulkowe, mierząc czas, po którym rozlegał się pierwszy brzęk, i obliczając odległość na podstawie zaczerpniętego z podręcznika wzoru. Żadne łożysko nie zabręczało wcześniej niż po przebyciu tysiąca czterystu stóp.

Ale szczelina nie kończyła się nawet na tej głębokości.

Po długim pionowym spadku komin najwyraźniej opadał dalej po skosie, być może kilkakrotnie zmieniając kierunek. Po pierwszym donośnym brzęku każde łożysko odbijało się rykoszetem od ściany do ściany. Hałas nigdy nie urywał się nagle, ale stawał się coraz bardziej odległy i cichy, aż w końcu milkł. Billy domyślał się, że tunel ma kilka mil długości i biegnie co najmniej kilka tysięcy stóp pod dnem doliny.

Przyświecając sobie latarką, odkręcił teraz elektrycznym śrubokrętem dwanaście stalowych śrub z krzyżowym gniazdem, mocujących nową sekwojową pokrywę, która zastąpiła tę zdjętą przez nich prawie dwadzieścia lat wcześniej. Odłożył pokrywę na bok.

Z komina nie wydobywał się żaden powiew. Billy nie wyczuł nic prócz słabego zapachu popiołu zmieszanego z solą i wapnem.

Stękając z wysiłku, wyciągnął nieboszczyka z samochodu i powlókł go w stronę otworu.

Nie przejmował się śladami, jakie zostawiał w zaroślach, ani odciśkami opon explorera. Natura jest żywotna. Po paru dniach powinna je w dużym stopniu zatrzeć.

Chociaż były członek Towarzystwa Sceptyków mógł tego nie pochwalać, przed zepchnięciem go do dołu Billy odmówił krótką modlitwę.

Spadając, Ralph Cottle narobił o wiele więcej hałasu niż którekolwiek z łożysk kulkowych. Pierwsze uderzenia brzmiały tak, jakby pod ich wpływem pogruchoły się mu wszystkie kości.

A potem, kiedy tunel skręcił w bok, śliska plandeka wydała niesamowity świst i zapakowana w plastik mumia zaczęła osuwać się z coraz większą szybkością w otchłań, zataczając prawdopodobnie spirale podobne do tych, które zatacza pocisk w gwintowanym wnętrzu lufy.

# 48

Billy zaparkował explorera na trawniku za garażem, gdzie nie mógł go zobaczyć żaden automobilista, który chciałby zawrócić przy końcu alejki. Na dłonie wsunął lateksowe rękawiczki.

Otworzył tylne drzwi domu zapasowym kluczem, który przed niespełna dziewiętnastoma godzinami wyjął z dziury w dębowym pniu.

Miał ze sobą płachtę, taśmę i sznur. Oraz oczywiście rewolwer.

Przechodząc przez pomieszczenia na parterze, pozapalał w nich światła.

W środę i czwartek Lanny miał wolne, w związku z czym przez kolejne trzydzieści sześć godzin nikt nie powinien zorientować się, że zaginął. Gdyby jednak złożył mu niezapowiedzianą wizytę jakiś znajomy, zobaczył palące się w domu światła i nie doczekał się odpowiedzi na dzwonek u drzwi, mogłoby to przysporzyć kłopotów.

Billy miał zamiar jak najszybciej zrobić to, co trzeba, i wynieść się stąd, gasząc za sobą światła.

Na ścianach nadal wisiały kartki z narysowanymi dłońmi wskazującymi drogę do zwłok. Usunie je później, w ramach robienia porządków.

Jeżeli gdzieś na ciele Lanny'ego — Cottle twierdził, że tak było w przypadku zwłok Giselle Winslow — znajdowały się obciążające Billy'ego dowody, żaden z nich nie zostanie wykorzystany w sądzie, jeśli Lanny spocznie na głębokości mili pod powierzchnią ziemi.

Billy zdawał sobie sprawę, że eliminując podrzucone dowody, niszczy równocześnie wszelkie inne ślady, które mógł nieświadomie zostawić świr. Robił porządki za nich obu.

Spryt, z jakim została zaprojektowana ta pułapka, oraz decyzje, które Billy podjął, gdy inscenizacja dopiero się zaczynała, w nieunikniony sposób doprowadziły do tej sytuacji i spowodowały, że musiał postępować właśnie w ten sposób.

Nie dbał o to. Nie liczyło się nic poza Barbarą. Musiał pozostać na wolności, żeby jej bronić, ponieważ nie mógł tego zrobić nikt inny.

Gdyby znalazł się w kręgu podejrzanych o zabójstwo, John Palmer natychmiast by go zamknął. Dla szeryfa skazanie Billy'ego stanowiłoby dowód na słuszność jego wcześniejszych działań. Gdyby udało mu się go zamknąć, wykorzystałby to do napisania na nowo jego historii.

Mogli go aresztować wyłącznie na podstawie podejrzeń. Nie wiedział, na jak długo. Z całą pewnością na czterdzieści osiem godzin.

Po ich upłynięciu Barbara byłaby martwa. Albo zaginęłaby, zniknęła podobnie jak Judith Kesselman, studentka muzyki, która uwielbiała psy i spacerować po plaży.

Inscenizacja dobiegłaby końca. Być może świr włożyłby kolejną twarz do kolejnego stoja.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość były wszystkie obecne tu i teraz i pędziły do przodu — Billy mógł przysiąc, że słyszy obracając się z furkotem wskazówki na swoim zegarku — i on też pośpieszył do schodów i wbiegł na górę.

Jeszcze przed przyjazdem tutaj bał się, że nie znajdzie ciała Lanny'ego w fotelu w sypialni, tam gdzie go ostatnio widział. Kolejne posunięcie w grze, kolejny zwrot w inscenizacji.

Znalazłszy się na piętrze, zawahał się, wstrzymywany przez tę samą obawę. Przy wejściu do sypialni ponownie przystanął. A potem przekroczył próg i zapalił światło.

Lanny siedział w fotelu, z książką na kolanach. Między kartkami tkwiła fotografia Giselle Winslow.

Zwłoki nie wyglądały dobrze. Nie nastąpił jeszcze hamowany przez klimatyzację widoczny rozkład, ale siateczka naczyń krwionośnych na jego twarzy zaczęła lekko zielenieć.

Lanny wydawał się wodzić oczyma za idącym przez pokój Bilym, ale było to tylko złudzenie optyczne.



# 49

Po rozłożeniu poliuretanowej płachty na podłodze Billy usiadł na skraju łóżka i podniósł słuchawkę telefonu. Uważając, żeby nie popełnić błędu, do którego popełnienia przyznał się wcześniej tego samego dnia, wybrał numer 411 i dowiedział się, jaki jest numer kierunkowy do Denver.

Nawet jeśli Ramsey Ozgard nadal służył jako detektyw w policji w Denver, mógł nie mieszkać w granicach miasta, lecz w jednej z kilku podmiejskich dzielnic. W tym wypadku zlokalizowanie go mogło okazać się zbyt trudne. Nie można było również wykluczyć, że ma zastrzeżony numer.

Ale kiedy Billy zadzwonił do informacji w Denver, okazało się, że ma szczęście. Trochę za dużo szczęścia jak na jeden dzień. Mieli w spisie Ramseya G. Ozgarda, mieszkającego w śródmieściu.

W Kolorado była 22.54, ale późna pora mogła sprawiać wrażenie, że sprawa jest pilna, i przydać jej wiarygodności.

Mężczyzna odebrał po drugim dzwonku.

— Detektyw Ozgard? — zapytał Billy.

— Przy telefonie.

— Mówi zastępca szeryfa Lanny Olsen z biura szeryfa okręgu Napa w Kalifornii. Przede wszystkim chciałbym przeprosić, że niepokoję pana o tej porze.

— Odkąd sięgam pamięcią, cierpię na bezsenność, a teraz mam w telewizji chyba z sześćset kanałów, więc do jakiejś trzeciej będę oglądał powtórki Gilligan's Island albo jakieś inne cholerstwo. O co chodzi?

— Dzwonię do pana z domu w związku ze sprawą, którą zajmował się pan przed kilku laty. Może zechce pan zatelefonować do dyżurnego w naszym komisariacie, żeby potwierdzić, że pracuję w policji, wziąć od nich mój numer i ewentualnie do mnie oddzwonić.

— Pański numer mi się wyświetlił — oznajmił Ozgard. — Zdążyłem się już zorientować, z kim mam do czynienia. Jeśli to, czego pan ode mnie chce, wyda mi się w najmniejszym stopniu podejrzanym, zrobię to, co pan mówi. Ale na razie niech pan strzela.

— Dziękuję panu. Chodzi o zaginięcie pewnej osoby, które może mieć związek z tym, co się tutaj stało. To historia sprzed pięciu lat.

— Judith Kesselman — powiedział Ozgard.

— Od razu się pan domyślił...

— Niech mi pan nie mówi, że pan ją odnalazł. W każdym razie, że odnalazł ją pan martwą.

— Nie, proszę pana. Nie odnaleźliśmy jej żywej ani martwej.

— Nie sądzę, żeby jeszcze żyła, niech Bóg ma ją w opiece — odparł Ramsey. — Ale nie chcę wyobrazać sobie dnia, kiedy dowiem się, że jest martwa. Kocham tę dziewczynę.

— Słucham pana? — zapytał zaskoczony Billy.

— Nigdy jej nie spotkałem, ale ją kocham. Jak córkę. Dowiedziałem się o Judith Kesselman tylu rzeczy, że znam ją lepiej od wielu ludzi, z którymi spotykam się na co dzień.

— Rozumiem.

— Była wspaniałą młodą kobietą.

— Tak słyszałem.

— Rozmawiałem z wieloma jej przyjaciółmi i członkami rodziny. Nikt nie powiedział o niej złego słowa. Mówili, jak poświęcała się dla innych, o jej życzliwości. Wie pan, jak to jest, kiedy ofiara

zaczyna prześladować gliniarza, nie pozwala mu być obiektywnym?

— Jasne — odparł Billy.

— Judith prześladowuje mnie w ten sposób — powiedział Ozgard.

— Uwielbiała pisać listy. Kiedy ktoś wkraczał w jej życie, trzymała się go, utrzymywała kontakt, nie zapominała o nim. Przeczytałem setki jej listów, panie Olsen, setki listów.

— I pozwolił jej pan wkroczyć w swoje życie.

— Nie sposób było na to coś poradzić, po prostu weszła. To były listy kobiety, która podchodzi do ludzi z otwartymi ramionami, która oddaje serce każdemu. Rozświetlone listy.

Billy zdał sobie sprawę, że wpatruje się w dziurę po pocisku na czole Lanny'ego Olsena. Odwrócił wzrok w stronę otwartych drzwi na korytarz.

— Mamy tutaj pewną sytuację — rzekł. — W tym momencie nie mogę jej opisywać zbyt dokładnie, ponieważ nadal zbieramy dowody i nie możemy jeszcze postawić zarzutów.

— Rozumiem — zapewnił go Ozgard.

— Ale jest pewne nazwisko, które chcę panu podać, zobaczyć, czy czegoś panu nie mówi.

— Już teraz włosy zjeżyły mi się na karku — odparł Ozgard. — Tak bardzo chcę, żeby to był jakiś konkretny trop.

— Sprawdziłem naszego faceta na Google 'u i jedyną rzeczą, którą udało mi się znaleźć, była ta historia z zaginięciem Kesselman. Chociaż i w tym wypadku właściwie nic nie można mu zarzucić.

— Więc niech pan go sprawdzi na moim Google'u — powiedział Ozgard.

— Steven Zillis.

Ramsey Ozgard wypuścił głośno powietrze z płuc.

— Pamięta go pan — stwierdził Billy.

— Oczywiście.

— Był podejrzanym?

— Oficjalnie nie.

— Ale pan osobiście uważał...

—Ciarki chodziły mi po plecach na jego widok.

—Dlaczego?

Ozgard przez chwilę milczał.

—Nawet jeśli nie ma się ochoty napić z kimś piwa — rzekł w końcu — albo ucisnąć komuś dłoni, nie można tak od niechcenia narażać na szwank jego reputacji.

—To jest wstępne rozpoznanie, nieoficjalna rozmowa — zapewnił go Billy. — Powie mi pan tyle, ile uważa za stosowne, i doda, z jak dużą rezerwą powinienem to potraktować.

—Chodzi o to, że na cały dzień, kiedy Judi musiała zostać porwana... jeśli została porwana, a ja uważam, że została... na całe dwadzieścia cztery godziny, a nawet trochę dłużej, Zillis miał żelazne alibi.

—Próbował pan.

—Niech mi pan wierzy. Ale nawet gdyby nie miał alibi, nie trafiliśmy na żadne obciążające go dowody.

—Więc dlaczego chodziły panu po plecach ciarki?

—Był zbyt wylewny.

Billy nic nie powiedział, ale był rozzarowany. Wyczuwając to, Ozgard rozwinął to, co powiedział wcześniej.

—Przyszedł do mnie, zanim się nim w ogóle zainteresowałem. W gruncie rzeczy mogłem się nim w ogóle nie zainteresować, gdyby mnie nie odwiedził. Tak bardzo chciał pomóc. Gadał i gadał. Za bardzo się nią przejmował, jakby była jego ukochaną siostrą. A przecież znał ją dopiero od miesiąca.

—Powiedział pan, że była wyjątkowo otwarta na ludzi, wyjątkowo życzliwa, nawiązywała z nimi bliskie kontakty.

—Według jej najlepszych przyjaciół w ogóle nie znała dobrze Zillisa. To była przelotna znajomość.

—On mógł się z nią czuć bliżej związany niż ona z nim — powiedział Billy, niechętnie grając rolę adwokata diabła. — To znaczy, jeśli miała w sobie tyle magnetyzmu, tyle uroku...

—Musiałby pan widzieć to, jak ze mną rozmawiał — dodał

Ozgard. — Tak jakby chciał, żebyśmy zaczęli go podejrzewać, sprawdziliśmy go i odkryliśmy, że ma żelazne alibi. I kiedy to zrobiłem, był taki zadowolony z siebie.

— Wciąż pan to przeżywa — zauważył Billy, wyczuwając w jego głosie odrazę.

— Przeżywam. Zillis... to do mnie wraca, to, jaki był. Przez jakiś czas, zanim w końcu gdzieś zniknął, próbował pomóc, dzwonił, wpadał, podsuwał pomysły i miało się wrażenie, że wszystko to jest szyderstwo, jakaś inscenizacja.

— Inscenizacja — powtórzył Billy. — Ja też mam takie wrażenie, ale naprawdę potrzebuję czegoś więcej.

— To kutas. To wcale nie wyklucza, że jest kimś gorszym, ale przede wszystkim jest zadowolonym z siebie małym kutasem. Zaczął się nawet zachowywać, jakbyśmy byli kumplami, on i ja. Potencjalni podejrzani nigdy tego nie robią. To nie jest naturalne. Przecież pan o tym wie, do diabła. Ale facet miał w sobie coś z błazna.

— „Jak się masz, Kemosabe”.

— Cholera, nadal to powtarza?

— Tak.

— To kutas. Maskuje to tym swoim głupkowatym urokiem, ale to stuprocentowy kutas.

— Więc narzucał się panu, a potem po prostu zniknął.

— Całe śledztwo utknęło w martwym punkcie. Judi przepadła jak kamień w wodę. Zillis rzucił szkołę pod koniec tamtego roku, swojego drugiego roku. Nigdy już go nie zobaczyłem.

— Mieszka teraz u nas — powiedział Billy.

— Ciekawe, gdzie się podziewał w międzyczasie.

— Może się dowiemy.

— Mam nadzieję, że się dowiecie.

— Jeszcze się do pana odezwę — obiecał Billy.

— W tej sprawie może pan dzwonić o każdej porze. Ma pan blachę we krwi, panie Olsen?

Billy, który zapomniał już, pod kogo się podszywa, przez chwilę nie zrozumiał, o co chodzi. Dopiero po chwili udzielił właściwej odpowiedzi.

— Jasne. Mój tata był gliniarzem. Pochowali go w mundurze.

— U mnie to był tata i dziadek — odparł Ozgard. — Mam we krwi tyle blachy, że czasami brzęczy mi w żyłach. Nie muszę nawet pokazywać odznaki, żeby ludzie zgadli, kim jestem. Ale Judith Kesselman... ona też jest w moich żyłach podobnie jak ta blacha. Chcę, żeby odpoczywała w spokoju, a nie... porzucona gdzieś pod płótem. Bóg wie, że na tym świecie nie ma sprawiedliwości, ale w tym wypadku powinna zostać wymierzona.

Rozłączywszy się, Billy przez moment nie mógł ruszyć się z łóżka. Gapił się na Lanny'ego, a Lanny na niego.

Ramsey Ozgard był zanurzony w życiu po samą szyję, we wszystkich jego prądach. Nie brodził ostrożnie przy brzegu, ale wypłynął na głęboką wodę. Brał udział w życiu swojej społeczności, był jej oddany.

Billy słyszał to oddanie w docierającym do niego z Denver głosie detektywa, słyszał je tak wyraźnie, jakby przebywali w jednym pomieszczeniu. Zdał sobie nagle sprawę, jak kompletnie sam wycofał się z życia. I czym to grozi.

Barbara zaczęła do niego docierać; a potem spróbowała zupy z porów. Życie znokautowało go swoim okrucieństwem i absurdalnością.

Obecnie wypłynął na głęboką wodę, ale nie z własnego wyboru. Pchnęły go tam wydarzenia.

Na barkach czuł brzemień dwudziestu lat powściągnięcia emocji, wystudiovanych uników i samotności, która stanowiła jego tarczę. Próbował się teraz ponownie nauczyć pływać, ale prąd odpływowy odciągał go od ludzi w stronę jeszcze większej izolacji.

# 50

Lanny nie chciał dać się zawinąć, zupełnie jakby wiedział, gdzie trafi — w głąb wulkanicznej szczeliny, bez dobrodziejstwa pogrzebu i asysty żałobników.

Ponieważ śmiertelny strzał nie padł w tym pomieszczeniu, na ścianach i meblach nie było śladów krwi ani mózgu. Billy chciał, by zniknięcie Lanny'ego wydało się maksymalnie tajemnicze i nie spowodowało natychmiastowego wszczęcia śledztwa w sprawie zabójstwa. Dlatego zależało mu, żeby niczego nie pobrudzić.

Z bieliźniarki wyjął całe naręcze puszystych ręczników. Lanny używał tego samego proszku do prania i płynu do zmiękczenia tkanin co Pearl. Billy rozpoznał wyraźny, czysty zapach.

Rozłożył ręczniki na poręczach i oparciu fotela, w którym siedziały zwłoki. Gdyby coś kapnęło z rany wylotowej z tyłu czaszki, wylądowałoby na starannie rozłożonych ręcznikach.

Z domu przywiózł niewielki plastikowy worek, do którego wyrzucał zużyte kosmetyki w łazience. Starając się nie patrzeć w szkliste, wybałuszone oczy, nasunął go na głowę Lanny'ego i jak najszczelniej obwiązał taśmą wokół szyi — traktując to jako kolejne zabezpieczenie przed wyciekiem.

Wiedział, że nikogo nie mogą wpędzić w szaleństwo makabryczne

czynności, wiedział, że najpierw przychodzi obłąd, a dopiero potem poczucie grozy, nie potrafił jednak powiedzieć, jak długo jeszcze zdoła zajmować się nieboszczykami, nim każdy jego sen, nie mówiąc o jawie, zmieni się w wyjący koszmar.

Lanny zsunął się z fotela na płachtę dość chętnie, lecz potem zaprzestał współpracy. Leżał na podłodze w pozycji człowieka siedzącego na krześle; jego nogi nie dały się wyprostować.

Stężenie pośmiertne. Zwłoki były sztywne i takie miały pozostać do chwili, gdy tkanki, które stężały, zmiękną w wyniku rozkładu.

Billy nie miał pojęcia, ile to może potrwać. Sześć, dwanaście godzin? Nie mógł czekać, żeby się o tym przekonać.

Zaczął z trudem zawijać Lanny'ego w płachtę. Opór nieboszczyka wydawał się chwilami świadomy i uporczywy.

Toból, który udało mu się w końcu sporządzić, był niezgrabny, ale odpowiednio zaklejony. Billy miał nadzieję, że nie urwie się sznurowy uchwyt.

Na ręcznikach nie było ani jednej plamy. Złożył je i wsadził z powrotem do bieliźniarki.

Nie pachniały już tak miło jak wcześniej.

Lanny wleczony po podłodze nie sprawiał kłopotu, lecz Lanny zsuwający się po schodach wydawał dźwięki, od których bolały uszy. Skurczone w niemal płodowej pozycji ciało obijało się o każdy stopień, sprawiając wrażenie jednocześnie kościstego i galaretowatego zarazem.

W połowie schodów Billy przypomniał sobie, że Lanny zdradził go, próbując ratować swoją pracę i emeryturę, że właśnie z tego powodu obaj znaleźli się w tej sytuacji. Ta prawda, chociaż niezaprzeczalna, nie ułatwiła w najmniejszym stopniu pokonania ostatnich stopni.

Przecignięcie ciała przez korytarz, kuchnię i tylną werandę okazało się dość łatwe. Potem kolejne schody, zaledwie kilka stopni, i znaleźli się na podwórku.



Billy zastanawiał się, czy załadować zwłoki do explorera i podejść do szczeliny. Odległość nie była jednak zbyt duża i zawleczenie Lanny'ego do miejsca jego ostatniego spoczynku nie wydawało się bardziej wyczerpujące aniżeli dźwignięcie go do terenówki i wyciągnięcie z powrotem.

Ziemia, niczym obwałowane palenisko, wydawała się oddawać zmagazynowane w ciągu dnia ciepło. Od strony gwiazd zaczął w końcu wiać lekki wietrzyk.

Droga przez podwórko i porośniętą trawą, wznoszący się w górę teren okazała się dłuższa, niż wydawało mu się z werandy. Zaczęły go boleć ręce, ramiona i kark.

W ranach po haczykach, które ostatnio przestały mu dokuczać, znowu pulsowała krew.

Gdzieś po drodze zdał sobie sprawę, że płacze. To go przeraziło. Musiał wziąć się w garść.

Rozumiał, skąd wzięty się łązy. Im bliżej był szczeliny, w tym mniejszym stopniu traktował swoje brzemię jako obciążający go dowód. To był Lanny Olsen, nienamaszczony olejami i nieuhonorowany mową pogrzebową syn dobrej kobiety, która otworzyła serce i dom przed rozbitym emocjonalnie czternastolatkiem.

W świetle gwiazd otaczający szczelinę pagórek coraz bardziej upodabniał się do czaszki.

Bez względu na to, co go czekało, góra czaszek czy ich rozległa równina, nie mógł się cofnąć i z całą pewnością nie mógł wskrzesić Lanny'ego, ponieważ był tylko Billym Wilesem, całkiem niezłym barmanem i poronionym pisarzem. Nie miał mocy sprawiania cudów, wyłącznie upartą nadzieję i ślepą wytrwałość.

I tak w świetle gwiazd i w podmuchach gorącego wiatru doszedł do miejsca czaszki i bez zwłoki, nie przystając nawet, by złapać oddech, wepchnął zapakowane zwłoki do dziury.

A potem położył się na sekwojowej obudowie i spoglądał w bezdenną czerń, słuchając odgłosów długiego zjazdu, tylko tak mając możliwość dać świadectwo.

Kiedy zapadła cisza, zamknął oczy na czający się niżej mrok.

— Skończone — powiedział.

Skończone było oczywiście tylko to zadanie. Czekają go inne — być może tak samo, choć z całą pewnością nie bardziej okropne.

Latarka i elektryczny śrubokręt leżały tam, gdzie je wcześniej zostawił, przy obudowie szczeliny. Teraz założył na nią z powrotem pokrywę, wyłowił z kieszeni stalowe śruby i przykręcił.

Kiedy wracał do domu, pot zmył ostatnie łzy z jego twarzy.

Zostawił śrubokręt i latarkę w stojącym za garażem samochodzie. Lateksowe rękawiczki były podarte. Ściągnął je z dłoni, wyrzucił do torby ze śmieciami w terenówce i włożył nowe.

Miał zamiar sprawdzić dokładnie wszystkie pomieszczenia. Nie wolno mu było zostawić niczego, co wskazywałoby, że w domu leżały zwłoki Lanny'ego.

W kuchni nie bardzo wiedział, co ma zrobić z rumem, colą i plasterkami cytryny. Zostawił sobie trochę czasu na podjęcie decyzji.

Pragnąc zacząć od głównej sypialni na piętrze, ruszył po kwiecistym chodniku w stronę frontowej części domu. W przedpokoju uświadomił sobie, że po jego prawej stronie, za łukiem wiodącym do salonu, zrobiło się niespodziewanie jasno.

Trzymany w dłoni rewolwer przestał mu ciążyć i stał się nagle niezbędnym narzędziem.

Przechodząc po raz pierwszy przez dom do sypialni na górze, gdzie miał zamiar sprawdzić, czy Lanny nadal siedzi w fotelu, Billy zapalił wiszący w salonie żyrandol, ale nic poza tym. Teraz paliły się tam wszystkie lampy.

Na sofie, zwrócony twarzą ku wejściu, siedział Ralph Cottle, świadcząc o niedorzeczności świata i trwałości ubrań kupionych w secondhandzie.

# 51

Wbrew wszelkim regułom rozsądku i prawdopodobieństwa, za ledwie czterdzieści minut po tym, jak zjechał ze świstem w głąb wulkanicznej szczeliny, Ralph Cottle pozbył się plastikowego całunu, pokonał kilka tysięcy stóp dzielących go od powierzchni i znalazł się w domu Olsena, przez cały czas pozostając martwym i zaprzysięgłym sceptykiem.

Jego widok sprawił Billy'ego w kompletną konsternację. Przez sekundę wydawało mu się, że facet żyje, że jakimś cudem w ogóle nie zginął. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że pierwsze wrzuczone przezeń do szczeliny zwłoki nie należały do Cottle'a, że wymieniona została zawartość tobołu.

Odwracając się, usłyszał wypowiedziane przez siebie samego słowo „Kto?“, początek pytania o to, kim była osoba zawinięta w płachtę. Miał zamiar bez żadnych pytań zastrzelić każdego, kto pojawi się w korytarzu.

Zakończona ołowiem pałka albo coś podobnego trafiło go w kark, w precyzyjnie wybrane miejsce u podstawy czaszki, nie tyle powodując ból, ile wywołując feerię kolorów.

Krótkie jasnoniebieskie i czerwone niczym magma wyładowania przemknęły przez jego głowę i zajaśniały oślepiającym błyskiem na opadających powiekach.

Nie poczuł nawet, jak pada na podłogę. Wydawało mu się, że

przez całe godziny sunie pogrążonym w mroku tunelem lawowym, zastanawiając się, jak nieboszczycy umilają sobie czas w zimnym sercu wystygłego wulkanu.

Ciemność pożądała go widać mocniej niż światło, ponieważ budził się z trudem, kilkakrotnie wsysany z powrotem w otchłań, kiedy tylko zbliżał się do powierzchni.

Dwa razy docierał do niego czyjś stanowczy głos.

Rozumiał go od samego początku, lecz dopiero za drugim razem zdołał odpowiedzieć.

Chociaż był półprzutomny i ogłuszony, starał się uważnie słuchać, zapamiętać jego tembr i wysokość, by móc go później rozpoznać. Co mogło okazać się trudne, ponieważ głos nie sprawiał wrażenia ludzkiego; ochrypliwy, dziwny i zniekształcony, uparcie domagał się odpowiedzi.

— Czy jesteś gotów na drugą ranę?

Słyszając po raz drugi to pytanie, Billy odkrył, że potrafi na nie odpowiedzieć.

— Nie.

Wydobywając z siebie głos, martwiąc się, że jest taki świszczący, zorientował się również, że może unieść powieki.

Mimo że obraz rozmazywał mu się przed oczyma, dostrzegł, że stoi nad nim mężczyzna w kominiarce i ciemnym ubraniu. Świr miał na dłoniach czarne rękawiczki z miękkiej skóry i dzierzył w nich futurystycznie wyglądający pistolet.

— Nie — powtórzył Billy.

Leżał na plecach, w połowie na kwiecistym chodniku, w połowie na ciemnym parkiecie, z prawą ręką złożoną na piersi i lewą odsuniętą na bok. W żadnej nie trzymał rewolweru.

Kiedy w końcu rozjaśniło mu się przed oczyma, spostrzegł, że przedmiot trzymany przez świra nie świadczy o tym, że ma do czynienia z przybyszem z innej ery albo z kosmitą. Był to po prostu przenośny pistolet do wbijania gwoździ, nie podłączony do kompresora.

Otwarta lewa dłoń Billy'ego była zwrócona ku górze. Człowiek w kominiarce przybił ją do podłogi.

## **Część trzecia**

**Jedynym twoim bogactwem jest to, jak żyjesz**

# 52

Ból i strach mącą w głowie, zasnuwają mgłą umysł.

Stłumiony krzyk wydarł się z ust Billy'ego. Paralizujące przerażenie nie pozwalało mu zebrać myśli. Zdał sobie sprawę, że jest przygwożdżony do podłogi, unieruchomiony w obecności świra.

Ból można znieść i przetrwać tylko wtedy, gdy się go zaakceptuje. Ból, którego nie przyjmujemy do wiadomości, ból, którego się boimy, potęguje się w odbiorze, nawet jeśli nie jest tak straszny w rzeczywistości.

Najlepszą odpowiedzią na grozę jest słusne oburzenie, wiara w sprawiedliwość, brak zgody na próbę zastraszenia.

Te myśli nie maszerowały w sprawnym szyku przez jego umysł. Były prawdami wywodzącymi się z podświadomości, opartymi na bolesnym doświadczeniu, i postępował tak, jakby były zrodzonymi w pocie i krwi odruchami.

Padając, upuścił rewolwer. Świr najwyraźniej go nie miał. Broń mogła znajdować się gdzieś w zasięgu ręki.

Billy obrócił głowę i przeszukał wzrokiem korytarz. Wolną ręką obmacał podłogę po swojej prawej stronie.

Świr rzucił mu coś na twarz.

Skrzywił się, oczekując kolejnego ukłucia bólu. Ale to była tylko fotografia.

Nie widział, co przedstawia. Pokręcił głową, żeby strząsnąć ją z twarzy.

Zdjęcie spadło mu na pierś i przestraszył się nagle, że świr przyspili mu je do tułowia.

Nie. Trzymając w ręku gwoździarkę, zabójca ruszył korytarzem w stronę kuchni. Wystarczył jeden prawidłowo wbity gwóźdź. Zrobił to, co do niego należało.

Przyjrzyj mu się. Zapamiętaj. Jakiego jest wzrostu, jakiej wagi. Barczysty czy raczej nie? Szeroki czy wąski w biodrach? Czy jest coś rozpoznawalnego w jego chodzie, czy porusza się z gracją?

Ból, strach, łzy w oczach, lecz przede wszystkim skrajnie ostry kąt widzenia — Billy leżał płasko na plecach; zabójca był wyprostowany — uniemożliwiły jakąkolwiek próbę ustalenia jego cech szczególnych w trakcie kilku sekund, kiedy był widoczny.

Świr zniknął w kuchni. Kręcił się tam i hałasował. Szukał czegoś. Robił coś.

Billy spostrzegł na ciemnej podłodze korytarza błysk polerowanej stali — rewolwer. Leżał jednak poza jego zasięgiem.

Podróż do miejsca czaszki i spuszczenie Lanny'ego tunelem lawowym wyczerpały katalog okropności, które był w stanie znieść. Tak mu się w każdym razie zdawało, póki nie zdał sobie sprawy, że musi sprawdzić, jak mocno jest przygwożdżony do podłogi.

Był skazany na to, by poruszyć ręką.

Ból był stały, lecz do zniesienia, silny, lecz nie tak straszny, jak sobie wyobrażał. Próba poruszenia ręką i obluźowania gwoździa przypominałaby jednak żucie cukierka zębami tkwiącymi w zaropiałych dżiąstach.

Był skazany nie tylko na to, by poruszyć ręką, lecz również, by się jej przyjrzeć. Choć wiedział, że to, co sobie wyobraża, jest gorsze od rzeczywistości, zacisnął mu się żołądek, kiedy obrócił głowę i skupił wzrok na ranie.

Jeśli pominąć większą liczbę palców, chirurgiczna rękawiczka z

białego lateksu upodobniła jego dłoń do ręki Myszki Miki, do naklejonych na ścianach komiksowych dłoni wskazujących drogę do fotela Lanny'ego. Mankiet rękawiczki był nawet lekko zrolowany.

Ciemny ślad przy nadgarstku okazał się strużką cieknącej krwi i to pozbawiło ten widok jakiegokolwiek elementu czarnej komedii.

Billy spodziewał się, że krwawienie będzie obfitsze. Gwóźdź hamował je. Kiedy go wyciągnie...

Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Z kuchni nie dochodziły żadne hałasy. Zabójca najwyraźniej zniknął.

Nie chciał, żeby świr usłyszał ponownie jego krzyk, nie chciał dać mu tej satysfakcji.

Gwóźdź. Jego główka nie przylegała płasko do skóry. Od dłoni dzieliło ją mniej więcej trzy czwarte cala. Na stalowym trzpieniu widział ślady po imadle.

Nie miał pojęcia, jaka może być długość gwoździa. Sądząc po średnicy, miał co najmniej trzy cale od główki do czubka.

Jeśli odjąć odcinek, który znajdował się nad jego dłonią, i odcinek, który przez nią przechodził, na podłogę zostawało mniej więcej półtora cala. Po przebicciu twardej klepki i ślepej podłogi tylko nieznaczna część gwoździa mogła utknąć w legarze.

Jeśli jednak miał cztery cale długości, mógł wbić się w legar całkiem mocno. Obluzowanie go będzie o jeden cal boleśnieszsze.

W czasach gdy budowano ten dom, stolarze byli na ogół solidni. Podłoga wsparta była na belkach o wymiarach dwa na cztery bądź też dwa na sześć cali, rozstawionych najczęściej co dwanaście cali.

Tak czy inaczej miał spore szanse. Na każdych szesnaście cali podłogi tylko pod czterema znajdowały się legary.

Na każdych wbitych na chybił trafił dziesięć gwoździ tylko trzy powinny trafić w belki. Czubki pozostałych siedmiu powinny znaleźć się w pustych przestrzeniach między nimi.

Próbując zacisnąć lewą dłoń, by sprawdzić jej zakres ruchów,



Billy zdusił mimowolny jęk, który zmienił się w warknięcie. Nie udało mu się go do końca zdławić.

Z kuchni nie dobiegł go śmiech, co chyba potwierdzało, że świra już tam nie ma.

Nagle zaczął się zastanawiać, czy przed wyjściem zabójca nie zadzwonił pod 911.

# 53

Ralph Cottle pełnił wartę na sofie nieruchomo i uważnie, jak potrafią to czynić tylko zwłoki.

Zabójca założył trupowi prawą na lewą nogę i położył ręce na kolanach, by nadać mu niedbałą pozę. Można było odnieść wrażenie, że Cottle cierpliwie czeka na mającego się pojawić z drinkami gospodarza — względnie na sierżantów Napolitino i Sobieskiego.

Chociaż nie został okaleczony ani przyozdobiony żadnymi rekwizytami, Billy'emu przyszły na myśl makabryczne manekiny przerobione z taką pieczołowitością w domu Steve'a Zillisa.

Zillis pracował w tawernie. Billy widział wcześniej jego samochód, kiedy zatrzymał się po drugiej stronie autostrady, żeby popatrzyć, jak zachodzące słońce rozświetla gigantyczny mural.

Cottle'a zostaw sobie na później. Zillisa także. Teraz gwóźdź.

Billy obrócił się ostrożnie na lewy bok, żeby przyjrzeć się przebitej dłoni.

Kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki złapał główkę gwoździa. Spróbował delikatnie poruszyć nim w tył i w przód, z nadzieją, że wyczuje jakiś luz, ale gwóźdź był sztywny, wbity głęboko w podłogę.

Gdyby główka była mała, mógłby przesunąć dłoń w górę po trzpieniu i oswobodzić ją, pozostawiając gwóźdź w podłodze.

Główka była szeroka. Nawet gdyby zdołał znieść ból, uszkodziłby w niewyobrażalny sposób dłoń, próbując wyrwać ją z gwoździa.

Kiedy zaczął wyginać go mocniej, ból cofnął go w dzieciństwo. Zdławił go między zębami, zdławił tak mocno, aż zazgrzytały trzonowce.

Jednak gwóźdź nie zaskrzypiał w drewnie i wyglądało na to, że prędzej straci wszystkie zęby, niż go wyciągnie. Nagle poczuł jakiś luz.

Tkwiący między jego kciukiem i palcem wskazującym gwóźdź poruszył się — niewiele, lecz dostrzegalnie. Wysuwając się z drewnianej podłogi, wysuwał się również z jego dłoni.

Ból był światłem. Niczym wstęga błyskawicy, płonął w nim, jarzył się i płonął.

Czuł, jak gwóźdź trze o kość. Jeśli złamał bądź też odłupał kawałek kości, wcześniej czy później będzie potrzebował pomocy medycznej.

Mimo że w domu działała klimatyzacja, nie odniósł wcześniej wrażenia, że jest zimno. Teraz wydawało mu się, że pot zamarza na jego skórze.

W miarę jak pracował nad gwoździem, ból płonął w nim coraz jaśniejszym ogniem. Przyszło mu do głowy, że musi być teraz zupełnie przezroczysty, że gdyby ktokolwiek poza Cottle'em był tutaj i mógł go zobaczyć, światło stałoby się widzialne, promieniowało z niego.

Chociaż z rachunku prawdopodobieństwa wynikało, że gwóźdź nie wbije się w legar, ten akurat wbił się nie tylko w klepkę, lecz również w twardą belkę. Pierwsza zasada zdesperowanego gracza: jeśli obstawiasz czerwone, na pewno wygrają czarne.

Gwóźdź wysunął się z podłogi. W przypływie triumfu i wściekłości Billy o mało nie odrzucił go od siebie. Gdyby to zrobił, musiałby go szukać, ponieważ na trzpieniu była jego krew.

Położył go na podłodze, tuż przy dziurce, która po nim została.

Płomień bólu przygasł, pulsował teraz niczym rozżarzone węgle. Billy odkrył, że może dźwignąć się na nogi.

Jego lewa dłoń krwawiła z obu stron, lecz niezbyt obficie. Została tylko przebita, a nie przewiercona i rana nie była szeroka.

Trzymając poszkodowaną dłoń w drugiej, żeby nie pochłapać krwią podłogi, pobiegł do kuchni.

Zabójca zostawił otwarte tylne drzwi. Nie było go na werandzie i chyba również na podwórku.

Billy odkręcił kran przy zlewie i trzymał pod nim lewą rękę, aż zdrętwiała od zimnej wody.

Strumyczek krwi wkrótce znacznie się zmniejszył. Billy oderwał z rolki kilka papierowych ręczników i owinął nimi rękę.

Wyszedł na tylną werandę i wstrzymując oddech, zaczął nasłuchiwać — nie zabójcy, lecz zbliżającej się syreny.

Po minucie uznał, że tym razem nie było telefonu pod 911. Świr, inscenizator, szczylił się swoją inwencją; nie powtórzyłyby dwa razy tej samej sztuczki.

Billy wrócił do domu. Na korytarzu zobaczył fotografię, którą zabójca rzucił mu na twarz i o której zdążył już zapomnieć. Podniósł ją z podłogi.

Przedstawiała rudą ładną kobietę. Wpatrującą się w obiektyw. Przerażoną.

Miałaby ładny uśmiech, gdyby zdołała się uśmiechnąć.

Nigdy wcześniej jej nie widział. To nie miało znaczenia. Była czyjąś córką. Kochali ją jacyś ludzie.

Sprzątnij tę dziwkę.

Słyszac te odbijające się echem w pamięci słowa, Billy omal nie padł na kolana.

Od dwudziestu lat jego emocje były nie tylko powściągane. Niektórych całkowicie się wyrzekł. Pozwalał sobie jedynie na uczucia, które wydawały się bezpieczne.

Gniew, którego doznawał wcześniej, był wyłącznie umiarkowany.

Nie pozwalał sobie na najmniejszą dozę nienawiści. Bał się, że nawet jej jedna kropelka może wyzwolić mordercze prądy, które go zniszczą.

Jednak w obliczu zła powściągliwość nie jest cnotą, nienawiść do maniakalnego zabójcy nie jest grzechem. To była słuszna pasja, gwałtowniejsza od wstrętu, jaśniejsza od bólu, który upodobnił go do jarzeniówki.

Billy podniósł rewolwer i pozostawiwszy Cottle'a w salonie, wspiął się po schodach. Zastanawiał się, czy po powrocie na dół znajdzie siedzącego nadal na sofie trupa.

# 54

W łazienkowej apteczce Lanny'ego znalazł spirytus salicylowy, nieużywany opatrunek w sprayu oraz cały asortyment słoiczków, na których nakrętkach widniało ostrzeżenie **UWAGA! PRZECHOWYWAĆ W MIEJSCU NIEDOSTĘPNYM DLA DZIECI!**

Sam gwóźdź był czysty i nie powinien spowodować infekcji, mógł jednak przenieść bakterie z powierzchni skóry do środka rany.

Billy wylał spirytus na otwartą lewą dłoń, mając nadzieję, że wsączy się do rany. Po chwili zaczęło się pieczenie.

Ponieważ uważał, by nie zginać dłoni bardziej, niż to konieczne, krwawienie już wcześniej prawie ustało. Spirytus nie spowodował jego zwiększenia.

Wiedział, że nie wysterylizował porządnie rany. Nie miał czasu ani środków, żeby to lepiej zrobić.

Spryskał ją z obu stron opatrunkiem w sprayu. Dzięki temu brud nie powinien dostać się do środka.

Co ważniejsze, opatrunek w sprayu — który zastygł w elastyczną ochronną warstwę — powinien powstrzymać dalsze krwawienie.

W każdym z licznych aptecznych słoiczków było kilka tabletek albo kapsułek. Lanny był pacjentem, który nigdy nie kończył kuracji,

zawsze zostawiał sobie trochę tabletek na później.

Billy znalazł dwie recepty na antybiotyki, cipro, 500 mg. W jednym słoiczku były trzy tabletki, w drugim pięć. Wrzucił wszystkie do jednego słoiczka, odkleił nalepkę i wyrzucił ją do śmieci.

Bardziej niż infekcji obawiał się zapalenia. Jeśli dłoń spuchnie mu i zeszywnieje, nie będzie mógł stawić czoła temu, co go czekało.

Wśród innych leków znalazł vicodin. Wiedział, że nie zapobiegnie zapaleniu, ale mógł uśmierzyć ból, gdyby zaczął mu bardziej doskwierać. Cztery tabletki dorzucił do cipro.

Ból pulsował w zranionej dłoni, dotrzymując kroku jego sercu. A kiedy spojrział na fotografię rudej kobiety, pęczniał w nim także ból innego rodzaju, bardziej emocjonalny niż fizyczny.

Ból jest darem. Bez bólu ludzie nie znaliby ani strachu, ani litości. Bez strachu nie byłoby pokory i każdy człowiek stałby się potworem. Świadomość bólu i strachu u innych ludzi budzi w nas litość i w tej litości zawiera się nasze człowieczeństwo, nasze odkupienie.

W oczach rudej dostrzegł czyste przerażenie. Na twarzy świadomość tego, co ją czeka.

Nie zdołał jej ocalić. Ale jeśli świr rozgrywał to zgodnie z własnymi zasadami, nie była torturowana.

Przyglądając się wewnątrz za jej plecami, Billy rozpoznał własną sypialnię. Była przetrzymywana w jego domu. Tam ją zabito.

# 55

Siedząc na skraju wanny w domu Lanny'ego i trzymając w rękach fotografię rudej kobiety, Billy ustalał w myślach chronologię morderstwa.

Psychopata zadzwonił — kiedy? — około wpół do pierwszej po południu, po tym, jak wyjechali sierzanci i Cottle został zapakowany w plandekę. Puścił Billy'emu nagranie, w którym dał mu do wyboru dwie możliwości: ruda zamęczona na śmierć i ruda zabita pojedynczym strzałem albo pchnięciem noża.

Zabójca trzymał ją już wówczas w niewoli. Prawie na pewno słuchała nagrania, kiedy puszczał je przez telefon.

O pierwszej Billy wyjechał do Napy. Zabójca przywiózł wówczas kobietę do jego domu, zrobił to zdjęcie i szybko ją zabił.

Kiedy znalazł za sofą owiniętego w płachtę Cottle'a, naszła go ochota na figle. Podmienił ich, młodą kobietę na menela.

Billy nieświadomie spuścił rudą w głąb wulkanicznej szczeliny, pozbawiając jej rodzinę skromnej pociechy, jakiej doznaliby, mogąc pogrzebać ciało.

Zamiana zwłok wskazywałaby na Zillisa: typowy dla niego szczeniacki humor, łatwość, z jaką potrafił zrobić komuś podły kawał.



Steve przyjechał do pracy dopiero o szóstej. Miał mnóstwo czasu, żeby się zabawić.

Ale teraz ten dupek był w tawernie. Nie mógł posadzić Cottle'a na sofie i przygwoździć Billy'ego do podłogi.

Billy spojrzął na zegarek. Jedenasta czterdzieści jeden.

Zmusił się, by ponownie spojrzeć na zdjęcie rudej, ponieważ miał zamiar wrzucić je razem z innymi dowodami rzeczowymi do szczeliny wulkanicznej. Chciał zapamiętać ruda, czuł się zobligowany zachować na zawsze jej twarz w pamięci.

Jeśli świr puszczał przez telefon nagraną wiadomość w obecności ofiary — związanej i zakneblowanej — być może usłyszała również odpowiedź Billy'ego: „Sprzątnij tę dziwkę”.

Te słowa oszczędziły jej tortur, lecz teraz torturowały Billy'ego.

Nie mógł wyrzucić tej fotografii. Zatrzymanie jej nie było roztropne; było niebezpieczne. Mimo to złożył zdjęcie, uważając, żeby nie pognieść twarzy kobiety, i wsadził do portfela.

Ostrożnie wyszedł na dwór do samochodu. Wyczułby chyba, gdyby świr czał się nadal w pobliżu. Noc wydawała się bezpieczna i czysta.

Wyrzucił przedziurawioną lateksową rękawiczkę do torby ze śmieciami i nałożył nową. Odłączył od ładowarki swój telefon komórkowy i zabrał go ze sobą.

Wróciwszy do domu Lanny'ego, sprawdził wszystkie pomieszczenia, wrzucając do plastikowej torby wszystkie dowody, w tym fotografię Giselle Winslow (której nie zamierzał zatrzymać), rysunki dłoni, gwóźdź...

Kiedy skończył, postawił torbę przy drzwiach.

Wyjął z szafki czystą szklankę i nalał sobie trochę ciepłej coli ze stojącej na stole butelki.

Pod wpływem wysiłku rozboleła go bardziej ręka. Połknął jedną tabletkę cipro i jedną vicodinu.

Postanowił usunąć wszystkie ślady pijaństwa przyjaciela. W domu nie powinno pozostać nic, co przyciągnęłoby uwagę policji.

Kiedy Lanny nie będzie dawał dostatecznie długo znaku życia, przyjadą tutaj, zapukają do drzwi i zajrzą przez okno. Potem wejdą do środka. Widząc, że wlewał w siebie rum, mogliby dojść do wniosku, że cierpiał na depresję i chciał popełnić samobójstwo.

Im szybciej uznają, że stało się coś złego, tym szybciej przeszkakują okolice domu. Im więcej czasu będzie miała podeptana trawa na powrót do pierwotnego kształtu, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że zwrócą uwagę na przykrytą szczelinę wulkaniczną.

Kiedy wszystko zostało elegancko wysprzątane, a torba z dowodami rzeczowymi obwiązana sznurkiem, kiedy na liście spraw do załatwienia pozostał tylko Ralph Cottle, Billy zadzwonił z komórki do baru.

— Tawerna — odezwał się w słuchawce Jackie O'Hara.

— Jak się mają świnie z ludzkimi mózgami? — zapytał Billy.

— Piją w jakiejś innej knajpie.

— Bo twoja tawerna jest rodzinnym barem.

— Żebyś wiedział. I zawsze będzie.

— Posłuchaj, Jackie...

— Nie podoba mi się to „posłuchaj, Jackie”. Zawsze ktoś mnie potem robi na szaro.

— Jutro też będę musiał wziąć wolne.

— Jestem robiony na szaro.

— Nie, jesteś po prostu melodramatyczny.

— Nie wydaje mi się, żebyś był aż taki chory.

— To nie jest przeziębienie. To coś z żołądkiem.

— Przytknij telefon do brzucha, daj mi posłuchać.

— Nie zachowuj się jak dupek.

— To nie w porządku, żeby właściciel nalewał bez przerwy piwo.

— Masz o północy taki tłum, że Steve sobie sam nie radzi?

— Steve'a nie ma, jestem sam.

Dłoń Billy'ego zacisnęła się na telefonie.

— Przejeżdżałem wcześniej i widziałem zaparkowany jego samochód — powiedział.

— Steve ma dzisiaj wolne, nie pamiętasz?

Billy zapomniał.

— Nie mogłem załatwić nikogo, kto by cię zastąpił, i Steve zgodził się wpaść między trzecią i dziewiątą, żeby mi pomóc. Dlaczego jeździsz po okolicy, skoro jesteś chory?

— Jechałem do lekarza. Steve mógł przyjechać tylko na sześć godzin?

— Miał coś do zrobienia przedtem i potem.

Na przykład zabić rudą przedtem i przygwoździć Billy'ego do podłogi potem.

— Co powiedział doktor? — zapytał Jackie.

— Że to wirus.

— Zawsze tak mówią, kiedy nie mają zielonego pojęcia, co człowiekowi dolega.

— Nie, to naprawdę jest czterdziestoośmiogodzinny wirus.

— Tak jakby wirus wiedział, ile to jest czterdzieści osiem godzin — mruknął Jackie. — Gdyby wyrosło ci trzecie oko na czole, też by powiedzieli, że to wirus.

— Przepraszam cię, Jackie.

— Jakoś przeżyję. W końcu to tylko tawerna, nie jakaś pieprzona wojna.

Rozłączając się, Billy miał wrażenie, że bierze udział w wojnie.

Na kuchennym blacie, dokładnie w tym samym miejscu co poprzedniej nocy, leżały należące do Lanny'ego Olsena drobne pieniądze, portfel, kluczyki do samochodu, komórka oraz służbowy pistolet kalibru dziewięć milimetrów.

Billy wziął portfel. Wychodząc, miał również zamiar zabrać komórkę, pistolet i kaburę Wilson Combat.

Z pojemnika na pieczywo wyjął pół bochenka pełnoziarnistego chleba w zawiązywanej na górze plastikowej torbie.

Wyszedł na wschodni kraniec werandy i wysypał kromki chleba na trawnik. Ptaki powinny mieć z rana niezłą ucztę.

Po powrocie do domu wyłożył pustą plastikową torebkę papierowymi ręcznikami.

W gabinecie stała szafka na broń ze szklanymi drzwiczkami. W szufladach pod drzwiczkami Lanny trzymał amunicję, czterocalowe puszkę z gazem łzawiącym i drugi policyjny pas.

Przy pasie były kieszenie na zapasowe magazynki, a także uchwyty na puszkę z gazem łzawiącym, paralizator, kajdanki, klucze, długopis i kaburę. Wszystko było na miejscu.

Billy wyjął z jednej z kieszeni załadowany magazynek. Zabrał również kajdanki, gaz łzawiący i paralizator i włożył to wszystko do torby po chlebie.

# 56

Szybkie skrzydlate istoty, najprawdopodobniej nietoperze polujące na ćmy przed nastaniem świtu, przeleciały nisko nad podwórkiem obok Billy'ego i wzbily się w górę. Kiedy jego oczy pobiegły za szumem niewidocznych skrzydeł, zobaczył nad sobą księżyc w nowiu.

Mimo że cienki sierp musiał już wcześniej sunąć na zachód po nieboskłonie, zauważył go dopiero teraz. Nic dziwnego. Od zapadnięcia zmierzchu nie miał czasu patrzeć w niebo, zajmowały go przyziemne sprawy.

Ralph Cottle — z kończynami, które zesztyniały pod niedogodnymi kątami w wyniku stężenia pośmiertnego, owinięty w koc, ponieważ nie udało się znaleźć żadnej plastikowej płachty, obwiązany całą, liczącą trzy sztuki kolekcją krawatów Lanny'ego — nie dawał się tak łatwo ciągnąć po trawniku w stronę zarośli.

Powiedział wcześniej, że nie jest niczym bohaterem. I z pewnością zginął śmiercią tchórza.

Chciał wieść dalej swą nędzną egzystencję, ponieważ „Cóż innego pozostaje?” — nie wyobrażał sobie, że może ubiegać się o coś lepszego albo to zaakceptować.

Kiedy ostrze wsunęło się między jego żebra i przebiło serce, zorientował się pewnie, iż można wymknąć się życiu, lecz nie śmierci.

W gruncie rzeczy Billy współczuł temu człowiekowi, który był od niego bardziej zdesperowany, lecz dysponował mniejszym potencjałem.

I dlatego kiedy zarośla i jeżyny zaczęły czepiać się miękkiego koca i wleczenie zwłok po ziemi stało się zbyt trudne, podniósł je i zarzucił sobie na ramię bez słowa skargi i wstępu. Zachwiał się pod ciężarem, ale nie upadł.

Kilka minut wcześniej wrócił tam, by ponownie zdjąć pokrywę z sekwojowej ramy. Otwarta szczelina czekała.

Cottle stwierdził wcześniej, że nie istnieje jeden, lecz miliardy światów i że jego różni się od świata Billy'ego. Bez względu na to, czy była to prawda, w tym miejscu ich światy zlały się w jedno.

Opatulone ciało spadło w dół. Zderzyło się ze ścianą. Przeturlało się. Spadło niżej. W ciemności pustka runęła w pustkę.

Kiedy cisza zasugerowała, iż sceptyk dotarł wreszcie do miejsca, w którym spoczął wraz z dobrym synem i nieznaną kobietą, Billy nasunął na miejsce pokrywę, sprawdził latarką, czy pasują do siebie otwory i po raz kolejny przykręcił ją do ramy.

Miał nadzieję, że nigdy już nie zobaczy tego miejsca, podejrzewał jednak, że nie będzie miał innego wyjścia.

Odjeżdżając z domu Olsena, nie wiedział dokąd się udać. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał stawić czoło Steve'owi Zillisowi, ale nie chciał tego robić od razu. Jeszcze nie teraz. Najpierw musiał się przygotować.

W innej epoce mężczyźni szli w przededniu bitwy do kościoła, by przygotować się do niej duchowo, intelektualnie i emocjonalnie. Szukali kadzideł, blasku świec i pokory, którą narzucał cień odkupiciela.

W tamtej epoce każdy kościół był otwarty we dnie i w nocy, oferował bezwarunkowy azyl.

Czasy się zmieniły. Niektóre kościoły nadal pozostają otwarte

przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale wiele funkcjonuje w wyznaczonych godzinach i zamyka drzwi na długo przed północą.

Niektóre nie udzielają już stałego azylu z powodu rosnących kosztów ogrzewania i elektryczności. Finanse stały się ważniejsze od misji.

Inne nękanie są przez wandalów z puszkami farby w sprayu oraz niewiernych, którzy natrzęsając się ze świętości, przychodzą, ażeby w nich kopulować i zostawiać kondomy.

W poprzednich epokach zacieklej nienawiści tego rodzaju nietolerancja spotkałaby się ze zdecydowaną reakcją, z nauczaniem i kultywowaniem poczucia winy. Obecnie duchowni zgodnie uznali, że zamki i alarmy są skuteczniejsze od dawnych łagodniejszych remediów.

Zamiast podróżować od kościoła do kościoła, szarpiąc za klamki i odkrywając, że azyl można uzyskać tylko po wcześniejszym ustaleniu terminu, Billy udał się tam, gdzie w późnych godzinach nocnych zmierza większość współczesnych potrzebujących przystani: do zajazdu dla kierowców ciężarówek.

Ponieważ okręgu nie przecinała żadna autostrada międzystanowa, dostępny przy drodze numer 29 obiekt był skromny w porównaniu z innymi zajazdami sieci Little America, która buduje centra obsługi wielkości małych miasteczek. Były tam jednak rzędy oświetlonych niczym w dzień dystrybutorów, całodobowy sklep, darmowe prysznice, dostęp do Internetu oraz otwarta przez całą dobę przez siedem dni w tygodniu restauracja, gdzie można było dostać wszystko, co da się usmażyć, i kawę, od której włosy stawały dęba.

Billy nie chciał kawy ani cholesterolu. Szukał tylko widoku codziennej racjonalnej krzątaniny, by zrównoważyła irracjonalność, z którą się zmagał. No i miejsca na tyle publicznego, by nie groził mu w nim atak.

Zaparkował przed restauracją, pod latarnią, która świeciła z taką mocą, że mógłby czytać gazetę w świetle padającym przez przednią szybę.

Ze schowka na rękawiczki wyjął opakowaną w folię chusteczkę odświeżającą i wytarł nią ręce.

Wynaleziono je po to, by doprowadzić się do porządku po zjedzeniu Big Maca i frytek, a nie wyczyścić ręce po pozbyciu się zwłok. Ale Billy nie miał możliwości ani nastroju, żeby wybrzydząć.

Jego przebita gwoździem lewa dłoń była rozpalona i trochę sztywna. Rozprostował ją powoli i ostrożnie.

Dzięki vicodinowi nie czuł bólu. To niekoniecznie było dobre. Nieodczuwane problemy z dłonią mogły się objawić nagłą słabością chwytu akurat w momencie, gdy przydałaby się siła.

Ciepłą pepsi-colą popił dwie kolejne tabletki anacinu, który miał pewne właściwości przeciwzapalne. Wolałby motrin, ale miał tylko anacin.

Odpowiednia dawka kofeiny odpędziłaby senność, ale zbyt duża mogła rozstroić jego nerwy i skłonić do nieprzemyślanej akcji. Mimo to wziął kolejną tabletkę no-dozu.

Od czasu kiedy posilił się batonikami Hersheya i Planters Peanut minęło kilka wypełnionych ciężką pracą godzin. Zjadł ponownie jeden i drugi.

Jedząc, rozmyślał o Steviem Zillisie, swoim głównym podejrzanym. Swoim jedynym podejrzanym.

Dowody przeciwko Zillisowi wydawały się bardzo poważne, choć wszystkie były poszlakowe.

To nie oznaczało, że sprawa nie jest do wygrania. Połowa albo więcej wyroków skazujących zapada na podstawie przekonującego zbioru dowodów poszlakowych i tylko niecały procent okazuje się później pomyłką.

Mordercy niekoniecznie pozostawiają bezpośrednie dowody na miejscach swoich zbrodni. Zwłaszcza obecnie, w epoce badań DNA, każdy złoczyńca z telewizorem może obejrzeć programy na Discovery i dowiedzieć się, jakie powinien podjąć proste kroki, by nie pozostawić obciążających go dowodów.

Wszystko, od antybiotyków po muzykę zydeco, ma jednak swoje



dobrze i złe strony. Billy aż za dobrze wiedział, jak niebezpieczne mogą się okazać dowody poszlakowe.

Powtarzał sobie, że problemem nie były dowody. Problemem był John Palmer, obecnie szeryf, kiedyś ambitny młody porucznik starający się o awans na kapitana.

W tę noc, kiedy Billy uczynił z siebie sierotę, prawda była straszna, lecz jasna i łatwa do ustalenia.

# 57

Czternastoletniego Billy'ego Wileasa budzą z erotycznego snu podniesione gniewne głosy.

Z początku jest zdezorientowany. Wydaje mu się, że z miłego snu osunął się w inny, mniej przyjemny.

Naciąga na głowę poduszkę i chowa twarz w drugą, próbując wrócić do jedwabistych fantazji.

Rzeczywistość się w nią wdziera. Rzeczywistość nie daje za wygraną.

Głosy należą do jego matki i ojca, dobiegają z dołu, są tak głośne, że nie tłumi ich podłoga.

W naszych mitach pełno jest czarodziejów i czarodziejek: syreny wabią śpiewem żeglarzy, którzy rozbijają się na skałach, Kirke zmienia mężczyzn w wieprze, grający na fujarce muzykanci wiodą na zagładę dzieci. To metafory sekretnego i złowrogiego pragnienia autodestrukcji, które tkwi w nas od pierwszego kęsa pierwszego jabłka.

Billy jest sam dla siebie muzykantem: pozwala, by wyciągnęły go z łóżka nieharmonizujące ze sobą głosy rodziców.

Kłótnie nie zdarzają się zbyt często w tym domu, ale nie są również rzadkie. Nieporozumienia są na ogół ciche, intensywne i krótkie. Jeśli pozostawiają po sobie jakąś gorycz, daje ona o sobie znać

okresami milczenia, które leczy czas albo przynajmniej takie można odnieść wrażenie.

Billy nie uważa, by jego rodzice byli nieszczęśliwi w małżeństwie. Kochają się. Wie, że się kochają.

Bosy, z obnażoną piersią, w samych spodniach od pizamy, budząc się po drodze, Billy Wiles idzie korytarzem, schodzi po schodach....

Nie wątpi, że rodzice go kochają. Na swój sposób. Ojciec żywi do niego surową miłość. Matka oscyluje między łagodną obojętnością i atakami miłości macierzyńskiej, która jest równie autentyczna jak przesadna.

Natura frustracji, które w sobie wzajemnie budzą, zawsze pozostawała dla Billy'ego tajemnicą i nie wydawała się pociągać za sobą poważniejszych konsekwencji. Aż do teraz

Docierając do jadalni, skąd widać drzwi do kuchni, Billy poznaje wbrew swojej woli — czy aby na pewno wbrew swojej woli? — chłodne tajemnice i ukryte oblicza osób, które, jak mu się zdawało, znał najlepiej w świecie.

Nigdy nie sądził, że jego ojciec jest zdolny do tak niepohamowanego gniewu. Nie tylko podniesiony wściekłe głos, lecz również raniący ton i wulgarny język zdradzają kipiącą od dawna urazę, która spaliła się na czarną smołę, idealne paliwo gniewu.

Ojciec oskarża matkę o zdradę, o to, że puszcza się na lewo i prawo. Nazywa ją dziwką, nazywa ją jeszcze gorzej, wpada w coraz większą wściekłość.

Billy stoi w jadalni, sparaliżowany przez te rewelacje i jego umysł burzy się pod ciężarem ciskanych pod adresem matki oskarżeń. Rodzice wydawali mu się aseksualni, atrakcyjni, lecz niepodatni na tego rodzaju żądze.

Jeśli kiedykolwiek zastanawiał się nad swoim poczęciem, przypisywał je raczej poczuciu małżeńskiego obowiązku i chęci założenia rodziny aniżeli autentycznej pasji.

Bardziej szokujące od oskarżeń jest przyznanie się matki do winy — i jej kontroskarżenia, wedle których ojciec nie jest do końca

mężczyzną. Używając słów, które ranią jeszcze mocniej niż te skierowane pod jej adresem, szydzi ze swojego męża i go przedrzeźnia.

Drwiny potęgują jego wściekłość i wprawiają go w furję. Głośne klaśniecie sugeruje, że wymierzył jej policzek.

Matka wydaje okrzyk bólu.

— Nie boję się ciebie, nie boję się ciebie! — krzyczy.

Słysząc huk i szcęk rozbijanych i rzucanych przedmiotów, a potem rozlega się straszniejszy dźwięk, bardziej głuchy i brutalny.

Matka krzyczy z bólu i przerażenia.

Billy nie pamięta, kiedy opuścił jadalnię. Uświadamia sobie nagle, że jest w kuchni i krzyczy na ojca, żeby przestał. Ale ojciec najwyraźniej go nie słyszy, w ogóle nie zdaje sobie sprawy z jego obecności.

Jest zafascynowany, zahipnotyzowany, opętany straszliwą siłą przedmiotu, który trzyma w ręku. To oczkowy klucz z długim uchwytem.

Zmasakrowana matka Billy'ego pełźnie po podłodze niczym rozdeptany robak, nie jest już w stanie krzyczeć, wydaje tylko udęczone jęki.

Billy widzi inne złowrogie narzędzia leżące na kuchennej wyspie. Młotek. Nóż rzeźnicki. Rewolwer.

Ojciec najwyraźniej zgromadził cały ten arsenał, żeby zastraszyć matkę.

Lecz nie dała się zastraszyć, musiała być przekonana, że jest tchórzem, bezmyślnym i nieporadnym. Tchórzem był z całą pewnością, skoro bił oczkowym kluczem bezbronną kobietę, lecz był również niegodziwcem, z czego matka najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy.

Łapiąc rewolwer, ściskając go w obu dłoniach, Billy krzyczy na ojca, żeby przestał, żeby na litość boską przestał, i kiedy jego ostrzeżenia nie odnoszą skutku, strzela w sufit.

Niespodziewana siła odrzutu wstrząsa jego ramionami. Billy zatacza się zaskoczony.

Ojciec odwraca się w jego stronę, lecz nie widać po nim uległości. Oczkowy klucz jest inkarnacją ciemności, która zawładnęła nim przynajmniej w takim samym stopniu, w jakim on zawładnął nią.

— Z czyjego się narodziłeś nasienia? — pyta ojciec. — Czyjego syna karmię przez te wszystkie lata, czyjego małego bękarta?

Chociaż to niewyobrażalne, groza potęguje się i Billy, który rozumie, że musi zabić albo sam zginie, naciska spust raz, drugi i trzeci. Jego ramionami wstrząsa siła odrzutu.

Dwa razy chybia. Raz trafia w klatkę piersiową.

Ojciec zatrzymuje się nagle, chwije i pada do tyłu. Pocisk przypina krwawy kwiatek do jego piersi.

Upuszczony oczkowy klucz rozbija z brzękiem płytkę podłogi i potem nie słychać już żadnych krzyków, żadnych gniewnych słów, tylko oddech Billy'ego oraz stłumione, udręczone jęki jego matki.

— Tatusiu? — mówi nagle ona. Jej głos jest bełkotliwy, łamie się z bólu. — Tatusiu Tomie?

Jej ojciec, zawodowy żołnierz piechoty morskiej, zginął w akcji, kiedy miała dziesięć lat. Tatuś Tom był jej ojczymem.

— Pomóż mi. — Jej ochrypły głos jest w przykry sposób zmieniony. — Pomóż mi, tatusiu Tomie.

Tatuś Tom, bezpłciowy mężczyzna, ma włosy koloru kurzu i oczy koloru żółtobrazowego piaskowca. Jego usta są stale spierzchnięte, a charkotliwe wybuchy śmiechu przyprowadzają o dreszcz każdego słuchacza.

Tylko w skrajnie krytycznej sytuacji ktoś mógłby prosić tatusia Toma o pomoc i nikt nie powinien się jej raczej spodziewać.

— Pomóż mi, tatusiu Tomie.

Poza tym starszy pan mieszka w Massachusetts, po drugiej stronie kontynentu, tysiące mil od Napy.

Świadomość, że musi coś zrobić, wrywa Billy'ego z szoku i odrętwienia. Trwoga i współczucie każą mu podejść do matki.

Sprawia wrażenie sparaliżowanej. Drga jej mały palec u prawej ręki, ale poza tym od szyi w dół nic się nie porusza.

Niczym nieudolnie posklejany garnek jej czaszka i płaszczyzny twarzy nie są takie, jak być powinny, wydają się poprzestawiane.

Jedno otwarte oko, teraz jej jedyne oko, skupia się na Billym.

— Tatusiu Tomie — mówi.

Nie rozpoznaje swojego syna, swego jedynego dziecka, wydaje jej się, że Billy jest jakimś starym facetem z Massachusetts.

— Proszę — mówi łamiącym się z bólu głosem.

Pogruhotana twarz sugeruje nieodwracalne uszkodzenie mózgu. Na myśl o tym z piersi Billy'ego wrywa się zdławiony szloch.

Jej wzrok przesuwają się z jego twarzy na trzymany w rękę pistolet.

— Proszę, tatusiu Tomie. Proszę.

Billy ma tylko czternaście lat, jeszcze niedawno był dzieckiem i staje przed wyborem, przed którym nie powinien w żadnym wypadku stawać.

— Proszę.

To wybór, przed którym uchyliliby się dorosły mężczyzna, i Billy nie może go dokonać, nie dokona go. Ale... och... tak ją boli. Tak boli. Tak cierpi.

— O Jezu, o Jezu, gdzie ja jestem — błaga matka. Język puchnie jej w ustach. — Kim jesteś? Kto tutaj tak pełza, kto to jest? Kim jesteś ty tutaj? Boję się! Boję!

Czasami serce podejmuje decyzje, przed którymi cofa się rozum, i chociaż wiemy, że serce ustawicznie nas oszukuje, zdajemy sobie również sprawę, że w rzadkich chwilach stresu i głębokiej straty jego winy mogą zostać odkupione przez cierpienie.

W latach, które nadejdą, Billy nigdy nie będzie miał pewności, czy

dobrze zrobił, ufając w tym momencie sercu. Ale robi to, co mu ono podpowiada.

— Kocham cię — mówi i zabija matkę strzałem z pistoletu.

Porucznik John Palmer jest pierwszym policjantem, który pojawia się w miejscu przestępstwa.

To, co w pierwszej chwili wydaje się śmiałym wkroczeniem godnej zaufania władzy, będzie później przypominać Billy'emu atak sępa na bezbronną ofiarę.

Czekając na policję, nie był w stanie wyjść z kuchni. Nie mógł znieść myśli, że zostawi matkę samą.

Czuje, że jeszcze do końca nie odeszła, że jej duch unosi się gdzieś w pobliżu. Może czerpie z tego pociechę. A może w ogóle nic nie czuje i tylko pragnie, żeby to była prawda.

Chociaż nie może na nią patrzeć, na to, czym się stała, stoi w pobliżu, ze spuszczonej oczyma.

Kiedy porucznik Palmer wchodzi do kuchni, Billy, który nie jest już dłużej sam i nie musi być silny, przestaje panować nad sobą. Dygocze tak silnie, że niemal osuwa się na kolana.

— Co się tutaj stało, synu? — pyta porucznik Palmer.

Po śmierci ojca i matki Billy nie jest już niczym dzieckiem i czuje głęboko w kościach swoją samotność, beznadziejność swojej sytuacji, lęk przed przyszłością.

Dlatego kiedy słyszy słowo „synu”, nie jest to dla niego zwykłe słowo, lecz wyciągnięta dłoń, cień nadziei.

Billy podchodzi do Johna Palmera.

Porucznik otwiera ramiona — może ponieważ zaczyna kalkulować, a może dlatego, że jest jednak człowiekiem.

Roztrzęsiony Billy osuwa się w te ramiona. John Palmer mocno go obejmuje.

— Synu? Co się tutaj stało?

— On ją pobił. Zastrzeliłem go. Pobił ją oczkowym kluczem.

— Zastrzeliłeś go?

— Pobił ją oczkowym kluczem. Zastrzeliłem go. Zastrzeliłem ją.

Ktoś inny próbowałby może zrozumieć emocjonalną sytuację tego młodego świadka, lecz główną troską porucznika jest to, że nie został jeszcze kapitanem. Jest ambitnym człowiekiem. I niecierpliwym.

Dwa lata wcześniej siedemnastoletni chłopak w okręgu Los Angeles, daleko na południe od Napy, zastrzelił oboje rodziców. Dągał się uniewinnienia, ponieważ był, jak twierdził, od dawna wykorzystywany seksualnie.

Proces, który dobiegł kresu zaledwie dwa tygodnie przed tą przełomową nocą w życiu Billy'ego Wilesa, zakończył się skazaniem siedemnastolatka. Wszyscy eksperci sądzili, że wyjdzie na wolność, ale detektyw zajmujący się sprawą był nader sumienny, zgromadził masę przekonujących dowodów i co chwila łąpał sprawcę na kolejnym kłamstwie.

Przez ostatnie dwa tygodnie ten niezmordowany policjant był bohaterem mediów. Występował bez przerwy w telewizji. Jego nazwisko znano lepiej niż nazwisko burmistrza Los Angeles.

Słyszac wyznanie Billy'ego, John Palmer nie widzi sposobności, aby dociec prawdy. Widzi w nim sposobność dla siebie.

— Kogo zastrzeliłeś, synu? Jego czy ją?

— Za... zastrzeliłem jego. Zastrzeliłem ją. Pobił ją tak strasznie tym kluczem, że musiałem za... zastrzelić oboje.

Kiedy w oddali słysząc zbliżające się policyjne syreny, porucznik Palmer wyprowadza Billy'ego z kuchni do salonu. Daje chłopcu znak, żeby usiadł na sofie.

Nie pyta już „Co się tutaj stało, synu?”. Jego pytanie brzmi teraz: „Coś ty zrobił, chłopcze? Coś ty zrobił?”.

Młody Billy Wiles zbyt długo nie słyszy dzielącej je różnicy.

I tak zaczyna się sześćdziesiąt godzin piekła.

W wieku czternastu lat Billy nie może zostać osądzony jak dorosły. Skoro w grę nie wchodzi kara śmierci ani dożywocia, metody



przesłuchania nie powinny być tak surowe jak w przypadku dorosłego sprawcy.

John Palmer zdecydowany jest jednak złamać Billy'ego, wydusić z niego zeznanie, że to on sam pobił matkę oczkowym kluczem, zastrzelił ojca, który próbował ją bronić, a potem wykończył i ją jednym strzałem.

Ponieważ kara grożąca nieletnim przestępcom nie jest tak surowa jak ta, którą zagrożeni są dorośli, system nie strzeże czasem ich praw tak pilnie, jak powinien. Jeśli podejrzany nie wie na przykład, że ma prawo domagać się adwokata, może nie zostać o tym poinformowany w stosownym czasie.

Jeśli z powodu braku środków podejrzany jest zdany na obrońcę z urzędu, istnieje zawsze ewentualność, że ten, którego mu przydziela, będzie nieudolny. Albo głupi. Albo na kacu.

Nie każdy prawnik jest tak szlachetny jak ci, którzy bronią uciśnionych w telewizyjnych serialach, podobnie jak sami uciśnieni rzadko są tak szlachetni w realnym życiu.

Doświadczony policjant pokroju Johna Palmera — wiedziony bezwzględna ambicją, nie wahający się wystawić na szwank swojej kariery i korzystający z pomocy niektórych zwierzchników — zna całe mnóstwo sposobów, by pozbawić podejrzanego pomocy prawnej i przesłuchiwać go bez żadnych ograniczeń bezpośrednio po zatrzymaniu.

Do najbardziej skutecznych sztuczek należy uczynienie z Billy'ego „popychadła”. Po przybyciu do aresztu w Napie obrońca z urzędu dowiaduje się, że z powodu ograniczonej przestrzeni w celach albo z innych wyssanych z palca przyczyn jego klient został przewieziony na posterunek w Calistoga. W Calistoga słyszy, że nastąpiła pożałowania godna pomyłka: w rzeczywistości chłopaka przewieziono do St. Helena. Z St. Helena wysyłają adwokata z powrotem do Napy.

Co więcej podczas transportu podejrzanego samochód często ulega awariom. Jazda, która powinna trwać godzinę, przeciąga się do trzech albo czterech godzin w zależności od długości napraw.

W trakcie tych niecałych trzech dni Billy'ego bez przerwy przeczucją z posterunku do posterunku, z celi do celi. Jest rozbity emocjonalnie, regularnie terroryzowany i nieregularnie żywiony, jednak najgorsze chwile przeżywa w radiowozie, w drodze.

Billy siedzi na tylnym siedzeniu, za siatką bezpieczeństwa. Ma ręce skute kajdankami, ich łańcuszek przewleczony jest przez pierścień w podłodze.

Z przodu jest kierowca, który nigdy się nie odzywa. Mimo że to niezgodne z przepisami, John Palmer siedzi z tyłu razem z podejrzanym.

Porucznik to postawny mężczyzna, jego podejrzany jest czternaścieletnim chłopcem. W tej ograniczonej przestrzeni Billy'ego onieśmiela sama różnica wzrostu.

Poza tym Palmer jest ekspertem, jeśli chodzi o zastraszanie. Przerywa swój monolog i zadawanie pytań tylko po to, by w oskarżycielski sposób milczeć. Wyrachowane spojrzenia, starannie wybrane słowa i złowrogie zmiany nastroju urabiają podejrzanego tak samo skutecznie jak szlifierka drewno.

Najgorszy jest dotyk.

Palmer raz siedzi bliżej, raz dalej. Czasami siedzi tak blisko, jak chłopak przy swojej dziewczynie, przyciskając lewy bok do prawego boku Billy'ego.

Mierzwi jego włosy z wyraźnie fałszywym afektem. Kładzie wielką dłoń na jego ramieniu, na jego kolanie, czasami na udzie.

— Zabicie ich nie jest zbrodnią, jeśli miałeś uzasadniony powód, Billy. Jeśli twój ojciec molestował cię całymi latami, a matka wiedziała o tym, nikt nie może cię winić.

— Ojciec nigdy nie dotykał mnie w ten sposób. Dlaczego wciąż pan mówi, że to robił?

— Ja nic nie mówię, Billy. Ja tylko pytam. Nie masz się czego wstydzić, jeśli cię obmacywał, odkąd byłeś dzieckiem. To czyni z ciebie ofiarę, nie rozumiesz? I nawet jeśli ci się to podobało...

— Wcale by mi się nie podobało.

— Nawet gdyby ci się to podobało, nie ma się czego wstydzć.  
— Dłoń na jego ramieniu. — W dalszym ciągu można cię uznać za ofiarę.

— Nie jestem ofiarą. I nie byłem. Niech pan tego nie mówi.

— Niektórzy mężczyźni robią straszne rzeczy bezbronnym chłopcom i niektórzy chłopcy zaczynają to nawet lubić. — Ręka na udzie. — Ale to wcale nie znaczy, że chłopiec jest winny. Słodki chłopiec jest nadal niewinny.

Billy pragnie niemal, żeby Palmer go uderzył. Ten dotyk, delikatny dotyk i insynuacje są gorsze od bicia, ponieważ sugerują, że kiedy zawiedzie dotyk, można zawsze odwołać się do pięści.

Kilka razy Billy o mało nie przyznaje się do winy tylko po to, by nie być dotykany, by nie słyszeć dalej przyprawiającego go o szaleństwo głosu porucznika Palmera.

Zaczyna się zastanawiać dlaczego... dlaczego po tym, jak położył kres cierpieniom matki, wezwał policję, zamiast wsadzić sobie do ust lufę rewolweru?

Billy'ego ratuje w końcu rzetelna praca lekarza sądowego i techników kryminalistycznych oraz zmiana nastawienia innych policjantów, którzy dali początkowo *carte blanche* Palmerowi. Wszystkie dowody wskazują na ojca; żaden nie wskazuje na syna.

Billy zostawił odciski palców na rewolwerze, ale wyraźny odcisk palca i kłębu dłoni na długim uchwycie polerowanego stalowego klucza należą do jego ojca.

Zabójca zamachnął się kluczem lewą ręką. W przeciwieństwie do ojca Billy jest praworęczny.

Jego ubranie jest pochłapane niewielką ilością krwi. Za to rękawy koszuli jego ojca są w niej dosłownie unurzane.

Matka Billy'ego próbowała bronić się przed mężem, drapiąc go.

To jego krew i skóra, nie Billy'ego, są za jej paznokciami.

Po pewnym czasie dwóch policjantów zostaje zmuszonych do rezygnacji, jeden jest zwolniony. Porucznikowi Johnowi Palmerowi udaje się wyjść z całej afery obronną ręką.

Billy zastanawia się, czy nie wytoczyć sprawy porucznikowi, ale boi się zeznawać, a przede wszystkim boi się przegranej w sądzie. Ostrożność nakazuje rezygnację z zarzutów.

Nie wychylaj się, siedź cicho, nie komplikuj sprawy, nie spodziewaj się zbyt wiele, ciesz się tym, co masz. Idź do przodu.

Pójście do przodu oznacza, co zdumiewające, wprowadzenie się do Pearl Olsen, wdowy po jednym funkcjonariuszu i matki innego.

Pearl ratuje go z piekła policyjnych izb dziecka i podczas ich pierwszego spotkania Billy zdaje sobie instynktownie sprawę, że jest i zawsze będzie dokładnie taka, na jaką wygląda. Choć Billy ma tylko czternaście lat, przekonał się, że harmonia między tym, co widać, i tym, co istnieje naprawdę, zdarza się rzadziej, niż wyobraża sobie jakiegokolwiek dziecko. Ma nadzieję rozwinąć tę cechę w sobie.

# 58

Siedząc w samochodzie przed jaskrawo oświetloną restauracją, Billy Wiles jadł batonik Hersheya, następnie Planters Peanut i zastanawiał się nad Steve'em Zillisem.

Dowody przeciwko niemu, chociaż poszlakowe, wydawały się znacznie bardziej obciążające aniżeli cokolwiek, co mogło usprawiedliwiać postępowanie Johna Palmera w stosunku do Billy'ego.

Mimo to dręczyły go obawy, że zwróci się przeciwko niewinnemu człowiekowi. Manekiny, pornografia typu bondage oraz ogólny wygląd domu Zillisa świadczyły o tym, że jest on dupkiem i być może nawet ma nie po kolei w głowie, nie stanowiły jednak dowodu, że kogokolwiek zabił.

To, czego Billy doświadczył z rąk Palmera, zaszczepiło w nim potrzebę pewności.

W nadziei, że odnajdzie jakiś dowód potwierdzający jego podejrzenia, nawet tak wątpliwy jak wiszący nad restauracją sierp księżycy, Billy wziął do ręki gazetę, którą kupił w Napie i do której nie miał do tej pory czasu zajrzeć. Artykuł na pierwszej stronie dotyczył morderstwa Giselle Winslow.

Miał irracjonalną nadzieję, że gliniarze odnaleźli przy zwłokach zawiązaną szypułkę wiśni.

Jednak tym, co zwróciło jego uwagę, co uderzyło go niczym

atakujący ćmę nietoperz, była wzmianka o tym, że Winslow miała odciętą lewą dłoń. Świr zabrał ją sobie na pamiątkę. Tym razem nie twarz, lecz rękę.

Lanny nic o tym nie wspominał. Ale kiedy podjechał do Billy'ego, który wyjmował akurat drugi list spod wycieraczki explorera, zwłoki Winslow zostały dopiero co odnalezione. Nie wszystkie szczegóły znalazły się w raporcie przekazanym do biura szeryfa.

Billy nie mógł nie pomyśleć o liście, który znalazł przyklepiony do swojej lodówki przed siedemnastoma godzinami i który ukrył w egzemplarzu Naszych czasów Dickensa. „Mój wspólnik przyjdzie do ciebie o 11.00. Zaczekaj na niego na frontowej werandzie”, informował go świr.

Dobrze pamiętał dwie ostatnie linijki, które były wówczas mętne, lecz teraz nabrały nowego znaczenia.

Wydajesz się taki zagniewany. Czyż nie podałem ci przyjaznej dłoni? Owszem, zrobiłem to.

Już przy pierwszej lekturze te zdania wydawały się urągliwe i prowokujące. Obecnie szydziły z niego, zmuszały do przyznania, że został beznadziejnie zdeklasowany.

Gdzieś w jego domu czekała na odkrycie przez policję ucięta ręka.

# 59

Z restauracji wyszli mężczyzna i kobieta ubrani w dzinsy i czapki baseballowe. Na jego koszulce widniał napis PETERBILT, na jej — ROAD GODDESS. Mężczyzna dłubał w zębach wykałaczką. Kobieta ziewała i rozprostowywała ramiona.

Siedzący za kierownicą explorera Billy zorientował się, że wpaduje się w jej dłonie, dziwi się, jakie są małe, jak łatwo ukryć jedną z nich.

Na strychu. Pod klepkami podłogi. Za paleniskiem kominka. W głębi szafy. Pod tylną albo frontową werandą. W garażu, w szufladzie z narzędziami. Zakonserwowaną lub niezakonserwowaną w formaldehydzie.

Skoro w jego domu ukryto rękę jednej z ofiar, dlaczego nie miałyby tam być innych części ciała? Co świr odciął rudej i gdzie to wsadził?

Kusiło go, by natychmiast wrócić do domu i przeszukać wszystkie zakamarki. Odnalezienie obciążających dowodów mogło mu zająć całą noc i rano.

A jeśli ich nie znajdzie? Czy poświęci na to również popołudnie? Jak mógłby tego nie zrobić?

Kiedy już zacznie szukać, będzie to musiał robić dalej, aż do chwili gdy odnajdzie makabrycznego Graala.

Na jego zegarku była 1.36. Do czwartkowej północy pozostało trochę ponad dwadzieścia dwie godziny.

Moje ostatnie zabójstwo: czwartek o północy.

Już teraz funkcjonował wyłącznie dzięki kofeinie, czekoladzie, anacinowi i vicodinowi. Jeśli spędzi cały dzień na gorączkowych poszukiwaniach, jeśli do zmierzchu nie zidentyfikuje świra ani nie odpocznie, będzie fizycznie, umysłowo i emocjonalnie wyczerpany. W takim stanie nie będzie mógł skutecznie strzec Barbary.

Nie wolno mu tracić czasu na szukanie ręki.

Poza tym, czytając po raz drugi artykuł w gazecie, przypomniał sobie coś jeszcze. Manekin miał sześć rąk.

W zaciśniętych pięściach trzymał noże wbite we własne gardło.

Dłonie, które miał w miejscu stóp, trzymały ostro zakończony żelazny pręt, którym się gwałcił.

Trzecia para dłoni została odcięta innemu manekinowi. Wyrastały z piersi sześciorekmej postaci, która przypominała obszceniczną wersję hinduskiej bogini Kali.

Inne znajdujące się w pokoju manekiny miały normalną liczbę dłoni, ale ten z sześcioma sugerował, że Zillis może mieć obsesję na punkcie rąk.

Na okładkach filmów pornograficznych kobiece ręce były często skrępowane. Kajdankami. Sznurem. Mocno zaciśniętymi skórzany-mi pasami.

Fakt, że Giselle Winslow została pozbawiona dłoni, wydawał się znaczący, może nawet obciążający.

To wszystko nie wystarczało, by założyć stryczek na szyję Steve'a Zillisa. Billy gorączkowo szukał czegoś więcej.

Czyż nie podałem ci przyjaznej dłoni? Owszem, zrobiłem to.

Wulgarny, szczeniacki humor. Oczyma wyobraźni widział szczerzącego zęby Zillisa, słyszał, jak mówi te słowa. Mówi je tym swoim zadziornym, rozbawionym tonem wykonującego sztuczki barmana.

Nagle uświadomił sobie, że wiele tych sztuczek wykonuje dłońmi. Był niezwykle zręczny. Żonglował oliwkami i innymi przedmiotami.



Znał różne karciane triki. Potrafił „przekładać” monetę po kłykciach palców, sprawić, że zniknęła.

Żadna z tych rzeczy nie wystarczała, by założyć mu stryczek na szyję.

Zbliżała się druga w nocy. Jeśli miał zamiar dorwać Zillisa, wołał to zrobić pod osłoną mroku.

Opatrunki na jego dłoni zostały poddane ciężkiej próbie. Popękały na brzegach i zaczęły się strzępić. Billy nałożył na nie kolejną warstwę sprayu, zastanawiając się, czy fakt, iż obiecana druga rana została mu zadana gwoździem, ma jakieś szczególne znaczenie.

Jeśli miał zamiar dopaść Zillisa, musiał z nim najpierw porozmawiać. Tylko tyle. Nie musiał robić nic gorszego. Wystarczy, że poważnie z nim porozmawia.

Podczas tej pogawędki musiał trzymać go na muszce, ponieważ mogło się okazać, że Zillis jest świrem.

Oczywiście jeśli był po prostu chorym sukinsynem, lecz nie zabójcą, nie odniesie się do tego ze zrozumieniem: będzie cholernie wkurzony. Może wnieść oskarżenie o wtargnięcie do jego domu, o cokolwiek.

Jedynym sposobem zamknięcia mu ust było zastraszenie go. Najprawdopodobniej jednak Zillis nie da się zastraszyć, jeśli Billy nie da mu porządnie w kość — w wystarczającym stopniu, by doszedł do przekonania, że oberwie jeszcze bardziej, jeśli zawiadomi policję.

Billy musiał mieć pewność, że potrafi skrzywdzić niewinnego człowieka i sterroryzować go tak, by nie puścił pary z ust. Dopiero zyskawszy ją, mógł ruszyć do Zillisa.

Rozprostował i otworzył lekko zeszywniała lewą dłoń. Rozprostował i otworzył.

Oto wybór, do którego niekoniecznie został zmuszony: skrzywdzić i zastraszyć być może niewinnego człowieka albo dalej grać na zwłokę, zastanawiać się, czekać na rozwój wypadków i w ten sposób narazić Barbarę na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Wybór należy do ciebie.

Tak zawsze było. I zawsze będzie. Robić coś albo nie robić. Zwlekać albo podejmować działanie. Zamykać drzwi albo otwierać. Uciekać przed życiem albo w nie wkraczać.

Nie miał wielu godzin ani dni, by analizować ten dylemat. Nawet gdyby miał dość czasu, i tak nie zdołałby go rozwiązać.

Szukał mądrości wynikającej z doświadczenia i nadającej się do zastosowania w jego sytuacji, lecz jej nie znalazł. Jedyna mądrość jest mądrością pokory.

W ostatecznym rozrachunku mógł podjąć decyzję, opierając się wyłącznie na czystości swoich motywów. Mimo że właściwie nie znał całej prawdy o swoich motywach.

Zapalił silnik i wyjechał z parkingu przy restauracji.

Nie widział nigdzie cieniutkiego i bladego sierpa księżyca. Musiał świecić za jego plecami.

# 60

Dziewięć minut po drugiej Billy zaparkował przy cichej willowej uliczce, dwie i pół przecznicy od domu Steve'a Zillisa.

Niższe gałęzie figowców wisały pod ulicznymi latarniami. Cienie ich liści przypominały czarne monety rzucone na oświetlony żółtym światłem chodnik.

Szedł bez pośpiechu, jakby od dzieciństwa cierpiał na bezsenność i regularnie wypuszczał się na nocne spacerunki.

W oknach domów nie paliły się światła, lampy na werandach były pogaszone. Nie minął go żaden pojazd.

Ziemia zdążyła już oddać wiele ze zmagazynowanego w ciągu dnia ciepła. Noc nie była ani gorąca, ani chłodna.

Do paska z lewej strony przywiązał wyłożoną papierowymi ręcznikami, skreconą na gorze torbę na chleb, w której były kajdanki, mały pojemnik z gazem łzawiącym oraz paralizator.

Z prawej strony paska miał kaburę Wilson Combat, a w niej załadowany pistolet.

Wyciągnięty na wierzch podkoszulek zasłaniał częściowo broń. Z odległości większej niż kilka stóp, w nocy, nikt nie powinien rozpoznać jej charakterystycznego kształtu.

Dotarłszy do domu Zillisa, szedł z chodnika na podjazd i ruszył wzdłuż szpaleru eukaliptusów rosnących przy garażu.

Za spuszczoneymi roletami od frontu było ciemno, lecz z tyłu, w dwóch oknach paliło się niezbyt mocne światło. W sypialni i w łazience Zillisa.

Billy przystanął na tylnym podwórku i przez chwilę przyglądał się domowi, wyczulony na każde drgnienie nocy. Zaczekał, aż jego oczy zapomną o ulicznych latarniach i przywykną do mroku.

Wsunął z powrotem podkoszulek w dżinsy, żeby mieć łatwiejszy dostęp do tkwiącego w kaburze pistoletu.

Z kieszeni wyjął parę lateksowych rękawiczek i włożył je na ręce.

Okolica była cicha, domy stały blisko siebie. Po wejściu do środka musiał uważać, żeby za bardzo nie hałasować. W sąsiedztwie na pewno usłyszano by krzyki i niestłumione przez poduszkę odgłosy strzałów.

Zszedł z podwórka na wyłożone płytkami patio, na którym stało jedno aluminiowe krzesło. Nie było żadnego stołu, grilla ani roślin doniczkowych.

Przez szybki w tylnych drzwiach zobaczył kuchnię oświetloną wyłącznie przez dwa cyfrowe zegary, jeden przy piekarniku, drugi przy mikrofalówce.

Wyciągnął zza paska torbę na chleb i wyjął z niej pojemnik z gazem. Kuchenny ręcznik stłumił brzęk kajdanek. Billy wcisnął torbę z powrotem za pasek.

W trakcie pierwszej wizyty ukradł zapasowy klucz z kuchennej szuflady. Teraz wsunął go ostrożnie w dziurkę i powoli przekręcił, pamiętając, że zamek może zazgrzytać i każdy dźwięk odbije się echem w małym domu.

Drzwi się uchyliły. Skorodowane zawiasy zaszeleściły, lecz nie zaskrzypiały.

Billy wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Przez minutę w ogóle się nie poruszał. Jego oczy zdążyły przywyknąć do mroku, ale musiał się zorientować w otoczeniu.

Serce biło mu jak młot. Może był to również efekt nadmiaru kofeiny.

Kiedy przechodził przez kuchnię, gumowe podeszwy jego rockportów zaskrzypiały cicho na winylowej podłodze. Skrzywił się, lecz nie zatrzymał.

Na podłodze salonu leżał dywan. Billy dał dwa ciche kroki do środka i ponownie stanął, by zorientować się w otoczeniu.

Awersja Zillisa do mebli okazała się błogosławieństwem. Billy nie musiał się przejmować, że wpadnie na coś po ciemku.

Nagle usłyszał niewyraźne głosy. Zaniepokojony zaczął nasłuchiwać. Nie rozumiał, co mówią.

Spodziewał się zastać Zillisa samego. Być może powinien się wycofać. Najpierw jednak musiał dowiedzieć się czegoś więcej.

Przymiony blask sączył się z korytarza, który prowadził do salonu, dwóch sypialni i łazienki. Lampa w przedpokoju była zgaszona; światło paliło się w ostatnich dwóch pomieszczeniach.

Drzwi do nich znajdowały się naprzeciwko siebie. Billy zapamiętał, że te po lewej prowadzą do łazienki, te po prawej do sypialni Zillisa.

Sądząc po tonie, nie po treści rozmowy, głosy były dwa, jeden męski, drugi kobiecy.

Billy trzymał pojemnik z gazem w prawej ręce, opierając kciuk dokładnie na przycisku, pod zabezpieczeniem.

Instynkt podpowiadał mu, że powinien wziąć do ręki pistolet, nie pojemnik z gazem, ale nie na wszystkim, co podpowiada instynkt, można polegać tak jak na zdrowym rozsądku.

Jeśli na samym początku strzeli do Zillisa, niczego nie zdziała. Musiał go najpierw obezwładnić, nie zranić.

Idąc korytarzem, minął fałszywą izbę tortur, w której siedziały poddane bezkrawej kaźni manekiny.

Teraz, kiedy słyszał lepiej głosy, uderzyło go, że w nich również brzmi jakiś fałsz. To byli aktorzy biorący udział w marnym spektaklu. Błaznany podzwiek sugerował, że spektakl rozgrywa się na ekranie taniego telewizora.

Kobieta krzyknęła nagle z bólu, ale zrobiła to zmysłowo, jakby ból był dla niej również przyjemnością.

Billy dotarł prawie do końca korytarza, kiedy z łazienki po lewej stronie wyszedł Steve Zillis.

Bosy, z gołą piersią, ubrany tylko w spodnie od piżamy, szorując zęby szczotką, spieszył się, żeby zerknąć na ekran telewizora w sypialni.

Widząc Billy'ego, otworzył szerzej oczy.

— Co jest, kur... — zamruczał, nie wyjmując z ust szczoteczki.

Billy prysnął mu w twarz gazem łzawiącym.

Policyjny gaz jest wysoce skuteczny do odległości dwudziestu stóp, ale idealna wynosi piętnaście. Steve Zillis stał siedem stóp od Billy'ego.

Gaz wpadający w usta i w nozdrza powstrzymuje napastnika tylko w jakimś stopniu. Jeśli chce się go natychmiast i niezawodnie obezwładnić, najlepiej prysnąć obficie w oczy.

Strumień dostał się prosto do jego oczu i spryskał nozdrza.

Zillis upuścił szczoteczkę, zakrył zbyt późno oczy rękoma, odwrócił się oślepiony od Billy'ego i natychmiast zderzył się ze ścianą korytarza. Rozpaczliwie rżąc i charcząc, pochylił się i wypłuł z ust pianę, zupełnie jakby był wściekłym psem.

Jego źrenice otworzyły się tak szeroko, że nie widział nawet sylwetki, nawet cienia swojego napastnika, wyłącznie rozmazaną płonąca jasność. Gardło paliło go od chemikaliów, które dostały się tam przez nos. Płuca starały się odrzucić skażone powietrze, które wciągał.

Billy pochylił się, złapał go za lewą nogawkę piżamy i zbił z nóg.

Wymachując rękoma w poszukiwaniu ściany, futryny, czegokolwiek, czego mógłby się złapać, Zillis rąbnął tyłkiem o podłogę z taką siłą, aż zadrżały klepki.

Krzusząc się, kaszląc i charcząc, krzyczał coś o swoich oczach, o tym, że go piecze, że widzi tylko jarzące się światło.

Billy wyjął pistolet i walnął go lufą w bok głowy, dość mocno, żeby zabolalo.

Zillis zawył.

—Przymknij się albo uderzę cię jeszcze raz, mocniej — ostrzegł Billy.

Kiedy Zillis zaczął kłąć w odpowiedzi, Billy rąbnął go ponownie łufą, i chociaż nie zrobił tego tak mocno, jak zapowiedział, doczekał się pozytywnej reakcji.

—Dobrze — powiedział. — W porządku. Nie będziesz dobrze widział przez dwadzieścia minut, może przez pół godziny...

—Jezu, jestem ślepy, jestem... — przerwał mu Zillis, nadal łapiąc kurczowo powietrze i cały dygocząc.

— To był tylko gaz łzawiący.

— Czyś ty oszalał?

— Gaz łzawiący. Bez trwałego uszczerbku na zdrowiu.

— Jestem ślepy — upierał się Zillis.

— Nie ruszaj się.

— Jestem ślepy.

— Nie jesteś ślepy. Nie ruszaj się.

— Cholera. To boli!

Z boku głowy Zillisa spływała strużka krwi. Billy nie uderzył go mocno, ale przeciął skórę.

— Nie ruszaj się i słuchaj, co mówię — rzekł stanowczo. — Jeśli będziesz współpracował, załatwimy to szybko i nic ci się nie stanie.

Zorientował się, że już teraz zaczyna dodawać otuchy Zillisowi, jakby jego niewinność była z góry przesądzona.

Aż do tej chwili wydawało mu się, że zdoła to jakoś rozegrać. Zdoła to załatwić bez negatywnych konsekwencji, nawet jeśli okaże się, że Steve Zillis nie jest świrem.

Nie przewidział jednak, że już w pierwszej chwili będzie musiał odwołać się do tak brutalnych działań. Że użyje gazu łzawiącego. Zillis był obezwładniony i posłuszny.

Już na samym początku sytuacja wymknęła się spod kontroli.

— Jeśli nie chcesz, żeby stała ci się krzywda, leż i czekaj, aż powiem ci, co masz robić dalej — powiedział Billy, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

Zillis znowu zaczął rzeźić.

— Słyszysz mnie? — zapytał Billy.

— No pewnie. Jak mógłbym cię nie słyszeć, do diabła?

— Rozumiesz, co mówię?

— Jestem ślepy, ale nie głuchy.

Billy wszedł do łazienki, zakręcił wodę w umywalce i rozejrzał się dookoła.

Nie zobaczył tego, czego szukał, lecz to, na co nie chciał patrzeć: swoje odbicie w lustrze. Spodziewał się chyba, że będzie wyglądał koszmarnie, nawet groźnie, i tak wyglądał. Spodziewał się chyba, że będzie sprawiał wrażenie wystraszonego, i takie sprawiał wrażenie. Nie spodziewał się zobaczyć na swojej twarzy nikczemności, ale ją zobaczył.



# 61

Na ekranie telewizora w sypialni nagi mężczyzna w czarnej masce chłostał kobiece piersi rzemienną pięciopalczastą dyscypliną.

Billy wyłączył telewizor.

— Kiedy przypomnę sobie, jak dotykasz plasterków cytryn i limonek, których potrzebujesz do drinków, chce mi się rzygać — powiedział.

Leżący w korytarzu za otwartymi drzwiami Zillis nie usłyszał go albo udawał, że nie słyszy.

Łóżko nie miało desek przy wezgłowie i w nogach. Materac i sprężyny osadzone były w metalowej ramie na kółkach.

Ponieważ Zillis nie zawracał sobie głowy takimi głupstwami jak narzuta albo kapa, rama łóżka była odsłonięta.

Billy wyjął kajdanki z torby na chleb i założył jedną z bransoletek na dolny drążek.

— Ukłęknij — rozkazał — i popętnij na czworakach w kierunku mojego głosu.

Leżąc dalej na podłodze, oddychając hałaśliwie, lecz ze znacznie większą łatwością, Zillis splunął z rozmachem na dywan. Chemikalia dostały się wraz ze łzami do jego ust i poczuł ich gorzki smak.

Billy podszedł do niego i przycisnął mu lufę pistoletu do karku. Zillis znieruchomiał i przez chwilę słyhać było tylko jego ciche rżenie.

— Wiesz, co to jest? — zapytał Billy.

— Człowieku...

— Chcę, żebyś wszedł na czworakach do sypialni.

— Cholera....

— Nie żartuję.

— Dobrze.

Chociaż w sypialni paliła się tylko mała lampka nocna, pełznący w stronę łóżka Zillis zmrużył oczy przed jej palącym blaskiem.

Billy musiał dwa razy dać mu wskazówki.

— Usiądź na podłodze i oprzyj się plecami o tył łóżka — powiedział w końcu. — Dobrze. Pomacaj za sobą lewą ręką. Z ramy łóżka zwisają kajdanki. O właśnie.

— Nie rób mi tego, człowieku. — Z oczu Zillisa leciały łzy. W nosie bulgotał mu śluz. — Dlaczego? O co ci chodzi?

— Włóż lewą ręką w pustą bransoletkę.

— Nie podoba mi się to — zamruczał Zillis.

— Nie musi.

— Co mi chcesz zrobić?

— To zależy. Włóż rękę.

Kiedy Zillis wsadził dłoń w kajdanki, Billy pochylił się, żeby sprawdzić, czy są prawidłowo zatrzaśnięte. Zillis w dalszym ciągu nie widział dość dobrze, by go uderzyć lub spróbować odebrać broń.

Jeśli chciał, mógł ciągać za sobą łóżko po pokoju. Mógł je z trudem przewrócić, zrzucić materac i sprężyny, cierpliwie rozmontować ramę i wysunąć z niej kajdanki. Nie mógł jednak się szybko poruszać.

Dywan sprawiał wrażenie brudnego. Billy nie miał ochoty na nim siadać ani kłękać.

Poszedł do kuchni i wrócił z niej z jedynym w całym domu krzesłem z prostym oparciem. Postawił je przed Zillisem, poza jego zasięgiem i usiadł.

— Billy, ja umieram.

— Nie umierasz.

— Boję się o swoje oczy. Nadal nic nie widzę.

— Chcę ci zadać kilka pytań.

— Pytań? Oszalałeś.

— Czasami takie mam wrażenie — przyznał Billy.

Zillis zakaszłał raz i drugi, ale potem dostał ataku kaszlu, który przeszedł w straszliwe rżężenie. Wcale nie udawał. Billy czekał. Kiedy Zillis zdołał się odezwać, miał ochryply, drżący głos.

— O mało nie posrałem się ze strachu, Billy.

— To dobrze. Teraz chcę, żebyś powiedział mi, gdzie schowałeś pistolet.

— Pistolet? Do czego byłby mi potrzebny pistolet?

— Ten, z którego go zastrześliłeś.

— Zastrześliłem go? Zastrześliłem kogo? Nikogo nie zastrześliłem. Jezus, Billy.

— Strześliłeś mu w czoło.

— Nie. Coś ty! Nie ja, człowieku. — Steve'owi płynęły z oczu łzy i nie można było stwierdzić, czy mówi prawdę, czy kłamie. Bez przerwy mrugał, próbując coś zobaczyć. — Człowieku, jeśli to jakiś chory żart...

— To ty jesteś żartownisiem — powiedział Billy. — Nie ja. To ty jesteś inscenizatorem.

Zillis nie zareagował na to słowo.

Billy podszedł do nocnej szafki i wysunął górną szufladę.

— Co robisz? — zapytał Zillis.

— Szukam pistoletu.

— Nie ma żadnego pistoletu.

— Nie znalazłem go wcześniej, kiedy cię tutaj nie było, ale teraz go znajduję. Trzymasz go blisko siebie.

— Byłeś tutaj wcześniej?

— Tarzasz się we wszelkiego rodzaju gównie, prawda, Steve? Po wyjściu stąd miałem ochotę wziąć prysznic we wrzącej wodzie.

Billy otworzył drzwiczki szafki nocnej i grzebał przez chwilę w środku.

— Co zrobisz, jeśli nie znajdziesz pistoletu? — zapytał Zillis.

— Może przybiję ci gwoździem dłoń do podłogi i poodcinam kolejno wszystkie palce.

Zillis zamruczał, jakby miał się na dobre rozpląkać.

— Och, człowieku, nie opowiadaj takich pierdolonych głupot. Co ja ci takiego zrobiłem? Nie zrobiłem ci nic złego.

— Gdzie schowałeś uciętą rękę, Steve, kiedy byłeś w moim domu? — zapytał Billy, otwierając drzwi szafy.

Z piersi Zillisa wydarł się jęk i zaczął kręcić głową: nie, nie, nie, nie.

Półka nad wiszącymi ubraniami znajdowała się tuż nad oczyma Billy'ego.

— Co jeszcze ukryłeś w moim domu? — zapytał, starając się tam wymacać broń. — Co uciałeś rudej? Ucho? Pierś?

— To się nie trzyma kupy — poskarżył się drżącym głosem Zillis.

— Tak sądzisz?

— Jesteś przecież Billy Wiles, na litość boską.

Billy podszedł z powrotem do łóżka i szukając broni, wsunął dłoń pod materac. Nie miałby odwagi tego zrobić, gdyby nie włożył wcześniej lateksowej rękawiczki.

— Jesteś Billy Wiles... — powtórzył Zillis.

— I co to znaczy? Wydawało ci się, że nie potrafię o siebie zadbać?

— Ja nic nie zrobiłem, Billy. Nic nie zrobiłem.

— No więc dowiedz się, że potrafię o siebie zadbać, nawet jeśli nie ma we mnie ikry.

— Mówiąc to, nie miałem na myśli nic złego — powiedział Zillis, rozpoznając własne słowa. — Odebrałeś to jako drwinę? Nie powiedziałem tego w tym sensie.

Billy ponownie przeszukał przestrzeń między materacem i sprężynami.

— Mówię różne rzeczy, Billy. Wiesz, jaki jestem. Zawsze się zgrywam. Znasz mnie. Do diabła, Billy, przecież jestem dupkiem. Wiesz, że jestem dupkiem, bez przerwy nawijam i przeważnie nie słucham nawet tego, co mówię.

Billy usiadł z powrotem na krześle.

— Lepiej mnie widzisz, Stevie?

— Nie, raczej nie. Potrzebuję chusteczek.

— Użyj prześcieradła.

Zillis złapał wolną ręką wsuniętą pod materac prześcieradło. Oswobodził jego róg, po czym wytarł w nie twarz i wysmarkał nos.

— Masz siekierę? — zapytał Billy.

— O Boże.

— Masz tutaj siekierę?

— Nie.

— Bądź ze mną szczery, Stevie.

— Billy, nie.

— Masz siekierę?

— Nie rób tego.

— Masz siekierę, Stevie?

— Tak — przyznał Zillis i zaszlochał ze strachu.

— Jesteś albo cholernie dobrym aktorem, albo zwykłym, durnym Steve'em Zillisem — rzekł Billy. Ta druga możliwość zaczęła go poważnie martwić.

# 62

— Czy rąbiąc manekiny na swoim podwórku, wyobrażasz sobie, że to prawdziwe kobiety? — zapytał Billy.

— To tylko manekiny.

— Czy lubisz rąbać arbuzy, bo są w środku czerwone? Lubisz patrzeć, jak eksploduje ich czerwony miąższ, Stevie?

Zillisa wyraźnie zdziwiło to pytanie.

— Co takiego? Ona ci o tym powiedziała? Co ci powiedziała?

— Kim jest „ona”, Stevie?

— Ta stara dziwka z sąsiedniego domu. Celia Reynolds.

— Na twoim miejscu nikogo bym nie nazywał starą dziwką— ostrzegł go Billy. — Nie powinieneś mówić takich rzeczy.

Zillis sprawiał wrażenie skruszonego. Pokiwał energicznie głową na znak zgody.

— Masz rację. Przepraszam. Jest po prostu samotna. Wiem. Ale, Billy, to strasznie wścibska starsza pani. Nie potrafi zająć się swoimi sprawami. Siedzi zawsze przy oknie i podgląda przez żaluzje. Nie można wyjść na podwórko, żeby się nie gapiła.

— A ty robisz tyle rzeczy, których nie powinni oglądać inni ludzie, prawda, Stevie?

— Nie. Nie robię nic złego. Chcę po prostu mieć trochę intymności. Więc parę razy odstawiłem numer z siekierą. Udawałem wariata. Żeby ją nastraszyć.

— Żeby ją nastraszyć...

— Żeby pilnowała własnego nosa. Zrobiłem to tylko trzy razy i za trzecim dałem jej do zrozumienia, że to było przedstawienie, dałem jej do zrozumienia, że widzę, jak mnie obserwuje.

— W jaki sposób dałeś jej do zrozumienia?

— Teraz nie jestem z tego dumny.

— Na pewno jest wiele rzeczy, z których nie jesteś dumny, Stevie.

— Pokazałem jej palec — odparł Zillis. — Za trzecim razem porąbałem manekina i arbuz.... i wcale nie wyobrażałem sobie, że są czymś innym... a potem podszedłem do ogrodzenia i pokazałem jej wyraźnie palec.

— Porąbałeś kiedyś krzesło.

— Owszem. Porąbałem krzesło. I co z tego?

— Siedzę na twoim jedynym krześle.

— Kiedyś miałem dwa. Nie potrzebowałem aż tyle. To było tylko krzesło.

— Lubisz oglądać, jak kobietom dzieje się krzywda — rzekł Billy.

— Nie.

— Chcesz powiedzieć, że dopiero dziś wieczorem znalazłeś te pornosy pod łóżkiem, Stevie? Może schował je tam jakiś krasnoludek? Może powinniśmy zadzwonić do firmy deratyzacyjnej, żeby przysłali nam eksterminatora krasnoludków?

— To nie są prawdziwe kobiety.

— To nie są manekiny.

— Tak naprawdę nie dzieje im się krzywda. Udają.

— Ale lubisz to oglądać.

Zillis nie odpowiedział. Zwiesił głowę.

Pod pewnymi względami okazało się to łatwiejsze, niż Billy się spodziewał. Myślał, że zadawanie bardzo nieprzyjemnych pytań i słuchanie, jak inny człowiek nieporadnie się tłumaczy, okaże się tak

stresujące, że nie zdoła przeprowadzić skutecznego przesłuchania. Zamiast tego miał poczucie władzy, które dodawało mu pewności siebie. A także sprawiało satysfakcję. Łatwość, z jaką to robił, zaskoczyła go. I trochę przstraszyła.

— To bardzo wstrętne filmy, Stevie. Są chore.

— Tak — odparł cicho Zillis. — Są chore. Wiem.

— Czy nakręciłeś kiedyś film, gdzie sam krzywdzisz w ten sposób kobiety?

— Nie. Boże, nie.

— Mówisz szeptem, Stevie.

Zillis podniósł głowę, ale nie popatrzył prosto w oczy Billy'emu.

— Nigdy nie skrzywdziłem kobiety w ten sposób.

— Nigdy? Nigdy nie skrzywdziłeś kobiety w ten sposób?

— Nie. Przysięgam.

— Więc w jaki sposób je krzywdziłeś?

— Nigdy żadnej nie skrzywdziłem. Nie mógłbym.

— Taki z ciebie anioł, prawda?

— Lubię tylko... patrzeć.

— Patrzeć, jak kobietom dzieje się krzywda?

— Lubię patrzeć, zgoda. Ale wstydę się tego.

— Nie wydaje mi się, żebyś się wstydził.

— Wstydę się. Nie zawsze w trakcie, ale potem.

— Po czym?

— Po tym, jak patrzę. To nie jest... Och, Boże. Nie chcę być takim człowiekiem.

— Kto chciałby być takim człowiekiem jak ty, Stevie?

— Nie wiem.

— Wymień mi choć jedną osobę. Choć jedną osobę, która chciałaby być takim jak ty człowiekiem.

— Może nie ma kogoś takiego — wybąkał Zillis.

— Jak bardzo się wstydzisz? — nie dawał mu spokoju Billy.

— Wyrzucałem te filmy. Robiłem to wiele razy. Nawet je niszczyłem. Ale potem... no wiesz... po jakimś czasie kupowałem nowe. Potrzebuję pomocy, żeby z tym skończyć.



— Czy kiedykolwiek szukałeś pomocy, Stevie?

Zillis nie odpowiedział.

— Czy kiedykolwiek szukałeś pomocy? — naciskał Billy.

— Nie.

— Skoro naprawdę chcesz z tym skończyć, dlaczego nie szukałeś pomocy?

— Myślałem, że uda mi się z tym skończyć samemu. Myślałem, że potrafię.

Zillis zaczął płakać. Jego oczy nadal łzawiły wskutek użycia gazu, ale tym razem pojawiły się w nich prawdziwe łzy.

— Dlaczego zrobiłeś te wszystkie rzeczy manekinom w drugim pokoju, Stevie?

— Nie zrozumiesz tego.

— No jasne, jestem tylko poczciwym starym Billym Wilesem, nie ma we mnie ikry, ale daj mi szansę.

— To nic nie znaczy, to co im robię.

— Jak na coś, co nic nie znaczy, poświęcasz temu masę czasu i energii.

— Nie będę o tym mówił. Nie o tym. — Zillis nie tyle odmawiał, ile prosił. — Nie będę.

— Czy na myśl o tym się czerwienisz, Stevie? Czy to uraża twoje delikatne uczucia?

Zillis nie przestawał płakać, ale nie wstrząsał nim urywany szloch. Po prostu płakał rzewnymi łzami upokorzenia i wstydu.

— Robienie tego to nie to samo co mówienie.

— Masz na myśli to, co robisz manekinom? — upewnił się Billy.

— Możesz odstrzelić mi głowę, ale nie będę o tym mówił. Nie mogę.

— Czy okaleczanie manekinów cię podnieca, Stevie? Czy staje ci z podniecenia?

Zillis potrząsnął głową i zwiesił ją.

— Robienie im tego tak bardzo się różni od mówienia? — pytał Billy.

— Billy. Proszę cię, Billy. Nie chcę siebie słyszeć, nie chcę słyszeć, jak o tym mówię.

— Bo kiedy to robisz, to jest tylko coś, co robisz. A kiedy o tym mówisz, zdajesz sobie sprawę, kim jesteś.

Wyraz twarzy Zillisa świadczył, że Billy trafił w samo sedno.

Rozmowa o manekinach prowadziła donikąd. Były tym, czym były. Wypominanie Zillisowi jego perwersji mogło okazać się nieproduktywne.

Billy nie uzyskał jeszcze tego, czego potrzebował, tego, po co tu przyszedł.

Był jednocześnie zmęczony i nakręcony, senny i naszpikowany kofeiną. Chwilami rwała go przekłuta ręka; przestawał działać vicodin.

Z powodu wyczerpania, które usiłował łagodzić substancjami chemicznymi, nie prowadził chyba zbyt mądrze tego przesłuchania.

Jeżeli Zillis był świrem, był jednocześnie mistrzem emocjonalnego fałszu.

Ale tacy są właśnie socjopaci: to żarłoczne pająki potrafiące w przekonujący sposób sprawiać wrażenie złożonych istot ludzkich, wrażenie, które przesłania owadzią rzeczywistość chłodnej kalkulacji i drapieżnych intencji.

— Kiedy robisz to tym manekinom... kiedy oglądasz na wideo te chore filmy, czy myślisz czasem o Judith Kesselman? — zapytał Billy.

W trakcie ich spotkania Zillis był już nie raz zaskakiwany, ale to pytanie nim wstrząsnęło. Przekrwione po pryśnięciu gazem oczy otworzyły się szerzej, a twarz pobladła i oklapła, jakby go ktoś uderzył.

# 63

Zillis siedział przykuty do łóżka, Billy — swobodnie na krześle, ale coraz mocniej spętany pokrętnymi odpowiedziami więźnia.

— Stevie? Zadałem ci pytanie.

— Co to ma znaczyć? — zapytał nagle Zillis z autentycznym zdumieniem. W jego głosie słychać było niemal słuszne oburzenie.

— Co ma znaczyć co?

— Po co tutaj przyszedłeś, Billy? Nie rozumiem, co ty tutaj robisz?

— Czy myślisz o Judith Kesselman? — nie dawał za wygraną Billy.

— Skąd o niej wiesz?

— A jak myślisz?

— Odpowiadasz pytaniami na pytania, ale to ja mam znać prawdziwe odpowiedzi na wszystko.

— Biedny Stevie. Co z Judi Kesselman?

— Coś jej się przytrafiło.

— Co jej się przytrafiło, Stevie?

— To było na studiach. Pięć, pięć i pół roku temu.

— Czy wiesz, co jej się przytrafiło, Stevie?

— Nikt nie wie.

— Ktoś wie — powiedział Billy.

— Zaginęła.

— Jak w magicznej sztuczce.

— Po prostu zniknęła.

— Była z niej urocza dziewczyna, prawda?

— Wszyscy ją lubili — przyznał Zillis.

— Taka urocza, taka niewinna. Niewinne są najlepsze, prawda, Stevie?

— Najlepsze? — powtórzył Zillis, marszcząc brwi.

— Niewinne... są najbardziej soczyste, najbardziej satysfakcjonujące. Wiem, co jej się przytrafiło — powiedział Billy, sugerując, że wie, iż to Zillis ją porwał i zabił.

Steve Zillis zadrzał cały tak mocno, że kajdanki zabrzęczały o metalową ramę łóżka.

— Wiem, Stevie — powtórzył Billy, zadowolony z jego reakcji.

— Co? Co wiesz?

— Wszystko.

— Co się jej stało?

— Tak. Wiem wszystko.

Zillis siedział z plecami opartymi o łóżko i nogami rozłożonymi przed sobą na podłodze. Teraz nagle podsunął kolana pod brodę. Z jego ust wyrwał się żaloszny jęk.

— O Boże...

— Dokładnie wszystko. Usta Zillisa rozchyliły się.

— Nie rób mi krzywdy — powiedział drżącym głosem.

— Jak myślisz, co mogę ci zrobić, Stevie?

— Nie wiem. Nie chcę o tym myśleć.

— Masz taką bujną fantazję, jesteś taki utalentowany, jeśli chodzi o wyobrażanie sobie sposobów, w jakie można krzywdzić kobiety, a teraz nagle nie chcesz myśleć?

— Czego ode mnie chcesz? Co mam zrobić? — zapytał Zillis, teraz dygocząc już bez przerwy.

— Chcę porozmawiać o tym, co się stało z Judith Kesselman.

Zillis zaczął płakać jak mały chłopiec. Billy wstał z krzesła. Czuł, że zbliża się przełom.

— Stevie?

— Odejdź.

— Wiesz, że nie odejdę. Porozmawiajmy o Judi Kesselman.

— Nie chcę.

— Myślę, że chcesz. — Billy nie podszedł do Zillis, ale ukucnął przed nim na podłodze, zniżając się prawie do jego poziomu. — Myślę, że bardzo chcesz o tym porozmawiać.

Zillis potrząsnął energicznie głową.

— Nie chcę. Nie chcę. Jeśli o tym porozmawiamy, na pewno mnie zabijesz.

— Dlaczego tak twierdzisz, Stevie?

— Ty wiesz.

— Dlaczego twierdzisz, że cię zabiję?

— Bo będę wtedy za dużo wiedział, prawda?

Billy wpatrywał się w więźnia, próbując odczytać coś z jego twarzy.

— Załatwiłeś ją — powiedział z jękiem Zillis.

— Co zrobiłem?

— Zabiłeś ją. Nie wiem dlaczego i nie rozumiem tego, ale teraz zabijesz mnie.

Billy wziął głęboki oddech i skrzywił się.

— Coś ty zrobił? — zapytał.

Zamiast odpowiedzieć Zillis tylko zaszlochał.

— Coś ty zrobił, Stevie?

Zillis podsunął wcześniej kolana pod brodę. Teraz rozprostował z powrotem nogi.

— Stevie?

Jego piżama była mokra między nogami. Steve Zillis nie utrzymał moczu.

# 64

Niektóre potwory są bardziej żalosne niż mordercze. Ich kryjówki nie są kryjówkami w pełnym znaczeniu tego słowa, ponieważ nie czają się w nich do skoku. Kryją się w zaniedbanych norach, wypełnionych nędznymi meblami i przedmiotami, które zaspokajają ich kalekie poczucie piękna. Mają tylko nadzieję, że pofolgują swoim fantazjom i przeżyją nędzne życie we względnym spokoju, który nie jest im jednak dany, ponieważ zadręczają się sami, nawet jeśli świat odpuści im winy.

Billy nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że Steve Zillis jest jednym z tych żalosnych osobników.

Przyznając, że Zillis nie jest socjopatycznym zabójcą, musiałby równocześnie przyznać, że zmarnował mnóstwo czasu, ścigając dzikiego wilka, który okazał się w rzeczywistości potulnym pieszkiem.

Co gorsza, jeśli Zillis nie był świrem, Billy nie miał pojęcia, co robić dalej. Wszystkie dowody skłaniały go do jednej konkluzji. Wszystkie poszlakowe dowody.

Najgorsze było jednak to, że jeśli nie miał przed sobą zabójcy, niepotrzebnie posunął się do takiej brutalności.

W rezultacie przez jakiś czas wypytywał jeszcze i dręczył swego więźnia, jednak z minuty na minutę ich starcie stawało się w coraz

mniejszym stopniu starciem, a w coraz większym pastwieniu się. Matador nie zdobędzie sławy, jeśli naszpikowany banderillami byk straci wolę walki i nawet ospale nie zaatakuje czerwonej mulety.

Nie dając po sobie poznać, jak bardzo jest zdesperowany, Billy usiadł z powrotem na krześle i poruszył ostatni temat z nadzieją, że potrzask zaciśnie się, kiedy będzie się tego najmniej spodziewał.

— Gdzie byłeś dziś wieczorem, Steve?

— Przecież wiesz. Nie wiesz, gdzie byłem? Byłem w barze, zastępowałem cię.

— Tylko do dziewiątej. Jackie mówi, że pracowałeś między trzecią i dziewiątą, bo miałeś coś do załatwienia wcześniej i potem.

— To prawda. Miałem różne sprawy.

— Gdzie byłeś między dziewiątą i północą?

— Jakie to ma znaczenie?

— Bardzo duże — zapewnił go Billy. — Gdzie byłeś?

— I tak mnie skrzywdzisz... i tak mnie zabijesz...

— Nie mam zamiaru cię zabijać i nie zabiłem Judith Kesselman. Jestem przekonany, że to ty ją zabiłeś.

— Ja? — Jego zdumienie wydawało się tak samo szczere jak każda wcześniejsza reakcja.

— Jesteś w tym naprawdę dobry — powiedział Billy.

— Dobry w czym? W zabijaniu ludzi? Kompletnie ocipiałeś! Nigdy nikogo nie zabiłem.

— Jeśli zdołasz mnie przekonać, Steve, że masz solidne alibi od dziewiątej do północy, to wszystko się skończy. Wyniosę się stąd i będziesz wolny.

Zillis spojrział na niego z powątpiewaniem.

— Tak łatwo?

— Tak.

— Po tym wszystkim... to skończy się tak łatwo?

— Może się skończyć. To zależy od alibi.

Zillis zastanawiał się nad odpowiedzią. Billy doszedł do wniosku, że wymyśla naprędce jakąś bajeczkę.

— A co będzie — odezwał się nagle Zillis — jeśli powiem ci, gdzie byłem, i okaże się, że dlatego właśnie tu przyszedłeś, bo już wcześniej wiedziałeś, gdzie byłem, i chciałeś to tylko usłyszeć z moich ust, żeby zatłuc mnie na śmierć?

— Nie bardzo za tobą nadążam — odparł Billy.

— No dobrze. W porządku. Byłem z kimś. Nigdy nie słyszałem, żebyś o niej mówił, ale co mi zrobisz, jeśli coś do niej czujesz?

Billy spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Byłeś z kobietą?

— Nie byłem w tym znaczeniu, że poszliśmy do łóżka. To była randka, nic więcej. Późna kolacja, która musiała być taka późna, bo cię zastępowałem. Nasza druga randka.

— Kto to jest?

— Amanda Pollard — odparł Zillis, kuląc ramiona w obawie przed atakiem zazdrości Billy'ego.

— Mandy Pollard? Znam ją. To miła dziewczyna.

— Miła dziewczyna? — powtórzył nieufnie Zillis. — I to wszystko?

Pollardowie byli właścicielami dobrze prosperującej winnicy. Uprawiali winorośl dla jednego z najlepszych winiarzy w dolinie. Mandy miała koło dwudziestu lat, była ładna i sympatyczna. Pracowała w rodzinnej firmie. Wydawała się pochodzić z innej epoki, o wiele lepszej od tej.

Billy omiótł wzrokiem obskurną sypialnię, spojrzął na leżące na podłodze pudełko po kasecie wideo i stertę brudnej bielizny w kącie.

— Nigdy mnie tu nie odwiedziła — wyjaśnił Zillis. — Byliśmy tylko na dwóch randkach. Szukam jakiegoś lepszego miejsca, miłego mieszkania. Chcę się pozbyć tego wszystkiego. Zacząć od nowa.

— To przyzwoita dziewczyna.

— Przyzwoita — zgodził się ochoczo Zillis. — Kiedy będę ją miał w swoim narożniku, zdołam chyba wziąć się w garść, zacząć nowe życie, zrobić wreszcie coś dobrego.



— Powinna zobaczyć tę norę.

— Nie, nie. Billy, nie, na litość boską. Nie chcę być kimś takim. Chcę się dla niej poprawić.

— Dokąd poszliście na kolację?

Zillis wymienił nazwę restauracji.

— Przyszliśmy tam mniej więcej dwadzieścia po dziewiątej. Wyszliśmy kwadrans po jedenastej, bo byliśmy już jedynymi gośćmi.

— A potem?

— Wybraliśmy się na przejażdżkę. Miłą przejażdżkę. Nie chcę przez to powiedzieć, że gdzieś zaparkowaliśmy. Ona nie jest taka. Jeździliśmy po prostu po okolicy, rozmawialiśmy, słuchaliśmy muzyki.

— Do kiedy?

— Odwiozłem ją do domu kilka minut po pierwszej.

— I przyjechałeś tutaj?

— Tak.

— I puściłeś sobie pornosy z facetem, który chłoscze kobietę.

— No dobrze. Wiem, kim jestem, ale wiem również, kim mogę być.

Billy podszedł do nocnej szafki i podniósł słuchawkę telefonu. Miała długi przewód. Podał ją Zillisowi.

— Zadzwoń do niej.

— Jak to, teraz? Billy, jest trzecia w nocy.

— Zadzwoń do niej. Powiedz, jak świetnie się bawiłeś dziś wieczorem, jaka jest wyjątkowa. Jeśli jej to powiesz, nie będzie miała za złe, że ją obudziłeś.

— Nie jesteśmy jeszcze w takich stosunkach. — Zillis się zmarwił. — Pomyśli, że jestem nienormalny.

— Zadzwońisz do niej i dasz mi posłuchać waszej rozmowy — powiedział Billy — albo wetknę ci w ucho pistolet i przestrzelę mózg. Co ty na to?

Dłonie Zillisa trzęsły się tak mocno, że dwa razy źle wybrał numer. Udało mu się dopiero za trzecim razem.

Kucając za swoim więźniem i wciskając lufę pistoletu w bok Zillisa, żeby nie wpadł mu do głowy jakiś głupi pomysł, Billy słuchał, jak Mandy Pollard odbiera telefon i dziwi się, że jej nowy narzeczony dzwoni do niej o tej porze.

— Nie przejmuj się — dodała. — Nie obudziłeś mnie. Leżałam po prostu w łóżku i gapiłam się w sufit.

Zillis miał drżący głos, ale Mandy mogła łatwo uznać, że denerwuje się, dzwoniąc o tak późnej porze i wyznając jej uczucia bardziej bezpośrednio, niż to być może zrobił wcześniej.

Billy słuchał przez kilka minut, jak podsumowują spędzony ze sobą wieczór, kolację i przejażdżkę, a potem dał znak Zillisowi, żeby kończył.

Mandy Pollard spędziła wieczór z tym mężczyzną, a nie można było o niej powiedzieć, że jest jakąś stukniętą poszukiwaczką mocnych wrażeń, która świadomie zadaje się z łajdakami.

Steve Zillis zjadł kolację z Mandy. Skoro tak, nie mógł być świrem, który posadził Ralphi Cottle'a na sofie w salonie Lanny'ego i przygwozdził dłoń Billy'ego do podłogi.

# 65

— Zostawię cię przykutego do łóżka — powiedział Billy, chowając pistolet do kabury na biodrze.

Zillis przyglądał się temu z ulgą i pewną dozą nieufności. Billy wyrwał kabel telefonu ze ściany i z aparatu, zwinął go i włożył do torby na chleb.

— Nie chcę, żebyś do kogoś dzwonił, zanim będziesz miał dość czasu, żeby ochłonąć i zastanowić się nad tym, co powiem.

— Naprawdę mnie nie zabijesz?

— Naprawdę. Zostawiam klucz do kajdanek na blacie w kuchni.

— Dobrze. W kuchni. Ale co mi to daje?

— Kiedy wyjdę, możesz zdjąć materac i sprężyny z ramy łóżka. Rama trzyma się na śrubach i mutrach, prawda?

— Tak. Ale...

— Możesz odkręcić mutry palcami.

— A jak są zardzewiałe?

— Wprowadziłeś się zaledwie sześć miesięcy temu. Nie zardzewiały w ciągu sześciu miesięcy. Jeśli są mocno dokręcone, poruszaj ramą, spróbuj obluzować połączenia. Jakoś sobie poradzisz.

— Jakoś sobie poradzę, jasne, ale nadal nie wiem dlaczego, do diabła, to zrobiłeś. Nie wierzysz chyba, że zabiłem Judith Kesselman, tak jak powiedziałaś. Wiem, że w to nie wierzysz. O co ci chodziło?

— Nie będę ci nic wyjaśniał — odparł Billy wkładając pojemnik z gazem do torby na chleb — a ty nie będziesz chciał nic wiedzieć. Wiesz mi, nie będziesz chciał.

— Spójrz na mnie — zajęczał Zillis. — Pieką mnie oczy. Siedzę w kałuży, na litość boską. To jest takie upokarzające. Uderzyłeś mnie pistoletem, rozbiłeś mi głowę, skrzywdziłeś mnie, Billy.

— Mogło być gorzej — zapewnił go Billy. — Mogło być o wiele gorzej.

Uznając widocznie jego słowa za groźbę, Zillis przybrał bardziej ugodową postawę.

— Dobrze. W porządku. Słyszę cię. Nic mi nie jest.

— W zależności od tego, jak mocno dokręcone są śruby, będziesz potrzebował godziny albo dwóch, żeby się uwolnić. Klucz do kajdanek będzie w kuchni. Kiedy go użyjesz, zacznij się pakować.

Zillis zamrugnął oczyma.

— Co?

— Zadzwoń do Jackiego i powiedz, że odchodzisz.

— Nie chcę odejść.

— Bądź realistą, Steve. Nie będziemy się codziennie spotykać. Nie po tym, czego ja dowiedziałem się o tobie, i nie po tym, czego ty dowiedziałeś się o mnie. Będziesz musiał stąd wyjechać.

— Dokąd?

— Nie obchodzi mnie dokąd. Gdzieś poza okręg Napa.

— Podoba mi się tutaj. Poza tym nie stać mnie, żeby się stąd zaraz wyprowadzić.

— W piątek pójdziesz do tawerny po swoją ostatnią wypłatę — powiedział Billy. — Zostawię dla ciebie kopertę u Jackiego. W środku będzie dziesięć tysięcy dolarów gotówką. To pozwoli ci zacząć gdzieś nowe życie.

— Nic nie zrobiłem, ale całe moje życie ma lec w gruzach? To nie w porządku.

— Masz rację. To nie w porządku. Ale tak to wygląda. Twoje meble to szmelc. Możesz je wyrzucić. Spakuj rzeczy osobiste i w piątek wieczorem wynieś się z miasta.

— Mogę wezwać gliniarzy. Mogę złożyć skargę.

— Naprawdę? Chcesz, żeby gliniarze zobaczyli miejsce przestępstwa, chcesz, żeby tutaj łazili, oglądali sadystyczne pornosy i manekiny w sąsiednim pokoju?

Chociaż nie przestał się bać, Zillis był w wystarczającym stopniu rozżalony, żeby się nabzdyczyć.

— Kto ci powiedział, że możesz grać rolę Boga?

Billy potrząsnął głową.

— Jesteś żalosny, Steve. Bierz dziesięć tysięcy, ciesz się, że żyjesz, i wynoś się stąd. I jeszcze jedno: nigdy więcej nie dzwoń do Mandy Pollard.

— Chwileczkę. Nie możesz...

— Nie dzwoń do niej, nie spotykaj się z nią. Nigdy.

— Dzięki niej mógłbym się zmienić, Billy.

— To miła dziewczyna. Porządna dziewczyna.

— O to właśnie mi chodzi. Wiem, że mógłbym wziąć się w karby, gdybym...

— Kobieta może czasem skierować mężczyznę na dobrą drogę — powiedział Billy. — Ale nie kogoś, kto tkwi w takim szambie jak ty. Jeśli do niej zadzwonisz albo się z nią spotkasz, dowiem się. I znajdę cię. Wierzysz mi?

Zillis nie odezwał się.

— A jeśli jej dotkniesz — dodał Billy — zabiję cię. Jak mi Bóg miły, zabiję cię, Steve.

— To nie w porządku — mruknął Zillis.

— Wierzysz mi? Lepiej, żebyś mi uwierzył, Steve — rzekł Billy, kładąc dłoń na rękojęści tkwiącego w kaburze pistoletu.

— Hej. Dobrze. Słyszę, co mówisz — zapewnił go Zillis.

— To dobrze. Teraz wychodzę.

—I tak mi się tu nie podobało. Winnica to po prostu inna nazwa farmy. Nie jestem chłopakiem ze wsi — powiedział Zillis.

—Nie, nie jesteś — odparł od drzwi Billy.

—Nic się tutaj nie dzieje.

—Nie ma czadu — zgodził się Billy.

—Wal się.

—Szerokiej drogi, Kemosabe — dodał Billy.

# 66

Po przejechaniu pół mili od domu Zillisa Billy dostał takich dreszczy, że musiał zatrzymać się przy krawężniku, zgasić silnik i wziąć się w garść.

Poddany presji, stał się kimś, kim najbardziej pogardzał. Przez chwilę był Johnem Palmerem.

Zapłacenie Zillisowi dziesięciu tysięcy dolców bynajmniej tego nie zmieniało.

Gdy dreszcze ustąpiły, nie zapalił silnika, ponieważ nie wiedział, gdzie ma jechać dalej. Czuł, że znalazł się na krawędzi. Kiedy stoi się na krawędzi, nie rusza się do przodu.

Chciał jechać do domu, ale wiedział, że to nie pomoże mu rozwiązać zagadki.

Chciał jechać do domu, żeby tam po prostu być. Rozpoznał znajome pragnienie ucieczki. W domu mógł usiąść przy swoim roboczym stole nad blokami dębiny i powiedzieć światu, żeby go trafił szlag.

Tyle że w takim wypadku jego też trafi szlag wraz z całym światem. Nie mógł zabrać ze sobą do domu Barbary, a jeżeli zostawi ją samą, narażoną na niebezpieczeństwo, pozbawi się jedyne go pretekstu, żeby żyć.

Wydarzenia skłoniły go do działania, do zanurzenia się w nurcie

życia, lecz mimo to czuł się odizolowany i skrajnie zdesperowany.

Zbyt długo już nie siał ziarna i teraz nie zbierał plonów. Jego przyjaciele byli co najwyżej znajomymi. Chociaż życie nie płynię poza społecznością, on nie należał do żadnej.

W gruncie rzeczy jego sytuacja była gorsza od izolacji. Przyjaciele, których mógł określić najwyżej mianem znajomych, obecnie nie byli nawet znajomymi, byli podejrzanymi. Samotność, w którą się schronił, nie różniła się wiele od paranoi.

Ruszając w końcu z miejsca, nie miał pojęcia, dokąd jedzie. Niczym ptak dawał się nieść prądom nocy, uważając jedynie, żeby nie runąć w dół i nie popaść w absolutną rozpacz, zanim pojawi się jakiś promyk nadziei.

Podczas krótkiej wizyty w domu Ivy Elgin dowiedział się o niej więcej aniżeli w ciągu kilku lat, kiedy ze sobą pracowali.

I chociaż lubił Ivy, teraz wydawała mu się o wiele bardziej tajemnicza niż wówczas, kiedy wiedział o niej znacznie mniej.

Nie sądził, by była w jakikolwiek sposób związana z popełniającym morderstwa świrem. Ale to, czego doświadczył z ojcem i matką, nauczyło go, że nie można być pewnym nikogo.

Harry Avarkian był miłym człowiekiem i dobrym adwokatem — lecz również jednym z powierników, którzy sprawowali pieczę nad siedmioma milionami dolarów, i nie należało zapominać, na jaką był wystawiony pokusę. Przed poznaniem Barbary Billy był tylko raz w domu Harry'ego. Barbara trochę go ucywilizowała. Zachodzili do Harry'ego na kolację kilka razy w roku — ale odkąd zapadła w śpiączkę, Billy składał mu wizyty wyłącznie w kancelarii.

Harry Avarkian był jego znajomym. Jednak w gruncie rzeczy go nie znał.

Myśli Billy'ego krążyły wokół doktora Ferriera, co było szaleństwem. Wybitni lekarze nie grasują po okolicy, zabijając ludzi.



Tyle że doktor Ferrier chciał, żeby Billy zabił wraz z nim Barbarę Mandel. Chciał, by usunięto z jej żołądka sondę, przez którą była odżywiana. By pozwolono jej umrzeć. Zagłodzono ją na śmierć.

Jeśli chce się decydować za inną osobę — niecierpiącą w widoczny sposób — w którym momencie jakoś jej życia obniża się w wystarczającym stopniu, by nie opłacało się ponosić dalszych kosztów jej leczenia, czym różni się wyciągnięcie wtyczki z gniazdka od pociągnięcia za spust?

Śmieszne. A przecież nie znał Ferriera nawet w połowie tak dobrze, jak swojego ojca, który obalając całą wiedzę, jaką posiadał na jego temat, zamachnął się stalowym oczkowym kluczem z błyskiem okrutnej radości w oczach.

John Palmer. Człowiek, którego żądza władzy była widoczna jak na dłoni, ale którego wewnątrz było równie tajemnicze jak obca planeta.

Im dłużej Billy zastanawiał się nad ludźmi, których znał, tym mocniej skłaniał się do przekonania, że zabójca jest kimś zupełnie obcym. I nie wiadomo dlaczego, był tym coraz bardziej wzburzony.

Powtarzał sobie, by dbać i nie dbać, by siedzieć w ciszy.

Aby posiadać to, czego nie posiadasz, musisz wyzbyć się posiadania.

A to, czego nie wiesz, jest jedyną rzeczą, którą wiesz.

Prowadząc samochód i mimo to pozostając w wewnętrznym bezruchu, po krótkiej chwili zajechał, nie zdając sobie z tego wcale sprawy, na parking dla ciężarówek. Zaparkował w tym samym miejscu co poprzednio, przed restauracją.

Bolała go lewa ręka. Kiedy zacisnął ją w pięść i rozprostował, poczuł, że spuchła. Vicodin przestawał działać. Nie wiedział, czy powinien go znowu zażyć, ale na pewno powinien lyknać motrin.

Był głodny, jednak na myśl o kolejnym batoniku zrobiło mu się niedobrze. Potrzebował kolejnej kofeinowej szprycy, ale nie miał ochoty na następną tabletkę.

Nie przejmując się tym, że eksplorator pozbawiony jest bocznej szyby, wsunął pistolet i rewolwer pod siedzenie kierowcy i wszedł do restauracji.

O 3.40 nad ranem miał do wyboru wszystkie boksy.

Czterech kierowców siedziało na stołkach przy barze, popijając kawę i zjadając placki.

Obsługiwała ich postawna kelnerka z karkiem obrońcy futbolowego i anielską twarzą. W gęstych ufarbowanych na kruczoczarny kolor włosach miała zawiązane żółte kokardki.

Billy usiadł przy barze.

# 67

Jeśli wierzyć przypiętemu do uniformu identyfikatorowi, kelnerka miała na imię Jasmine. Zwracała się do Billy'ego „skarbie” i podała mu czarną kawę i cytrynowe ciastko, które zamówił.

Kiedy usiadł przy barze, Jasmine i kierowcy pogrążeni byli w ożywionej rozmowie. Z tego, jak się do siebie zwracali, wynikało, że jeden z mężczyzn nosi ksywkę Kędzior, drugi Arvin. Nikt nie zwracał się do trzeciego inaczej jak „ty”. Czwarty miał w górnej szczęce złoty ząb.

Z początku rozmawiali o zaginionym kontynencie Atlantydy. Arvin twierdził, że ta legendarna cywilizacja upadła, ponieważ Atlantydzii zajmowali się inżynierią genetyczną i wyhodowali potwory, które ich zniszczyły.

W tym momencie rozmowa przeszła szybko na klonowanie oraz badania DNA. Kędzior wspomniał, że w Princeton, Harvardzie lub Yale, w tej czy innej z tych jaskiń szatana, naukowcy starają się stworzyć świnię z ludzkim mózgiem.

— Nie sądzę, żeby to była jakaś nowość — powiedziała Jasmine.  
— Powiem wam, że przez wszystkie te lata miałam okazję spotkać dość dużo ludzkich świń.

— Po co hodować uczłowieczoną świnię? — zastanawiał się Arvin.

— Po to, żeby była — odparł Ty.

— To znaczy?

— To tak jak z górami — wyjaśnił Ty. — Góry po prostu są i pewni ludzie muszą się na nie wspinać. Tak samo inni ludzie muszą stworzyć uczłowieczoną świnie, bo wydaje im się, że mogą to zrobić.

— Co by robiła taka świnia? — zapytał Złoty Ząbek.

— Nie sądzę, żeby hodowali ją to po, by pracowała — powiedział Kędzior.

— Chyba chcą, żeby coś robiła — zaprotestował Złoty Ząbek.

— Jedno jest pewne — oznajmiła Jasmine — aktywiści dostaną szału.

— Jacy aktywiści? — zapytał Arvin.

— Jedni albo drudzy — odparła. — Kiedy będziemy mieli świnie z ludzkimi mózgi, nikomu nie będzie już wolno jeść szynki ani boczku.

— Nie bardzo rozumiem dlaczego — mruknął Kędzior. — Szynka i boczek nadal będą wytwarzane ze zwykłych świń, tych, które nie zostały uczłowieczone.

— Chodzi o solidarność — wyjaśniła Jasmine. — Jak usprawiedliwicie jedzenie szynki i boczku, kiedy wasze dzieciaki będą chodziły do szkoły z mądrymi świniami i zapraszały je do siebie?

— Nigdy do tego nie dojdzie — powiedział Ty.

— Nigdy — zgodził się Arvin.

— Dojdzie do tego — oznajmiła Jasmine — że ci głupcy, którzy bawią się ludzkimi genami, zrobią coś głupiego i wszyscy przez nich zginiemy.

Żaden z czterech kierowców nie zaprotestował. Billy też tego nie zrobił.

Złoty Ząbek nadal uważał, że naukowcy przewidują jakieś zajęcie dla uczłowieczonych świń.

— Nie wydadzą na coś milionów dolarów dla samej zabawy, nie ci ludzie — rzekł.

— Ależ owszem — odparła Jasmine. — Dla tych ludzi pieniądze nie mają znaczenia. I tak do nich nie należą.

— To pieniądze podatników — stwierdził Kędzior. — Twoje i moje.

Billy odezwał się raz czy drugi, lecz na ogół słuchał, znając na pamięć rytm podobnych rozmów i czując, jak w dziwny sposób czerpie z nich otuchę.

Kawa była mocna. Placek miał wspaniałą cytrynowy smak i pieczoną bezę na górze.

Billy dziwił się, że jest taki spokojny. Że siedzi przy barze i przysłuchuje się rozmowie.

— Chcecie pogadać o marnowaniu pieniędzy — powiedział Złoty Ząbek — to spójrzcie na to cudactwo, które budują przy autostradzie.

— Masz na myśli to, co stoi naprzeciwko tawerny i co mają spaścić, kiedy tylko skończą? — zapytał Arvin.

— No, ale jest wielka sztuka — przypomniała im z przekąsem Jasmine.

— Nie bardzo widzę, dlaczego to ma być sztuka — rzekł Ty. — Czy to, co jest sztuką, nie powinno przetrwać?

— Facet zarobi miliony dolców, sprzedając szkice, które do tego zrobił — poinformował ich Kędzior. — Wypromuje się na sto różnych sposobów.

— Czy ktoś może ot tak ogłosić się artystą? — zapytał Złoty Ząbek. — Czy nie musi zdać jakiegoś egzaminu albo nie wiem?

— Twierdzi, że jest wyjątkowym artystą — oznajmił Kędzior.

— Takiego wała wyjątkowym — mruknął Arvin.

— Bez obrazy, skarbie — powiedziała Jasmine — ale twój wał nie zrobił na mnie wyjątkowego wrażenia.

— Twierdzi, że jest artystą performerem — wyjaśnił Kędzior.

— Co to ma znaczyć?

— Moim zdaniem to oznacza sztukę, której nie tworzy się po to,

żeby przetrwała — ciągnął Kędzior. — Tworzy się ją, żeby coś osiągnęła, a kiedy to osiągnie, jest już po wszystkim.

— Czym wypełnią muzea za sto lat? — zapytał Ty. — Będą stały puste?

— Nie będzie żadnych muzeów — odparła Jasmine. — Muzea są dla ludzi. Za sto lat nie będzie żadnych ludzi. Tylko uczłowieczone świnie.

Billy zastygł w bezruchu. Siedział z filiżanką przytkniętą do ust i z otwartymi ustami, nie będąc w stanie przełknąć łyku.

— Nie smakuje ci kawa, skarbie? — zapytała Jasmine.

— Nie, nie. Jest świetna. Właściwie napiłbym się jeszcze. Podajecie kawę w kubkach?

— Mamy potrójną porcję w plastikowym pojemniku. Nazywamy ją Wielką Szprycą.

— Poproszę — powiedział Billy.

# 68

W przylegającej do restauracji alkwie urządzono kafejkę internetową. Do sieci podłączonych było sześć komputerów.

Przy jednym z nich siedział kierowca ciężarówki, stukając w klawiaturę, klikając myszką i nie odrywając wzroku od ekranu. Może sprawdzał rozkłady przewozów, w coś grał lub przeglądał strony porno.

Komputer był przyśrubowany do stołu, na którym znajdowało się również miejsce na jedzenie. W specjalnym wgłębieniu zmieściła się Wielka Szpryca Billy'ego.

Ponieważ nie znał adresu strony Valisa, zaczął od ogólnych stron poświęconych sztuce performance i tam znalazł link do [www.valisvalisvalis.com](http://www.valisvalisvalis.com).

Artysta miał oryginalną, ciekawą stronę. Billy obejrzał kolorowy film australijskiego mostu, do którego Valis przymocował dwadzieścia tysięcy czerwonych baloników. Zobaczył, jak wszystkie jednocześnie pękły.

Przeczytał kilka oświadczeń artysty na temat jego konkretnych projektów. Były górnolotne i mało zrozumiałe, naszpikowane zgrzytliwym żargonem współczesnej sztuki.

W napuszonym wywiadzie Valis twierdził, że każdy wielki artysta jest „rybakiem ludzi, ponieważ chce wywierać wpływ na dusze, a nawet zawładnąć duszami” tych, którzy oglądają jego dzieła.

Valis pomagał adeptom zrozumieć lepiej intencje każdego ze swoich projektów, podsuwając im trzy linijki „duchowych wskazówek”. Każda linijka składała się z trzech słów. Billy przestudiował kilka z nich.

Z portfela wyjął kartkę z zawierającym sześć linijek tekstem z dyskietki, którą znalazł w złożonych jak do modlitwy dłoniach Ralpha Cottle'a. Rozłożył ją płasko na stole.

Pierwsza linijka: Ponieważ ja również jestem rybakiem ludzi.

Piąta linijka: Moje ostatnie zabójstwo: czwartek o północy.

Szosta linijka: Twoje samobójstwo: wkrótce potem.

Druga, trzecia oraz czwarta linijka były niepokojąco podobne do „duchowych wskazówek”, które Valis podsuwał swoim miłośnikom, aby mogli w pełni docenić jego prace.

Pierwsza linijka odnosiła się zawsze do stylu projektu, stylu inscenizacji. W tym wypadku polegał on na „okrucieństwie, przemocy, śmierci”.

Druga linijka określała techniki, dzięki którym artysta miał zamiar stworzyć dzieło sztuki. W przypadku Billy'ego technika polegała na „ruchu, szybkości, uderzeniu”.

Trzecia linijka określała materiał lub materiały, w których Valis miał zamiar tworzyć. W bieżącej inscenizacji tworzywem były „ciało, krew i kości”.

Najbardziej skuteczni zabójcy są czasami wagabundami, nieuznającymi żadnych więzi wędrowcami, którzy pokonują wielkie odległości między miejscami swoich zbrodni.

Świr nie traktował zabijania jako gry. Tylko częściowo traktował je jako inscenizację. Najważniejsza była dla niego sztuka, sztuka zabijania.

Ze stron poświęconych sztuce performance Billy dowiedział się, że ten artysta śmierci zawsze unikał fotografów. Valis twierdził, że sztuka powinna być ważniejsza od tego, kto ją tworzy. Rzadko udawało się go sfotografować.

Taka filozofia sprawiła, że choć zyskał sławę i bogactwo, zachował pewien stopień anonimowości.

Na stronie [www.valisvalisvalis.com](http://www.valisvalisvalis.com) znajdował się jego oficjalny



portret. Nie była to fotografia, ale realistyczny rysunek ołówkiem, wykonany przez samego artystę.

Autoportret nie był do końca wierny, lecz Billy od razu go rozpoznał. To był pijący heinekena gość, który w poniedziałkowe popołudnie wysłuchał cierpliwie opowieści Neda Pearsalla o tym, jak Henry Friddle zginął ugodzony przez ogrodowego krasnala.

Interesujący z ciebie facet, Billy Zza Baru.

Świr już wówczas znał nazwisko Billy'ego, udawał jednak ignorancję. Musiał o nim wiedzieć prawie wszystko. Z przyczyn, które mógł zrozumieć tylko Valis, Billy Wiles został zidentyfikowany, prześwietlony i wybrany do tej inscenizacji.

Wśród widniejących pod portretem tekstów zobaczył napis **CZEŚĆ, BILLY.**

Chociaż dawno już stracił zdolność dziwienia się, przypatrywał mu się przez całą minutę.

W końcu przesunął kursor na napis i kliknął.

Portret zniknął i na ekranie pojawiła się instrukcja: **POZIOM PRYWATNY — WPISZ HASŁO.**

Billy upił trochę kawy, a potem wpisał **WILES** i wcisnął **ENTER.**

Natychmiast pojawiła się odpowiedź: **DOBRY JESTEŚ.**

Te dwa słowa widniały przed nim przez dziesięć sekund, a potem ekran zgasł.

Tylko to i nic więcej.

Pojawił się ponownie rysunek ołówkiem. Pośród wyszczególnionych pod nim możliwości nie było już napisu **CZEŚĆ, BILLY.**

# 69

Żadne światła nie rozjaśniały masywnego trójwymiarowego muralu. Koła napędowe i zamachowe, przekładnie, tłoki, sztaby, rury i inne dziwne urządzenia ginęły w mroku.

Udręczona i osaczona gigantyczna ludzka postać nadal zmagą się w milczeniu ze swoim losem.

Żółto-fioletowy namiot stał w girlandach cienia, ale w oknach wielkiego autobusu mieszkalnego paliło się zachęcające burzoczynowe światło.

Billy zatrzymał się najpierw na pasie awaryjnym autostrady i przyjrzał pojazdowi z odległości.

Szesnastu artystów i rzemieślników, którzy budowali mural pod kierunkiem Valisa, nie mieszkało na placu budowy. Mieli zarezerwowane na sześć miesięcy pokoje w motelu Vineyard Hills Inn.

Jednak Valis mieszkał tu przez cały czas. Autobus mieszkalny był podłączony do wody i elektryczności.

Jego ścieki były dwa razy w tygodniu wypompowywane przez Zakład Usług Asenizacyjnych Glena. Glen Gortner cieszył się ze sławy, jaką może w związku z tym zyskać jego firma, chociaż prywatnie uważał, że „mógłby również wypompować mural”.

Nie wiedząc, czy ma się zatrzymać, czy po prostu minąć to miejsce, Billy zjechał z łagodnie nachylonego nasypu na łąkę, i zatorywszy krąg, stanął po drugiej stronie autobusu mieszkalnego.

Drzwi do kabiny kierowcy stały otworem. Padające z nich światło oświetlało schodki i leżącą na ziemi wycieraczkę.

Billy przez jakiś czas nie gasił silnika, trzymając jedną stopę na hamulcu, drugą na pedale gazu.

Większość okien nie była zasłonięta. Nikogo za nimi nie widział.

Tylko okna z tyłu, za którymi prawdopodobnie znajdowała się sypialnia, miały zasłony. Również tam paliło się światło, przefiltrowane przez złotą tkaninę.

Nie ulegało wątpliwości, że jest oczekiwany.

Nie miał ochoty korzystać z zaproszenia. Chciał odjechać. Nie miał dokąd.

Niecałe dwadzieścia godzin pozostało do północy, kiedy zgodnie z zapowiedzią miało nastąpić „ostatnie zabójstwo”. Barbara nadal była w niebezpieczeństwie.

Poza dowodami rzeczowymi, które zostawił na zwłokach, Valis mógł podrzucić inne obciążające Billy'ego dowody. Policja zacznie wkrótce podejrzewać, że jest związany z zaginięciem Lanny'ego, Ralpha Cottle'a i rudowłosej młodej kobiety.

Gdzieś w jego domu lub garażu, być może zakopana w ogródku, była ręka Giselle Winslow. Oraz z pewnością inne „pamiątki”.

Billy wrzucił luz, zgasił reflektory, ale nie wyłączył silnika.

Przy pograżonym w mroku namiocie stał lincoln navigator. Valis używał go najwyraźniej do przejażdżek po okolicy.

Dobry jesteś.

Billy naciągnął nowe lateksowe rękawiczki.

Lewa dłoń była trochę spuchnięta, ale nie bolała.

Żałował, że zażył vicodin u Lanny'ego. W odróżnieniu od innych leków przeciwbólowych vicodin pozostawia w miarę jasny umysł,

lecz Billy obawiał się, że zginie, jeśli jego zdolności percepcyjne i refleks zostaną stepione choćby odrobinę.

Może działanie leku zneutralizują tabletki kofeinowe i kawa. Oraz ciasto cytrynowe.

Billy zgasił silnik. W pierwszej chwili miał wrażenie, że znalazł się w domu głuchych.

Wiedząc, że ma do czynienia z nieprzewidywalnym przeciwnikiem, był gotów zarówno do starcia na śmierć i życie, jak i do innych działań.

W kwestii wyboru broni zdecydował się na rewolwer kalibru .38, ponieważ znał go lepiej. Miał już z niego okazję zabić.

Wysiadł z explorera.

Nocną ciszę zdążył zakłócić śpiew świerszczy i rechot ropuch. Chorągiewki na namiocie poświstywały w lekkich podmuchach wiatru.

Billy podszedł do otwartych drzwi autobusu. Stał w padającym świetle, ale na razie nie wchodził po stopniach.

— Niewykluczone, że Barbara będzie mogła żyć dalej — odezwał się ze środka głos przefiltrowany przez wysokiej klasy głośniki systemu dźwiękowego, który najwyraźniej służył również jako interkom.

Billy wspiął się po schodkach.

W kabinie kierowcy znajdowały się dwa stylowe fotele obrotowe. Były obite czymś, co przypominało strusią skórę.

Drzwi zatrasnęły się automatycznie za Billym. Podejrzał, że zostały zablokowane.

W wykonanym na specjalne zamówienie pojeździe kabina kierowcy oddzielona była ścianką od części mieszkalnej. Czekwały na niego kolejne otwarte drzwi.

Wszedł do jaskrawo oświetlonej kuchni. Wszystko było tu utrzymane w miodowych i kremowych odcieniach. Marmurowa podłoga, klonowe fronty szafek o zaokrąglonych okrętowych konturach. Wyjątkiem były blaty z czarnego granitu oraz urządzenia z nierdzewnej stali.

— Mógłbym zrobić wczesne śniadanie, jeśli masz ochotę — odezwał się z wbudowanych w sufit głośników łagodny i kuszący głos Valisa.

Marmurowymi płytkami wyłożona była również podłoga części jadalnej, w której mogło się wygodnie zmieścić sześć, a w ostateczności osiem osób.

Blat klonowego stołu intarsjowany był hebanizowanym wenge, karneolem oraz białym jak kość ostrokrzewem, które tworzyły przepłatający się motyw wstążki — bardzo drogi w produkcji i wymagający wyjątkowego mistrzostwa.

Przez łukowate drzwi w kolejnej ścianie działowej Billy wszedł do dużego salonu.

Żadna z tkanin nie kosztowała tu mniej niż pięćset dolarów za jard, dywan dwa razy tyle. Umeblowanie było współczesne, ale liczne japońskie brązy pochodziły z okresu Meiji.

Według kilku gości tawerny, którzy czytali o tym autobusie mieszkalnym w Internecie, kosztował on ponad półtora miliona. Nie obejmowało to brązów.

Tego rodzaju pojazdy nazywano czasami „lądowymi jachtami”. Nie było w tym cienia przesady.

Zamknięte drzwi po drugiej stronie salonu prowadziły niewątpliwie do sypialni i łazienki. Powinny być zamknięte.

Valis musiał schronić się w tej ostatniej reducie.

Czujny, skoncentrowany, a przede wszystkim dobrze uzbrojony.

Billy obrócił się, słysząc za sobą cichy dźwięk.

Ścianka oddzielająca salon od części jadalnej wykończona była przepięknymi bambusowymi panelami, które podjechały teraz powoli do góry, odsłaniając schowane za nimi gablety.

W tej samej chwili z cichym pneumatycznym trzaskiem, który go zaskoczył, zjechały w dół rolety ze szczotkowanej nierdzewnej stali, zasłaniając wszystkie okna.

Billy nie sądził, by te rolety miały wyłącznie dekoracyjną funkcję. Przedostanie się przez nie i wyjście przez któreś z okien mogło się okazać bardzo trudne, może nawet niemożliwe.

W trakcie projektowania i instalacji określano je najprawdopodobniej mianem „zabezpieczeń”.

Zza unoszących się bambusowych paneli wyłaniały się kolejne gabloty. Z głośników popłynął ponownie głos Valisa.

— Możesz obejrzeć moją kolekcję. Ten zaszczyt stał się udziałem niewielu. Ty jeden będziesz miał szansę wyjść stąd cały i zdrowy po jej obejrzeniu. Miłych wrażeń.

# 70

Znajdujące się za bambusowymi panelami wnęki były obite czarnym jedwabiem. Kolekcja mieściła się w przejrzystych szklanych słojach dwóch rozmiarów.

Podstawka każdego z nich tkwiła w wyżłobionym w niszy wgłębieniu. Pokryte czarną emalią imadło trzymało pokrywkę, przytwierdzając ją do spodu wyższej półki.

Żaden z tych pojemników nie mógł się poruszyć w czasie jazdy. Żaden nie mógł nawet zabrzączeć.

Każdy ze słoików oświetlony był znajdującą się pod spodem lampką światłowodową, co sprawiało, że jego zawartość jarzyła się na tle czarnego jedwabiu. Kiedy światła w salonie przygasły, żeby spotęgować efekt, Billy'emu przyszły na myśl akwaria.

W tych małych szklanych światach nie było ryb, lecz pamiątki morderstwa. W płynie konserwującym pływały twarze i ręce.

Każda twarz była upiorna, każda przypominała unoszącą się w wodzie bladą modliszkę. Jej rysy trudno było odróżnić od innych.

Dłonie różniły się od siebie, mówiły o każdej z ofiar więcej aniżeli ich twarze. Eteryczne i dziwne, sprawiały mniej makabryczne wrażenie, niż mógł się spodziewać.

— Czyż nie są piękne? — zapytał Valis głosem, który przypominał trochę głos HALA 9000 z Odysei kosmicznej 2001.

— Są smutne — odparł Billy.

— Cóż za dziwne słowo — zaprotestował Valis. — Wprawiają mnie w zachwyt.

— We mnie budzą rozpacz.

— Rozpacz jest dobra — stwierdził Valis. — Rozpacz może być punktem zwrotnym w czyimś życiu i startem do nowego, lepszego życia.

Billy nie odwrócił się od kolekcji ze wstrętem lub z lękiem. Zakładał, że jest obserwowany przez kamery. Valis najwyraźniej przywiązywał wagę do jego reakcji.

Poza tym, chociaż eksponaty mogły budzić rozpacz, odznaczały się również pewną makabryczną elegancją, były na swój sposób fascynujące.

Kolekcjoner nie był na tyle wulgarny, by włączyć do zbioru pierśi lub genitalia.

Billy podejrzewał, że Valis nie gwałci swoich ofiar, nie zabija po to, by osiągnąć jakąkolwiek seksualną satysfakcję. Robiąc to, przynawaby się przynajmniej do jednego aspektu dzielonego z nimi człowieczeństwa. Najwyraźniej uważał się za istotę nie z tego świata.

Artysta nie zepsuł również kolekcji krzykliwymi i groteskowymi akcentami. Nie było w niej gałek ocznych ani narządów wewnętrznych.

Wyłącznie twarze i dłonie, twarze i dłonie.

Wpatrując się w iluminowane słoje, Billy pomyślał o mimach, całych w czerni poza upudrowanymi na biało twarzami i dłońmi w białych rękawiczkach.

Mimo perwersji czuć tu było artystyczną duszę.

— Poczucie równowagi — powiedział Billy, opisując swoje wrażenia. — Harmonia linii, wrażliwość na formę. I co chyba najważniejsze, wstrzeźliwość, która jest czysta, lecz nie pedantyczna.

Valis się nie odezwał.



To dziwne, lecz stojąc twarzą w twarz ze śmiercią i nie pozwalając, by ogarnął go lęk, Billy przestał w końcu uciekać przed życiem, otworzył się na nie.

— Czytałem twój zbiór opowiadań — powiedział Valis.

— Recenzując twoje prace — odparł Billy — nie zachęcałem do recenzowania moich.

Zaskoczony Valis parsknął śmiechem, w którym zabrzmiała nutka życzliwości.

— Właściwie twoja proza wydała mi się fascynująca i silna. Billy milczał.

— To opowiadania człowieka, który poszukuje — kontynuował Valis. — Znasz prawdę życia, ale krążysz wokół niej, krążysz i krążysz, nie chcesz jej zaakceptować, nie chcesz posmakować.

Billy odwrócił się od gablot i podszedł do najbliższej rzeźby Meiji, przedstawiającej dwie wijące się ryby, odtworzone z kunsztowną prostotą. Brąz został pieczołowicie wytrawiony, by naśladować barwę i fakturę zardzewiałego żelaza.

— Władza — rzekł Billy. — Władza jest częścią prawdy życia.

Valis czekał za zamkniętymi drzwiami.

— I pustka — dodał Billy. — Próżnia. Otchłań.

Podszedł do kolejnego brązu: odzianego w długą szatę mędrca, przy którym stał jeleń. Mędrzec był brodaty i uśmiechnięty, jego szata inkrustowana złotem.

— Mamy do wyboru chaos albo kontrolę — podjął Billy. — Mając władzę, możemy tworzyć. Mając władzę i czyste intencje, tworzymy sztukę. A sztuka jest jedyną odpowiedzią na chaos i pustkę.

— Tylko jedna rzecz wiąże cię z przeszłością — powiedział po krótkim milczeniu Valis. — Mogę cię od niej uwolnić.

— Poprzez kolejne morderstwo? — zapytał Billy.

— Nie. Ona może żyć dalej, a ty możesz rozpocząć nowe życie... kiedy się dowiesz.

— Co takiego wiesz, o czym ja nie wiem?

— Barbara — powiedział Valis — żyje Dickensem.

Zaskoczony Billy wciągnął głośno powietrze w płuca, uświadamiając sobie, że to prawda.

— Będąc u ciebie w domu, Billy, przejrzałem zeszyty, w których notowałeś to, co mówiła w śpiączce.

— Naprawdę?

— Pewne frazy, pewne zdania wydawały mi się znajome. Na półkach w salonie stoją dzieła wszystkie Dickensa... należały do niej?

— Tak.

— Miała słabość do Dickensa.

— Przeczytała wszystkie jego powieści po kilka razy.

— Ale ty nie.

— Dwie albo trzy — odparł Billy. — Dickens nigdy mnie nie porwał.

— Chyba za wiele w nim życia — powiedział Valis. — Jak na ciebie za dużo w nim wiary i wylewności.

— Chyba tak.

— Zna tak dobrze te historie, że przeżywa je we śnie. Słowa, które wypowiada w śpiączce, następują po sobie w pewnych rozdziałach.

— Pani Joe — powiedział Billy, przypominając sobie ostatnią wizytę u Barbary. — Czytałem tę książkę. Żona Joego Gargery, siostra Pipa, agresywna jędza. Pip mówi na nią „pani Joe”.

— Wielkie nadzieje — potwierdził Valis. — Barbara przeżywa wszystkie książki, ale na ogół pociągają ją historie lżejszego kalibru, rzadziej horror Opowieści o dwóch miastach.

— Nie zdawałem sobie...

— Woli, żeby śniła jej się Opowieść wigilijna, aniżeli okropności rewolucji francuskiej — zapewnił go Valis.

— Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale ty na to wpadłeś.

— Tak czy inaczej nie wie, co to strach ani ból, ponieważ każda historia jest jej dobrze znana, sprawia jej przyjemność i dodaje otuchy.

Billy podszedł do następnej rzeźby w brązie i minął ją.

— Nie potrzebuje niczego, co mógłbyś jej dać — powiedział Valis. — I niczego ponad to, co już ma. Żyje Dickensem i nie wie, co to strach.

Domyślając się, czego trzeba, by wywabić artystę z kryjówki, Billy położył rewolwer na antycznym ołtarzu shinto po lewej stronie drzwi do sypialni. A potem cofnął się na środek salonu i usiadł w fotelu.

# 71

Przystojniejszy niż na wykonanym ołówkiem autoportrecie, który można było oglądać w sieci, Valis wszedł do salonu.

Zabrał z uśmiechem rewolwer z ołtarza i sprawdził go.

Przy fotelu, na którym usiadł Billy, stał na małym stoliku kolejny brąz z epoki Meiji — pulchny, uśmiechnięty pies trzymający na smyczy żółwia.

Valis podszedł bliżej z bronią. Podobnie jak Ivy Elgin poruszał się z gracją tancerza — jakby grawitacja nie mogła sprawić, by podeszwy jego butów przywarły płasko do podłogi.

Gęste kruczoczarne włosy, przyprószone siwizną na skroniach. Ujmujący uśmiech. Szare oczy rozświetlone, przejrzyste, bezpośrednie.

Miał prezencję gwiazdora filmowego. Pewność siebie króla. Spokój mnicha.

Stając przed fotelem, wycelował z rewolweru w twarz Billy'ego.

— To ta broń — powiedział.

— Tak.

— Zabiłeś z niej własnego ojca.

— Tak.

— Jakie to uczucie?

— Przeróżające — odparł Billy, wpatrując się w lufę.

- A kiedy zabijałeś matkę, Billy?
- Poczucie słuszności.
- Zabicie jej wydawało ci się słuszne?
- W tamtym momencie, w tamtej chwili.
- A później?
- Później nie byłem już taki pewien.
- Zło jest dobre. Dobro jest złe. Wszystko zależy od punktu widzenia, Billy.
- Billy się nie odezwał.
- Aby dojść do tego, czym nie jesteś, iść musisz drogą, na której nie ma ciebie.
- Kogo nienawidzisz, Billy? — zapytał Valis, zerkając na niego znad muszki.
- Nie sądzę, żebym kogoś nienawidził.
- To dobrze. To zdrowe. Miłość i nienawiść wyczerpują umysł, nie pozwalają jasno myśleć.
- Bardzo podobają mi się te brązy — powiedział Billy.
- Czyż nie są wspaniałe? Można podziwiać ich formę, fakturę, niesamowity talent artysty i jednocześnie mieć w nosie filozofię, która za nimi stoi.
- Zwłaszcza ryby.
- Dlaczego akurat ryby?
- Iluzja ruchu. Wrażenie prędkości. Wydają się takie swobodne.
- Prowadziłeś powolne życie, Billy. Może jesteś gotów na trochę ruchu. Czy jesteś gotów na prędkość?
- Nie wiem.
- Przypuszczam, że wiesz.
- Na coś jestem gotów.
- Przyszedłeś tutaj w złych zamiarach — powiedział Valis. Billy podniósł ręce w poręczy fotela i przyjrzał się swoim lateksowym rękawiczkom. Ściągnął je z dłoni.
- Czy to wydaje ci się dziwne, Billy?
- Absolutnie.
- Potrafisz sobie wyobrazić, co się zaraz zdarzy?

— Niezbyt jasno.

— Zależy ci na tym?

— Nie tak bardzo, jak się spodziewałem.

Valis pociągnął za spust. Kula przebiła szerokie oparcie fotela, dwa cale od ramienia Billy'ego.

Podświadomie musiał spodziewać się strzału. Oczyma wyobraźni zobaczył kruka na parapecie, nieruchomego, cichego i czujnego kruka. Potem rozległ się huk, a on nie podskoczył, nawet nie mrugnął, lecz pozostał w bezruchu zen.

Valis opuścił broń i usiadł w fotelu naprzeciwko.

Billy zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu.

— Mogłem zabić cię na dwa sposoby, nie wychodząc z sypialni — oznajmił Valis.

Mówił z całą pewnością prawdę. Billy nie zapytał, na czym polegały te sposoby.

— Musisz być bardzo zmęczony — rzekł Valis.

— Bardzo.

— Jak twoja ręka?

— W porządku. Łyknąłem vicodin.

— A czoło?

— Szlachetne.

Billy zastanawiał się, czy jego gałki oczne poruszają się pod powiekami, tak jak to czasami widział u Barbary, gdy coś jej się śniło. Miał wrażenie, że są nieruchome.

— Planowałem dla ciebie trzecią ranę — powiedział Valis.

— Czy to nie może poczekać do przyszłego tygodnia?

— Wesoły z ciebie facet, Billy.

— Nie jest mi wcale wesoło.

— Odczuwasz ulgę?

— Mmm.

— Czy to cię dziwi?

— Tak. — Billy otworzył oczy. — A ciebie?

— Nie — odparł artysta. — Zobaczyłem w tobie potencjał.

— Kiedy?

— W twoich opowiadaniach. Zanim cię jeszcze w ogóle poznałem.

— Valis położył rewolwer na stoliku przy swoim fotelu. — Ten potencjał widać wyraźnie na każdej stronie. Kiedy poznałem bliżej twój życiorys, ten potencjał stał się bardziej oczywisty.

— To, że zabiłem rodziców.

— Nie tylko to. Utrata zaufania.

— Rozumiem.

— Bez zaufania umysł nie może odpoczywać w spokoju.

— Nie może odpocząć — potwierdził Billy. — Nie ma prawdziwego odpoczynku.

— Bez zaufania nie może być wiary. Wiary w dobroć. Wiary w integralność. Wiary w cokolwiek.

— Wiesz o mnie więcej niż ja sam.

— No cóż, jestem starszy — wyjaśnił Valis. — I bardziej doświadczony.

— O wiele bardziej doświadczony — zgodził się Billy. — Od jak dawna planowałeś tę inscenizację? Chyba nie od tego poniedziałku w barze.

— Długie tygodnie — odparł Valis. — Wielka sztuka wymaga przygotowań.

— Czy przyjąłeś zamówienie na mural, ponieważ tu mieszkałem, czy zamówienie było pierwsze?

— To stało się jednocześnie. I całkiem nieoczekiwanie. Często tak się zdarza.

— Zadziwiające. I oto tu jesteśmy.

— Tak, oto jesteśmy.

— Ruch, prędkość, uderzenie — powiedział Billy, przytaczając słowa, którymi Valis określił styl tej produkcji.

— Biorąc pod uwagę kierunek, w jakim podąża ta inscenizacja, powinienem to chyba poprawić na „Ruch, prędkość, wolność”.

— Jak u ryb.

— Tak. Jak u ryb. Czy pragniesz wolności, Billy?

— Tak.

— Ja jestem całkowicie wolny.

— Jak dawno zacząłeś...? — zapytał Billy.

— Trzydzieści dwa lata temu. Od szesnastego roku życia. Kilka pierwszych prób było zenujących. Prymitywna rąbanina. Żadnej kontroli. Żadnej techniki. Zupełny brak stylu.

— Ale teraz....

— Teraz stałem się tym, kim jestem. Znasz moje imię?

Billy spojrział w szare błyszczące oczy.

— Tak — odpowiedział za niego Valis. — Widzę, że znasz. Znasz moje imię.

Billy'emu przyszła do głowy pewna myśl i zaciekawiony pochylił się do przodu w fotelu.

— Czy inni członkowie twojej ekipy...

— Czy co?

— Czy z nimi też odniosłeś wcześniej sukces?

Valis uśmiechnął się.

— Och, nie. Żaden z nich nigdy nie widział mojej kolekcji. Ludzie tacy jak ty i ja... jesteśmy rzadcy, Billy.

— Chyba tak.

— Chciałbyś pewnie o wiele rzeczy zapytać.

— Może kiedy się trochę prześpię.

— Jakiś czas temu byłem w domu Lanny'ego Olsena. Wyszprzątałeś go do czysta.

Billy skrzywił się.

— Chyba nie podrzuciłeś tam kolejnych dowodów?

— Nie, nie. Wiedziałem, że zbliżamy się do tej chwili i nie ma potrzeby dręczyć cię dalej. Obszedłem po prostu dom, podziwiając, jak pracuje twój umysł, jaki jesteś dokładny.

Billy ziewnął.

— Dowody poszlakowe. Budzą we mnie lęk.

— Musisz być bardzo zmęczony.

— Jestem skonany.

— Mam tylko jedną sypialnię, ale możesz przespać się na sofie.

Billy potrząsnął głową.

— To mnie zadziwia.



— Że jestem taki gościnnie?

— Nie. Że tu jestem.

— Sztuka przeobraża, Billy.

— Czy będę czuł się inaczej, kiedy się obudzę?

— Nie — odparł Valis. — Dokonałeś już wyboru.

— Te sofy wydają się takie czyste, a ja jestem cały uświniony.

— Nie szkodzi — powiedział Valis. — Są specjalnie impre-  
gnowane.

Kiedy wstawali jednocześnie z foteli, Billy wyciągnął spod pod-  
koszulka pojemnik z gazem łzawiącym.

Najwyraźniej zaskoczony, Valis próbował odwrócić głowę.

Znajdowali się w odległości zaledwie dziesięciu stóp od siebie i  
Billy prysnął mu prosto w oczy.

Sięgając na oślep po leżący na stoliku rewolwer, Valis potracił  
go i zrzucił na podłogę.

Billy pochylił się i podniósł broń. Valis wymachiwał rękoma w  
powietrzu, próbując go złapać.

Obchodząc od tyłu świra, Billy walnął go w tył czaszki kolbą  
rewolweru, a potem poprawił jeszcze raz.

Valis runął twarzą na podłogę bez śladu swojej normalnej gracji.  
Billy ukląkł, żeby sprawdzić, czy świr stracił przytomność. Był nie-  
przytomny.

Valis nosił koszulę wsadzoną w spodnie. Billy wysunął ją i na-  
ciągnął mu na głowę, związując razem poły i formując z nich ciasny  
kaptur.

Nie chodziło o to, żeby zawiązać Valisowi oczy, ale żeby zało-  
żyć mu coś w rodzaju bandażu, na wypadek gdyby zaczął krwawić z  
przeciętej kolbą rewolweru głowy.

Nie chciał, żeby krew zachlapała dywan.

# 72

Billy wciągnął na dłonie lateksowe rękawiczki i zabrał się do pracy.

Sypialnia była urządzona z jeszcze większym przepychem niż reszta domu na kołach. W łazience lśniły i migotały marmury, szkło, fazowane lustra i pozłacana armatura.

Sensorowy ekran, wbudowany ukośnie w górną część klonowego biurka, pozwalał zarządzać wszystkimi systemami elektronicznymi — od muzyki po środki bezpieczeństwa.

Aby uaktywnić ekran, trzeba było najwyraźniej wprowadzić kod. Na szczęście Valis nie zamknął systemu po podniesieniu bambusowych paneli i opuszczeniu stalowych rolet.

Wszystkie kontrolki były opatrzone napisami zrozumiałymi nawet dla idioty. Billy otworzył drzwi frontowe.

Valis leżał nadal nieprzytomny i bezwładny w salonie, w koszuli zawiązanej na głowie.

Billy przeciągnął go z salonu przez jadalnię i kuchnię do kabiny kierowcy, a potem wywłókł po schodkach na zewnątrz.

Została jeszcze najwyższej godzina zmroku. Cienki sierp księżyca kosił teraz gwiazdy po zachodniej stronie nieboskłonu.

Billy zaparkował wcześniej explorera między namiotem i autobusem, tak żeby nie widać go było z autostrady. Nie przejeżdżały nią żadne samochody.

Powlókł Valisa do swojej terenówki.

Nikt nie mieszkał w okolicy. W tawernie po drugiej stronie autostrady od kilku godzin nikogo nie było.

Kiedy Valis strzelił w fotel, nikt tego nie usłyszał.

Billy podniósł tylną klapę i rozłożył w bagażniku jedną z pikowanych kołder, którymi zamaskował owinięte w płachtę ciało biednego Ralpa Cottle'a.

Leżący na ziemi Valis poruszył się, zaczął jęczeć.

Billy poczuł nagle, że słabnie, nie tyle w wyniku fizycznego zmęczenia, ile wyczerpania serca i umysłu.

Świat obraca się i świat się zmienia, ale jedna rzecz nie ulega zmianie. Bez względu na to, jak ją przedstawimy, ta rzecz nigdy się nie zmienia: odwieczna walka Dobra ze Złem.

Billy wziął kolejną kołdrę i uklęknął przy słynnym artyście. Wsuwając rewolwer między pikowane fałdy, używając ich jako tłumika, posłał pięć pozostałych nabożów w pierś świra.

Tym razem nie miał odwagi sprawdzać, czy ktoś usłyszał strzały. Natychmiast rozłożył na ziemi dymiącą kołdrę i zawinął w nią trupa.

Włożenie zwłok do exploraera okazało się trudniejsze, niż sądził. Valis był cięższy od wychudłego Ralpa Cottle'a.

Gdyby go ktoś filmował, nakręciłby klasyczny kawałek makabrycznej komedii. To była jedna z owych chwil, kiedy Billy zastanawiał się nad Bogiem; nie wątpił w jego istnienie, lecz po prostu się nad nim zastanawiał.

Kiedy Valis został załadowany i zawinięty, Billy zatrzasnął klapę i wrócił do autobusu.

Pocisk wystrzelony przez Valisa przeszedł przez wyściełane oparcie fotela i odbił się od ściany, niszcząc fragment boazerii. Billy próbował prześledzić jego dalszą drogę.

Ponieważ z tego właśnie rewolweru zostali zabici jego ojciec i matka, jego dane były w policyjnej kartotece. Billy poważnie wątpił, by na nie natrafiono, ale nie chciał ryzykować.

Po kilku minutach odnalazł zużytą łuskę pod stolikiem do kawy. Schował ją do kieszeni.

Policja rozpozna, że dziura w oparciu fotela powstała w wyniku strzału. Będzie wiedziała, że użyto broni, i nie można było na to nic poradzić.

Nie będą jednak wiedzieć, czy strzał został oddany do Valisa, czy przez niego. Bez śladów krwi nie zdołają ustalić, w stosunku do kogo, jeśli w ogóle wobec kogokolwiek, użyto przemocy.

Obracając się powoli dookoła i wracając myślą do niedawnych chwil, Billy próbował sobie przypomnieć, czy w trakcie krótkiego okresu, kiedy był bez rękawiczek, dotykał jakichś powierzchni, z których można pobrać odciski palców. Nie. Nie zostawił żadnych śladów.

Nie podniósł stalowych żaluzji. Nie opuścił bambusowych paneli, które zasłoniłyby kolekcję twarzy i dłoni.

Wychodząc z autobusu, nie zamknął za sobą drzwi. Otwarte, zapraszały do środka.

Cóż to będzie za niespodzianka dla wytwornego grona artystów i rękodzielników.

Kiedy wjechał z powrotem na jezdnię, autostradą nie przejeżdżał żaden samochód.

Jeśli zostawił w kurzu jakieś ślady opon, powinna je zatrzeć przybywająca za kilka godzin ekipa.

# 73

Wrócił do szczeliny wulkanicznej inną drogą, żeby nie połamać tych samych zarośli co przedtem.

Kiedy zdejmował pokrywę z sekwojowego drewna, nad górami na wschodzie pojawiła się wąska poszarpana rana stosownego w tych okolicznościach krwawego świtu.

Modlitwa nie wydawała się stosowna.

Zupełnie jakby ciężar właściwy jego ciała był większy niż ciężar właściwy trzech innych zwłok, Valis zsunął się w głąb głodnego szybu szybciej aniżeli poprzedzający go zmarli.

— Takiego wała starszy i bardziej doświadczony — mruknął Billy, kiedy ucichły odgłosy spadającego ciała. A potem przypomniał sobie, że powinien wrzucić do szczeliny także portfel Lanny'ego, i założył z powrotem pokrywę.

Noc zmagąca się daremnie z wczesnym brzaskiem, kiedy zaparkował explorera na podwórku za garażem Lanny'ego i wszedł do domu.

Był czwartek, drugi z dwóch dni, kiedy Lanny miał wolne. Nikt nie powinien się o niego niepokoić i szukać go w domu aż do piątku.

Chociaż Valis oświadczył, że po poprzedniej wizycie Billy'ego

nie podrzucił żadnych nowych dowodów, Billy postanowił ponownie przeszukać dom. Pewnym ludziom po prostu nie należy ufać.

Zaczął od pietra, poruszając się w rozważnym rytmie skrajnego zmęczenia, i w żadnym pomieszczeniu nie znalazł nic obciążającego.

Po powrocie do kuchni wyjął szklanę z szafki i nalał sobie zimnej wody z kranu. Na dłoniach miał nadal rękawiczki i nie musiał się bać, że zostawi odciski palców.

Zaspokoiwszy pragnienie, wymył szklanę, wytarł ją papierowym ręcznikiem i wstawił z powrotem do szafki.

Czuł, że coś jest nie w porządku.

Podjeżdżał, że pominął jakiś szczegół, który go pograży. Że otepliał ze zmęczenia spostrzegł jakiś obciążający dowód, nie zdając sobie sprawy z jego znaczenia.

Wróciwszy po raz kolejny do salonu, obszedł sofę, na której Valis posadził zwłoki Ralpa Cottle'a. Nie było żadnych plam na meblu ani na dywanie wokół niego.

Podniósł poduszki, żeby sprawdzić, czy Cottle'owi coś nie wypadło z kieszeni. Nie znalazłszy nic, położył poduszki z powrotem.

Nadal nie mogąc się pozbyć irytującego przecucia, że coś przeoczył, usiadł, żeby się zastanowić. Nie chcąc ryzykować, że poplamili fotel, siadł po turecku na podłodze.

Przed chwilą zabił człowieka albo raczej kogoś w rodzaju człowieka, ale najbardziej przejmował się tym, że może pobrudzić tapicerkę. Pozostał grzecznym chłopcem. Uprzejmym małym dzikusiem.

Ta sprzeczność wydała mu się śmieszna i głośno się roześmiał. Im głośniej się śmiał, tym śmieszniej szła wydawała mu się historia z tapicerką. A potem śmiał się z własnego śmiechu, rozbawiony własną niestosowną wesołością.

Wiedział, że to niebezpieczny śmiech, że może rozplatać starannie zasupłany węzeł jego psychicznej równowagi. Wyciągnął się na

dywanie, płasko na plecach i wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

Po chwili przestał się śmiać, odetchnął jeszcze głębiej i nie wiadomo kiedy zapadł w sen.

# 74

Obudził się zdezorientowany. Widząc stojące dookoła nogi foteli i kanap, pomyślał, że zasnął w hotelowym holu, i dziwił się, jakie to uprzejme ze strony personelu, że nikt mu nie przeszkadzał.

A potem przypomniał sobie wszystko i kompletnie się rozbudził.

Wstając, złapał lewą dłonią poręcz sofy. Popełnił błąd. Rana po gwoździu była rozogniona. Krzyknął i o mało nie upadł z bólu.

Za zasłoniętymi oknami dzień był jasny, pora późna.

Zerkając na zegarek, zobaczył, że jest 17.02. Przespał prawie dziesięć godzin.

Ogarnięty paniką, poczuł, że serce trzepoce mu w piersi niczym oszalałe skrzydła. Jego nieusprawiedliwiona absencja mogła świadczyć o tym, że maczał palce w zaginięciu Valisa.

A potem przypomniał sobie, że zadzwonił do tawerny i uprzedził, że jest chory. Nikt się go nigdzie nie spodziewał. I nikt nie wiedział, że cokolwiek wiązało go z martwym artystą.

Jeśli policja w ogóle kogoś szukała, to samego Valisa, aby zapytać go o zawartość słoików w salonie.

Billy przeszedł do kuchni, wyjął szklanekę z szafki i napełnił ją wodą z kranu.



Grzebiąc w kieszeniach dzinsów, znalazł dwie tabletki anacinu i popił je wodą. Połknął także po jednej tabletkę cipro i vicodinu.

Przez chwilę zrobiło mu się niedobrze, a potem mdłości minęły. Być może wszystkie te lekarstwa wejdą w zabójczą interakcję i uśmiercą go w pół kroku, ale przynajmniej się nie wyrzyga.

Nie dręczyła go już obawa, że mógł przeoczyć jakieś obciążające go dowody. Ten lęk był oznaką wyczerpania. Wypoczęty i wyspany, przeanalizował wszystkie swoje posunięcia i doszedł do wniosku, że niczego nie pominął.

Zamknawszy dom, wsadził z powrotem klucz do dziury w pniu.

Korzystając z dziennego światła, podniósł tylną klapę explorera i sprawdził, czy w bagażniku nie ma śladów krwi Valisa. Ani jedna kropla nie przesączyla się przez kołdry, które zniknęły w szczelinie wulkanicznej razem ze zwłokami.

Odjeżdżał z domu Olsena z ulgą, ostrożnym optymizmem i rosnącym uczuciem triumfu.

Teren przy muralu Valisa wyglądał jak salon samochodowy, w którym sprzedają wyłącznie policyjne radiowozy.

Mnóstwo mundurowych kręciło się wokół autobusu mieszkalnego, namiotu i muralu. Musiał wśród nich być szeryf John Palmer, ponieważ na poboczu autostrady stały również, zderzak przy zderzaku, furgonetki telewizji.

Billy zdał sobie sprawę, że ma nadal na dłoniach lateksowe rękawiczki. W porządku. Żaden problem. Nikt nie mógł ich spostrzec i zastanawiać się, dlaczego je włożył.

Na parkingu przed tawerną brakowało wolnych miejsc. Wieści o Valisie i jego makabrycznej kolekcji przyciągnęły zarówno stałych, jak i nowych gości, którzy mogli teraz dyskutować o czymś innym, nie tylko o świniach z ludzkim mózgiem. Dobrze dla Jackiego.

Kiedy podjeżdżał pod swój dom, zrobiło mu się ciepłej na sercu.

Dom. Po śmierci artysty nie musiał już wymieniać zamków. Ponownie mógł się cieszyć bezpieczeństwem i prywatnością.

W garażu posprzątał explorera, wyrzucił śmieci do worka i zabrał elektryczny śrubokręt i inne narzędzia.

Gdzieś na jego posesji znajdowały się obciążające pamiątki, musiał ich po raz ostatni poszukać.

Stanąwszy w progu kuchni, pozwolił, by poprowadził go instynkt. Valis nie przywiózłby tutaj dłoni Giselle Winslow w słoju wypełnionym formaldehydem. Tego rodzaju pojemnik był zbyt nieporęczny i kruchy, by można go było podstępnie wykorzystać. Instynkt podsuwał najprostsze rozwiązanie.

Billy podszedł do lodówki i otworzył dolną szufladę zamrażalnika. Pośród pojemników z lodami i niedojedzonymi gotowymi daniami były dwa zawinięte w folię przedmioty, których nie rozpoznawał.

Rozpakował je na podłodze. Dwie dłonie, każda innej kobiety. Jedna z nich należała prawdopodobnie do rudej.

Valis użył nowej, nieprzywierającej folii. Producent powinien być zadowolony: folia spełniła właściwie swoje zadanie.

Zawijając z powrotem dłonie, Billy nie potrafił powstrzymać drżenia. Wydawało mu się, że zdołał się uodpornić na horror, ale to była nieprawda.

Przed końcem dnia powinien wyrzucić całą zawartość zamrażalnika. Nie doszło do żadnego skażenia, lecz na samą myśl o tym, co w nim było, robiło mu się niedobrze. Niewykluczone, że będzie musiał wyrzucić całą lodówkę.

Chciał jak najszybciej pozbyć się dłoni. Nie spodziewał się, że zaraz zapuka do drzwi policja z nakazem rewizji, ale i tak chciał się ich pozbyć.

Zakopanie ich gdzieś na terenie posesji nie wydawało się dobrym pomysłem. W najlepszym razie będą go prześladowały sny o tym, jak wygrzebują się ze swoich małych grobów i zakradają do domu.

Nie wiedząc, co z nimi zrobić, włożył je tymczasem do małej lodówki turystycznej.

Z portfela wyjął fotografię Ralpa Cottle'a w młodym wieku, jego legitymację Amerykańskiego Stowarzyszenia Sceptyków oraz zdjęcie rudej. Przechowywał je, mając mglistą nadzieję, że zdoła odwrócić sytuację i podrzucić dowody, które obciążąby świra. Teraz wrzucił je do turystycznej lodówki razem z dłońmi.

Miał również komórkę Lanny'ego, ale coś powstrzymywało go przed wrzuceniem jej do lodówki. Jakby ucięte dłonie mogły odwinąć się z folii i zadzwonić pod 911. Położył telefon na stole kuchennym.

Aby pozbyć się dłoni z domu, poszedł z lodówką do garażu i wstawił ją do explorera, na podłodze przed fotelem pasażera. Po wyjściu zamknął za sobą garaż na klucz.

Gorące popołudnie dobiegało końca. Szósta trzydzieści sześć.

Wysoko nad jego głową jastrząb kończył ostatnie tego dnia łowy.

Billy obserwował zataczającego coraz szersze kręgi ptaka.

A potem wrócił do domu, marząc o długim prysznicu, najgorętszym, jaki zdoła znieść.

Historia z kobiecymi dłońmi odebrała mu apetyt. Nie sądził, by mógł spokojnie zjeść kolację w domu. Być może powinien odwiedzić ponownie zajazd dla kierowców ciężarówek. Miał wrażenie, że jest winien kelnerce, Jasmine, jeszcze większy napiwek niż ten, który jej wcześniej zostawił.

Idąc korytarzem do łazienki, zobaczył światło w swoim gabinecie. Zerkając do środka, zobaczył, że rolety są spuszczone, tak jak je zostawił.

Nie pamiętał, czy zostawił zapaloną lampę na biurku, ale wychodził w pośpiechu, chcąc jak najszybciej pozbyć się zwłok Cottle'a. Zgasił lampę, nie obchodząc biurka.

Chociaż Cottle nie siedział już na sedesie, Billy nie potrafił o nim zapomnieć. Nie miał jednak innej łazienki i pragnienie wzięcia prysznicu okazało się silniejsze od wszelkich oporów.

Gorąca woda stopniowo uśmierzyła ból w mięśniach. Mydło miało wspaniały zapach.

Za zasłoną prysznicza kilka razy ogarniała go klaustrofobia i nie mógł się oprzeć przekonaniu, że obsadzono go w roli Janet Leigh w nowej wersji Psychozy, w której zmieniono płeć ofiary.

Na szczęście nie narobił sobie wstydu, zrywając zasłonę.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze będą go dręczyły podobne koszmary. Najprawdopodobniej do końca życia.

Wytarł się ręcznikiem, ubrał, opatrzył ponownie rany po haczykach na czole, a potem wszedł do kuchni, otworzył puszkę elephanta i popił nim dwie tabletki motrinu. Niepokoiła go trochę zaogniona rana na lewej dłoni.

Siedząc przy stole z piwem, próbował zajodynować ranę, następnie zaś spryskał ją opatrunkiem w sprayu.

Za oknem zapadał zmierzch.

Miał zamiar pojechać do Whispering Pines i posiedzieć tam kilka godzin. Uprzedził wcześniej kierowniczkę, że spędzi całą noc na modlitewnym czuwaniu; jednak teraz, mimo że przespał dziesięć godzin, nie sądził, by zdołał tam zostać tak długo. Po śmierci Valisa północ nie miała znaczenia.

Kiedy dopijał piwo, jego wzrok padł na mikrofalówkę. W środku spoczywała kamera wideo.

Zdał sobie sprawę, że przez cały czas się nagrywał. Także wówczas, gdy wyciągał ucięte ręce z zamrażalnika. Chociaż kamera miała szerokokątny obiektyw, nie sądził, żeby uchwyciła to wystarczająco wyraźnie, by nagranie można było uznać za dowód.

Mimo to...

Wyjął drabinę ze spiżarni. Wspiął się na nią i otworzył szafkę nad mikrofalówką.

Włączywszy tryb przewijania do tyłu, wpatrywał się w wyświetlacz, na którym widać było, jak chodzi tyłem po kuchni. Obiektyw nie uchwycił uciętych rąk.

Uświadamiając sobie nagle, że Valis mógł odwiedzić z jakiegoś powodu dom przed ich spotkaniem w autobusie mieszkalnym przed świtem, nie zakończył przewijania na swoim wejściu o szóstej po południu, lecz oglądał obraz dalej.

Nie musiał się cofać aż do poprzedniego dnia. O godzinie 15.07 tego samego dnia, gdy spał kamiennym snem w domu Olsena, jakiś mężczyzna wyszedł tyłem z salonu, przeciął kuchnię i zniknął za tylnymi drzwiami.

Intruzem nie był oczywiście Valis, ponieważ Valis w tym czasie już nie żył.

# 75

Billy nie mógł sobie przypomnieć numeru telefonu. Zadzwoił z komórki Lanny'ego do informacji w Denver, a oni połączyli go z detektywem Ramseyem Ozgardem.

Telefon dzwonił gdzieś w cieniu Gór Skalistych, a on przemierzał niecierpliwym krokiem pokój.

Być może Valis był pewien, że nawróci na swoją wiarę Billy'ego, ponieważ już wcześniej usidlił kogoś, zamiast go zniszczyć. Żaden z szesnastu członków jego ekipy nie był do niego podobny, ale to nie oznaczało, że artysta jest samotnym myśliwym.

Ramsey Ozgard odpowiedział po piątym dzwonku. Billy przedstawił się jako Lanny Olsen.

— Słyszę krew w pańskim głosie — powiedział Ozgard. — Niech mi pan powie, że dorwaliście waszego człowieka.

— Chyba go zaraz dorwiemy — odparł Billy. — Mamy tutaj podbramkową sytuację. Muszę wiedzieć... czy w tamtym roku, kiedy zaginęła Judith Kesselman, mieliście na uniwersytecie profesora o nazwisku Valis?

— Nie profesora — sprostował Ozgard. — Valis był artystą i mieszkał na kampusie przez sześć miesięcy. Pod sam koniec zrobił coś dziwnego, co nazywał sztuką performance. Owinął dwa budynki tysiącami jardów niebieskiego jedwabiu i obwiesił je...

— Steve Zillis miał doskonałe alibi — przerwał mu Billy.

— Żelazne — zapewnił go Ozgard. — Mogę panu wszystko opowiedzieć, jeśli ma pan dziesięć minut.

— Nie mam. Ale niech mi pan powie... czy pamięta pan, na jakim kierunku studiował Zillis?

— Studiował sztukę.

— Sukinsyn.

Nic dziwnego, że Zillis nie chciał mówić o manekinach. Były nie tylko manifestacją chorych urojeń socjopatycznego zabójcy — były jego sztuką.

W tamtym momencie Billy nie znał jeszcze hasła, które pomogłoby mu zidentyfikować świra — sztuka performance. Znał tylko jedno słowo — performance, inscenizacja — a Zillis instynktownie nie chciał mu zdradzić drugiego, zwłaszcza że tak świetnie odgrywał rolę nieszkodliwego, maltretowanego zbrodniarza.

— Sukinsyn zasługuje na Oscara — powiedział Billy. — Wyjeżdżając od niego, czułem się jak najgorszy śmieć, bo tak go potraktowałem...

— Panie Olsen?

— Słynny i szanowany Valis poręczył za Steve'a Zillisa... prawda? Powiedział, że w dniu, kiedy zginęła Judith Kesselman, Steve był u niego na seminarium czy czymś w tym rodzaju.

— Zgadza się. Ale to ma sens, tylko jeżeli...

— Niech pan włączy wieczorne wiadomości, detektywie Ozgard. Kiedy zginęła Judith Kesselman, Steve i Valis pracowali razem. Udzielili sobie wzajemnie alibi. Muszę kończyć.

Billy pamiętał, żeby przed odłożeniem komórki Lanny'ego wcisnąć przycisk kończący rozmowę.

Wciąż miał jego pistolet i paralizator. Przyczepił kaburę Wilson Combat do paska.

Z szafy w sypialni zabrał sportową marynarkę i włożył ją, żeby ukryć pistolet. Paralizator wsunął do wewnętrznej kieszeni.

Co Steve robił tutaj po południu? Musiał już wtedy wiedzieć, że

jego mentor został wyłączony z gry, a kolekcja dłoni i twarzy ujawniona. Mógł nawet podejrzewać, że Valis nie żyje.

Billy przypomniał sobie, że w gabinecie paliło się światło. Zajrzał tam i tym razem obszedł dookoła biurko. Komputer był w trybie uśpionym. Pamiętał dobrze, że go wyłączył.

Kiedy poruszył myszką, na ekranie pojawił się dokument.

Czy tortury zdołają zbudzić ze śpiączki? Jej krew, jej okaleczenie będzie Twoją trzecią raną.

Billy przemknął przez dom. Zeskoczył z werandy, potknął się i pobiegł do samochodu.

Zapadła noc. Zahukała sowa. Skrzydła zatrzepotały pod gwiazdami.



# 76

O 9.06 na parkingu przed kliniką Whispering Pines stał tylko jeden samochód. Odwiedziny kończyły się o dziewiątej.

Nie zamknęli jeszcze drzwi. Billy pchnął je i podszedł do głównego stanowiska pielęgniarek.

Za kontuarem były dwie pielęgniarki. Znał obydwie.

— Umówiłem się, że zostanę dzisiaj... — zaczął.

Nagle zgasły wszystkie światła. Przestały się również palić latarnie na parkingu. W holu zrobiło się ciemno jak w wulkanicznej szczelinie.

Billy zostawił zdezorientowane pielęgniarki i ruszył w stronę zachodniego skrzydła.

Z początku szedł szybkim krokiem, ale po kilkunastu krokach wpadł po ciemku na fotel inwalidzki, złapał go i obmacał.

— Co się stało, co pan robi? — zapytała siedząca na nim wystraszona starsza kobieta.

— Wszystko w porządku, nic pani nie grozi — uspokoił ją i ruszył dalej.

Nie szedł już tak szybko i wyciągał przed siebie ręce, niczym starający się wymacać przeszkody ślepiec.

Na ścianach zapaliły się, a potem przygasły światła awaryjne. Po chwili ponownie zamigotały i zgasły.

— Proszę pozostać w swoich pokojach — oświadczył spokojny i

stanowczy męski głos. — Przyjdziemy po was. Proszę pozostać w swoich pokojach.

Światła awaryjne próbowały się znowu zapalić, lecz pulsowały nieregularnie, z jedną trzecią mocy.

Ich migotanie i skaczące cienie były dezorientujące, ale Billy wiedział dostatecznie dobrze, żeby nie zderzyć się z innymi ludźmi. Minął kolejną pielęgniarkę, sanitariusza i oszołomionego starszego mężczyznę w pizamie...

Zaczął wyć elektroniczny alarm przeciwpożarowy. Nagrany głos wydawał instrukcje dotyczące ewakuacji.

Kobieta z balkonikiem złapała Billy'ego za rękaw, chcąc, żeby ją poinformował, co się dzieje.

— Wszystko jest pod kontrolą — zapewnił ją i pośpieszył dalej.

Po chwili znalazł się w zachodnim skrzydle.

Przed sobą, po prawej stronie zobaczył otwarte drzwi.

W pokoju było ciemno. Nie paliły się awaryjne światła. Billy zaślaniał własnym ciałem padający z korytarza słaby blask.

Trzask zamykanych drzwi, kakofonia zatrzaskiwanych drzwi, które nie były wcale drzwiami, lecz jego sercem.

Macając przed sobą drogę, ruszył w stronę łóżka. Powinien już do niego dotrzeć. Dał kolejne dwa kroki. Łóżka nie było.

Obrócił się wokół własnej osi, machając przed sobą rękoma. Znalazł wyłącznie barowy stołek.

Barbara miała łóżko na kółkach. Ktoś ją stąd zabrał.

Wyskoczywszy z powrotem na korytarz, spojrział w lewo i w prawo. Kilku pacjentów wyszło ze swoich pokojów. Pielęgniarka ustawiała ich w szeregu do wyjścia.

W tańczącym światłocieniu Billy zobaczył w drugim końcu korytarza mężczyznę, który toczył przed sobą łóżko, zbliżając się szybko do migającego czerwonego napisu WYJŚCIE.

Ruszył biegiem, wymijając pacjentów, pielęgniarki i utkane z cienia zjawy.

Mężczyzna rąbnął łóżkiem w drzwi przy końcu korytarza, które otworzyły się z hukiem.

Jakaś pielęgniarka złapała Billy'ego za ramię, zatrzymując go. Próbował się wyrwać, ale trzymała go całkiem mocno.

— Niech mi pan pomoże wydostać stąd chorych, którzy są przykuci do łóżek — powiedziała.

— Nie ma żadnego pożaru.

— Na pewno gdzieś się pali. Musimy ich ewakuować.

— Moja żona — wydyszał, chociaż on i Barbara nigdy nie wzięli ślubu. — Moja żona potrzebuje pomocy.

Wyrwał się pielęgniarce, o mało jej nie wywracając i pobiegł w stronę migoczącego napisu WYJŚCIE.

Pchnął drzwi i wybiegł na zewnątrz. Na zarezerwowanym dla personelu parkingu stały wózki na śmieci, samochody i pojazdy terenowe.

Przez chwilę nie widział ani mężczyzny, ani łóżka.

Tam. Ambulans czekał w odległości trzydziestu stóp, po lewej stronie, z zapalonym silnikiem. Szerokie tylne drzwi były otwarte. Facet popychający łóżko prawie do nich dotarł.

Billy wyciągnął pistolet, ale nie miał odwagi go użyć. Mógł postrzelić Barbarę.

Biegąc po asfalcie, schował pistolet do kabury i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki paralizator.

Steve usłyszał go w ostatniej chwili. W rękę miał pistolet. Odwrócił się i dwukrotnie strzelił.

Billy sięgał już pod jego ramię. Kule przeleciały mu nad głową.

Wbił końcówkę paralizatora w podbrzusze Steve'a i wcisnął przycisk. Wiedział, że zadziała przez cienkie ubranie, ale nie upewnił się wcześniej, czy są w nim świeże baterie.

Zillis zadygotał, kiedy ładunek elektryczny poraził jego układ nerwowy. Nie upuścił po prostu pistoletu, ale odrzucił go od siebie. Ugięły się pod nim kolana. Padając, rąbnął głową o zderzak ambulansu.

Billy kopnął go. Celował w głowę. Po chwili kopnął go jeszcze raz.

Zaraz powinna się zjawić straż pożarna. Policja. Wcześniej czy później szeryf John Palmer.

Przyłożył rękę do twarzy Barbary. Jej oddech musnął jego dłoń. Nic jej się chyba nie stało. Czuł, jak porusza oczyma pod powiekami, śniąc Dickensa.

Zerkając na budynek kliniki, zobaczył, że z zachodniego skrzydła nikt się jeszcze nie ewakuował.

Odsunął łóżko Barbary na bok.

Leżący na ziemi Steve dygotał i jęczał, udając nieudolnie atak epilepsji.

Billy poraził go znowu paralizatorem, który schował do kieszeni.

Następnie złapał świra za pasek i kołnierz koszuli i podniósł z asfaltu. Nie sądził, że będzie miał siłę wepchnąć Zillisa do ambulansu, ale panika spowodowała przypływ adrenaliny.

Kłykcie prawej dłoni świra i tył jego czaszki waliły w niekontrolowany sposób o podłogę ambulansu.

Billy zatrzasnął drzwi, złapał za poręcz łóżko Barbary i pchnął je w stronę budynku kliniki.

Drzwi otworzyły się, kiedy miał do nich niespełna dziesięć stóp. Pojawił się w nich sanitariusz prowadzący pacjenta z balkonikiem.

— To moja żona — powiedział Billy. — Zabrałem ją na zewnątrz. Zaopiekuje się pan nią, kiedy ja postaram się pomóc innym?

— Jasna sprawa — zapewnił go sanitariusz. — Odtoczę ją na bezpieczną odległość na wypadek, gdyby wybuchł pożar.

Popędzając mężczyznę z balkonikiem, który starał się dotrzymać mu kroku, sanitariusz odsunął łóżko z Barbarą nie tylko od budynku, lecz również od czekającego ambulansu.

Siadając za kierownicą i zamykając drzwi, Billy usłyszał, jak świr wali o coś piętami i wydaje z siebie zduszone odgłosy, które mogły być przekleństwami.

Nie wiedział, jak długo trwają efekty porażenia prądem. Być może nie powinien się modlić o dłuższe konwulsje, ale zrobił to.

Odnalazł ręczny hamulec i dźwignię biegów, podjechał pod front kliniki i zaparkował ambulans przy swoim explorerze.

Ludzie wychodzili z budynku na parking. Byli zbyt zaaferowani, by się nim interesować.

Billy przełożył lodówkę turystyczną z uciętymi dłońmi do ambulansu i odjechał stamtąd. Dopiero po dwóch przecznicach zdołał zlokalizować dźwignię, która włączała syrenę i światła na dachu.

Kiedy mijali jadące z Vineyard Hills wozy strażackie, ambulans było dobrze słychać i widać.

Uznał, że im bardziej będzie zwracał na siebie uwagę, tym mniej wyda się podejrzany. Jadąc na południowy wschód, przekroczył wszelkie limity prędkości, po czym skręcił na autostradę stanową, która prowadziła na wschód, w stronę domu Olsena.

Kiedy od miasta dzieliły go dwie mile i po obu stronach autostrady ciągnęły się winnice, usłyszał, że świr mamrocze już coś z sensem i obja się o ściany ambulansu, usiłując wstać.

Wówczas zjechał na pobocze, zatrzymał się i nie wyłączając migoczących na dachu światel, przecisnął się między siedzeniami do tyłu.

Zillis klęczał i próbował się desperacko podnieść, trzymając się przytwierdzonej do ściany butli z tlenem. Oczy lśniły mu niczym u kojota w nocy.

Billy ponownie poraził go prądem i Zillis zwałił się w konwulsjach na podłogę. Paralizator nie był jednak śmiertelną bronią.

Gdyby strzelił do świra, krew mogła zachlapać podtrzymującą życie aparaturę, co byłoby niedopuszczalne. I mogło posłużyć za dowód rzeczowy.

Na noszach leżały dwie cienkie poduszki z gąbki. Billy złapał obie.

Leżąc na plecach na podłodze i kręcąc na boki głową, Zillis nie panował w ogóle nad mięśniami.

Billy skoczył kolanami na jego pierś, pozbawiając go tchu i łamiąc przy okazji więcej niż jedno żebro, po czym przycisnął mu poduszki do twarzy.

Świr zaciekle walczył o życie, ale nie udało mu się wygrać tej walki.

Billy niemal nie potrafił tego skończyć. Myślał o Judith Kesselman, o jej żywych oczach i wesołym uśmiechu. Zastanawiał się, czy Zillis wbił w nią zaostrzony żelazny pręt, czy odrąbał jej czubek czaszki, kiedy jeszcze żyła, i czy wręczył go jej niczym puchar.

Wreszcie było już po wszystkim.

Szlochając, lecz bynajmniej nie oplakując Zillisa, Billy usiadł ponownie za kierownicą i wjechał na autostradę.

Dwie mile przed zjazdem do domu Olsena wyłączył syrenę oraz migające na dachu światła i zwolnił poniżej dozwolonej prędkości.

Ponieważ alarm w Whispering Pines był fałszywy, straż pożarna nie powinna tam długo zabawić. Kiedy zwróci ambulans, parking dla personelu powinien ponownie opustoszeć.

Zostawił elektryczny śrubokręt w domu, ale był pewien, że Lanny też taki ma. Będzie musiał go od niego pożyczyć. Lanny nie będzie miał nic przeciwko.

Podjeżdżając pod dom, zobaczył sierp księżycy, tej nocy trochę grubszy niż poprzedniej. Srebrna klinga wydawała się chyba trochę ostrzejsza.

# 77

Przez cały rok dolinę zamieszkują gołębie skalne i pręgosterne, pasówki śpiewne i jeszcze bardziej od nich muzykalne junko.

Długoskrzydłe i długoogoniaste pustułki amerykańskie również zostają tu przez cały rok. Ich charakterystyczne upierzenie jest jaskrawe i pogodne. Przenikliwy czysty śpiew brzmi jak killy-killy-killy-killy, co nie powinno być zbyt przyjemne dla ucha, ale jest.

Billy kupił nową lodówkę. I kuchenkę mikrofalową.

Rozbił również ścianę i połączył swój gabinet z salonem, ponieważ miał zamiar korzystać z tej przestrzeni inaczej niż poprzednio.

Po wybraniu pogodnego, maślanożółtego koloru pomalował na nowo wszystkie pokoje.

Wyrzucił stare dywany i meble i kupił nowe, ponieważ nie wiedział, gdzie siedziała albo leżała ruda, kiedy była duszona bądź też zabijana w inny sposób.

Zastanawiał się, czy nie zburzyć domu i nie zbudować go na nowo, ale uświadomił sobie, że domy nie są nawiedzane przez duchy. To my jesteśmy nawiedzani i niezależnie od architektury, którą się otaczamy, duchy towarzyszą nam, dopóki sami się nimi nie stanemy.

Kiedy nie pracował w domu lub za barem w tawernie, siedział w pokoju w Whispering Pines albo na frontowej werandzie, czytając powieści Charlesa Dickensa, aby poznać lepiej świat, w którym żyła Barbara.

Z nadejściem jesieni piwki leśne odlatują z doliny i aż do wiosny nie słychać ich pi-didip, pi-didip. Migruje również większość empidonek małych; tylko nieliczne adaptują się i zostają.

O Valisie trąbiono w mediach aż do jesieni, zwłaszcza w tabloidach i tych programach telewizyjnych, które nie odróżniają kupczenia wynaturzeniami od dziennikarstwa śledczego. Powinni jeszcze żywić się nim co najmniej przez rok, podobnie jak dzięcioły różowoszyje żywią się larwami w żołądźkach, chociaż natura nie wyposażyła dziennikarzy w imperatyw, w który wyposażyła dzięcioły.

Steve'a Zillisa powiązano z Valisem. Okazało się, że widywano ich obu — w przebraniu, lecz rozpoznawalnych — w Ameryce Południowej, Azji oraz najbardziej złowrogich rejonach byłego Związku Radzieckiego.

Lanny'ego Olsena uznano za zmarłego, ale jakimś dziwnym trafem został również bohaterem. Nie był detektywem, lecz zwykłym zastępcą szeryfa i nigdy nie był ofiarnym policjantem; jednak jego telefony do Ramseya Ozgarda z policji w Denver wskazywały, że miał powody, by podejrzewać Zillisa i ostatecznie również Valisa.

Nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego Lanny nie zwierzył się ze swoich wątpliwości zwierzchnikowi. Szeryf Palmer oświadczył jedynie, że Lanny był zawsze „samotnym wilkiem, który odnosił największe sukcesy, gdy pracował w nieortodoksyjny sposób” i z jakiegoś powodu nikt się nie roześmiał i nie zapytał, co do diabła przez to rozumie.

Według jednej z teorii — dość popularnej w tawernie — Lanny postrzelił i ranił Valisa, lecz w tym samym momencie pojawił się Steve Zillis, który zamordował Lanny'ego, a następnie odjechał ze zwłokami, żeby się ich pozbyć, i z rannym artystą, aby wykurować



go w jakiejś kryjówce, wiadomo bowiem, że wszyscy zarejestrowani lekarze muszą informować o ranach postrzałowych.

Nikt nie wiedział, jakim pojazdem uciekł Steve, ponieważ jego samochód pozostał w garażu przy domu; najprawdopodobniej jednak ukradł komuś auto. Nie zabrał autobusu mieszkalnego, ponieważ nigdy wcześniej nim nie jeździł i bez wątpienia bał się, że będzie zwracał na siebie uwagę, kiedy wyjdzie na jaw zaginięcie Valisa.

Badający socjopatyczne zachowania psychologowie i kryminolodzy powątpiewali, by jeden psychopata o morderczych skłonnościach skłonny był altruistycznie pielęgnować drugiego. Wizja troszczących się o siebie dwóch potworów znalazła jednak żywy oddźwięk w prasie i przemawiała do opinii publicznej. Skoro książkę Dracula i stwór doktora Frankensteina mogli być dobrymi przyjaciółmi, jak to pokazano w kilku starych filmach, Zillis mógł doglądać swego ciężko rannego artystycznego mentora.

Nikt nie zauważył nawet zaginięcia Ralpa Cottle'a.

Na pewno zgłoszono zaginięcie rudej, ale pochodziła chyba z daleka i porwano ją w drodze, kiedy przemierzała krainę wina. Jeśli w jakimś innym stanie pisano o jej zaginięciu, nie powiązano go z aferą Valisa i Billy nigdy nie poznał jej nazwiska.

Ludzie giną każdego dnia. Ogólnokrajowe media nie mają dość miejsca ani czasu, żeby zajmować się każdą jaskółką z przetrąconym skrzydłem.

Chociaż większość empidonek małych i piwki leśne odlatują z końcem lata, na przełomie jesieni i zimy pojawiają się kszyki i ogniczki, które mają wysoki czysty śpiew o wielu frazach.

W tych wyrafinowanych kręgach, w których głębokie są najprostsze myśli i gdzie nawet szary kolor ma wiele odcieni szarości, zrodziła się myśl, żeby dokończyć mural. I spalić go, tak jak planowano. Valis mógł być obłąkany, mówiono, ale sztuka jest sztuką i trzeba ją szanować.

Spalenie muralu przyciągnęło tak wielki tłum rozentuzjzmowanych Aniołów Piekła, zorganizowanych anarchistów oraz zaprzysięgłych nihilistów, że Jackie O'Hara zamknął interes na cały weekend. Nie chciał ich oglądać w swojej rodzinnej tawernie.

Późną jesienią Billy rzucił pracę za barem i sprowadził Barbarę do domu. Część powiększonego salonu służyła jednocześnie jako jej sypialnia i jego gabinet. Odkrył, że może znowu pisać w jej cichym towarzystwie.

Choć Barbara nie potrzebowała aparatury podtrzymującej życie, lecz tylko pompy infuzyjnej, która dostarczała składniki odżywcze przez wprowadzoną do jej żołądka sondę, Billy korzystał początkowo ze stałej pomocy dyplomowanych pielęgniarek. Szybko jednak nauczył się wykonywać niezbędne czynności i po kilku tygodniach rzadko potrzebował pielęgniarki z wyjątkiem godzin nocnych, gdy spał.

Opróżniał cewnik, zmieniał pieluszki, czyścił ją, mył i nigdy nie robił tego z odrazą. Czuł się lepiej, gdy robił to dla niej sam, niż kiedy pozwalał, by wyręczali go obcy. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, że zajmowanie się nią w ten sposób sprawi, iż Barbara wyda mu się jeszcze piękniejsza, ale tak właśnie się stało.

Kiedyś, zanim mu ją odebrano, ocaliła go i teraz zrobiła to ponownie. Po terrorze, brutalnej przemocy i morderstwie ponownie odkrył dzięki niej empatię, odnalazł łagodność, którą inaczej mógłby utracić na zawsze.

Co dziwne, zaczęli ich odwiedzać przyjaciele. Jackie, Ivy, kucharze Ramon i Ben, a także Shirley Troublood. Z Napy przyjeżdżał często Harry Avarikian. Czasami goście przywozili ze sobą rodzinę i przyjaciół, którzy stawali się przyjaciółmi Billy'ego. Ludzie lubili odwiedzać dom Wilesów. Na Boże Narodzenie zebrał się tam prawdziwy tłum.

Na wiosnę, gdy powróciły liczne empidonki małe i piwiki leśne, Billy poszerzył drzwi frontowe i obniżył próg, żeby móc wytaczać

łóżko Barbary na werandę. Kiedy podłączył do przedłużacza pompę infuzyjną i mechanizm materaca, mogła leżeć w podniesionej pozycji, z twarzą wystawioną na ciepłe poddmuchy wiatru.

Na werandzie Billy czytał, czasami na głos. I słuchał śpiewu ptaków. I patrzył, jak Barbarze śni się Opowieść wigilijna.

To była dobra wiosna, jeszcze lepsze lato, wspaniała jesień i uroczą zimą. W tamtym roku ludzie zaczęli mówić do niego Bill zamiast Billy. Zauważył to dopiero, gdy nowa wersja imienia stała się powszechna.

Któregoś dnia na wiosnę następnego roku, kiedy byli razem na werandzie, a Billy czytał cicho jakąś książkę, Barbara powiedziała: „brzegówki”.

Nie notował już w zeszycie wypowiedzianych przez nią słów, ponieważ nie obawiał się, że jest zagubiona i cierpi. Barbara nie była zagubiona.

Podnosząc wzrok znad książki, zobaczył, że stado brzegówek porusza się w zgodnym wdzięcznym rytmie, zataczając kręgi nad podwórkiem.

Spojrzał na nią i zobaczył, że ma otwarte oczy i chyba obserwuje ptaki.

— Mają w sobie więcej gracji niż inne jaskółki — stwierdził.

— Lubię je — powiedziała.

Ze swoimi długimi wąskimi spiczastymi dziobami i długimi, rozwidłonymi ogonami ptaki odznaczały się niewątpliwą elegancją. Miały ciemnozielone grzbiety i pomarańczowe piersi.

— Bardzo je lubię — powiedziała Barbara i zamknęła oczy. Billy wstrzymał oddech.

— Barbara? — zapytał po chwili. Nie odpowiedziała.

Powiedziałem duszy mej: bądź spokojna, czekaj bez nadziei, bo byłaby nadzieją na niewłaściwe rzeczy.

Cała nadzieja, wiara i miłość tkwi w oczekiwaniu. Prawdą życia nie jest władza; pożądanie władzy jest pożądaniem śmierci.

Brzegówki pofrunęły gdzie indziej. Billy powrócił do przerwanej lektury książki.

Co ma być, to będzie. Cuda zdarzają się, dopóki trwa czas, a on nie ma końca.

# Nota

W chwilach stresu i niezdecydowania Billy'emu Wilesowi przychodzą do głowy mądre myśli, którymi się kieruje. Billy nie zdradza ich źródła, lecz są one zaczerpnięte z dzieł T.S. Eliota.

Rozdział 9: Uchroń mnie przed wrogiem, który ma coś do zyskania, i przed przyjacielem, który ma coś do stracenia. W tym samym rozdziale: Ucz nas jak dbać i nie dbać. Ucz nas jak siedzieć w ciszy. [Środa Popielcowa, przełożył Krzysztof Boczkowski]

Rozdział 13: Jedyna mądrość, jaką możemy osiągnąć, jest mądrością pokory. [Cztery kwartety, przełożył Krzysztof Boczkowski]

Rozdział 17: Sąd nad nami niech nie będzie zbyt srogi. [Środa Popielcowa, przełożył Krzysztof Boczkowski]

Rozdział 33: Jest ktoś, kto pamięta drogę do drzwi waszych. Możecie wymknąć się Życiu, lecz nie Śmierci. [Chóry z „Opoki”, przełożył Michał Sprusiński]

Rozdział 66: Aby osiąść to, czego nie posiadasz, oddać masz to, co posiadasz. A to, czego nie wiesz, jest jedynym, co wiesz. [Cztery kwartety, przełożył Krzysztof Boczkowski]

Rozdział 71: Aby dojść do tego, czym nie jesteś, iść musisz drogą, na której nie ma ciebie. [Cztery kwartety, przełożył Krzysztof Boczkowski]

Rozdział 72: Świat obraca się i świat się zmienia, ale jedna rzecz nie ulega zmianie. Bez względu na to, jak ją przedstawimy, ta rzecz nigdy się nie zmienia: odwieczna walka Dobra ze Złem.

Przedstawione w tej książce biuro szeryfa okręgu Napa nie przypomina w najmniejszym stopniu noszącej tę samą nazwę, istniejącej w rzeczywistości instytucji, podobnie jak żadna z opisanych tu postaci nie jest wzorowana na jakimkolwiek prawdziwym mieszkańcu okręgu.

Najbardziej tajemnicza z wypowiedzi Barbary — Chcę wiedzieć, co mówi... morze. Co to jest, co stale powtarza — pochodzi z powieści Dombey i syn.

# Spis treści

Część pierwsza	
<b>Wybór należy do ciebie .....</b>	<b>9</b>
Część druga	
<b>Czy jesteś gotów na drugą ranę?.....</b>	<b>107</b>
Część trzecia	
<b>Jedynym twoim bogactwem jest to, jak żyjesz.....</b>	<b>275</b>
Nota .....	397